

*Błyskotliwy przetom w gatunkach...  
Pędzi, nie do zatrzymania.*

**Stephen King**

# ORSESJA ZBKRODNI

Prawdziwa  
historia  
najbardziej  
poszukiwanego  
seryjnego  
mordercy  
w USA

wstęp  
**Gillian  
Flynn**

Michelle  
McNamara

**znak**

Michelle McNamara

# **OBSESJA ZBRODNI**

Prawdziwa historia  
najbardziej poszukiwanego  
seryjnego mordercy w USA

Tłumaczenie  
Jarosław Mikos

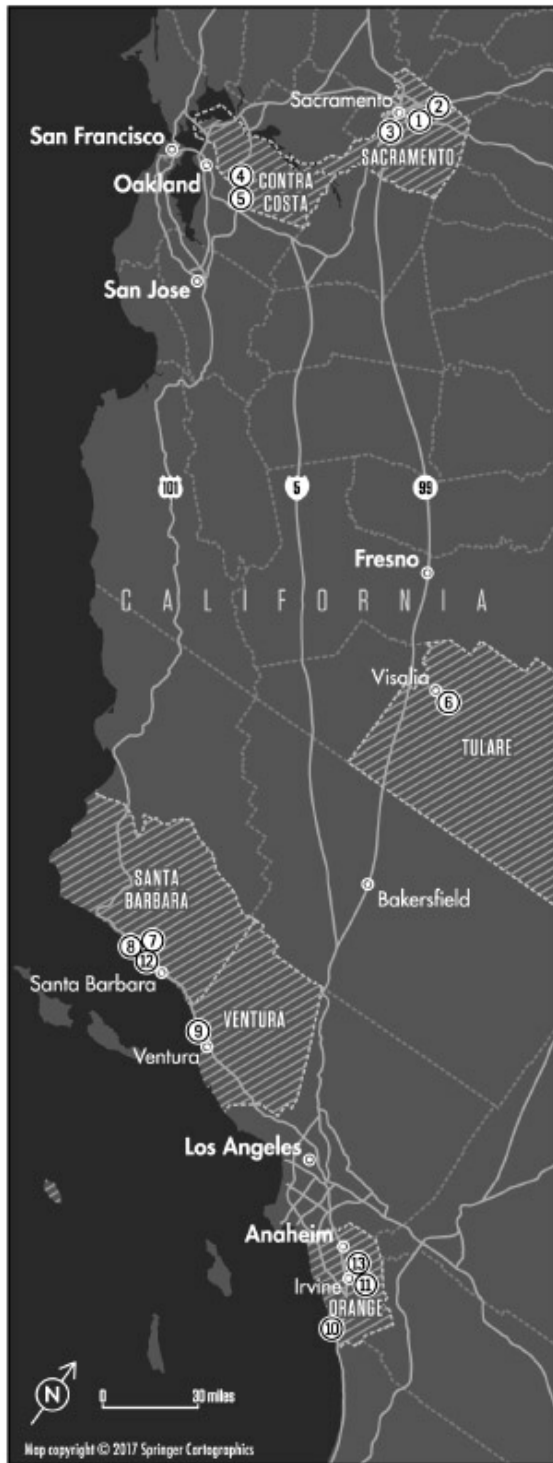
Wydawnictwo Znak  
KRAKÓW 2019

*Nie ma lokaja ani pokojówki, na schodach żadnej plamy krwi.  
Nie ma też ciotki ekscentryczki, ogrodnika ani przyjaciela domu  
Z uśmiechem wśród morderstwa i bric-à-brac.  
Jedynie domek na przedmieściach i otwarte drzwi  
Pies szczeka na wiewiórkę i samochody  
Przejeżdżają obok. Ciało jest martwe. Żona na Florydzie.*

*Rozważmy tropy: w wazonie tłuczek do kartofli,  
Rozsiana w holu wśród odcinków czeków  
Podarta fotografia zespołu koszykówki z Wesley,  
Niewysłany list od wielbiciela do Shirley Temple,  
W klapie zmarłego znaczek Hoovera  
I kartka: „Nie mam nic przeciw temu, by zginąć w ten sposób”.*

*Nic dziwnego, że sprawa jest wciąż nie rozwiązana,  
Albo że śledczy Le Roux, nieuleczalnie obłąkany,  
Siedzi samotnie w białym pokoju w białej szacie,  
Wrzeszcząc, że cały świat oszalał i że tropy  
Prowadzą donikąd albo do murów tak wysokich, że ich szczytów nie sposób  
dostrzec;  
Wrzeszcząc cały dzień o wojnie, wrzeszcząc, że niczego nie da się rozwiązać.*

*Weldon Kees, Crime Club*



### **Ataki Gwałciela ze Wschodniej Strony (East Area Rapist, EAR)**

Napada na 50 kobiet  
w 7 hrabstwach Kalifornii Północnej  
(od czerwca 1976 do lipca 1979).

#### **① 18 czerwca 1976 – Rancho Cordova**

23-letnia kobieta (występująca w tej książce jako Sheila) zostaje zgwałcona przez zamaskowanego napastnika. Okazuje się to pierwszym z dziesiątków ataków człowieka, którego media oraz policjanci będą określać jako East Area Rapist, EAR, Gwałciiciel ze Wschodniej Strony.

#### **② 5 października 1976 – Citrus Heights**

EAR atakuje po raz piąty, napadając na 30-letnią Jane Carson. Gwałciiciel czeka, aż mąż ofiary wyjdzie do pracy, i wdzieria się do domu kilka minut później. 3-letni synek ofiary podczas gwałtu cały czas pozostaje w jej sypialni.

#### **③ 28 maja 1977 – Parkway – południowe Sacramento**

28-letnia Fiona Williams\* i jej mąż Phillip zostają napadnięci przez EAR w jego dwudziestym drugim znanym ataku – to siódma napaść, w której podczas incydentu jest obecny w domu mężczyzna.

#### **④ 28 października 1978 – San Ramon**

Oficjalna liczba ofiar sięga 40, gdy EAR atakuje kolejną parę: 23-letnią Kathy\* i jej męża Davida\*.

#### **⑤ 9 grudnia 1978 – Danville**

32-letnia Esther McDonald\* zostaje zbudzona w nocy, związana i zgwałcona, stając się czterdziestą trzecią ofiarą EAR.

### **Włamania Szperacza z Visalii (Visalia Ransacker) oraz strzelanina**

(od kwietnia 1974 do grudnia 1975)

#### **⑥ Visalia**

Możliwy związek z kilkoma włamaniami i zabójstwem Claude'a Snellinga.

### **Morderstwa Pierwotnego Nocnego Łowcy (Original Night Stalker, ONS)**

(od października 1979 do maja 1986)

#### **⑦ 1 października 1979 – Goleta**

ONS napada na pewną parę podczas nieudanego włamania; oboje uciekają.

#### **⑧ 30 grudnia 1979 – Goleta**

ONS morduje dr. Roberta Offermana i dr. Alexandrię Manning.

#### **⑨ 13 marca 1980 – Ventura**

ONS morduje Charlene i Lymana Smithów.

#### **⑩ 19 sierpnia 1980 – Dana Point**

ONS morduje Keitha i Patrice Harringtonów.

#### **⑪ 6 lutego 1981 – Irvine**

ONS morduje Manuełę Witthuhn.

#### **⑫ 27 lipca 1981 – Goleta**

ONS morduje Cheri Domingo i Gregory'ego Sancheza.

#### **⑬ 5 maja 1986 – Irvine**

ONS morduje Janelle Cruz.

---

\* Pseudonim.

# LISTA POSTACI

## OFIARY

### OFIARY GWAŁTU

Sheila\* (Sacramento, 1976)

Jane Carson (Sacramento, 1976)

Fiona Williams\* (południowe Sacramento, 1977)

Kathy\* (San Ramon, 1978)

Esther McDonald\* (Danville, 1978)

### OFIARY MORDERSTWA

Claude Snelling (Visalia, 1975)\*\*

Katie i Brian Maggiore (Sacramento, 1978)\*\*

Debra Alexandria Manning i Robert Offerman (Goleta, 1979)

Charlene i Lyman Smithowie (Ventura, 1980)

Patrice i Keith Harringtonowie (Dana Point, 1980)

Manuela Witthuhn (Irvine, 1981)

Cheri Domingo i Gregory Sanchez (Goleta, 1981)

Janelle Cruz (Irvine, 1986)

## ŚLEDZCY

Jim Bevins – detektyw, Biuro Szeryfa Hrabstwa Sacramento  
Ken Clark – detektyw, Biuro Szeryfa Hrabstwa Sacramento  
Carol Daly – detektyw, Biuro Szeryfa Hrabstwa Sacramento  
Richard Shelby – detektyw, Biuro Szeryfa Hrabstwa Sacramento  
Larry Crompton – detektyw, Biuro Szeryfa Hrabstwa Contra Costa  
Paul Holes – specjalista z zakresu kryminalistyki, laboratorium  
kryminalistyczne Biura Szeryfa Hrabstwa Contra Costa  
John Murdock – szef laboratorium kryminalistycznego Biura Szeryfa  
Hrabstwa Contra Costa  
Bill McGowen – detektyw, Wydział Policji w Visalii  
Mary Hong – specjalistka z zakresu kryminalistyki, laboratorium  
kryminalistyczne Biura Szeryfa Hrabstwa Orange  
Erika Hutchcraft – detektyw, Biuro Rejonowego Prokuratora Hrabstwa  
Orange  
Larry Pool – śledczy, Countywide Law Enforcement  
Unsolved Element (Ogólnokrajowa Jednostka do badania Spraw  
Nierozwiązanych, CLUE), Biuro Szeryfa Hrabstwa Orange  
Jim White – specjalista z zakresu kryminalistyki, Biuro Szeryfa Hrabstwa  
Orange  
Fred Ray – detektyw, Biuro Szeryfa Hrabstwa Santa Barbara

---

\* Pseudonim.

\*\* Nigdy definitywnie niepowiązane z postacią Zabójcy z Golden State.

## WPROWADZENIE

Zanim pojawił się Zabójca z Golden State, była dziewczyna. Michelle wam o niej opowie: to dziewczyna wciągnięta w mrok bocznej uliczki przy Pleasant Street, zamordowana, porzucona jak śmieć. Dziewczyna, młoda kobieta, dwudziestokilkuletnia, została zabita w Oak Park w stanie Illinois, kilka przecznic od domu, w którym Michelle wychowywała się w licznej, irlandzkiej, katolickiej rodzinie.

Michelle, najmłodsza z szóstki dzieci, podpisywała się w swoim dzienniku „Michelle, pisarka”. Powiedziała, że to morderstwo zapoczątkowało jej zainteresowanie prawdziwą zbrodnią.

Myślę, że stanowiłybyśmy dobrą (nawet jeśli trochę dziwną) parę. W tym samym czasie w Kansas City w stanie Missouri ja także jako młodziutka nastolatka widziałam w sobie pisarkę, choć w swoim dzienniku przyznałam sobie nieco bardziej wzniosły pseudonim: „Gillian Wspaniała”. Podobnie jak Michelle wychowałam się w dużej irlandzkiej rodzinie, chodziłam do katolickiej szkoły i czułam fascynację tym, co mroczne. W wieku dwunastu lat przeczytałam książkę Trumana Capote’a *Z zimną krwią*, w jakimś tanim wydaniu z drugiej ręki, i to zapoczątkowało moją trwającą całe życie obsesję na punkcie prawdziwych zbrodni.

Lubię czytać o prawdziwych przestępstwach, ale zawsze dobrze wiedziałam, że jako czytelniczka świadomie wybieram rolę konsumentki czyjejs tragedii. A zatem, jak wielu odpowiedzialnych konsumentów, próbuję dokonywać świadomych wyborów. Czytam tylko najlepszych: pisarzy,



którzy są dociekliwi, przenikliwi i obdarzeni współczuciem.

To było nieuchronne, że trafiłam na Michelle.

Zawsze uważałam, że najbardziej niedocenianą cechą wielkich autorów piszących o prawdziwych zbrodniach jest człowieczeństwo. Michelle McNamara miała niezwykłą zdolność do wnikania w umysły nie tylko zabójców, ale także gliniarzy, którzy ich ścigali, ofiar, których życie zostało zniszczone, oraz krewnych pogrążonych w żałobie. Jako osoba dorosła regularnie czytałam jej niezwykły blog *True Crime Diary*. „Napisz do niej” – namawiał mnie mój mąż. Ona pochodziła z Chicago; ja mieszkam w Chicago; obie miałyśmy dzieci i spędzałyśmy niezdrowo wiele czasu, zaglądając pod kamienie, w poszukiwaniu prawdy o mrocznej stronie ludzkiej psychiki.

Opierałam się namowom męża – myślę, że najdalej posunęłam się w stronę poznania Michelle, kiedy przedstawiłam się jednej z jej ciotek na jakiejś imprezie poświęconej książkom – podała mi swój telefon, a ja napisałam do Michelle esemesa, coś niezbyt wyszukanego w rodzaju: „Jesteś najlepsza!!!”.

Prawda jest taka, że nie byłam pewna, czy chcę poznać tę autorkę – czułam, że jest dla mnie za dobra. Tworzę postaci; ona musiała zajmować się faktami i zmierzać tam, gdzie prowadziła ją opisywana historia. Musiała zdobyć zaufanie nieufnych, znużonych śledczych, przebrnąć przez piętrzące się niczym góry sterty papierów, w których mogła kryć się ta jedna informacja o decydującym znaczeniu, albo przekonać zrozpaczoną rodzinę i przyjaciół, żeby pozwolili jeszcze raz grzebać igłą w otwartych ranach.

Robiła to wszystko z jakąś niezwykłą gracją, pisząc nocami, kiedy jej rodzina była pogrążona we śnie, w pokoju usianym zabawkami córki, zapisując ołówkiem na wyrwanych kartkach paragrafy kodeksu karnego stanu Kalifornia.

Jestem paskudną kolekcjonerką zabójców, ale nie wiedziałam o istnieniu człowieka, któremu Michelle nadała pseudonim Zabójca z Golden State, póki nie zaczęła pisać o tym koszmarze, człowieku odpowiedzialnym za pięćdziesiąt gwałtów i co najmniej dziesięć zabójstw popełnionych w Kalifornii w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. To od dziesięcioleci była sprawa odłożona na półkę; świadkowie i ofiary przeprowadzili się gdzie indziej albo poumierali, albo zaczęli nowe życie; sprawa obejmowała liczne jurysdykcje – zarówno w południowej, jak i północnej Kalifornii – a także ogrom akt powstałych w czasach, gdy nie można było skorzystać z dobrodziejstwa analizy DNA ani innych osiągnięć kryminalistyki. Niewielu autorów odważyłoby się sięgnąć po taki temat, jeszcze mniej było takich, którzy potrafiliby to zrobić dobrze.

Wytrwałość Michelle w dążeniu do rozwiązania tej właśnie sprawy była zdumiewająca. Potrafiła na przykład śledzić losy spinek do mankietów, które zostały skradzione z miejsca zbrodni w Stockton w 1977 roku i pojawiły się w internecie na stronie jakiegoś sklepu ze starzyzną z Oregonu. Ale zrobiła nie tylko to; jak czytamy w jej książce, poszła dalej: „imiona chłopców zaczynające się na literę N były stosunkowo rzadkie, tylko raz jedno z takich imion znalazło się na szczycie listy stu najpopularniejszych imion w latach trzydziestych i czterdziestych, gdy przypuszczalnie przyszedł na świat pierwszy właściciel tych spinek”. Pomyślcie tylko: to nawet nie jest trop wiodący do zabójcy; to jest trop prowadzący do spinek do mankietów, które ukraść zabójca. Ten rodzaj skupienia na szczegółach był dla niej typowy. Michelle pisze: „Pewnego razu spędziłam całe popołudnie, szukając wszelkich możliwych informacji na temat pewnego członka drużyny waterpolo z Rio Americano High School z roku 1972, tylko dlatego że na zdjęciu ze szkolnego rocznika wydawał się szczupły i miał mocne łydki” – a to była przypuszczalnie jedna z cech budowy fizycznej Zabójcy

z Golden State.

Wielu autorów, którzy pocą się, zbierając tego rodzaju informacje podczas prac przygotowawczych, potrafi zagubić się w szczegółach – statystyki i drobiazgowość informacji zaczynają wypychać człowieczeństwo z pola widzenia. Cechy, które sprawiają, że jesteś drobiazgowym badaczem, często pozostają w konflikcie z subtelnościami życia.

Ale *Obsesja zbrodni*, choć to piękny przykład książki reportażowej, jest jednocześnie migawką przedstawiającą epokę, osoby i miejsca. Michelle ożywia przed naszymi oczami kalifornijskie przedmieścia wyrastające na skraju gajów pomarańczowych, przeszklone nowe osiedla, które sprawiały, że ofiary stawały się gwiazdami własnych, przerażających thrillerów, miasta żyjące w cieniu gór i ożywające się tylko raz w roku, gdy tysiące tarantuli gorączkowo szukało partnerów seksualnych. A także ludzi, dobry Boże, ludzi – pełnych nadziei ekshibicystów, młode pary świeżo po ślubie, matkę i córkę, które kłóca się o wolność i odpowiedzialność oraz o kostium kąpielowy, nie zdając sobie sprawy, że to ich ostatnia rozmowa.

Od samego początku ta historia wciągnęła mnie bez reszty – i jak się wydaje, podobnie stało się z Michelle. Jej wieloletnie polowanie, aby odkryć tożsamość Zabójcy z Golden State, odcisnęło na niej swoje piętno. „Mam teraz w gardle cały czas stłumiony krzyk”.

Michelle zmarła we śnie, w wieku lat czterdziestu sześciu, zanim zdążyła dokończyć tę niezwykłą książkę. Znajdziecie w niej dodatkowe analizy sprawy EAR spisane przez jej kolegów, jednak tożsamość Zabójcy z Golden State pozostaje nieznana. To, kim on jest, nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. Chcę tylko, aby go złapano; bez względu na jego tożsamość. Spojrzenie takiemu człowiekowi w twarz rozładowuje napięcie; przypisanie mu nazwiska – tym bardziej. Wiemy, co zrobić; wszystkie informacje wykraczające poza tę wiedzę będą nieuchronnie wydawały się banalne,

blade, w jakimś sensie stereotypowe. „Moja matka była okrutna. Nienawidzę kobiet. Nigdy nie założyłem rodziny...” I tak dalej. Pragnę się dowiadywać więcej o prawdziwych, złożonych ludziach, a nie o nędznych ułamkach człowieczeństwa.

Pragnę dowiedzieć się więcej o samej Michelle. Kiedy szczegółowo opisywała swoje poszukiwania tego nieuchwytnego człowieka, zauważyłam, że zaczynam szukać tropów dotyczących tej tak podziwianej przeze mnie autorki. Kim była kobieta, której zaufałam na tyle, aby pójść za nią w głąb tego koszmaru? Jaka była? Co ją ukształtowało? Skąd wzięła tę swoją grację? Pewnego letniego dnia przyłapałam się na tym, że jadę dwadzieścia minut od swojego domu w Chicago do Oak Park, w stronę uliczki, gdzie znaleziono tamtą dziewczynę, miejsca, gdzie Michelle, pisarka, odkryła swoje powołanie. Dopiero na miejscu uświadomiłam sobie, dlaczego tam przyjechałam. Zrobiłam tak, ponieważ sama zaczęłam kogoś szukać, zaczęłam szukać tej niezwyklej poszukiwaczki postaci kryjących się w mroku.

Gillian Flynn

## PROLOG

Tego lata nocami, z dzieciennego pokoju mojej córki, polowałam na seryjnego zabójcę. Najczęściej naśladowałam wieczorne obyczaje normalnej osoby kładącej się spać. Mycie zębów. Wkładanie piżamy. Ale kiedy mój mąż i córeczka zasnęli, wędrowałam do swojego naprędce skleconego miejsca pracy i włączałam laptop, piętnastocalowe centrum nieskończonych możliwości. Nasza dzielnica leży na północy zachód od centrum Los Angeles i nocami jest tu wyjątkowo cicho. Czasami jedynym dźwiękiem były odgłosy mojego klikania, kiedy za pomocą Google Street View robiłam coraz bardziej szczegółowe zbliżenia uliczek, na których mieszkali nieznani mi ludzie. Rzadko ruszałam się z miejsca, ale kilkoma kliknięciami przeskakiwałam dekady. Roczniki. Świadectwa ślubu. Policyjne fotografie. Przesiewałam tysiące stron policyjnych kartotek z lat siedemdziesiątych. Przedzierałam się przez raporty z sekcji zwłok. Nie widziałam nic dziwnego w tym, że wszystkie te czynności przeprowadzałam w otoczeniu kilku pluszowych zwierzątek i zbioru miniaturowych różowych bongosów. Moje miejsce poszukiwań wydawało mi się równie prywatne jak labirynt jakiegoś szczura. Każda obsesja potrzebuje własnej przestrzeni. Moja była usiana kawałkami papieru do kolorowania, na którym zapisywałam ołówkiem fragmenty kodeksu karnego stanu Kalifornia.

Gdzieś koło północy 3 lipca 2012 roku otworzyłam dokument, w którym wyliczyłam wszystkie niezwykle przedmioty, jakie ukradł w ciągu lat. Pogrubioną czcionką zaznaczyłam ponad połowę tej listy: tropy donikąd.

Następnym obiektem, którym należało się zainteresować, była para spinek do mankietów, zabrana w Stockton we wrześniu 1977 roku. W tym czasie Zabójca z Golden State, jak go nazwałam na swój użytek, jeszcze nie zaczął mordować. Był jedynie seryjnym gwałcicielem znanym jako Gwałciciel ze Wschodniej Strony (ang. East Area Rapist, EAR), który napadał na kobiety i dziewczęta w ich własnych sypialniach, najpierw w hrabstwie Sacramento, a potem w miasteczkach Doliny Centralnej i tych leżących po wschodniej stronie zatoki San Francisco. Był młody – miał jakieś osiemnaście–trzydzieści lat – biały, atletycznie zbudowany, potrafił uniknąć schwytania, przeskakując przez wysokie ogrodzenia. Jego ulubionym celem był parterowy dom, drugi za rogiem, w spokojnej dzielnicy zamieszkaney przez klasę średnią. Zawsze nosił maskę.

Jego charakterystycznymi cechami były precyzja i dbałość o własne bezpieczeństwo. Gdy wybrał ofiarę, często wcześniej wchodził do jej domu, kiedy nikogo tam nie było. Oglądał rodzinne fotografie, uczył się układu pomieszczeń. Rozłączał światła na ganku i odblokowywał przesuwane szklane drzwi. Wyjmował kule z broni palnej. Niczego nie spodziewający się właściciele domów nie zamykali drzwi, przypuszczając, że nadal są zamknięte; odkładali na miejsce zdjęcia, które oglądał, przekonani, że jeśli nie leżą tam gdzie zwykle, to za sprawą zamieszania codziennego życia. Ofiary spały spokojnie aż do chwili, gdy ostre światło latarki zmuszało je do otwarcia oczu. Oślepienie nie wiedziały w pierwszej chwili, co się dzieje. Rozespany umysł pracował powoli, po czym zaczynała się gorączka myśli. Stała przed nimi jakaś postać, której nie potrafiły dostrzec, i trzymała w ręku źródło światła, ale kto to był i dlaczego? Ich lęk zyskiwał punkt zaczepienia, gdy w sypialni rozlegał się głos, opisywany potem jako gardłowy szept przez zaciśnięte zęby, gwałtowny i groźny, choć czasami dało się w nim usłyszeć niespodziewany wyższy ton, jakieś drzenie, jąkanie się, jak gdyby napastnik

kryjący się w ciemnościach starał się ukryć nie tylko swoją twarz, ale także niepewność, którą nie zawsze udawało mu się zamaskować.

Sprawa ze Stockton z września 1977 roku, gdy ukradł spinki do mankietów, była jego dwudziestą trzecią napaścią, która nastąpiła po idealnie odmierzonej przerwie letniej. Szorowanie kółek od zasłon po drążku karnisza zbudziło dwudziestodziewięcioletnią kobietę śpiącą w swojej sypialni w północno-zachodnim Stockton. Uniosła głowę z poduszki. Na tle światła z patia dostrzegła zarys postaci stojącej w drzwiach. Obraz zniknął, gdy strumień światła z latarki odnalazł jej twarz i ją oślepił; jakaś energiczna siła ruszyła w stronę łóżka. Po raz ostatni zaatakował w weekend Memorial Day (koniec maja), była pierwsza trzydzieści w nocy, we wtorek po Labor Day. Lato się skończyło. A on wrócił.

Teraz interesowały go pary. Kobieta, ofiara gwałtu, próbowała potem opisać policjantowi, który spisywał jej zeznania, odstręczający zapach napastnika. Próbowała zidentyfikować tę woń. Twierdziła, że nie był to smród kogoś, kto się nie myje. Nie pochodził spod jego pach ani z oddechu. Ofiara potrafiła jedynie powiedzieć, jak zapisał policjant w swoim raporcie, że przypominało to zapach zdenerwowania, emanujący nie tyle z jakiejś konkretnej części ciała, ile zewsząd. Policjant spytał, czy potrafiłaby powiedzieć coś więcej. Nie potrafiła. Problem polegał na tym, że ten zapach nie przypominał niczego, co czuła kiedykolwiek wcześniej.

Podobnie jak w przypadku innych spraw ze Stockton napastnik powtarzał gorączkowo, że potrzebuje pieniędzy, ale ignorował gotówkę, kiedy znalazła się tuż przed nim. Zależało mu na mających dla zaatakowanych osób osobistą wartość przedmiotach takich jak grawerowane obrączki ślubne, prawo jazdy, pamiątkowe monety. Spinki do mankietów, przekazywane w rodzinie z pokolenia na pokolenie, były dość nietypowe, pochodziły z lat pięćdziesiątych, miały monogram z inicjałami N.R. Funkcjonariusz spisujący

zeznania świadków zrobił na marginesie policyjnego raportu odręczny rysunek tych spinek. Zaciekawilo mnie, czy byly jakoś bardzo niezwykłe. Na podstawie poszukiwań w internecie przekonałam się, że imiona chłopców zaczynające się na literę N były stosunkowo rzadkie, tylko raz jedno z takich imion pojawiło się na szczycie listy stu najpopularniejszych imion w latach trzydziestych i czterdziestych, gdy przypuszczalnie przyszedł na świat pierwszy właściciel tych spinek. Wyguglowałam opis tych spinek i nacisnęłam enter na klawiaturze swojego laptopa.

Trzeba poczucia złudnej wszechmocy, aby pomyśleć, że potrafisz rozwiązać skomplikowaną sprawę seryjnego mordercy, skoro nie udało się to dotąd przedstawicielom specjalnych zespołów śledczych z pięciu kalifornijskich jurysdykcji, z pomocą FBI, zwłaszcza kiedy swoją detektywistyczną pracę prowadzisz tak jak ja, we własnym domu, na zasadzie „zrób to sam”. Moje zainteresowanie zbrodnią ma osobiste korzenie. Nierozwiązana sprawa morderstwa sąsiadki, kiedy miałam czternaście lat, wzbudziła we mnie fascynację starymi sprawami odłożonymi na półki. Wraz z nadejściem ery internetu moja ciekawość zamieniła się w aktywne poszukiwania. Odkąd publiczne archiwa znalazły się on-line i wynaleziono wyrafinowane narzędzia wyszukiwania, dostrzegłam, że głowa pełna szczegółów na temat przestępstw może wejść we współpracę z pustym paskiem wyszukiwania, i w 2006 roku założyłam w internecie witrynę zatytułowaną *True Crime Diary, Dziennik prawdziwej zbrodni*. Kiedy moja rodzina idzie spać, zaczynam swoją podróż w czasie i wykorzystując technologię z dwudziestego pierwszego stulecia, staram się umieścić stare dowody w nowym kontekście. Zaczynam klikać, przesiewam internet, szukając cyfrowych tropów, które wcześniej przedstawiciele organów ścigania mogli przeoczyć, przeglądam zdigitalizowane książki telefoniczne, roczniki i za pomocą Google Earth zaznajamiam się z widokiem miejsc,



w których popełniono zbrodnie: to nieskończona otchłań potencjalnych tropów dla detektywa z laptopem w wirtualnym świecie. Dzielę się swoimi teoriami z lojalnymi użytkownikami internetu, którzy odwiedzają i czytają mojego bloga.

Pisałam o setkach tajemniczych zbrodni, od zabójstw z użyciem chloroformu po morderstwa dokonane przez księży. Jednak Zabójca z Golden State pochłaniał mnie najbardziej. Oprócz pięćdziesięciu napaści na tle seksualnym w Kalifornii Północnej odpowiadał za dziesięć sadystycznych morderstw popełnionych w Kalifornii Południowej. To była sprawa, która ciągnęła się ponad dekadę i ostatecznie doprowadziła do zmiany praw stanowych dotyczących DNA. Ani Zodiac Killer, który terroryzował San Francisco pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku lat siedemdziesiątych, ani Night Stalker, przez którego mieszkańcy Kalifornii Południowej zamykali okna w latach osiemdziesiątych, nie dorównywali mu aktywnością. A jednak Zabójca z Golden State nie przykuwał uwagi opinii publicznej. Nawet nie miał chwytliwego pseudonimu, dopóki sama mu go nie nadałam. Atakował na terenie całej Kalifornii, w różnych jurysdykcjach, które nie komunikowały się ze sobą najlepiej i nie zawsze dzieliły się informacjami. W chwili gdy testy DNA wykazały, że liczne zbrodnie, poprzednio uważane za niepowiązane ze sobą, były dziełem jednego człowieka, upłynęła ponad dekada, odkąd popełnił swoje ostatnie znane morderstwo, i schwytanie go nie należało już do priorytetów. Trzymał się w cieniu i wciąż niezidentyfikowany pozostawał na wolności.

Mimo to nadal terroryzował swoje ofiary. W 2001 roku pewna kobieta z Sacramento odebrała telefon w tym samym domu, w którym została napadnięta dwadzieścia cztery lata wcześniej. „Pamiętasz, jak się zabawialiśmy?” – wyszeptał jakiś człowiek. Natychmiast rozpoznała ten głos. Jego słowa, jak echo, przypominały coś, co powiedział w Stockton, gdy

dziesięcioletnia córeczka zaatakowanej pary wstała w nocy, żeby skorzystać z ubikacji, i natknęła się na niego w korytarzu. Stał jakieś sześć metrów od niej, mężczyzna w brązowej masce narciarskiej i czarnych, włóczkowych mitenkach, który nie miał na sobie spodni. Miał natomiast pas z przypiętym do niego czymś w rodzaju miecza. „Bawię się z twoją mamą i tatą – powiedział. – Chodź, popatrz na mnie”.

Ta sprawa przykuła moją uwagę, ponieważ wydawała mi się do rozwiązania. Zabójca dokonał spustoszeń, które były zarazem zbyt rozległe i zbyt niewielkie; pozostawił po sobie wiele ofiar i mnóstwo tropów, ale wszystko w stosunkowo zwartym obszarze, co sprawiało, że poszukiwanie danych na temat potencjalnych podejrzanych stawało się łatwiejsze. Sprawa wciągnęła mnie szybko. Ciekawość zamieniła się w ssący głód. Podjęłam trop, całkowicie pochłonięta gorączkowym klikaniem, które łączyło moje coraz szybsze pisanie na komputerze z dopaminowym pobudzeniem. Nie byłam sama. Znalazłam grupę zatwardziałych poszukiwaczy, którzy zbierali się na pewnym forum on-line i wymieniali wskazówkami i teoriami na temat tej sprawy. Odłożyłam na bok wszelkie zastrzeżenia, jakie mogły mi przyjść do głowy, i zaczęłam śledzić ich rozmowy; przeczytałam wszystkie dwadzieścia tysięcy postów. Odsiałam maniaków kierujących się podejrzanyymi motywami i skupiłam się na prawdziwych poszukiwaczach. Od czasu do czasu na forum pojawiała się jakaś wskazówka, w rodzaju informacji o odcisku opony podejrzanego pojazdu widzianego w pobliżu miejsca zbrodni, jakby została wrzucona przez przepracowanych detektywów, którzy nadal usiłowali rozwiązać tę sprawę.

Nie uważałam go za ducha. Wierzyłam w ludzką omylność. Doszłam do wniosku, że musiał gdzieś po drodze popełnić jakiś błąd.

Tej letniej nocy, gdy poszukiwałam informacji na temat spinek od mankietów, obsesyjnie pracowałam nad tą sprawą już prawie przez rok.

Lubię żółte bloczki liniowanego papieru, zwłaszcza pierwsze dziesięć stron, gdy wszystko wydaje się takie gładkie, pełne nadziei. Dziecinna bawialnia mojej córki cała była usiana częściowo wykorzystanymi bloczkami, nawyk nieświadczący o zbytnej oszczędności, ale dobrze odzwierciedlający stan mojego umysłu. Każdy był poświęcony jakiemuś wątkowi, który się zaczął, a potem ugrzązł. Szukając rady, zwracałam się do emerytowanych detektywów, którzy niegdyś pracowali nad tą sprawą, i wielu z nich z czasem zaczęłam uważać za swoich przyjaciół. Dawno stracili już swoje poczucie wszechmocy, ale to nie znaczyło, że nie podsycali mojego. Polowanie na Zabójcę z Golden State, ciągnące się przez prawie cztery dekady, przypominało nie tyle wyścig sztafetowy, ile wysiłek grupy połączonych linami fanatyków, którzy usiłują wspiąć się na niezdobytą górę. Moi poprzednicy musieli dać za wygraną, ale upierali się, żebym ja szła dalej. Uskarżałam się jednemu z nich, że czuję się, jak gdybym rozpaczliwie chwytła się źdźbeł trawy.

– Moja rada: chwytaj się choćby źdźbła trawy – powiedział. – Wyciśnij z niego wszystko.

Przedmioty skradzione przez zabójcę były moją ostatnią nadzieją. Nie czułam wiele optymizmu. Razem ze swoją rodziną miałam pojechać do Santa Monica, na weekend w okolicach Święta Czwartego Lipca. Jeszcze się nie spakowałam. Prognoza pogody brzmiała zniechęcająco. I wtedy to zobaczyłam, jeden obraz wśród setek ładujących się na ekran mojego laptopa, spinki od mankietów w tym samym stylu co tamte z policyjnego raportu. Z tymi samymi inicjałami. Sprawdziłam jeszcze raz, a potem jeszcze raz odręczny rysunek policjanta i porównywałam go ze zdjęciem na ekranie komputera. Wystawiono je za osiem dolarów w sklepie ze starzyzną w niewielkim miasteczku w Oregonie. Kupiłam je od razu, płacąc czterdzieści dolarów za natychmiastową dostawę. Poszłam korytarzem do

swojej sypialni. Mój mąż spał spokojnie po swojej stronie. Usiadłam na skraju łóżka i patrzyłam na niego tak długo, aż otworzył oczy.

– Myślę, że go znalazłam – powiedziałam.

Mąż nawet nie musiał pytać, kogo mam na myśli.

# **CZEŚĆ PIERWSZA**

## **IRVINE, 1981**

Zrobiwszy w domu, co do nich należało, policjanci powiedzieli do Drew Witthuhna: „Jest twój”. Zdjęli żółte taśmy, zamknęli frontowe drzwi. Beznamiętna precyzja policyjnych specjalistów przy pracy pomagała odwrócić uwagę od plam, ale teraz nie dało się ich uniknąć. Sypialnia jego brata i bratowej leżała tuż obok frontowych drzwi, bezpośrednio naprzeciw kuchni. Stojąc przy zlewie, Drew musiał jedynie odwrócić głowę w lewo, żeby dostrzec ciemne, drobne rozpryski na białej ścianie powyżej łóżka Davida i Manueli.

Drew z dumą myślał o sobie, że nie jest mięczakiem. W szkole policyjnej uczono opanowywania stresu i nieujawniania uczuć. Umiejętność powściągnięcia emocji stanowiła jeden z wymogów stawianych absolwentom szkoły. Jednak aż do tego piątkowego wieczora 6 lutego 1981 roku, gdy siostra jego narzeczonej pojawiła się nagle obok jego stolika w pubie Rathskeller w Huntington Beach i powiedziała, łapiąc oddech: „Drew, zadzwoń do swojej mamy”, nie sądził, że będzie musiał kiedyś wykorzystać te sprawności w praktyce – umiejętność trzymania języka za zębami i zachowania kamiennej twarzy w chwili, gdy wszyscy wokół wytrzeszczają oczy i wydają z siebie histeryczne wrzaski – tak szybko albo tak blisko własnego domu.

David i Manuela mieszkali pod adresem Columbus 35, na nowym osiedlu parterowych domków w Northwood, w Irvine. W okolicy widać było macki podmiejskiej zabudowy wdzierającej się na tereny pozostałości po dawnym

ranczu w Irvine. Na obrzeżach wciąż jeszcze dominowały sady pomarańczowe i wokół wyrastających konstrukcji z betonu i asfaltowych dróg ciągnęły się nienagane rzędy drzewek, przetykane gdzieś magazynami i obozowiskami zbieraczy. Jednak przyszłość czekającą tę okolicę można było usłyszeć w łomocie ciężarówek wylewających beton na budowie i zagłuszających coraz rzadsze odgłosy pracujących na polach traktorów.

Aura podmiejskiej elegancji maskowała błyskawiczne tempo przemian zachodzących w Northwood. Nie ścięto rzędów wysokich eukaliptusów zasadzonych przez farmerów w latach czterdziestych, do ochrony przed wiatrami z rejonu Santa Ana, jednak wyznaczono im teraz inne zadanie. Deweloperzy wykorzystywali drzewa jako linie odgraniczające główne drogi dojazdowe i okalające poszczególne segmenty zabudowy. Osiedle, na którym zamieszkali David i Manuela, Shady Hollow, obejmowało rząd stu trzydziestu siedmiu domów dostępnych w czterech wielkościach. Wybrali plan 6014, pod nazwą Wierzba, czyli dom złożony z trzech sypialni, o powierzchni stu czterdziestu metrów kwadratowych. Wprowadzili się tuż po oddaniu domu do użytku pod koniec 1979 roku.

Dom Davida i Manueli wydawał się Drew imponująco dorosły, chociaż byli od niego zaledwie pięć lat starsi. Przede wszystkim był zupełnie nowy, jak spod igły. Szafki w kuchni połyskiwały świeżością, widać było, że nikt ich jeszcze nie używał. Wnętrze lodówki pachniało plastikiem. Poza tym dom był rozległy. Drew i David wychowali się w domu mniej więcej tej samej wielkości, ale musiało się w nim pomieścić siedem osób niecierpliwie czekających rano na swoją kolejkę do prysznic i potracających się łokciami przy stole w porze obiadu. David i Manuela w jednej z trzech sypialni swojego domu przechowywali rowery. W drugiej, zapasowej sypialni David trzymał swoją gitarę.

Drew próbował nie zwracać uwagi na kłującą go zazdrość, ale prawda była taka, że zazdrościł starszemu bratu. David i Manuela pobrali się pięć lat wcześniej; oboje mieli stałe zatrudnienie. Ona pracowała w California First Bank jako specjalistka od pożyczek; on w dziale sprzedaży House of Imports jako dealer samochodów Mercedes-Benz. Spajała ich powaga, z jaką traktowali swoje aspiracje ludzi z klasy średniej. Spędzali mnóstwo czasu na rozważaniach, czy powinni położyć przed domem ceglaną kostkę oraz gdzie najlepiej kupić orientalne dywany w najlepszym gatunku. Dom położony przy ulicy Columbus 35 stanowił wciąż jedynie zarys, który należało wypełnić. W jego pustce kryła się obietnica. Drew, porównując się z bratem, czuł się nijaki i w pewnym sensie upośledzony.

Po pierwszej wizycie Drew rzadko zaglądał do domu brata. Nie chodziło może o jakieś poczucie urazy, ale raczej o to, że Drew nie czuł się tam swobodnie. Manuela, jedyne dziecko niemieckich imigrantów, była osobą obcesową, czasami aż do przesady. W swoim miejscu pracy potrafiła mówić współpracownikom, że powinni częściej odwiedzać fryzjera, albo wytykała im rozmaite uchybienia. Prowadziła prywatny rejestr popełnianych przez nich błędów, który spisywała po niemiecku. Była szczupłą, ładną, miała wystające kości policzkowe oraz implanty piersi; poddała się tej operacji zaraz po ślubie, ponieważ David, jak opowiadała swoim kolegom z pracy z pewnym wzgardliwym, lekkim wzruszeniem ramion, najwyraźniej gustował w dużych biustach. Nie starała się popisywać nowymi kształtami. Przeciwnie – wolała nosić swetry z golfem i zwykle trzymała ręce założone na piersiach, jak gdyby spodziewała się bójki.

Drew widział, że małżeństwo służy bratu, który zwykle bywał wycofany i niepewny i rzadko mówił wprost, co myśli. Jednak Drew aż nazbyt często po spotkaniu z nim i jego żoną czuł się stłamszony, jak gdyby siła nieustannych narzekań Manuely powodowała krótkie spięcia w każdym



pomieszczeniu, do którego weszła.

Na początku lutego 1981 roku Drew rodzinnymi kanałami dowiedział się, że David nie czuje się najlepiej i że znalazł się w szpitalu, ale ostatnio dość rzadko widywał się z bratem i nie zamierzał go odwiedzać. W poniedziałek 2 lutego Manuela zabrała Davida do szpitala Santa Ana-Tustin Community Hospital, gdzie został przyjęty z powodu ostrej infekcji wirusowej układu trawiennego. Przez następnych kilka wieczorów jej rozkład zajęć wyglądał podobnie: jechała do domu rodziców na kolację, a potem odwiedzała Davida w szpitalu w sali 320. Codziennie rozmawiali rano i wieczorem przez telefon. Późnym rankiem w piątek David zadzwonił do niej do banku, ale jej współpracownicy powiedzieli mu, że nie przyszła do pracy. Próbował złapać ją w domu, ale ich telefon dzwonił długo i nikt go nie odbierał, co wydawało się dziwne. Automatyczna sekretarka zawsze odzywała się po trzecim dzwonku. Manuela nie potrafiła zmienić jej ustawień. Zadzwonił więc do Ruth, jej matki, która obiecała, że pojedzie do ich domu i sprawdzi, co się stało z córką. Kiedy nikt nie odpowiedział na dzwonek do drzwi wejściowych, Ruth posłużyła się swoim kluczem, żeby wejść do środka. Kilka minut później Ron Sharpe<sup>[3]</sup>, bliski przyjaciel rodziny, usłyszał histeryczne krzyki Ruth.

– Rzuciłem tylko okiem w lewo i zobaczyłem jej dłonie, otwarte, o tak, i zobaczyłem krew na całej ścianie – opowiadał Sharpe detektywom. – Zupełnie nie rozumiałem, w jaki sposób ta krew znalazła się na ścianie, daleko od miejsca, gdzie ona leżała.

Tylko raz zajrzał do sypialni i nie miał ochoty zrobić tego ponownie.

Manuela leżała na łóżku twarzą do dołu. Miała na sobie brązowy welurowy szlafrok i była częściowo zawinięta w śpiwór, którego czasem używała do spania, kiedy było zimno. Na jej przegubach i kostkach widać było czerwone

otarcia, ślady krępujących ją więzów, które zdjęto. Na betonowym patio, pół metra od tylnych, przesuwanych szklanych drzwi domu, leżał duży śrubokręt. Ktoś siłą otworzył mechanizm blokujący drzwi.

Z wnętrza domu wywleczono dziewiętnastocalowy telewizor i zaciągnięto go w południowo-zachodni róg podwórka, obok wysokiego drewnianego płotu. W tym miejscu ogrodzenie było lekko skrzywione, jak gdyby ktoś na nie upadł albo skoczył zbyt mocno. Policjanci prowadzący dochodzenie zauważyli od frontu i na tylnym podwórku oraz na szczycie licznika gazu po wschodniej stronie domu odciski butów ze wzorem złożonym z niewielkich okręgów.

Jedną z pierwszych osobliwości zaobserwowanych przez śledczych było to, że jedyne źródło światła oświetlające sypialnię znajdowało się w łazience. Spytali o to Davida, który znajdował się wtedy w domu rodziców Manueli, gdzie zebrała się grupa członków rodziny i przyjaciół, aby pocieszać się nawzajem i opłakiwać zmarłą. Śledczy odnieśli wrażenie, że David jest wstrząśnięty i oszołomiony; jego umysł, pod wpływem cierpienia, wyraźnie dryfował. Udzielając odpowiedzi, tracił wątek. Albo nagle zmieniał temat. Pytanie o źródło światła wprowadziło go w dezorientację.

– Gdzie jest lampa? – spytał.

Brakowało lampy z kwadratową podstawką i kloszem w kształcie kuli, z chromowanego metalu; poprzednio stała na górze głośnika od zestawu stereo, po lewej stronie łóżka. Zniknięcie lampy dało policjantom dobrą wskazówkę na temat ciężkiego przedmiotu, którym się posłużono, aby zatłuc Manuellę na śmierć.

Spytano Davida, czy wie, dlaczego brakuje taśmy w automatycznej sekretarce. Był zdumiony. Pokręcił głową. Jedyne wyjaśnienie, jakie przyszło mu do głowy, jak powiedział policjantom, było takie, że człowiek, który zabił Manuellę – kimkolwiek był – zostawił zapis swojego głosu na taśmie.

Scena zbrodni wydawała się bardzo dziwna. Sama zbrodnia też była bardzo dziwna jak na Irvine, gdzie notowano niewiele przestępstw. Wydawała się także bardzo dziwna miejscowym policjantom; niektórzy z nich wręcz uważali, że wygląd miejsca zbrodni został zaaranżowany. Brakowało trochę biżuterii i ktoś zawlókł telewizor w głąb podwórka. Ale jaki włamywacz zostawia swój śrubokręt? Zastanawiali się, czy zabójcą nie jest ktoś, kogo Manuela znała. Jej mąż spędza całą noc w szpitalu. Manuela zaprasza do siebie znajomego. Dochodzi do gwałtownej sprzeczki i facet, już po fakcie, wyciąga taśmę z automatycznej sekretarki, wiedząc, że jest na niej jego głos, a potem manipuluje przy przesuwanych drzwiach i wreszcie, aby dokończyć dzieła inscenizacji, zostawia po sobie śrubokręt.

Ale inni powątpiewali w to, że Manuela znała zabójcę. Śledczy przesłuchali Davida na komendzie policji w Irvine następnego dnia po znalezieniu ciała. Spytano go, czy w przeszłości para miała jakieś problemy z nieznajomymi, którzy kręcili się wokół domu. Zastanowiwszy się chwilę, David przypomniał sobie, że jakieś trzy albo cztery miesiące wcześniej, w październiku albo listopadzie 1980 roku, zobaczył przed domem odciski butów, których obecności nie potrafił wyjaśnić. Miał wrażenie, że intruz nosił tenisówki, a ich ślady prowadziły wzdłuż całego domu, z jednej strony na drugą, a potem do ogrodu. Śledczy położyli na stoliku kartkę papieru i poprosili Davida, żeby narysował, jak wyglądały te odciski, jeśli udało mu się je zapamiętać. David, wyczerpany i pogrążony w swoich myślach, zrobił pospieszny szkic. Nie wiedział, że policja dysponuje gipsowym odlewem odcisków butów zabójcy Manueli, który krążył wokół domu w noc morderstwa. David podał im kartkę papieru. Naszkicował zarys odcisku prawej tenisówki z niewielkimi okręgami na podeszwie.

Policjanci podziękowali Davidowi i zwolnili go do domu. Następnie porównali sporządzony przez niego rysunek z gipsowym odlewem. Jedno

pasowało do drugiego.

Większość przestępców dopuszczających się gwałtownych zbrodni działa pod wpływem impulsu, w sposób chaotyczny, i łatwo ich złapać. Zdecydowaną większość zabójstw popełniają ludzie, których ofiara znała, i zwykle, mimo sprytnych prób zmylenia tropów, zostają zidentyfikowani i aresztowani przez policję. Największe wyzwanie dla organów ścigania stanowi jedynie niewielkie grono przestępców, może pięć procent – to ci, którzy zawczasu przygotowują plan zbrodni, a potem z całą brutalnością bezwzględnie go realizują. Morderstwo Manueli nosiło wszystkie znamiona zbrodni tego ostatniego rodzaju. Otarcia po krępujących ją więzach, które następnie usunięto. Gwałtowność obrażeń, pochodzących od ciosów w głowę. Okres kilku miesięcy, jaki upłynął od czasu pojawienia się śladów butów z niewielkimi okręgami na podeszwie, wskazywał na ukradkowe działania kogoś, kto jest bardzo ostrożny, dba o szczegóły, i dobrze wie, kiedy i z jakim okrucieństwem zaatakuje.

Około południa w sobotę 7 lutego, sprawdziwszy jeszcze raz w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin wszystkie tropy, policjanci po raz ostatni obejrżeli dom, a potem wydali zgodę na przekazanie go Davidowi. W tych czasach nie istniały jeszcze profesjonalne firmy zajmujące się sprzątaniami w miejscu zbrodni. Lepki proszek do zbierania odcisków palców pokrywał wszystkie klamki. Ogromny podwójny materac Davida i Manueli pocięto w kilku miejscach, skąd specjaliści pobrali dowody w postaci próbek materiału. Całe łóżko i ściana ponad nim były splamione krwią. Drew wiedział, że jako słuchacz szkoły policyjnej jest naturalnym kandydatem do posprzątania domu, i sam się podjął tego zadania. Miał także poczucie, że jest to winien swojemu bratu.

Dziesięć lat wcześniej ich ojciec Max Witthuhn zamknął się w jednym z pokoiów ich rodzinnego domu po kłótni ze swoją żoną. Drew chodził

wtedy do ósmej klasy i poszedł tego wieczora na szkolną potańcówkę. David miał osiemnaście lat, był najstarszym dzieckiem w rodzinie, i to on wyłamał drzwi, gdy całym domem wstrząsnął wystrzał ze sztucera. Starał się oszczędzić bliskim makabrycznego widoku i sam zebrał to, co wydawało mu się szczątkami roztrzaskanego mózgu. Ich ojciec popełnił samobójstwo na dwa tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia. To doświadczenie najwyraźniej odebrało Davidowi poczucie pewności siebie. Od tamtej pory wydawało się, że zawisł w jakimś niezdecydowaniu. Na jego ustach czasem pojawiał się uśmiech, ale w jego oczach nigdy.

A potem poznał Manuele i znowu znalazł się na twardym gruncie.

Jej ślubny welon wisiał na wewnętrznej stronie drzwi do ich sypialni. Policjanci, sądząc, że to może być jakiś trop, spytali o niego Davida. Wyjaśnił, że Manuela zawsze go tam trzymała – rzadki u niej objaw sentymentalizmu. Welon wskazywał, że Manuela miała także łagodniejszą stronę swojego charakteru, coś, o czym niewielu wiedziało – a teraz już nigdy się nie dowie.

Narieczona Drew przygotowywała się do zawodu pielęgniarki. Zaproponowała, że pomoże mu w sprzątnięciu miejsca zbrodni. Z czasem pobrali się, mieli dwóch synów, ale ich małżeństwo trwające dwadzieścia osiem lat zakończyło się rozwodem. Jednak nawet w najgorszych momentach ich związku Drew rezygnował z kłótni na wspomnienie tego, jak mu wtedy pomogła; to był z jej strony niekwestionowany akt dobroci, którego nigdy nie zapomniał.

Przywlekli do domu butle wybielacza i wiadra wody. Włożyli żółte gumowe rękawice. Praca nie należała do przyjemnych, ale Drew zachował kamienną twarz i w jego oczach nie pojawiły się łzy. Starał się potraktować całą sytuację jako okazję do nauki. Praca w policji wymaga chłodnego opanowania i spostrzegawczości. Należy być twardym, nawet jeśli szoruje się

mosiężną ramę łóżka, zmywając z niej krew swojej bratowej. W ciągu niecałych trzech godzin oczyścili dom ze śladów przemocy i posprząтали na powrót Davida.

Kiedy skończyli, Drew wrzucił pozostałe resztki środków czyszczących do bagażnika swojego samochodu i usiadł za kierownicą. Przekręcił kluczyk w stacyjce, ale potem zamarł i wstrzymał oddech, jak gdyby miał zaraz kichnąć. Poczuł, jak w jego ciele wzbiera jakieś niezrozumiałe doznanie. Chyba dopadło go zmęczenie.

Nie, nie zbierało mu się na płacz. Nic z tych rzeczy. Nawet nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy płakał ostatni raz. To nie on.

Obrócił się i popatrzył na bungalow przy Columbus 35. Powrócił myślą do chwili, gdy po raz pierwszy podjechał pod ten dom. Przypomniał sobie, co wtedy pomyślał, kiedy siedział w swoim wozie, przygotowując się do wejścia.

„Mojemu bratu naprawdę się udało”.

Z jego piersi wyrwał się stłumiony szloch, nie dało się już tego dłużej powstrzymać. Drew przycisnął czoło do kierownicy i zaczął płakać. Ale to nie był płacz, któremu towarzyszy gęła w gardle, tylko wybuch totalnego żalu. Niczym nieskrępowanego. Oczyszczającego. W jego samochodzie pachniało amoniakiem. Ślady zakrzepłej krwi pod jego paznokciami nie zejdą jeszcze przez wiele dni.

Wreszcie powiedział sobie, że musi to jakoś poskładać. Miał pewien niewielki przedmiot, który będzie musiał przekazać śledczym. Coś, co znalazł pod łóżkiem, coś, co przeoczyli.

Kawałek czaszki Manueli.

W sobotni wieczór Ron Veach i Paul Jessup, policjanci z wydziału śledczego policji w Irvine, w poszukiwaniu dalszych informacji w kręgu osób

najbliższych Manueli zadzwonili do frontowych drzwi domu jej rodziców na Loma Street w dzielnicy Greentree. Drzwi otworzył im jej ojciec Horst Rohrbeck. Dzień wcześniej, gdy policja otoczyła dom Manueli żółtą taśmą i uznała go za miejsce zbrodni, Horst i jego żona Ruth zostali przewiezieni na posterunek i przesłuchani, każde z osobną, przez niższych rangą funkcjonariuszy. Tego wieczora Jessup i kierujący śledztwem Veach mieli spotkać się z Rohrbeckami po raz pierwszy. Dwadzieścia lat pobytu w Stanach Zjednoczonych nie złagodziło niemieckiego sposobu bycia Horsta. Był współwłaścicielem miejscowego warsztatu naprawy samochodów i, jak mówiono, potrafił rozebrać mercedesa, posługując się jednym kluczem.

Manuela była jedynym dzieckiem Rohrbecków. Jadła u nich kolację każdego wieczoru. W jej osobistym kalendarzu w styczniu znajdowały się jedynie dwa wpisy, przypomnienie o dniach urodzin rodziców. „Mama. Papa”.

– Ktoś ją zamordował – oświadczył Horst podczas pierwszego przesłuchania na posterunku. – Zabiję tego gościa.

Stał teraz we frontowych drzwiach swojego domu, trzymając w ręku kieliszek brandy. Veach i Jessup weszli do środka. W domu zastali kilkoro zebranych w salonie pogrążonych w żalu członków rodziny i przyjaciół. Kiedy śledczy się przedstawili, kamienny bezruch zniknął z twarzy Horsta i ojciec Manueli wybuchnął. Nie był postawnym mężczyzną, ale kiedy się wściekał, wydawało się, że jest dwa razy większy. Krzyczał, z wyraźnym akcentem, o tym, że jest głęboko rozczarowany działalnością policji i że powinni bardziej się starać. Po jakichś czterech minutach tej tyrady Veach i Jessup zrozumieli, że ich obecność w jego domu jest w tym momencie zupełnie zbędna. Horst był zrozpaczony i szukał zaczepki. Jego wściekłość przypominała pocisk wybuchający w czasie rzeczywistym. Policjantom nie pozostawało nic innego do zrobienia, jak tylko położyć swoje wizytówki na

stoliku w holu i zniknąć mu z oczu.

Udręka Horsta była także zabarwiona pewnym bardziej konkretnym żalem. Rohrbeckowie mieli potężnego, wyszkolonego niemieckiego owczarka o imieniu Possum. Horst zaproponował Manueli, żeby zatrzymała Possuma w swoim domu dla ochrony, na czas pobytu Davida w szpitalu, ale odmówiła. Nie sposób było teraz nie włączyć w wyobraźni przewijania do tyłu i nie wyobrazić sobie, jak Possum, ze swoimi kłami ostrymi jak nożyczki i kapiącą z pyska śliną, rzuca się na intruza dłubiącego przy zamku i odgania go od domu.

Ceremonia żałobna Manueli odbyła się w środę 11 lutego w Saddleback Chapel w Tustin. Drew zauważył policjantów stojących po drugiej stronie ulicy i robiących fotografie. Po pogrzebie wrócił z Davidem na Columbus 35. Bracia siedzieli tego wieczora do późna, rozmawiając w salonie. David wypił dużo.

– Oni sądzą, że ją zabiłem – oświadczył nagle z myślą o policjantach. Trudno było cokolwiek odczytać z jego twarzy. Drew przygotował się na to, że przyjdzie mu wysłuchać wyznania. Nie wierzył, aby David był fizycznie zdolny do zamordowania Manueli, pytanie brzmiało, czy mógł w tym celu wynająć kogoś innego. Drew poczuł, jak odzywa się w nim jego policyjne wykształcenie. Obraz brata siedzącego po drugiej stronie stolika zawęził się do niewielkiej szczeliny. Pomyślał, że ma jedną, jedyną szansę.

– Zrobiłeś to? – spytał Drew.

W psychice Davida, który zawsze był trochę niepewny siebie, wyczuwało się zrozumiałe roztrzęsienie. Przygniatało go poczucie winy, że żyje; urodził się z dziurą w sercu, więc jeśli ktoś miał umrzeć, to powinien być on. Rodzice Manueli szaleli z bólu, szukając winnego. Coraz bardziej ciążyło mu ich spojrzenie, jakby chcieli go zabić wzrokiem. Ale teraz, w odpowiedzi na pytanie Drew, David zareagował z całym zdecydowaniem.



– Nie – powiedział. – Nie zabiłem swojej żony, Drew.

Drew odetchnął z ulgą, jak mu się zdawało, po raz pierwszy od chwili gdy dowiedział się o śmierci Manueli. Musiał usłyszeć Davida wypowiadającego te słowa. Patrząc w oczy brata, widział w nich lekką urazę, ale błyskały pewnością; Drew wiedział, że David mówi prawdę.

Nie był jedyną osobą przekonaną, że David jest niewinny. Specjalista z zakresu medycyny sądowej Jim White z Biura Szeryfa Hrabstwa Orange pomagał analizować miejsce zbrodni. Dobrzy fachowcy z laboratorium kryminalistycznego są jak ludzki skaner; wchodzą do pełnych chaosu, nieznanym sobie pomieszczeń, i wyodrębniają z nich ważne dowody, mikroskopijne świadectwa zbrodni, pomijając całą resztę. Pracują pod presją. Miejsce zbrodni jest wrażliwe na upływ czasu i w każdej chwili może się zdeintegrować. Każda osoba wchodząca do takiego pomieszczenia oznacza możliwość zanieczyszczenia, zatarcia śladów. Specjaliści od kryminalistyki pojawiają się na miejscu zbrodni obładowani narzędziami służącymi do zbierania i przechowywania takimi jak papierowe i plastikowe torebki na dowody, taśma do mierzenia, waciki, gips. Na miejscu zabójstwa Manueli Witthuhn White pracował we współpracy ze śledczym Veachem, który pokazywał mu, na co ma zwrócić uwagę. Zebrał cienkie jak opłatek ślady błota z podłogi obok łóżka. Używając wacika, zabezpieczył rozwodnioną kroplę krwi w łazience. Stał obok Veacha, kiedy obracano ciało Manueli. Zauważyli od razu rozległe obrażenia głowy, ślady po skrępowaniu i siniak na prawej dłoni. Na jej lewym pośladku znajdował się znak, który koroner później uznał za przypuszczalny ślad uszczypnięcia.

Drugi etap pracy specjalisty rozgrywa się w laboratorium, gdzie analizuje on zebrane dowody. White poddał testom próbkę brązowej farby ze śrubokręta zabójcy i porównawszy ją z innymi popularnymi produktami, doszedł do wniosku, że najbardziej prawdopodobna jest barwa Oxford Brown

ze sklepowego mieszalnika, produkowana przez firmę Behr. W laboratorium zwykle jego praca się kończy. Specjaliści z zakresu medycyny sądowej nie są śledczymi, nie rozmawiają ze świadkami, nie prowadzą przesłuchań ani nie podążają za tropami śledztwa, ale White znajdował się w wyjątkowym położeniu. Poszczególne wydziały policji w hrabstwie Orange prowadziły dochodzenia w obrębie własnej jurysdykcji, ale większość z nich wykorzystywała laboratorium kryminalistyczne Biura Szeryfa. Tym samym śledczy prowadzący sprawę Manueli Witthuhn znali jedynie sprawy z Irvine, ale White pracował na miejscu zbrodni w całym hrabstwie, od Santa Ana do San Clemente.

Dla policjantów z Irvine morderstwo Manueli Witthuhn było czymś wyjątkowym.

Jimowi White'owi wydawało się dobrze znajome.

---

[3] Pseudonim.

## **DANA POINT, 1980**

Roger Harrington przeczytał odręczną notatkę, którą wsunięto pod dzwonek u drzwi. Nosiła datę 20 sierpnia 1980, więc została napisana poprzedniego dnia.

Patty i Keith,  
przyszliśmy o siódmej, ale nikogo nie było w domu.  
Zadzwońcie do nas, jeśli plany się zmieniły.

Kartka była podpisana „Merideth i Jay”, Roger rozpoznał te imiona jako imiona przyjaciół swojej synowej. Nacisnął klamkę drzwi wejściowych i był zaskoczony, że są zamknięte. Keith i Patty rzadko zamykali drzwi, kiedy byli w domu, zwłaszcza gdy spodziewali się, że przyjdzie na umówiony obiad. Kiedy Roger zajechał na podjazd, nacisnął przycisk otwierający drzwi do garażu. W środku zobaczył samochody Keitha i Patty, jego mg i jej volkswagena. Jeśli nie ma ich w domu, to znaczy, że biegną – pomyślał Roger. Sięgnął po klucz ukryty nad roślinami na patio i wszedł do domu, zabierając ze sobą pocztę, która wydawała mu się wyjątkowo obfita, dziesiątki listów.

Dom pod numerem 33381 Cockleshell Drive, podobnie jak mniej więcej dziewięćset pięćdziesiąt podobnych bungalów w kompleksie Niguel Shores, leżał na zamkniętym osiedlu w Dana Point, miasteczku położonym w południowej części hrabstwa Orange. Dom należał do Rogera, choć jego główną siedzibą było mieszkanie w pobliskim Lakewood, położone bliżej

jego biura w Long Beach. Jego syn Keith, dwudziestoczteroletni student trzeciego roku medycyny na Uniwersytecie Kalifornijskim w Irvine, oraz Patty, niedawno poślubiona żona Keitha, dyplomowana pielęgniarka, mieszkali w tym domu jedynie tymczasowo, jednak Roger bardzo się z tego cieszył, ponieważ lubił mieć najbliższych w pobliżu.

Wystrój domu wskazywał na styl z końca lat siedemdziesiątych. Ryba piła na ścianie. Żyrandol Tiffany. Rośliny zwisające jak liany. Roger zrobił sobie drinka w kuchni. Choć daleko było jeszcze do zmierzchu, w domu panowały półmrok i cisza. Jedynym źródłem ruchu, jaki dostrzegało oko, były fale oceanu połyskujące niebieskawo przez wychodzące na południe okna i przesuwane szklane drzwi. W kuchennym zlewie stała torba na zakupy ze sklepu Alpha Beta z dwiema puszkami konserw. Wyjęto tylko bochenek chleba, obok niego leżały trzy czerstwe, jak się zdawało, kromki. Roger poczuł, że powoli ogarnia go niepokój.

Poszedł korytarzem z wykładziną o barwie ochry w stronę sypialni. Drzwi do sypialni gościnniej, w której spali Keith i Patty, były otwarte. Trudno było dostrzec cokolwiek, ponieważ okiennice były zamknięte. Łóżko wydawało się posłane, kołdra zaciągnięta wysoko w stronę zagłówka z ciemnego drewna. Jednak kiedy już miał zamknąć drzwi, jego uwagę przykuło niezwykle wybrzuszenie widoczne pod narzutą. Podeszedł bliżej i nacisnął, czując pod spodem coś twardego. Ściągnął narzutę.

Trudno opisać kontrast między wierzchem gładkiej powierzchni narzuty a tym, co zobaczył pod spodem. Patty i Keith leżeli na brzuchu z ramionami wygiętymi pod dziwnym kątem, dłońmi do góry. Wydawało się, jak gdyby całkiem dosłownie były połamane. Pod nimi widniała ogromna plama krwi; gdyby nie sufit, można by pomyśleć, że spadli z dużej wysokości.

Keith był najmłodszym z czterech synów Rogera. Uczył się świetnie. Należał do reprezentacji swojej szkoły średniej w baseballu. Przed Patty miał

jeden dłuższy związek z dziewczyną, podobnie jak on studentką przygotowującą się do studiów medycznych, i wszyscy sądzili, że się pobiorą; jednak z powodów, których Roger nie potrafił wyjaśnić, wybrała studia medyczne w innym miejscu i zerwała z Keithem. Wkrótce potem Keith poznał Patty w Centrum Medycznym UCI i po roku znajomości wzięli ślub. Gdzieś w tyle głowy Roger czuł niepokój, że Keith pragnie jedynie powetować sobie wcześniejszą stratę i działa za szybko, ale Patty była osobą ciepłą i równie prostolinijną jak Keith – zerwała ze swoim poprzednim chłopakiem, z którym mieszkała, ponieważ palił marihuanę – i wydawało się, że są w sobie bardzo zakochani. Roger ostatnio spędzał bardzo dużo czasu z „dzieciakami”, jak o nich mówił. Pomagał im zainstalować nowy system nawadniający w ogrodzie. Cała trójka spędziła poprzednią sobotę, przycinając zarośla. Później tego wieczora urządzili w domu barbecue z okazji urodzin ojca Patty.

Na filmach osoba, która znajduje martwe ciało, zwykle potrząsa nim z niedowierzaniem. Roger nie zrobił nic takiego. Nie musiał tego robić. Nawet w słabym świetle mógł dostrzec, że jego syn, o jasnej cerze, jest fioletowy.

Nie widać było żadnych oznak walki ani śladów włamania, choć jedne z przesuwanych drzwi przypuszczalnie zostały pozostawione niezamknięte. Według kwitu kasowego z Alpha Beta Patty kupiła artykuły spożywcze we wtorek o dziewiątej czterdzieści osiem wieczorem. Później, około jedenastej, zadzwoniła do niej jej siostra Sue. Keith odezwał się do telefonu sennym głosem i przekazał słuchawkę Patty. Powiedziała Sue, że już leżą w łóżku; spodziewała się, że wczesnym rankiem zostanie wezwana do pracy. W ranie na głowie Patty znaleziono kawałek metalu, przypuszczalnie z mosiądzu. Wskazywał na to, że już po tym jak Patty odłożyła słuchawkę po rozmowie z siostrą, i zanim nie pojawiła się w pracy w środowy poranek, ktoś wziął

z trawnika jedną ze świeżo zainstalowanych mosiężnych głowic spryskujących i zakradł się do domu. Na zamkniętym osiedlu, do którego wjazdu pilnuje strażnik w budce. Nikt niczego nie słyszał.

Przeglądając dowody zebrane w sprawie Manueli Witthuhn sześć miesięcy później, specjalista medycyny sądowej Jim White z Biura Szeryfa Hrabstwa Orange czuł instyktownie, że jest powiązana z morderstwem Harringtonów. W obu sprawach dostrzegał podobieństwa, duże i małe. W obu przypadkach chodziło o ofiary z klasy średniej, zatłuczone na śmierć w łóżku przedmiotem, który morderca znalazł na miejscu. W obu przypadkach zabójca zabrał narzędzie zbrodni ze sobą. W obu kobieta, ofiara zabójstwa, została przedtem zgwałcona. Na ciałach Keitha i Patty Harringtonów znaleziono ślady wskazujące na to, że zostali skrepowani; w łóżku i wokół niego odkryto kawałki plecionego sznurka. W sprawie Manueli Witthuhn, sześć miesięcy później, na ciele ofiary także widniały ślady krepowania, ale materiał, którym się posłużono, został usunięty z miejsca zbrodni. Różnica wskazywała, że zabójca się uczy na swoich błędach.

Obie sprawy łączyło także intrygujące powiązanie medyczne. Keith Harrington studiował medycynę na Uniwersytecie Kalifornijskim w Irvine. Patty była pielęgniarką i czasami pracowała na zmiany w Mercy Hospital w Santa Ana. David Witthuhn, mąż Manueli, był pacjentem w Santa Ana-Tustin Community Hospital, kiedy zamordowano jego żonę.

W kuchni mieszkania Harringtonów znaleziono na podłodze drewnianą, częściowo spaloną zapalkę. Nikt w domu Harringtonów nie palił. Śledczy uznali, że należała do zabójcy.

Cztery drewniane zapalki zebrano z trawnika obok domu Witthuhnów.

Sprawa Manueli Witthuhn leżała w gestii Departamentu Policji w Irvine; morderstwo Harringtonów w gestii szeryfa hrabstwa Orange. Śledczy z obu

zespołów prowadzących dochodzenie zastanawiali się nad możliwością istnienia związku między obiema sprawami. Uważano, że napaść na dwie osoby, jakiej dokonał zabójca Harringtonów, jest czymś niezwykle. Wiązało się z nią wysokie ryzyko, co wskazywało na to, że przyjemność, jaką zabójca czerpał ze swoich morderstw, po części wiązała się z podnoszeniem poprzeczki. Czy to możliwe, że ten sam zabójca sześć miesięcy później zaatakował pojedynczą ofiarę, jak było w przypadku Manueli Witthuhn? Kontrargument wskazywał, że David znalazł się w szpitalu niespodziewanie, z powodu choroby. Czy zabójca był zaskoczony, że Manuela jest w domu sama tego wieczora?

Kradzież (biżuteria Manueli) i brak oznak kradzieży w drugim przypadku. Włamanie i brak włamania. Śledczy nie mieli odcisków palców, które mogliby sprawdzić; badania DNA to była pieśń przyszłości. Zabójca w żadnym z domów nie zostawił asa pik jako wizytówki. Jednak nie dawały spokoju drobne szczegóły. Śmiertelny cios zadany Keithowi Harringtonowi doprowadził do przedziurawienia drewnianego zagłówka nad jego głową. Na podstawie położenia kawałka drewna znalezionej między nogami Patty śledczy doszli do wniosku, że Keith zginął pierwszy i dopiero potem napastnik zgwałcił Patty. Morderca w taki sposób zaplanował chronologię wydarzeń, aby skazać kobietę na jak największe cierpienie. Zabójca tak długo dręczył Manuele, że przeżywany przez nią stres wywołał u niej mdłości; w łóżku znaleziono ślady jej wymiocin.

„Przesadne użycie siły” to popularny i czasami nadużywany termin – zarówno w powieściach detektywistycznych, jak i w śledztwach dotyczących prawdziwych zbrodni. Nawet doświadczeni detektywi z wydziału zabójstw czasami błędnie interpretują zachowania sprawcy, gdy widać w nich bardzo dużo przemocy. Najczęściej przyjmuje się, że w przypadku morderstwa z przesadnym użyciem siły chodzi o jakiś związek między sprawcą a ofiarą,

o nagłe wyładowanie stłumionego gniewu zrodzonego podczas znajomości. Standardowa formuła brzmi: „To było osobiste”[4].

Ale takie założenie nie uwzględnia zewnętrznych przyczyn zachowań sprawcy. Poziom użytej siły może zależeć od tego, jak wielki opór stawia ofiara. Straszliwe obrażenia, wyglądające jak świadectwa osobistego związku zabójcy z ofiarą, w którym doszło do wybuchu niepohamowanej agresji, mogą stanowić następstwo długotrwałej walki dwu zupełnie obcych osób.

Większość sprawców gwałtownych przestępstw idzie przez życie niczym ludzki młot parowy. Zamiast dłoni mają pięści i nie potrafią sięgać myślą ponad to, co mają przed oczami. Łatwo ich złapać. Mówią za dużo. Wracają na miejsce zbrodni, przyciągając uwagę niczym blaszane puszki przywiązane do zderzaka. Ale co jakiś czas na niebie pojawia się niebieski księżyc, gdzieś z boku przemyka śnieżny lampart.

Co jakiś czas śledczy natykają się na dziwne morderstwo noszące znamiona nadmiernego użycia siły wobec ofiar, które nie stawiały oporu.

Biorąc pod uwagę to, że Manuela i Patty były skrupowane, a tym samym z definicji uległe, siła, jakiej użył zabójca, aby je zamordować ciosami w głowę, wskazywała na niezwykle wysoki poziom agresji w stosunku do obu kobiet. Połączenie wściekłego gniewu i wyrachowanego planowania wydawało się czymś niezwykłym. Związek pomiędzy obiema sprawami, przynajmniej z zakresu kryminalistyki, nie istniał, jednak policjanci mieli poczucie, że w obu wypadkach chodzi o działanie tego samego umysłu, o człowieka, który nie zostawia wielu śladów, nie mówi wiele i nie pokazuje swojej twarzy; o kogoś, kto przechadzał się niezauważony po gęsto zaludnionym osiedlu klasy średniej, zwykłego człowieka z mrozącym krew w żyłach szaleństwem w oku.

Policjanci nigdy nie odrzucili wprost możliwości istnienia związku między sprawami Harringtonów i Manueli Witthuhn, jedynie odłożyli ją na



bok podobnie jak same sprawy, których nie udało się rozwiązać. W sierpniu 1981 roku w prasie pojawiło się kilka artykułów, w których zastanawiano się, czy sprawa Harringtonów ma powiązania z innymi niedawnymi podwójnymi zabójstwami w Kalifornii Południowej. „Czy jakiś psychopatyczny Nocny Łowca morduje pary mieszkańców Kalifornii Południowej w ich własnych łóżkach?” – brzmiało pierwsze zdanie artykułu z „Los Angeles Times”.

Śledczy z Biura Szeryfa Hrabstwa Santa Barbara pierwsi wysunęli przypuszczenie o istnieniu takiego związku. Pracowali nad dwoma podwójnymi zabójstwami oraz nad sprawą wcześniejszego ataku z użyciem noża, choć w tym ostatnim przypadku napadniętej parze udało się uciec. Jednak detektywi z hrabstw Ventura i Orange, w odniesieniu do których proponowano istnienie takich związków, odrzucali taką ewentualność. Policjanci z hrabstwa Ventura, nadal przezuwający upokorzenie po niezwykle szeroko relacjonowanym wstępnym przesłuchaniu w sądzie, po którym musiano wycofać oskarżenie przeciwko osobnikowi podejrzanemu o popełnienie podwójnego zabójstwa, twierdzili ponoć, że ludzie z Santa Barbara się pospieszyli i wyciągają pochopne wnioski. Śledczy z hrabstwa Orange także byli sceptyczni. „Nie czujemy tego” – oświadczył detektyw Darryl Coder.

I na tym sprawa się skończyła. Minęło pięć lat. Potem dziesięć. Nikt nie zadzwonił, podrzucając właściwy trop. W aktach, do których od czasu do czasu ktoś zaglądał, także nie udało się znaleźć niezbędnej informacji. Roger Harrington obsesyjnie zastanawiał się nad szczegółami zbrodni, usiłując zrozumieć morderstwo Keitha i Patty. Wynajął prywatnego detektywa. Wyznaczył dużą nagrodę. Ponownie przesłuchano przyjaciół i współpracowników. Jednak nic nie wypłynęło. Zrozpaczony Roger, twardy biznesmen, który własnym wysiłkiem doszedł do wszystkiego, załamał się i zwrócił o pomoc do wróżki, ale i ona nie potrafiła rozwiać mgły. Roger

zastanawiał się nad każdą chwilą, jaką spędził z Keithem i Patty tuż przed ich śmiercią. Morderstwo jego syna i synowej pozostało wirem oderwanych od siebie szczegółów, które nigdy nie ułożyły się w spójną całość i nigdy nie przestały kręcić się w jego głowie.

---

[4] Od czasu napisania tego fragmentu Michelle zmodyfikowała swoje rozumienie nadmiernego użycia siły w omawianych przypadkach zabójstw. Doszła do wniosku, że popełniając morderstwa, Zabójca z Golden State użył tylko tyle przemocy, ile było niezbędne do zamordowania ofiary. Tę informację zaczerpnięto z rozmów ze śledczymi biorącymi udział w tych dochodzeniach, w tym z Paulem Holesem (powiedział, że siła zadanych ciosów nie zrobiła na nim wrażenia w porównaniu z innymi przypadkami, które analizował). Dramatyczne/chaotyczne przedstawienie obrażeń głowy powstających w wyniku uderzeń ciężkim narzędziem może początkowo sprawiać wrażenie nadmiernego użycia siły, co przypuszczalnie zdarzyło się w niektórych przypadkach zabójstw popełnionych przez Zabójcę z Golden State.

## HOLLYWOOD, 2009

Cztery rzędy paparazzich, ostro pracując łokciami, przepychały się wzdłuż czerwonego chodnika. Mój mąż Patton robił głupie miny do aparatów, parując w swoim eleganckim, niebieskim garniturze w prążki. Błyskały flesze. Kilkanaście rąk ściskających mikrofony przebiło się zza metalowej barierki. Pojawił się Adam Sandler i skupił na sobie uwagę tłumu. Hałas się nasilił. Potem Judd Apatow. Jonah Hill. Chris Rock. To był poniedziałek 20 lipca 2009 roku, tuż po szóstej po południu. Byliśmy w kinie ArcLight Hollywood na premierze filmu *Funny People*. Przypuszczalnie można gdzieś znaleźć niewykorzystane zdjęcie jakiejś sławy ekranu, na którym widać w tle kobietę w luźnej czarnej sukience i wygodnych pantoflach. Jestem na nim oszołomiona i uśmiechnięta wpatruję się w swojego iPhone'a, ponieważ właśnie w chwili gdy otarła się o mnie jedna z największych gwiazd światowego kina, dowiedziałam się, że znaleziono wreszcie pewnego przestępcę, na którego obsesyjnie polowałam z powodu podwójnego morderstwa i który przez minione trzydzieści siedem lat skutecznie ukrywał się na zachodzie i północnym zachodzie USA.

Schowałam się za betonową kolumną i zadzwoniłam do jedynej osoby, o której wiedziałam, że ta wiadomość będzie dla niej równie ekscytująca jak dla mnie. Do Pete'a Kinga, wieloletniego reportera „Los Angeles Times”, który wtedy pracował dla Uniwersytetu Kalifornijskiego jako rzecznik. Odebrał natychmiast.

– Pete, już wiesz? – spytałam. Ledwo mogłam nadążyć za swoimi

myślami.

– Wiem co?

– Właśnie dostałam mejla z linkiem do wiadomości agencyjnej. Była strzelanina gdzieś na odludziu w Nowym Meksyku. Dwie osoby nie żyją. Zastępca szeryfa i facet, którego ścigali. Jakiś tajemniczy człowiek z gór, który okradał domy.

– Nie – powiedział Pete.

– Tak – zapewniłam go. – Zdjęli odciski palców tego człowieka z gór. – Przyznaję, że zrobiłam w tym miejscu pauzę dla osiągnięcia maksymalnego efektu dramatycznego. – Joseph Henry Burgess. Pete, mieliśmy rację. On tam był przez cały czas.

Nasze zdumione milczenie trwało jedynie chwilę. Wiedziałam, że Pete chce natychmiast pobiec do komputera. Organizatorzy premiery filmu zaganiali ludzi do środka. Widziałam, że Patton rozgląda się i nie może mnie znaleźć.

– Dowiedz się czegoś więcej – poprosiłam Pete’a. – Ja nie mogę. Mam teraz pewną sprawę.

Ta sprawa to nie była moja sprawa. Domyślałam się, że przyznawanie się do niewygodny odczuwanej na premierach filmowych to nie jest problem, który może wzbudzić czyjeś współczucie, i co najwyżej wywołuje wypowiedane z pewną rezygnacją słowa „musi być przyjemnie”. Ale ja naprawdę czuję się niekomfortowo. Możecie mi wierzyć. Nie kieruje mną fałszywa skromność, kiedy mówię, że jeszcze nie byłam na ważnej hollywoodzkiej imprezie, na której ktoś nie poprawiłby mi guzika albo nie powiedział, że mam szminkę na zębach. Kiedyś koordynatorka takich wydarzeń delikatnie odsuwała mi palce od ust, kiedy obgryzałam paznokcie. Pozę, jaką przyjmuję na czerwonym dywanie, można opisać jako: „z pochyloną głową, lekko przygarbiona”. Jednak mój mąż jest aktorem.

Kocham go i podziwiam jego pracę, podobnie jak pracę naszych przyjaciół, i od czasu do czasu uczestniczę w tych wydarzeniach, bo to jest po prostu część mojego życia. Trzeba się ładnie ubrać i czasami zrobić sobie profesjonalny makijaż. Kierowca wynajętej limuzyny podwozi cię na miejsce, co sprawia, że czujesz się dziwnie, masz poczucie winy i chcesz wszystkich przeproszać. Jakaś podekscytowana osoba zajmująca się public relations, której nawet nie znasz, prowadzi cię na czerwony dywan, gdzie setki nieznajomych mają flesze zamiast twarzy i krzyczą do ciebie: „popatrz tu” i „tutaj!”. A potem, po tych krótkich chwilach starannie fabrykowanego glamouru, lądujesz w zwykłym, trzeszczącym starym fotelu kinowym, popijasz colę bez kalorii z lepkiego plastikowego kubka i masz na palcach sól od ciepłego popcornu. Światła przygasają. Zaczyna się obowiązkowy entuzjazm.

Na przyjęciu po premierze Patton został przedstawiony reżyserom filmu *Crank* – filmu akcji, który uwielbia, z Jasonem Stathamem w roli głównej. Zaczyna ich zasypywać swoimi ulubionymi kawałkami z tego filmu. „Jak widzę Stathama, robię się gej-tham” – przyznał potem. Po rozstaniu z reżyserami zatrzymaliśmy się na chwilę i obrzuciliśmy spojrzeniem tłum tłoczący się w sali balowej Hollywood & Highland Center. Czekały na nas drinki, minicheeseburgery dla smakoszy, może nawet był tam Garry Shandling, idol Pattona. Patton jakby czytał w moich myślach.

– Nie ma sprawy – powiedział.

Jedna z przyjaciółek zatrzymała nas w drodze do wyjścia.

– Wracacie do małego dziecka? – spytała z ciepłym uśmiechem.

Nasza córeczka Alice miała wtedy trzy miesiące.

– Wiesz, jak to jest – odparłam.

Prawda oczywiście była znacznie bardziej szalona. Byłam gotowa zrezygnować z eleganckiego, hollywoodzkiego przyjęcia, żeby wrócić nie do

śpiącej córeczki, ale do laptopa i przez całą noc grzebać w sieci w poszukiwaniu informacji o człowieku, którego nigdy nie spotkałam i który mordował nieznanym mi ludzi.

Gwałtowni mężczyźni, nieznani mi osobiście, zajmowali moje myśli przez całe dorosłe życie – na długo przed rokiem 2007, gdy dowiedziałam się o istnieniu przestępcy, któremu ostatecznie nadałam pseudonim Zabójca z Golden State (Golden State Killer). Pewna część mózgu zarezerwowana u innych ludzi na statystyki sportowe, przepisy deserów albo cytaty z Szekspira u mnie stanowi galerię dręczących obrazów z miejsc zbrodni: górski rower jakiegoś chłopca z obracającymi się jeszcze kołami porzucony w rowie przy wiejskiej drodze; pasmo mikroskopijnych zielonych włókien zebranych w dole pleców martwej dziewczyny.

Nie ma sensu mówić, że chciałabym przestać się nad tym wszystkim zastanawiać. Oczywiście, że wolałabym sprzątnąć lodówkę. Zazdroszczę na przykład ludziom, którzy mają obsesję na punkcie wojny secesyjnej, pełnej detali, ale o zakreślonych granicach. W moim przypadku potwory się chowają, ale nigdy nie znikną. Są od dawna martwe i odradzają się, kiedy piszę.

Pierwszy z nich, człowiek bez twarzy, którego nigdy nie schwytano, przykuł moją uwagę, gdy miałam czternaście lat, i od tamtej pory spędziłam wiele czasu w poszukiwaniu odpowiedzi, rezygnując z innych rzeczy.

## OAK PARK

Słyszę Terry’ego Keatinga, zanim go widzę. Pracuje jako perkusista i nauczyciel gry na perkusji i jego huczący głos jest prawdopodobnie następstwem albo utraty słuchu, albo nawyku wrzeszczenia do swoich uczniów, żeby go usłyszeli.

– Jestem Terry! – woła.

Odrywam wzrok od telefonu, ponieważ stoję na ulicy, czekając właśnie na niego, i widzę białego faceta średniego wzrostu, z kępą brązowych włosów, który trzyma w dłoni kubek ze Starbucksa. Nosi lewisy i zielony T-shirt z napisem „Shamrock Football”. Ale Terry nie woła do mnie, choć przechodzi przez ulicę w stronę South Wesley Avenue 143, narożnego domu z cegły w Oak Park, w stanie Illinois, gdzie umówiliśmy się na spotkanie. Woła jakiegoś mężczyznę po pięćdziesiątce, który grzebie w samochodzie stojącym na podjeździe. Tamten jest wysoki, chudy, nieco przygarbiony, a jego niegdyś ciemne włosy poszarzały. Jego twarz można nazwać kamienną, jak się czasem, niezbyt życzliwie, opisuje takich ludzi. Nie ma w nim nic ciepłego.

Jednak jego rysy wydają się znajome. Jest bardzo podobny do członków rodziny mieszkającej niegdyś w tym domu w czasach mojego dzieciństwa; niektóre z tych dzieciaków były mniej więcej w moim wieku, więc znałam je z okolicy. To pewnie ich starszy brat – uświadamiam sobie – który albo kupił ten dom, albo odziedziczył go po rodzicach.

Mężczyzna patrzy na Terry’ego, jakby go widział pierwszy raz w życiu.

Dostrzegam, że Terry mimo to niezmiernie idzie dalej, a we mnie budzi się niepokój. Czuję macierzyński odruch, żeby wyciągnąć do niego rękę, pokazać mu inny kierunek i go uciszyć. Ale widzę, że Terry chce jednak ożywić pamięć tamtego mężczyzny. W końcu są starymi sąsiadami.

– Jestem jednym z chłopaków, którzy znaleźli ciało! – woła Terry. Mężczyzna patrzy na Terry'ego, stojąc obok swojego samochodu. Milczy. Pustka malująca się na jego twarzy jest wyczuwalnie podszyta wrogością. Odwracam wzrok, spoglądając w stronę malutkiej figurki Matki Boskiej, ustawionej w północno-wschodnim rogu trawnika przed frontem tego domu.

Jest sobotnie popołudnie, 29 czerwca 2013 roku – nietypowo chłodny i wietrzny dzień jak na lato w Chicago. Na niebie, kilka przecznic dalej na zachód, widzę wieżyczkę katolickiego kościoła pod wezwaniem Świętego Edmunda; to dawny kościół mojej rodziny, miejsce, gdzie chodziłam do szkoły podstawowej przez pierwsze trzy lata nauki.

Drugi mężczyzna wraca do grzebania przy swoim aucie. Terry skręca w prawo. Z odległości trzydziestu metrów zauważa, że stoję na chodniku. Gdy łapiemy kontakt wzrokowy, uśmiecham się i energicznie macham w jego stronę, jakbym chciała mu wynagrodzić to, co się wydarzyło przed chwilą. Terry chodził ze mną do tej samej szkoły w St. Edmund's, rok wyżej ode mnie. Ostatni raz widziałam go jakieś trzydzieści pięć lat temu. Wiem o nim niewiele poza tym, że ta sama sierpniowa noc z 1984 roku, jak niedawno się dowiedziałam, kompletnie zmieniła nasze życie.

– Michelle! – woła, idąc w moją stronę. – Jak tam Hollywood?

Ściskamy się niezręcznie. Jego sposób bycia natychmiast przywraca mi wspomnienia z dzieciństwa w Oak Park. Głuche samogłoski w jego chicagowskim akcencie. To, jak obwieszcza potem, że musi „zabrać swój tyłek”. Ma kosmyk opadający na czoło, niezwykle różową skórę na policzkach i nie czuć w nim cienia sztuczności. Mówi to, co myśli, bez



filtrującego pośrednictwa jakiegoś kalkulującego mechanizmu. Od razu przechodzi do rzeczy.

– A więc tak, to, co się zdarzyło, to było... – mówi, prowadząc mnie z powrotem w stronę narożnego domu. Nie jestem pewna. Może to lęk przed kolejną niemiłą reakcją właściciela domu, a może poczucie, że mały spacer mógłby nam pomóc przenieść się w tamtą parną, letnią noc, gdy wciąż jeszcze jeździliśmy na rowerach, ale posmakowaliśmy już pierwszych łyków piwa.

Patrzę w głąb ulicy w stronę południa.

– A może byśmy odtworzyli całą trasę, jaką przeszliście z chłopakami tamtej nocy?

Oak Park graniczy z chicagowskim West Side. Ernest Hemingway, który się tam wychował, opisał je niegdyś jako miasto „szerokich trawników i wąskich umysłów”. Ale moje doświadczenia były inne. Mieszkaliśmy w dwupiętrowym, pełnym przeciągów wiktoriańskim budynku numer 300 na South Scoville, ślepej uliczce w centrum miasta. Na północ od nas znajdowały się dom i pracownia Franka Lloyda Wrighta oraz zamożna dzielnica dużych domów wolno stojących, zamieszкана przez profesjonalistów z klasy średniej, pragnących podążać za modą. Moja przyjaciółka Cameron mieszkała w jednym z domów zaprojektowanych przez Wrighta. Jej ojczym był prawnikiem zajmującym się obroną praw obywatelskich, a matka wyrabiała, jak sądzę, ceramikę. Dzięki nim poznałam kuchnię wegetariańską i słowo „kabuki”. Pamiętam, jak jej ojczym doradzał nam, żebyśmy razem z Cameron – obie ciążyłyśmy w tym okresie w stronę ciemnych sukienek i poezji religijnej – trochę się zabawiły i poszły na film z koncertu zespołu Talking Heads, zatytułowany *Stop Making Sense*.

Na południe od nas mieszkały głównie robotnicze rodziny irlandzkich katolików. W ich domach zawsze było o kilka stopni za zimno, a łóżka nie

miały zagłówek. Od czasu do czasu jakiś ojciec rodziny zniknął z dwudziestolatką i nikt nigdy go więcej nie widział, ale rozwodów nie było. Przyjaciółka z college'u, która spędziła u nas w domu wiosenną przerwę na drugim roku naszych studiów, była święcie przekonana, że mój ojciec odgrywa komedię, gdy zaczął odświeżać moją wiedzę na temat lokalnych plotek. Nazwiska padające w tych opowieściach, mówiła później, były tak wyłącznie i nieubłagane irlandzkie. Connelly. Flannery. O'Leary. I tak dalej, i tak dalej. Podśłuchałam raz, jak jakaś zmęczona, irlandzka, katolicka matka z Oak Park odpowiada na czyjeś pytanie dotyczące mojej rodziny.

– Ile dzieciaków jest u McNamarów? – spytano ją.

– Tylko sześcioro – odpowiedziała. Sama miała jedenaścioro.

Moja rodzina miała korzenie po obu stronach Oak Park.

Rodzice pochodzili z tych stron i należeli do plemienia zwykle określanego terminem „Irlandczycy z West Side”. Poznali się w szkole średniej. Ojciec był człowiekiem pogodnym i miał szerokie przerwy między zębami. Lubił się śmiać. Matka była kompletną abstynentką, najstarszą córką ostro popijających rodziców. Uwielbiała Judy Garland i przez całe życie fascynowało ją Hollywood. „Ludzie mówili mi, że przypominam Gene Tierney” – powiedziała raz do mnie nieśmiało. Nie miałam pojęcia, kto to jest. Kiedy wiele lat później zobaczyłam film *Laura*, byłam zafascynowana tajemniczą główną postacią, która podobnie jak moja matka miała połyskujące złoto, gęste, brązowe loki i delikatnie zarysowane kości policzkowe.

Saga rodzinna głosi, że moi rodzice poznali się, kiedy mój ojciec zapukał do drzwi domu matki, szukając ponoć swojego przyjaciela. Wierzę w to. Niebezpośrednie podejście do spraw uczuć pasowało obojgu. Oboje mieli ogromne oczy, ojciec niebieskie, matka zielone, które z wielkim uczuciem wyrażały to, czego sami często nie potrafili wyrazić inaczej.

Ojciec przez krótką chwilę rozważał wstąpienie do seminarium duchownego, gdy studiował w Notre Dame. Mówiono o nim wówczas „Brat Leo”. Matka zastanawiała się nad innymi kandydatami do swojej ręki i przymierzała się do innego brzmienia swojego nazwiska. A Brat Leo doszedł do wniosku, że seminarzyści są zbyt powściągliwi w picciu. Wielebny Malachy Dooley, przyjaciel rodziny, udzielił im ślubu dzień po Bożym Narodzeniu 1955 roku. Moja najstarsza siostra Margo urodziła się we wrześniu następnego roku. Kiedy drażniłam się z matką i pytałam, unosząc brwi, o tę arytmetykę, jej policzki oblewały się rumieńcem. W szkole średniej nazywano ją świętoszką.

Po ukończeniu Northwestern Law School mój ojciec zaczął pracować dla firmy Jenner and Block w centrum. Został u nich przez trzydzieści osiem lat. Najczęściej zaczynał dzień, siadając na krześle na naszym osłoniętym, frontowym ganku, w jednej ręce trzymając egzemplarz „Chicago Tribune”, w drugiej filiżankę herbaty, kończył bardzo wytrawnym, podwójnym martini Beefeater z lodem. Kiedy w 1990 roku postanowił, że odtąd będzie trzeźwy, obwieścił tę wiadomość w typowy dla siebie, ekscentryczny sposób. Wysłał do każdego ze swoich dzieci oficjalny, napisany na maszynie list zaadresowany: „Do mojego ulubionego dziecka”. Jego pierwsze słowa brzmiały: „Postanowiłem dołączyć do Pokolenia Pepsi”. Później twierdził, że jedynie dwoje z nas uwierzyło w ten nagłówek. Byłam jednym z nich.

Moje rodzeństwo przyszło na świat szybko, jedno po drugim, cztery dziewczynki i chłopiec. Ja byłam najmłodsza, urodziłam się po sześcioletniej przerwie. Różnica lat między mną a Mary Ritą, najpóźniej urodzoną z moich sióstr, była zawsze za duża, żebyśmy się mogły bawić naprawdę. Z perspektywy czasu mam wrażenie, jak gdybym przyszła na świat podczas przyjęcia, które właśnie się kończy. Kiedy się urodziłam, moi rodzice mieli już dwa identyczne fotele La-Z-Boy. Nasze frontowe drzwi były po części

przeszkłone i osoba stojąca za nimi mogła dostrzec tył znajdującego się w salonie beżowego fotela mojej matki. Kiedy ktoś z naszych przyjaciół, moich albo rodzeństwa, zadzwonił do drzwi, matka tylko podnosiła rękę do góry i robiła ruch obrotowy dłonią.

– Idź naokoło – wołała, kierując ich w stronę niezamkniętych drzwi od tyłu.

Rodziny mieszkające na naszej ulicy były ze sobą blisko związane, ale wszystkie dzieciaki były mniej więcej w tym samym wieku co moje starsze rodzeństwo. Wybiegały całą bandą i wracały do domu o zmierzchu. Dobrze pamiętam, jak to było być nastolatkiem w latach siedemdziesiątych, ponieważ spędzałam z nimi mnóstwo czasu. Moja siostra Kathleen, dziesięć lat starsza ode mnie, była i jest największą ekstrawertyczką w naszej rodzinie. Ciągała mnie ze sobą niczym ulubioną zabawkę. Pamiętam, jak siedziałam niepewnie z tyłu na siodelku jej roweru, gdy zawzięcie pedałowiała do sklepu spożywczego Jewel na Madison Street. Wydawało się, że wszyscy ją znają. „Hey, Beanie!” – wołali, używając jej przezwiska.

W drugiej klasie szkoły średniej Beanie zakochała się szaleńczo w Antonie, spokojnym jasnowłosym chłopcu, który uprawiał lekkoatletykę. Pewnego razu zabrała mnie ze sobą na jakieś zawody i ukryłyśmy się wysoko na trybunie, aby go podglądać. Pamiętam udrękę malującą się na twarzy zakochanej siostry, gdy patrzyłyśmy, jak Anton eksploduje z bloków startowych. Wtedy jeszcze sobie tego nie uświadamiałam, ale powoli zaczynałam ją tracić na rzecz skomplikowanych realiów życia nastolatki w szkole średniej. Wkrótce siedziałam sama na szczycie tylnych schodów naszego domu łączących kuchnię z pierwszym piętrzem, patrząc, jak nastoletni chłopcy z baczkami pospiesznie łykają piwo w naszej wnącej jadalnej, przy wtórze nazbyt głośnych dźwięków piosenki *The Joker* Steve Miller Band.

Wszyscy w mojej rodzinie z ironicznym podziwem wspominają pewien dzień w 1974 roku, gdy na naszą ulicę zawitały siostry Van – Lisa, w moim wieku, i Kris, rok starsza.

– Dzięki Bogu – żartują. – Co byśmy bez nich z tobą zrobili?

Wielu swoich najbliższych przyjaciół moi rodzice poznali jeszcze w gimnazjum i w szkole średniej. Czerpali – i słusznie – wyraźną dumę z tego, że zachowali tak bliskie więzi w świecie, w którym wszystko stawało się coraz bardziej przejściowe i płynne, ale ta stałość, jak sądzę, miała jeszcze jeden skutek: osłaniała ich przed światem zewnętrznym. Wystarczyło wyjąć ich z tej bezpiecznej strefy i stawali się odrobinę niespokojni. Myślę, że dochodziła w nich do głosu ukryta nieśmiałość. Ciągnęło ich oboje w stronę silniejszych osobowości. Wykorzystywali swoje poczucie humoru, czasami dość zjadliwe, aby maskować napięcie. Zwłaszcza matka sprawiała zawsze wrażenie, jakby tłumiała swoje emocje i oczekiwania. Miała niewielkie dłonie, obsypane piegami, i nawykowo pociągała za palce, kiedy robiło się nieprzyjemnie.

Nie chciałabym stwarzać błędnego wrażenia. Moi rodzice byli osobami inteligentnymi, ciekawymi świata, i wiele podróżowali, kiedy mogli sobie na to pozwolić. Ojciec występował w 1971 roku przed Sądem Najwyższym USA jako obrońca w pewnej sprawie, którą wprawdzie przegrał, ale do dziś omawia się ją na zajęciach z prawa konstytucyjnego. Oboje czytali „New Yorkera”. Zawsze interesowali się kulturą popularną i tym, co uchodziło za dobre albo modne. Matka dała się zabrać do kina na *Boogie Nights*. (Powiedziała potem: „Zamierzam pójść dwadzieścia razy z rzędu na *The Sound of Music*, żeby o tym zapomnieć”). Popierali Kennedych i Partię Demokratyczną. „Politycznie postępową”, lubiła mawiać o sobie moja matka, ale „społecznie konserwatywną”. Ojciec pojechał pewnego razu do miasta z moimi starszymi siostrami, kiedy miały dziesięć i osiem lat, żeby

zobaczyły, jak przemawia Martin Luther King. W 1984 roku głosowali na Mondale'a. Ale kiedy ja miałam dziewiętnaście lat, moja matka zbudziła mnie pewnego razu o świcie cała przerażona, wymachując dłonią pełną nieznanymi (jej) pigułek. Nie potrafiła się zdobyć na to, żeby wymówić słowo „pigułka”.

– Ty bierzesz te... – powiedziała.

– To błonnik – odparłam i odwróciłam się, żeby spać dalej.

Ale nasze kontakty zawsze były pełne napięć. Moja siostra Maureen pamięta, jak raz wróciła do domu wieczorem, kiedy miałam dwa lata, i zastała matkę nerwowo chodzącą tam i z powrotem po frontowym ganku. „Nie wiem, czy to ja jestem szalona – powiedziała, tłumiąc łzy – czy Michelle”. Matka dobiegała wtedy czterdziestki. Miała rodziców alkoholików i przeżyła śmierć swojego synka w niemowlęctwie. Wychowywała sama, bez niczyjej pomocy, sześcioro dzieci. Jestem pewna, że to ja byłam szalona. Przez całe życie nazywała mnie, jedynie na poły żartem, Małą Wiedźmą.

Od zawsze życie trwała między nami emocjonalna przepychanka. Ona starała się unikać konfrontacji, ja się wściekałam. Pisywała do mnie liściki i wsuwała je w kopertach pod drzwi mojej sypialni. „Jesteś próżna, bezmyślna i niegrzeczna” – brzmiał jeden sławny liścik, ale kończył się słowami: – „Ale jesteś moją córką i oczywiście kocham cię bardzo”. Nasza rodzina miała letni domek nad jeziorem Michigan i pamiętam, jak pewnego popołudnia, kiedy byłam dzieckiem, bawiłam się w falach jeziora, podczas gdy ona czytała książkę w fotelu na plaży. Zorientowałam się, że fale są na tyle wysokie, że mogę skryć się pod wodą, a potem szybko złapać oddech w chwili, kiedy fala jest najwyższa i zasłania mnie przed wzrokiem matki. Czekałam więc, aż matka się wyprostuje i zacznie się za mną rozglądać. Czekałam, aż odłoży książkę. Czekałam, aż wstanie. Czekałam, aż pobiegnie

w stronę wody gotowa krzyczeć. I dopiero wtedy nonszalancko wynurzałam się na powierzchnię.

Żałuję teraz, że nie byłam dla niej lepsza. Lubiłam się z niej nabijać, że nie potrafi znieść pewnych momentów w filmach albo programach telewizyjnych. Nie umiała na przykład spokojnie oglądać sceny, w której ktoś wydał przyjęcie i nikt na nie nie przyszedł. Unikała filmów o handlowcach, którzy mają złą passę. Wtedy wydawało mi się to osobliwe i zabawne; teraz widzę w tym reakcję osoby bardzo wrażliwej. Jej ojciec był niegdyś handlowcem odnoszącym sukcesy. A potem jego kariera nagle się załamała. Widziała problemy obojga rodziców z alkoholem, fabrykowanie sztucznej wesołości, która trwa za długo. Widzę teraz, jak łatwo było ją zranić. Jej rodzice cenili sukces w sensie społecznym i lekceważyli to, że moja matka ma bystry, ciekawy świata umysł. Czuła się odrzucona. W swoich uwagach potrafiła być ostra i bardzo krytyczna, ale im jestem starsza, tym wyraźniej widzę w tym odbicie jej własnego poczucia wartości siebie, które zostało stłamszone.

Staramy się w życiu zmagać ze swoimi niedostatkami i moja matka postawiła sobie za punkt honoru, żeby zachęcać mnie do robienia różnych rzeczy w sposób, jakiego jej samej odmówiono. Pamiętam, jak zniechęcała mnie do wstąpienia w szeregi cheerleaderek w szkole średniej. „A nie wolałabyś, żeby to na twoją cześć wznoszono te okrzyki?” – spytała. Z zachwytem przyjmowała wszelkie przejawy moich sukcesów akademickich czy literackich. Kiedy byłam w szkole średniej, natknęłam się na list, jaki wiele lat wcześniej zaczęła pisać do ciotki Marilyn, siostry ojca, która była profesorem teologii i odnoszącym sukcesy archeologiem. Matka chciała zasięgnąć u niej rady, w jaki sposób najlepiej zachęcać mnie do pisania. „Jak mogę dopilnować, aby nie skończyła, układając teksty życzeń świątecznych?” – napisała. Później często wracałam myślą do tego pytania,

zwłaszcza podczas wielu okresów w moim życiu, gdy byłabym zachwycona, gdyby ktoś mi zapłacił za układanie powinszowań na pocztówki.

Czułam jej oczekiwania, czułam, że przeniosła na mnie swoje nadzieje – i buntowałam się. Potrzebowałam jej aprobaty, ale jej presja wydawała mi się dławiąca. Z jednej strony była dumna, że wychowała córkę o silnej osobowości, ale z drugiej nie znosiła moich ostrych opinii. Na pewno nie pomagało to, że moje pokolenie – inaczej niż jej generacja – głęboko przejmowało się analizą i dekonstrukcją. Matka nigdy nie umiałaby, ani nie chciała, być zapatrzona w ten sposób we własny pępek. Pamiętam, jak kiedyś rozmawiałam ze swoją siostrą Maureen, wspominając nasze wizyty u fryzjera w dzieciństwie, gdy zawsze strzyżono nas na krótko.

– Czy nie wydaje ci się, że mama próbowała nas pozbawić seksualności? – spytałam. Maureen, matka trojga dzieci, stłumiła śmiech zmieszany z irytacją.

– Poczekaj, aż sama będziesz miała dzieci, Michelle – odparła. – Krótkie włosy nie mają związku z seksem. Są łatwe w utrzymaniu.

W przeddzień mojego ślubu, wieczorem, między mną a matką doszło do naszej największej kłótni. Nie miałam wtedy pracy, żyłam bez celu; nie pisałam i nie robiłam niczego specjalnego. Poświęciłam za to mnóstwo czasu – przypuszczalnie za wiele – przygotowaniom do wesela. Podczas próby generalnej weselnego przyjęcia usadziłam przy wspólnych stołach małe grupy osób, które nie znały się ze sobą. Powiedziałam im jedynie, że wszyscy mają ze sobą coś wspólnego i muszą odgadnąć co to. Przy jednym stole posadziłam wszystkich gości, którzy w jakimś momencie swojego życia mieszkali w Minnesocie, przy innym zapalonych kucharzy.

W środku kolacji matka podeszła do mnie, kiedy szłam w stronę toalet. Unikałam jej, ponieważ jedna z przyjaciółek popełniła poważny błąd



i powiedziała mi, że wcześniej tego wieczora w rozmowie z moją matką oświadczyła, że jestem najlepszą pisarką, jaką zna. „Och wiem, też tak myślę – odparła moja matka. – Ale czy nie sądzisz, że jest dla niej za późno?” Jej słowa mocno mnie zaboląły i przez cały wieczór nie potrafiłam o nich zapomnieć.

Kątem oka dostrzegłam, że idzie w moją stronę. Jak sobie potem przypomniałam, uśmiechała się. Widziałam, że wszystko jej się podoba. Nigdy nie potrafiła wprost nikogo komplementować. Jestem pewna, że w swoim przekonaniu mówiła coś zabawnego, gdy gestem wskazała w stronę stolików.

– Chyba masz aż za dużo czasu – powiedziała.

Odwróciłam się do niej i na mojej twarzy malowała się, jak sądzę, czysta wściekłość.

– Zostaw mnie w spokoju – syknęłam.

Była zdumiona i próbowała się tłumaczyć, ale przerwałam jej krótko.

– Zostaw mnie w spokoju. Już.

Poszłam do toalety, zamknęłam się w kabinie i płakałam przez pięć minut, a potem wróciłam na salę i udawałam, że wszystko jest w porządku.

Mogę się tylko domyślać, że była kompletnie zdruzgotana moją reakcją. Nigdy o tym nie rozmawiałyśmy, ale wkrótce po weselu napisała do mnie długi list, w którym wymieniała wszystko, co sprawia, że jest ze mnie dumna. Powoli odbudowałyśmy swoją relację. Pod koniec stycznia 2007 roku rodzice postanowili popłynąć w rejs wycieczkowy do Kostaryki. Statek odpływał z jakiegoś portu leżącego na południe od Los Angeles. Wieczorem w przeddzień rejsu zjedliśmy we czwórkę – mój mąż Patton, ja i moi rodzice – wspólną kolację. Śmiałyśmy się dużo i rano odwiozłam ich do portu. Uciskałyśmy się mocno z matką na do widzenia.

Kilka dni później o czwartej rano zadzwonił telefon w kuchni. Nie

podniosłam się. Potem zadzwonił jeszcze raz, ale umilkł, zanim zdążyłam do niego dojść. Odsłuchałam wiadomość dźwiękową. Mój ojciec mówił zduszonym głosem, niemal niezrozumiałym.

– Michelle – powiedział. – Zadzwoń do swojego rodzeństwa.

Rozłączył się.

Zadzwoniłam do swojej siostry Maureen.

– Nic nie wiesz? – spytała.

– O czym?

– Och, Michelle – odparła. – Mama nie żyje.

Matka cierpiała na cukrzycę i rozchorowała się na statku z powodu jakichś powikłań swojej choroby. Przewieziono ją helikopterem do San Jose, ale było już za późno. Miała siedemdziesiąt cztery lata.

Dwa lata później urodziła się moja córka Alice. Przez pierwsze dwa tygodnie byłam głęboko przygnębiona. „Depresja poporodowa” – wyjaśniał mąż przyjaciołom. Ale to nie był smutek matki świeżo narodzonego dziecka. To był smutek z powodu mojej własnej matki. Trzymając na rękach nowo narodzoną córeczkę, zrozumiałam to. Zrozumiałam miłość, jaką czuje się w głębi, poczucie odpowiedzialności, które sprawia, że cały świat zawęża się do tych dwojga potrzebujących ciebie oczu. W wieku trzydziestu dziewięciu lat zrozumiałam miłość matki do mnie. Histerycznie łkając, niemal nie umiając wydusić słowa, kazałam mężowi, żeby pojechał do domu, poszedł do wilgotnej piwnicy i znalazł list, jaki matka napisała do mnie po naszym ślubie. Spędził w piwnicy kilka godzin. Przetrzęsnał każde pudło. Papiery zasłały podłogę. Nie zdołał go znaleźć.

Wkrótce po śmierci matki razem z ojcem, bratem i siostrami pojechaliśmy do mieszkania rodziców w Deerfield Beach na Florydzie, żeby przejrzeć jej rzeczy. Wąchaliśmy jej ubrania, które nadal pachniały perfumami Happy

marki Clinique. Zdumiewała nas jej nieprzebrana kolekcja torebek, obsesja trwająca całe życie. Każde z nas coś sobie wzięło na pamiątkę. Zabrałam parę różowo-białych sandałów. Do dziś leżą w mojej garderobie.

Potem cała nasza siódemka poszła na wczesny obiad w Sea Watch, pobliskiej restauracji z widokiem na ocean. W mojej rodzinie śmiejemy się łatwo, więc opowiadaliśmy sobie różne historie o matce, które potrafiły nas rozbawić. Siedem osób zaśmiewających się na głos – to dopiero był widok.

Jakaś starsza kobieta, wychodząc z sali, podeszła do naszego stołu z wyrazem lekkiego niedowierzania na twarzy.

- Na czym polega sekret? – spytała.
- Czego? – odezwał się mój brat Bob.
- Takiej szczęśliwej rodziny?

Zatkało nas kompletnie i przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Żadne z nas nie miało odwagi wypowiedzieć na głos tego, o czym wszyscy pomyśleliśmy: Właśnie sprzątaliśmy rzeczy zmarłej matki. Zamieniliśmy to w histeryczny śmiech.

Związek z matką był i na zawsze pozostanie dla mnie najbardziej skomplikowaną relacją emocjonalną w moim życiu.

Kiedy piszę o tym teraz, zaskakują mnie dwie trudne do pogodzenia prawdy, które odczuwam bardzo boleśnie. Zapewne nikt nie cieszyłby się bardziej niż moja matka z tego, że napisałam tę książkę. I przypuszczalnie nie miałam odwagi jej napisać, dopóki ona żyła.

Każdego dnia pokonywałam te same kilkaset metrów, idąc do szkoły w St. Edmund's: w lewo w Randolph, w prawo w Euclid, w lewo w Pleasant. Dziewczynki nosiły szare plisowane fartuszki i białe bluzki; chłopcy – koszule koloru musztardowego z kołnierzykiem i spodnie. Pani Ray, moja nauczycielka z pierwszej klasy, miała figurę jak klepsydra, wciętą w talii,

gęstą grzywę włosów o barwie karmelu, i była niezmiennie pełna optymizmu. To była Suzanne Somers prowadząca grupę sześciolatków. Moje najbardziej żywe wspomnienie ze szkoły w St. Edmund's nie miało, co ciekawe, związku z nią ani z katolickimi naukami, jakie tam pobierałam, ani z czasem spędzonym w kościele, choć jak wiem, nie brakowało jednego i drugiego. Nie, St. Edmund's na zawsze będzie połączone w moim umyśle z jednym obrazem, postacią spokojnego chłopca o dobrych manierach i brązowych włosach oraz nieco odstających uszach: Danny'ego Olisa.

Moje szkolne fascynacje cechowało dzikie zróżnicowanie pod względem wyglądu fizycznego i osobowości, ale mogę z całą pewnością powiedzieć, że miały wszystkie jedną wspólną cechę – wszyscy ci chłopcy siedzieli w klasie przede mną. Inni ludzie potrafią zakochiwać się w osobach siedzących obok nich albo za nimi, ale nie ja. Takie uczucie wymaga nazbyt bezpośredniego związku z drugą osobą, czasami nawet wyciągania szyi, żeby nawiązać kontakt wzrokowy. To zbyt rzeczywiste. Uwielbiałam najbardziej, bardziej niż cokolwiek innego, widok tyłu chłopięcej głowy. Mogłam w nieskończoność snuć wyobrażenia projektowane na pustą kartę przygarbionych pleców jakiegoś dzieciaka. I nieważne, czy w tym czasie siedział z otwartymi ustami czy dłubał w nosie. Nie miałam o tym zielonego pojęcia.

Dla marzycielek snujących swoje fantazje taki jak ja Danny Olis był idealny. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek pomyślała, że jest nieszczęśliwy, ale nie potrafię sobie także wyobrazić jego uśmiechu. Jak na małego chłopca był dość zamknięty w sobie i trochę nazbyt poważny, jakby wiedział coś, o czym reszta z nas, wierzących w bajki dzieciaków z krzywymi zębami, miała się dopiero dowiedzieć. To był Sam Shepard naszej pierwszej klasy. Kiedy się urodziłam, dostałam w prezencie pluszową zabawkę, która nazywała się Ciekawski George, i coś w okrągłej, dziecinnej

twarży Danny’ego, i w jego dużych uszach, przypominało mi mojego George’a. Każdego wieczora zasypiałam, przyciskając pluszaka mocno do policzka. Moja miłość do Danny’ego stała się wielkim wydarzeniem w naszym domu. Przeglądając swoje stare rzeczy podczas jednej z przeprowadzek, znalazłam kartkę, którą przysłała mi Beanie ze swojego pierwszego roku studiów na Uniwersytecie w Iowa. „Droga Mish, tęsknię za tobą. Jak tam Danny Olis?”

W czwartej klasie przeniosłam się do miejscowej szkoły publicznej, podstawówki imienia Williama Beye. Poszły tam moje najlepsze przyjaciółki, siostry Van, które uratowały mnie przed samotnością, gdy zamieszkały po drugiej stronie naszej ulicy. Chciałam być razem z nimi. Chciałam też ubierać się w to, na co mam ochotę. Wkrótce niemal całkowicie zapomniałam o Danny’u Olis. Mój Ciekawski George zniknął razem z moimi innymi zabawkami z dzieciństwa.

Pewnego wieczoru w pierwszym roku nauki w szkole średniej przyjaciółka pomagała mi przygotować się do wielkiej imprezy, którą zamierzałam urządzić, kiedy moi rodzice wyjechali gdzieś za miasto. Przez ostatnich kilka miesięcy zadawała się z jakimiś chłopcami z Fenwick, miejscowej katolickiej męskiej szkoły średniej. Spytała mnie, czy może przyprowadzić kilku z nich na przyjęcie.

– Oczywiście – zgodziłam się.

Na co ona dodała ostrożnie, że w pewnym sensie chodzi z jednym z nich.

– Ale tylko w pewnym sensie – oświadczyła.

– O, to świetnie – odparłam. – A jak się nazywa?

– Danny Olis.

Moje oczy zrobiły się ogromne jak spodki i niemal krzyknęłam, ale ugryzłam się w język. Uspokoiałam się i głęboko odetchnęłam w taki sposób, jak to się robi, kiedy zamierza się powierzyć komuś jakiś sekret.

– Nie uwierzysz – zaczęłam – ale w szkole podstawowej szalenie kochałam się w Dannym Olisie.

Moja przyjaciółka skinęła.

– To zaczęło się na lekcji muzyki, ponieważ nauczyciel kazał wam trzymać się za ręce – oświadczyła.

Widząc zdumienie malujące się na mojej twarzy, zrozumiała, że musi mówić dalej.

– Sam mi powiedział – wyjaśniła.

Nie przypominam sobie, żebyśmy trzymali się za ręce na lekcji muzyki. I skąd on wiedział? Pamiętałam siebie jako spokojną dziewczynkę, która siedziała z tyłu i cierpliwie, ale dyskretnie, obserwowała każdy włos i zagłębienie na jego głowie. A tymczasem okazało się, że moje zauroczenie było równie dyskretnie jak telenowela. Byłam przerażona.

– No cóż, on jest bardzo tajemniczy – powiedziałam do przyjaciółki nieco zirytowana.

Wzruszyła ramionami.

– Nie dla mnie – odparła.

Tego wieczora nastolatki z plastikowymi kubkami w rękach wyległy na trawnik wokół mojego domu i na ulicę. Wypiłam za dużo dzinu i przedzierałam się, wymachując rękami, przez tłum nieznanym sobie ludzi w moim własnym domu. Byli tam chłopcy, z którymi się spotykałam, i chłopcy, z którymi miałam się spotykać. Ktoś w kółko odtwarzał *Suspicious Minds* zespołu Fine Young Cannibals.

Cały wieczór dotkliwie zdawałam sobie sprawę z obecności jasnowłosego chłopca stojącego w rogu kuchni obok kaloryfera. Miał teraz dłuższe włosy zasłaniające uszy. Jego twarz, już nie taka okrągła, zrobiła się bardziej podłużna, ale zerkając przelotnie w jego stronę, dostrzegłam tajemniczy, ten sam co zawsze, wyraz jego twarzy. Pracowicie unikałam go

przez cały wieczór. I ani razu nie spojrzałam mu w oczy. Mimo wypitego dzinu wciąż byłam małą dziewczynką z tyłu klasy, która uważnie się przygląda, ale sama nie lubi, żeby ją widziano.

Dwadzieścia sześć lat później, w majowe popołudnie, szykowałam się właśnie, żeby zamknąć swój laptop, gdy dobrze znany dźwięk obwieścił nadejście nowego e-maila. Zajrzałam do skrzynki wiadomości przychodzących. Nie jestem sumienną korespondentką i czasami, muszę przyznać ze wstydem, potrzebuję kilku dni albo dłużej, żeby odpowiedzieć. Imię, jakie ujrzałam w swojej skrzynce, sprawiło, że dopiero po chwili do mnie dotarło, o kogo chodzi: Dan Olis. Z wahaniem otworzyłam wiadomość.

Dan, który pracował teraz jako inżynier i mieszkał w Denver, wyjaśnił, że ktoś podesłał mu mój profil zamieszczony w magazynie absolwentów Uniwersytetu Notre Dame. W artykule zatytułowanym „Detektyw” można było przeczytać, że jestem autorką strony internetowej *True Crime Diary*, która próbuje rozwiązać niewyjaśnione dotąd zagadki morderstw. Autor tekstu pytał o źródła mojej obsesji na punkcie tych zbrodni i cytował moją odpowiedź. „Wszystko zaczęło się, kiedy miałam czternaście lat. Sąsiadka mieszkająca niedaleko ode mnie została brutalnie zamordowana. Bardzo dziwna sprawa. Uprawiała jogging blisko domu. Policja nigdy nie zdołała tego rozwiązać. Wszyscy w sąsiedztwie byli porażeni ze strachu, a potem żyli dalej. Lecz ja nie potrafiłam o tym zapomnieć. Musiałam się dowiedzieć, jak to się stało”.

Ale to była skrócona wersja, na użytek wiadomości telewizyjnych. Inna wersja brzmi następująco. Wieczorem 1 sierpnia 1984 roku siedzę w hermetycznie zamkniętej kapsule wolności, w swojej sypialni na poddaszu w odremontowanej części drugiego piętra naszego domu. Wszystkie dzieciaki z mojej rodziny spędziły na tym poddaszu jakąś część swojego dorastania. Teraz przyszła kolej na mnie. Mój ojciec nie znosił tego

poddasza, ponieważ stanowiło pułapkę w razie pożaru, ale dla mnie, czternastoletniej dziewczynki, prawdziwego tsunami emocji, która podpisywała się w swoim dzienniku „Michelle, pisarka”, to cudowne schronienie. Dywan jest barwy ciemnopomarańczowej, dach pochyły. W ścianie znajduje się wbudowana półka na książki, która otwiera się na tajemniczy schowek. Ale przede wszystkim jest tu ogromne drewniane biurko, które zajmuje połowę pokoju. Mam tu gramofon, maszynę do pisania i niewielkie okno, z którego widać dach domu sąsiadów. Mam swoje miejsce, w którym mogę marzyć. Za kilka tygodni zacznę chodzić do szkoły średniej.

W tym samym czasie, pół kilometra dalej, Kathleen Lombardo, lat dwadzieścia cztery, biega ze swoim walkmanem wzdłuż Pleasant Street. Noc jest gorąca. Sąsiedzi przesiadujący na gankach domów widzą, jak Kathleen przebiega obok nich za kwadrans dziesiąta wieczorem. To ostatnie minuty jej życia.

Pamiętam, jak usłyszałam, że ktoś wchodzi na górę, na moje poddasze – myślę, że to była moja siostra Maureen – i jakąś rozmowę stłumionymi głosami, głębokie westchnienia, a potem kroki mojej matki podchodzącej szybko do okna. Zналиśmy rodzinę Lombardów z kościoła Świętego Edmunda. Wiadomość rozeszła się szybko. Zabójca zawlókł ją w stronę bocznej uliczki między Euclid i Wesley. Poderżnął jej gardło.

Kiedy dorastałam, nie interesowałam się specjalnie zbrodnią, nie licząc kilku przeczytanych książek z serii Nancy Drew. A jednak dwa dni po zabójstwie, nie mówiąc nikomu ani słowa, poszłam na miejsce niedaleko od naszego domu, gdzie Kathleen została zaatakowana. Na ziemi zobaczyłam kawałki rozbitego walkmana. Zebrałam je. Nie czułam lęku, a jedynie elektryzującą ciekawość, jakiś nieoczekiwany impuls zmuszający mnie do szukania – tak intensywny, że pamiętam każdy szczegół tamtej chwili: zapach świeżo ściętej trawy, łuszczącą się brązową farbę na drzwiach garażu.



Jednak tym, co przykuło wtedy moją uwagę, był ulotny niczym zjawia znak zapytania tam, gdzie powinna znajdować się twarz zabójcy. Pustka ziejąca w miejscu jego tożsamości miała dla mnie jakąś ogromną, przyciągającą moc.

Nierozwiązane morderstwa stały się moją obsesją. Zaczęłam gromadzić złowrogie, zdumiewające detale. Niczym pies Pawłowa reagowałam na słowo „zagadka”. Lista książek, jakie wypożyczałam z bibliotek, składała się z pozycji makabrycznych i prawdziwych. Kiedy spotykałam kogoś nowego i dowiadywałam się, skąd jest, lokowałam go na mapie, kojarząc go z najbliższą nierozwiązaną zbrodnią. Kiedy powiesz mi, że studiowałeś na Uniwersytecie Miami w Ohio, ilekroć cię zobaczę, pomyślę o Ronie Tammenie, zapaśniku i basiście ze szkolnej orkiestry jazzowej, który wyszedł ze swojego akademika 19 kwietnia 1953 roku – zostawiwszy włączone radio, światła i otwartą książkę psychologiczną na biurku – i zniknął. Nikt go więcej nie widział. Wspomnisz, że jesteś z Yorktown w stanie Wirginia, a już na wieki połączę cię z Colonial Parkway, drogą wijącą się jak wstążka wzdłuż rzeki York, gdzie w latach 1986–1989 cztery pary albo zniknęły, albo zostały zamordowane.

Jako osoba trzydziestokilkuletnia postanowiłam ostatecznie zmierzyć się ze swoją fascynacją i dzięki nadejściu ery internetu otworzyłam witrynę internetową, z gatunku zrób to sam, pod tytułem *True Crime Diary*.

– Czemu tak bardzo interesujesz się zbrodnią? – pytają mnie ludzie, a wtedy zawsze wracam do tej chwili w bocznej uliczce, i do kawałków rozbitego walkmana zamordowanej dziewczyny w swoich dłoniach.

Muszę ujrzeć jego twarz.

Traci swoją władzę nad nami, kiedy ją znamy.

Sprawa zabójstwa Kathleen Lombardo nigdy nie została rozwiązana.

Od czasu do czasu piszę o tej sprawie i wspominam o niej w wywiadach.

Dzwoniłam nawet na policję w Oak Park, aby sprawdzić pewne fakty. Jedynym poważniejszym tropem, wskazanym przez jednego ze świadków, była postać Afroamerykanina w żółtym topie bez rękawów i w opasce na włosach, który intensywnie obserwował Kathleen, kiedy biegała. Policja rozwiała plotkę, którą sama pamiętam, jakoby świadkowie widzieli zabójcę wysiadającego z pociągu E1 i podążającego za Kathleen. Sens tej plotki był jasny: morderca zakradł się do nas skądinąd.

Z rozmów z policjantami z Oak Park wywnioskowałam, że sprawa utknęła w martwym punkcie. I, jak sama sądziłam, tak właśnie wyglądała aż do chwili, gdy w mojej skrzynce mejlowej pojawiło się nazwisko Dana Olisa. Dan wysłał kopię swojego listu do jeszcze jednej osoby: do Terry'ego Keatinga. Mgliście przypomiinałam sobie chłopca o rok ode mnie starszego, który także chodził do szkoły w St. Edmund's. Okazało się, że Dany i Terry są kuzynami. Odezwali się do mnie, ponieważ im także nie dawała spokoju myśl o morderstwie Kathleen Lombardo, tyle że z innych, o wiele bardziej osobistych powodów. W swoim e-mailu Dan, po wstępnym powitaniu i grzecznościowym pytaniu, co u mnie słychać, przeszedł od razu do rzeczy.

„Czy wiedziałaś, że Kathleen znalazło kilku miłych chłopców z St. Edmund's?” – napisał.

To doświadczenie było dla dzieciaków ponurym, wstrząsającym przeżyciem. Chłopcy często o tym rozmawiali, pisał mi Dan, głównie dlatego, że byli wściekli – uważali, że dobrze znana, powszechnie przyjmowana teoria na temat tego, co wydarzyło się z Kathleen tego wieczoru, była błędna. Wydawało im się, że potrafią zidentyfikować zabójcę.

Prawdę mówiąc, natknęli się na niego tego wieczora.

Terry i Dan nie tylko są kuzynami – w dzieciństwie mieszkali w tym samym domu. Rodzina Dana zajmowała parter, rodzina Terry'ego mieszkała na

pierwszym, a ich babcia na drugim piętrze. Razem z Terryem przyglądamy się tylnej ścianie tego domu z bocznej uliczki.

– Ile osób to mogło być? – pytam Terry’ego. Dom ma w najlepszym razie powierzchnię około dwustu osiemdziesięciu metrów kwadratowych.

– Jedenaścioro dzieciaków, piątka dorosłych – odpowiada.

Dana i Terry’ego dzieli zaledwie rok, byli i pozostali bliskimi przyjaciółmi.

– To, co się działo tego lata, to był dla nas moment prawdziwej przemiany – mówi Terry. – Czasami podkradaliśmy piwo i upijaliśmy się. Kiedy indziej po prostu bawiliśmy się w okolicy. Zupełnie tak samo jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi.

Wskazuje w stronę betonowej płyty, przy garażu z tyłu domu.

– Pamiętam, graliśmy w hokeja, a może w koszykówkę tego wieczora.

Grupa, oprócz Terry’ego, składała się z Danny’ego, młodszego brata Danny’ego o imieniu Tom i jeszcze dwóch przyjaciół ze szkoły podstawowej, Mike’a i Darrena. Było tuż przed dziesiątą wieczorem. Ktoś rzucił pomysł, żeby pobiec do White Hen, niewielkiego sklepu spożywczego na ulicy Euclid, jakieś półtorej przecznicy dalej. Cały czas chodzili do White Hen, czasami trzy albo cztery razy dziennie, kupić colę albo kit katy.

Razem z Terryem idziemy od ich domu na północ. W dzieciństwie spędzał większość czasu na tej uliczce, potrafi dostrzec wszystkie najmniejsze zmiany, jakie na niej zaszły.

– Wtedy nocą było tu ciemniej – wspomina. – Prawie jak w jaskini. Gałęzie wystawały bardziej i zwisały niżej.

Jego uwagę przykuwa jakieś nieznane drzewo na podwórku sąsiada.

– Bambus – mówi. – Możesz w to uwierzyć?

Jakieś piętnaście metrów od miejsca, w którym uliczka przecina Pleasant Street, Terry staje. Grupa chłopców, nastoletnich i trochę młodszych,

wrzeszczących na głos, jak Terry to sobie przypomina, może narobić wiele hałasu. Zabawiali się głupkowatymi dowcipami. To miejsce cały czas go prześladuje. Kiedy się patrzy przed siebie, można stąd dostrzec wylot uliczki po drugiej stronie.

– Gdybyśmy byli wtedy uważniejsi, moglibyśmy ją zobaczyć, jak biegnie – opowiada. – Mogliśmy zobaczyć jego, jak ją chwytą.

Przechodzimy przez ulicę, po czym idziemy w stronę zaułka za domem na South Wesley Avenue 143. Pięciu chłopców maszerowało wtedy rzędem, obok siebie. Danny szedł po prawej, przypomina sobie Terry. Kładzie dłoń na ogrodzeniu obok garażu i potrząsa nim.

– Myślę, że to jest to samo ogrodzenie, ale wtedy było pomalowane na czerwono – mówi Terry.

Wydawało mu się, że zobaczył jakiś zrolowany dywan niedaleko pojemnika na śmieci. Kathleen miała bardzo blade nogi i w ciemności Terry wziął je za dywan o jasnej barwie. A potem Danny, który znalazł się najbliżej śmietnika, zawołał:

– To jest ciało!

Razem z Terryem wpatrujemy się w miejsce obok garażu, gdzie Kathleen leżała na plecach. Widać było od razu, że ktoś poderżnął jej gardło. Wokół jej stóp utworzyła się kałuża krwi. Czuć było straszliwy smród. Zapewne gazy jelitowe, domyśla się teraz Terry. Darren, „delikatny dzieciak”, jak opisuje go Terry, szedł powoli z powrotem, w stronę garażu po przeciwnej stronie, trzymając się za głowę, zgięty wpół. Tom natychmiast pobiegł w stronę najbliższych tylnych drzwi, wrzeszcząc o pomoc.

Od tego momentu powszechnie akceptowana opowieść o zabójstwie Kathleen Lombardo różni się od tego, co zapamiętali Dan i Terry. Pamiętają, że Kathleen dawała jeszcze znaki życia, ale umarła kilka minut później, zanim na miejscu pojawiła się chmara policjantów. Pamiętają detektywów,

którzy mówili im, że na pewno musieli natknąć się na tego faceta.

Pamiętają jakiegoś człowieka, który wyłonił się z uliczki niemal w tej samej chwili, gdy zobaczyli ciało Kathleen. Był wysoki i wydawał się z pochodzenia Hindusem. Nosił lnianą koszulę otwartą na piersi aż do pępka, szorty i sandały.

– Co tu się dzieje? – spytał.

Terry mówi, że ten człowiek ani razu nie spojrzał w kierunku ciała.

– Ktoś jest ranny, musimy wezwać policję! – zawołał Mike w stronę tego człowieka.

Tamten pokręcił głową.

– Nie mam telefonu – powiedział.

Chaos, jaki zapanował na miejscu zbrodni, zamazał w pamięci Terry'ego sekwencję kolejnych wydarzeń. Pamięta, że podjechał policyjny radiowóz prowadzony przez sceptycznego gliniarza w mundurze, z wąsikiem, który sarkastycznie spytał, gdzie jest ciało. Pamięta, jak zmienił się ton głosu policjanta i rozległy się pilne wezwania pomocy wysyłane przez radio, kiedy gliniarz zobaczył Kathleen. Pamięta partnera tego gliniarza, młodszego faceta, może nawet w trakcie szkolenia, który oparł się o bok samochodu i wymiotował.

Pamięta stojącego obok garażu Darrena, który ciągle trzymał się za głowę i kołysał się w tył i w przód. A potem potok świateł i syren, jakich Terry nigdy nie widział wcześniej ani potem.

Siedem lat później Terry zabrał się pewnego razu na koncert samochodem z jakimś facetem, który nazywał się Tom McBride i mieszkał kilka domów od miejsca zbrodni. Terry i Tom jako dzieci byli wrogami w takim sensie, jak to się zdarza, kiedy się nie znacie nawzajem i chodzicie do różnych szkół. Tom był „publiczniakiem”, jak nazywali tamte dzieciaki uczniowie ze szkoły katolickiej. Ale Terry przekonał się, że Tom jest

w rzeczywistości całkiem przyzwoitym facetem. Gadali przez całą noc.

– Czy to ty byłeś jednym z tych dzieciaków, które znalazły ciało? – spytał Tom.

Terry odpowiedział, że tak. To prawda. Oczy Toma zwęziły się.

– Zawsze myślałem, że to zrobił ktoś z sąsiedztwa.

Ten obraz wrócił do Terry'ego: mężczyzna w rozpiętej, lnianej koszuli i to, że nie patrzył w stronę ciała Kathleen. Sposób, w jaki ich spytał, co się dzieje, w chwili gdy było oczywiste, że stało się coś strasznego.

Terry poczuł skurcz w żołądku.

– Jak on wyglądał? – spytał.

Tom opisał mu faceta. Wysoki. Z Indii. Prawdziwy łajdak.

– On tam był na miejscu, kiedy ją znaleźliśmy! – zawołał Terry.

Tom pobladł. Nie był w stanie w to uwierzyć. Pamiętał wyraźnie, że w zamieszaniu po znalezieniu ciała sąsiad, który wyglądał, jak gdyby właśnie przed chwilą wziął prysznic, wyszedł z tylnych drzwi swojego domu ubrany w długą szatę, by popatrzeć na policyjne radiowozy. Odwrócił się w stronę Toma i jego rodziny stojących na tylnym ganku swojego domu.

– Powiedział coś? – spytał Terry.

Tom skinął.

– Co tu się dzieje? – spytał sąsiad.

Nigdy nie schwytano człowieka, który ją zabił. Ale kawałki jej rozbitego walkmana, które zebrałam na miejscu zbrodni, ciągle nie dają mi spokoju, gdy trzydzieści lat później skręcam wynajętym samochodem w Capitol Avenue w Sacramento. Jadę na wschód, poza granice miasta, aż do chwili gdy droga zamienia się w Folsom Boulevard. Po czym jadę dalej Folsom, mijając zabudowania Uniwersytetu Stanowego w Sacramento oraz Sutter Center for Psychiatry, a potem porośnięte krzakami nieużytki z gdzieniegdzie

rozsianymi dębami. Równoległe do drogi, po prawej, biegną tory linii Gold Line, lekkiej kolei tranzytowej, która prowadzi z przedmieść do Folsom położonego trzydzieści kilometrów dalej na wschód. To historyczny szlak. Po tych torach jeździła kiedyś Sacramento Valley Railroad, zbudowana w 1856 roku pierwsza linia kolei parowej, która łączyła miasto z obozowiskami górników w Sierra. Mijając Bradshaw Road, dostrzegam szyldy LOMBARD oraz 6 POCKET SPORTS BAR. Po drugiej stronie drogi, za ogrodzeniem z zardzewiałej siatki, widać cysterny naftowe. Dotarłam na miejsce. Wszystko zaczęło się tutaj, w miasteczku Rancho Cordova.

## SACRAMENTO, 1976–1977

W latach siedemdziesiątych dzieciaki, które tu nie mieszkały, nazwały to miejsce Rancho Kambodża. Rzeka American, przecinająca wschodnią stronę hrabstwa Sacramento, oddziela Rancho Cordova, położone na jej południowym brzegu, od bardziej zadrzewionych i bardziej eleganckich przedmieść po drugiej stronie rzeki. Historia tego rejonu zaczęła się wraz z decyzją rządu meksykańskiego o przeznaczeniu dwóch tysięcy hektarów na tereny rolnicze. Gdy w 1848 roku James W. Marshall zauważył w odpływie koła wodnego kawałki połyskliwego metalu i zawołał: „Znalazłem to”, na tereny Rancho Cordova ściągnęli poszukiwacze złota i pozostawili po sobie ogromne sterty kamieni wyciągniętych z rzeki. Przez pewien czas znajdowała się tutaj winnica. W 1918 roku utworzono bazę Mather Amerykańskich Sił Powietrznych. Jednak dopiero okres zimnej wojny naprawdę zmienił losy Rancho Cordova. W 1953 roku swoją kwaterę główną założyła tutaj firma Aerojet, produkująca rakiety i pociski rakietowe, i wraz z przemysłem pojawiły się osiedla mieszkaniowe dla pracowników; szybko wybrukowano kręte drogi miasteczka (Zinfandel Drive, Riesling Way), podzielono okoliczne tereny na skromne działki i postawiono na nich jednopiętrowe domki. Wydawało się, że każda rodzina ma jakiś związek z wojskiem albo z Aerojetem.

Pojawił się też inny, trudniejszy element. Pewien człowiek, który wychował się przy La Gloria Way w połowie lat siedemdziesiątych, przypomina sobie, że pewnego dnia zniknął łodźiarz działający w okolicy



szkoły podstawowej Cordova Meadows. Okazało się, że facet w lustrzanych okularach słonecznych pilota, z długimi włosami i wielką brodą sprzedawał nie tylko lodowe lizaki dzieciakom, ale także LSD i kokainę klientom innego rodzaju, i został zatrzymany przez gliny. W opowieściach ludzi, którzy dorastali w Sacramento w latach siedemdziesiątych, często pojawiają się takie nieprzyjemne zaskoczenia, swoista mieszanina sentymentalizmu i grozy, niczym ckiwe pocztówki z małego miasteczka z ostrzeżeniem na odwrocie.

W gorące, letnie dni brodziliśmy po rzece American, wspomina jakaś kobieta; a potem wraca inne wspomnienie, o tym, jak biegali wzdłuż torów ciągnących się nad rzeką i w gęstych zaroślach natknęli się na obozowisko bezdomnych. Opowiadano, że niektóre miejsca nad rzeką są nawiedzane przez duchy. Grupa nastoletnich dziewcząt kręciła się po Land Park i obserwowała rozebranych do pasa chłopców, którzy woskowali swoje samochody; jeździli do Oakland na Days on the Green – to była Lollapalooza tamtej epoki – żeby zobaczyć zespół The Eagles albo Petera Framptona, albo Jethro Tull. Jeździli w górę Sutterville Road aż do tamy i pili piwo. I właśnie na tej tamie siedzieli i pili tej nocy 14 kwietnia 1978 roku, gdy drogą poniżej przemknął, rycząc syrenami, konwój policyjnych radiowozów. Wydawało się, że nie ma końca. „Nigdy nie widziałam czegoś takiego ani wcześniej, ani potem” – opowiada jedna z tamtych nastolatek, dziś pięćdziesięciodwuletnia kobieta. Gwałciciel ze Wschodniej Strony – człowiek, którego z czasem nazwałam Zabójcą z Golden State – zaatakował ponownie.

Z Folsom skręciłam w lewo w Paseo Drive, kierując się w stronę serca rezydencjonalnej części Rancho Cordova. To miejsce miało dla niego jakieś znaczenie. Dokonał tu pierwszej ze swoich napaści i ciągle tu wracał. Do listopada 1976 roku w hrabstwie Sacramento odnotowano w ciągu sześciu miesięcy dziewięć ataków przypisywanych temu gwałcicielowi. Cztery

z nich w Rancho Cordova. W marcu 1979, gdy nie dawał o sobie znać od roku i wydawało się, że zniknął na dobre, wrócił do Rancho Cordova ponownie, po raz ostatni. Czy mieszkał gdzieś tutaj? Część śledczych, zwłaszcza ci, którzy pracowali nad tą sprawą od początku, sądzi, że tak.

Podjechałam do miejsca, gdzie zaatakował po raz pierwszy. Prosty bungalow w kształcie litery L, o powierzchni około trzystu metrów kwadratowych, z równo odciętym pniem drzewa pośrodku podwórka. To właśnie stąd 18 czerwca 1976 roku o piątej rano zadzwoniła pierwsza ofiara, dwudziestotrzyletnia kobieta, która starała się mówić do słuchawki telefonu z miejsca, gdzie leżała na podłodze z rękami związanymi na plecach tak mocno, że straciła krążenie. Sheila<sup>[5]</sup> doczołgała się do telefonu stojącego na nocnej szafce swojego ojca, strąciła aparat na ziemię i wyszukała palcami zero. Zadzwoniła zawiadomić policję o wdarciu się do domu i gwałcie.

Zależało jej na tym, żeby policjanci zrozumieli, że maska napastnika była dziwna. Biała, szorstka, wyglądająca, jakby była zrobiona na drutach, z otworami na oczy i ze szwem pośrodku, bardzo ściśle przylegająca do twarzy. Kiedy Sheila otworzyła oczy i zobaczyła go w drzwiach swojej sypialni, pomyślała, że chyba śni. Kto nosi kominiarkę w Sacramento w czerwcu? Przetarła oczy i zdążyła dostrzec więcej. Miał jakieś metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, był umiarkowanie umięśniony, nosił granatowy T-shirt z krótkimi rękawami i szare płócienne rękawiczki. Inny szczegół, tak niezwykle, że musiał wyłonić się z jej podświadomości – para białych nóg porośniętych czarnymi włosami. Strzępy wspomnień ułożyły się w końcu w pewien obraz. Ten mężczyzna nie miał spodni. Miał erekcję. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała, wydechy rzeczywistości.

Rzucił się na łóżko Sheili i przycisnął ostrze dziesięciocentymetrowego noża do jej prawej skroni. Przykryła głowę pościelą, żeby go odepchnąć. Ściągnął jej okrycie. „Jeśli się ruszysz albo wydasz jakiś dźwięk, wbiję

w ciebie ten nóż” – wyszeptał.

Sznurem przyniesionym ze sobą związał jej ręce na plecach, ściskając mocno w nadgarstkach, a potem związał ją jeszcze raz płóciennym czerwono-białym pasem, który znalazł w jej garderobie. Jako knebel wepchnął jej w usta parę białych nylonowych majtek. Pierwsze przejawy zachowań, które stały się dla niego charakterystyczne. Zanim ją zgwałcił, nasmarował swojego penisa dziecięcą oliwką. Przetrzęsał mieszkanie; słyszała stukanie uchwytów w komodach w salonie, szuranie otwieranych szuflad. Mówił niskim, gardłowym szeptem, z zaciśniętymi szczękami. Z dwucentymetrowej rany poniżej jej prawej powieki, w miejscu, gdzie przycisnął swój nóż, leciała krew; zrozumiała, że powinna być cicho.

Zdrowy rozsądek i każdy gliniarz powiedzą wam, że gwałciciel bez spodni to niewyrafinowany nastoletni podglądacz, który właśnie od dawnych nieprzyzwoitości przeszedł do topornie wymyślonego przestępstwa. Głupek tańczący przed swoją ofiarą bez spodni zwykle nie potrafi kontrolować odruchów i szybko wpada w ręce policji. Jego lepkie spojrzenie bez wątpienia zdążyło już zwrócić na niego uwagę w sąsiedztwie i zaskarbić mu status odrażającego typu. Gliniarze szybko wyrwą go ze snu, w domu jego podekscytowanej zamieszaniem matki. Ale ten głupek bez spodni nie dał się złapać.

Istnieje coś, co nazwałabym paradoksem inteligentnego gwałciciela. Pracujący niegdyś dla FBI i tworzący psychologiczne profile przestępców Roy Hazelwood, który specjalizuje się w przestępstwach seksualnych, opowiada o tym w książce *The Evil That Men Do*, napisanej wraz z Stephenem G. Michaudem: „Większość ludzi bez problemu kojarzy skomplikowane włamanie i rabunek z inteligencją. Ale gwałt popełniony z wyjątkowym okrucieństwem to rodzaj zbrodni, której nie bardzo potrafią sobie wyobrazić. W rezultacie czują opór przed przypisywaniem inteligencji

sprawcom takich przestępstw. I odnosi się to nawet do części policjantów”.

Metody, jakimi posługiwał się człowiek, który zgwałcił Sheilę, wskazywały jednak na umysł działający z wyrachowaniem. Pamiętał o tym, żeby nigdy nie zdejmować rękawiczek. Sheila odbierała głuche telefony w tygodniach poprzedzających napaść, jak gdyby ktoś sprawdzał jej rozkład dnia. W kwietniu miała poczucie, że ktoś za nią chodzi. Ciągle widywała w pobliżu jakiś ciemny samochód, średniej wielkości, amerykańskiej produkcji. Ale – co ciekawe – choć miała pewność, że to był zawsze ten sam samochód, nigdy nie udało jej się dostrzec kierowcy.

W nocy, kiedy dokonano napaści, ktoś przeniósł poidło dla ptaków w miejsce pod linią telefoniczną za domem, najwyraźniej, żeby na nim stanąć. Jednak kabel był tylko częściowo przecięty, znak niezdarnego zawahania osobnika, który dopiero się uczy, jak skrzywiony gwóźdź wbity przez ucznia stolarza.

Cztery miesiące później Richard Shelby stał przy krawężniku ulicy Shadowbrook Way w Citrus Heights.

Zgodnie z zasadami obowiązującymi w Biurze Szeryfa Hrabstwa Sacramento Shelby nie powinien brać udziału ani w tym, ani w żadnym innym dochodzeniu. Nie powinien nawet nosić policyjnego munduru. Shelby znał zasady – aby dostać pracę w Biurze Szeryfa Sacramento w 1966 roku, kandydat powinien mieć w całości wszystkie dziesięć palców – ale skoro zdał egzamin pisemny i próbę sprawnościową, pomyślał, że spróbuje szczęścia. Zresztą szczęście mu sprzyjało; świadczyło o tym nawet to, że brakowało mu tylko części palca serdecznego lewej dłoni. Shelby mógłby równie dobrze zostać podziurawiony przez przypadkowy wystrzał z dubeltówki jakiegoś myśliwego. Lekarze powiedzieli mu, że mało brakowało, a straciłby całą dłoń.

Kiedy urzędnik z policyjnej komisji rekrutacyjnej zauważył jego palec,

natychmiast przerwał rozmowę. Uprzejmie odesłano Shelby'ego do domu. Nie miał szans na przyjęcie do pracy w Biurze Szeryfa Hrabstwa Sacramento. To odrzucenie zabolowało. Przez całe życie Shelby słyszał, jak jego rodzina z największym szacunkiem mówi o pewnym wuju, który był szeryfem w Oklahomie. Może to był znak? Zresztą Shelby i tak wolał pracować w jakimś mniej zaludnionym miejscu. W Yolo, a może w Placer. Krajobrazem jego młodości były otwarte przestrzenie Doliny Centralnej. Latem pracował pod gołym niebem na ranczach i farmach wschodniego rejonu hrabstwa Merced. Kąpał się nago w kanałach. Polował na króliki i przepiórki wśród niskich pagórków u podnóża Sierra Nevada. Tydzień później dostał list z Biura Szeryfa informujący go, że „nie przeszedł kwalifikacji”. A potem, następnego dnia, dostał kolejny list. Tym razem z informacją, gdzie i kiedy ma się stawić do pracy.

Shelby zażądał wyjaśnień. Wojna w Wietnamie nabierała rozmachu. W lutym 1965 roku miesięcznie mobilizowano do wojska trzy tysiące osób, ale w październiku ta liczba wzrosła do trzydziestu trzech tysięcy. W całym kraju zaczęły się protesty przybierające coraz gwałtowniejszą postać. Zaczynało brakować młodych ludzi zdolnych do służby. Biuro Szeryfa uznało Shelby'ego za nowe i stosunkowo rzadkie zjawisko. Ponad dziesięć lat wcześniej, trzynaście dni po swoich siedemnastych urodzinach, wstąpił do Sił Powietrznych i ukończył służbę. Miał dyplom college'u z prawa kryminalnego. Był żonaty. I chociaż brakowało mu kawałka palca, potrafił pisać na maszynie szybciej niż sekretarka szeryfa. Zmieniono więc zasady dotyczące długości palców. Shelby stawił się do pracy 1 sierpnia 1966 roku. Służył w policji dwadzieścia siedem lat.

W tamtych czasach warunki działania Biura Szeryfa Hrabstwa Sacramento w niczym nie przypominały dzisiejszej elegancji. Wszyscy rywalizowali o radiowóz, który miał lampę na wysięgniku i tabliczkę do

notowania przyczepioną do tablicy rozdzielczej. Uzbrojenie stanowiły nadal karabiny maszynowe z lat dwudziestych. Syreny znajdowały się bezpośrednio na dachach samochodów; gliniarze, którzy wówczas nimi jeździli, dzisiaj noszą aparaty słuchowe. Nie istniały wyspecjalizowane jednostki zajmujące się na przykład przestępstwami seksualnymi. Byłeś ekspertem z doświadczeniem w terenie, jeśli zdarzyło ci się odebrać telefon i wezwano cię akurat na miejsce gwałtu. W ten sposób Shelby znalazł się rankiem 5 października 1976 na chodniku na ulicy Shadowbrook Way.

Policyjny pies, który podjął trop, zaprowadził go dokładnie na to miejsce. Trop zaczynał się w oknie dziecięcej sypialni, prowadził przez ogrodzenie, a potem przez pole porośnięte chwastami, i urywał się na krawężniku. Shelby zapukał do najbliższych drzwi i popatrzył w stronę domu ofiary, stojącego w odległości około siedemdziesięciu metrów. Odpędził niepokój.

Jakieś półtorej godziny wcześniej, tuż po szóstej trzydzieści rano, Jane Carson leżała w łóżku razem ze swoim trzyletnim synkiem, gdy usłyszała, jak ktoś zapala i gasi światło, a potem biegnie korytarzem. Jej mąż wyszedł do pracy dosłownie chwilę wcześniej. „Jack, to ty? Zapomniałeś czegoś?”

W drzwiach pojawił się jakiś człowiek w zielono-brązowej kominiarce.

– Zamknij się, chcę twoich pieniędzy. Nie zrobię ci krzywdy – powiedział.

Shelby uznał, że tak precyzyjne zgranie w czasie jest intrygujące. Ten człowiek wszedł do domu przez okno dziecięcej sypialni dosłownie chwilę po tym, jak mąż Jane wyszedł do pracy. Dwa tygodnie wcześniej padli ofiarą niezwykłego włamania; złodziej zabrał wtedy jakieś dziesięć pierścionków, zostawił za to trochę biżuterii skradzionej u sąsiadów. Wtedy także wszedł i wyszedł przez okno w pokoju dziecka. Ten sam facet – pomyślał Shelby. – Metodyczny i cierpliwy.

Gwałt dokonany na Jane uznano za szósty atak przypisywany

Gwałcielowi ze Wschodniej Strony, ale to była pierwsza sprawa, przy której Shelby pracował razem z Carol Daly, i ta dwójka detektywów stała się nierozdzielnie związana z całą serią podobnych przestępstw. Carol Daly, doświadczona policjantka zajmująca się zbrodniami na tle seksualnym, w naturalny sposób nadawała się na osobę przyjmującą zeznania ofiar. Dzięki swoim umiejętnościom interpersonalnym z czasem doszła do stanowiska zastępcy szeryfa. Shelby tymczasem miał talent do wkurzania innych. Jego problemy brały się nie tyle z arogancji, ile ze szczerości wysławiania się. „Taktowne zachowania nigdy nie były moją mocną stroną” – mówi.

W październiku tego roku nastąpiły trzy kolejne ataki, szybko, jeden po drugim. Początkowo wielu jego kolegów sądziło, że odpowiada za nie pewien niezidentyfikowany seryjny przestępca znany jako Gwałciiciel Ranny Ptaszek (Early Bird Rapist), ale Shelby wiedział, że tym razem mają do czynienia ze znacznie inteligentniejszym i bardziej dziwnym osobnikiem niż on. W tamtej epoce nikt jeszcze nie słyszał o profilowaniu przestępców; nie znano takich pojęć jak „podpis” czy „zachowania rytualne”. Wtedy śledczy mówili czasem o „obecności”, „osobowości” albo „zapachu”. Chodziło im o precyzję i osobliwy układ szczegółów charakterystyczny jak zapach – poczucie *déjà vu*, jakie ogarniało ich w miejscu zbrodni. Oczywiście powtarzał się fizyczny opis sprawcy. Biały, około dwudziestki albo trochę po, jakieś sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, średnio umięśniony. Zawsze w masce. Zduszony, gniewny szept. Zaciśnięte szczęki. Kiedy się wściekał, ton jego głosu robił się piskliwy. Mały penis. Dziwny sposób bycia – często mówił pośpiesznie, ale zachowywał się spokojnie. Otwierał szuflady i czasem przez kilka minut stał w milczeniu, wpatrując się w ich zawartość. W doniesieniach o dziwnych osobach kręcących się w okolicy mniej więcej w okresie napaści często pojawiał się pewien szczegół: podejrzany, kiedy zauważył, że ktoś go obserwuje, odchodził, ale

spokojnie, bez pośpiechu. „Zupełnie się nie spieszył” – zeznał jeden ze świadków.

Miał osobliwe potrzeby psychoseksualne. Krępował ręce ofiar za plecami, często kilka razy wiążąc je i rozwiązując, a potem pętając ponownie. Czasami używając innego materiału. Kazał ofiarom ze skrępowanymi rękami pobudzać swojego penisa. Sam nigdy ich nie pieścił. Kiedy zaczął napadać na pary, zaciągał kobietę do salonu i zarzucał ręcznik na telewizor; odpowiednie oświetlenie wydawało się ważne. Lubił zadawać pytania. „Co teraz robię?” – pytał ofiarę leżącą z zawiązanymi oczami, kiedy się masturbował z użyciem znalezionego w domu kremu do rąk. „Czy to jak z kapitanem?” – zapytał Jane; jej mąż był kapitanem lotnictwa. Jakieś pięćdziesiąt razy kazał jej się „zamknąć”, jak opowiadała Jane, ale kiedy ją gwałcił, miał inne żądania i rzucał jej polecenia niczym reżyser swojej aktorce. „Włóż w to trochę emocji – rozkazał jej – albo użyję noża”.

Potrafił być bezczelny. Dwukrotnie zdarzyło się, że po wejściu do czyjegoś domu spokojnie realizował swój plan, chociaż widział, że ofiary go zauważyły i gorączkowo próbują dodzwonić się na policję. Dzieci mu nie przeszkadzały. Nigdy nie krzywdził ich fizycznie, co najwyżej związywał te starsze i umieszczał w innym pokoju. Trzyletniego synka Jane podczas swojej napaści położył na podłodze w sypialni. Chłopiec zasnął. Kiedy się zbudził, spojrzął w stronę łóżka. Gwałciciel już zniknął, a jego matka leżała skrępowana kawałkami porwanych ręczników i zakneblowana ścierką do naczyń. Chłopiec uznał, że więzy to bandaże.

– Czy doktor już poszedł? – wyszeptał.

Shelby znał brutalne zachowania zamaskowanych zboczeńców, ale niepokoił go wysiłek, jaki ten sprawca wkładał w rozpoznanie terenu. To było niezwykle. Głuche telefony. Krążenie po okolicy. Włamania. Gwałciciel ze



Wschodniej Strony wiedział, jak wyłączyć zewnętrzne światła, nawet jeśli były podpięte do timera. Wiedział, gdzie znaleźć dobrze ukryty przycisk otwierający garaż. Rozmowy, jakie Shelby przeprowadził ze świadkami, wskazywały, że podejrzany rozpracował nie tylko Jane, ale także jej sąsiadów; wiedział, gdzie może zaparkować swój samochód, o której godzinie sąsiedzi wynoszą śmieci i wychodzą do pracy.

Rok później w „Sacramento Bee” przytoczono wypowiedź Carol Daly, koleżanki, z którą Shelby pracował tego dnia, poświęconą tej sprawie: „Typowy gwałciciel nie zachowuje się w tak skomplikowany sposób”. Ta myśl nie dawała spokoju Shelby’emu, gdy stojąc przy krawężniku w miejscu, gdzie policyjny pies zgubił trop, patrzył przez pole w stronę domu Jane. Podobnie jak jeszcze jeden niepokojący szczegół. Napastnik dźgnął swoją ofiarę nożem w lewą łopatkę. Jane miała wrażenie, że nie chciał jej zranić i cios zadał jedynie przypadkiem. Ale Shelby nie był taki pewny. Domyślał się, że facet próbuje stłumić swoje pragnienie, żeby sprawić ofierze więcej bólu; dopóki go nie złapią, to pragnienie będzie narastać.

Shelby się nie mylił. Podejrzany zaczął szczękać nożyczkami obok uszu ofiar leżących z zawiązanymi oczami i groził, że obetnie im palce, jeden po drugim, za każdym razem, kiedy się poruszają. Dźgał w materac obok leżącej ofiary. Widać było, że psychiczne tortury go nakręcają. „Nie znasz mnie, co? – wyszeptał do jednej z ofiar, używając jej imienia. – Tak długo musiałaś czekać, prawda? Tak strasznie długo. Ale ja znam ciebie”. Co chwila starał się wywołać u swojej ofiary wrażenie, że już sobie poszedł, a kiedy jej ciało zaczynało się rozluźniać i zdrętwiałe palce zaczynały manipulować przy krępujących ją więzach, wprawiał ją ponownie w przerażenie jakimś nagłym dźwiękiem albo ruchem.

Po napaści na Jane Carson, w październiku, w okolicy zaczęły krążyć plotki o seryjnym gwałcicielu grasującym na wolności, jednak ludzie z Biura

Szeryfa poprosili miejscową prasę, żeby nie pisała o zbrodniach, ponieważ obawiali się, że zainteresowanie opinii publicznej może skłonić podejrzanego do opuszczenia terenu wschodniej strony miasta, gdzie mieli nadzieję go namierzyć i złapać. Richard Shelby i Carol Daly oraz ich koledzy z zespołu śledczego po cichu sprawdzali możliwe tropy. Rozmawiali z kuratorami sądowymi. Przyglądali się kierowcom samochodów dostawczych, mleczarzom, dozorcóm i pracownikom firm remontowych. Zostawiali swoje wizytówki w drzwiach u sąsiadów i sprawdzali napływające informacje. Zwykle chodziło o młodych mężczyzn, którzy albo gapili się za długo, albo pozostawali poza domem do późna, albo, jak powiedział o swoim młodszym bracie autor jednego z donosów, byli „dziwni”. Śledczy przewiązali Jane oczy, po czym odtwarzali jej z taśmy nagrania głosu dwóch podejrzanych. Leżała na łóżku; ręce jej się trzęsły. Dwukrotnie powiedziała „Nie, to nie on”. Przeczesywali lombardy, szukając skradzionych przedmiotów. Zajrzeli do House of Eight, sklepu porno przy Del Paso Boulevard, pytając o klientów zainteresowanych BDSM. Sprawdzili nawet cynk w sprawie jakiegoś człowieka, który płacił w Biurze Rejestracji Pojazdów za informacje o numerach rejestracyjnych aut kierowanych przez kobiety, a potem jeździł za nimi swoim samochodem. Przepyтали go przed jego domem i jak zauważyli, podczas całej rozmowy stał przy krawężniku tak bardzo zaaferowany, że nawet nie zauważył, jak woda zalewa mu eleganckie skórzane buty. To nie był poszukiwany gwałciciel, choć w następstwie tego dochodzenia wprowadzono zakaz sprzedawania prywatnych informacji przez Biuro Rejestracji Pojazdów. Śledczy sprawdzali wszystkie tropy; ktoś oblał się rumieńcem, ktoś mrugał, stał ze skrzyżowanymi ramionami albo powtarzał pytania, żeby zyskać na czasie. Jednak żaden ślad nie doprowadził ich do Gwałciciela ze Wschodniej Strony.

Tymczasem w próżni informacyjnej zaczęły rodzić się i mutować plotki.

Powtarzano, że policja nie powiadamia opinii publicznej o gwałtach ze względu na zbyt drastyczne, przerażające szczegóły. Sprawca miał okaleczać piersi napadanych kobiet. Pogłoska była fałszywa, ale z powodu zakazu publikowania komunikatów o przebiegu śledztwa nie można jej było publicznie zdementować. Napięcie sięgnęło szczytu 18 października, gdy gwałciciel dwukrotnie zaatakował w ciągu dwudziestu czterech godzin. Jedną z ofiar, trzydziestodwuletnia gospodyni domowa, matka dwójki dzieci, mieszkała przy Kipling Drive w Carmichael, jednym z bardziej zamożnych osiedli po wschodniej stronie miasta. Pojawiły się spekulacje, że sprawca, nie mogąc się doczekać uwagi mediów, przeniósł teren swojego działania w stronę bardziej eleganckich okolic, aby zdobyć rozgłos. Zdziałało. 3 listopada w szkole podstawowej Del Dayo odbyła się zorganizowana przez ratusz konferencja prasowa na temat zapobiegania fali przestępstw. Przyszło ponad pięćset osób. Richard Shelby i Carol Daly na przemian przejmowali mikrofon, próbując dość niezdarnie odpowiadać na gorączkowe i pełne paniki pytania o gwałciciela.

Następnego ranka gazeta „Sacramento Bee” zamieściła relację z tego spotkania autorstwa Warrena Hollowaya, reportera kryminalnego: „Policja poszukuje podejrzanego o osiem gwałtów”. Cisza medialna dobiegła końca.

Może to zbieg okoliczności, ale 10 listopada wieczorem, tego samego dnia, gdy w „Sacramento Bee” ukazał się kolejny materiał („Gwałciciel ze Wschodniej Strony... Lęk paraliżuje spokojne osiedla”), jakiś człowiek w skórzanej kapturze wszedł przez okno do domu przy Citrus Heights i wywlókł z niego szesnastoletnią dziewczynę samotnie oglądającą telewizję w salonie. Pokazał jej nóż i ostrzegł lodowatym głosem: „Jeden ruch i zamilknie na wieki, a ja zniknę w mroku”.

Tym razem gwałciciel wyciągnął ofiarę z domu. Zaprowadził ją w dół nabrzeżnego wału w stronę betonowego rowu odwadniającego o szerokości

około siedmiu metrów i głębokości trzech metrów, po czym poprowadził ją kilkaset metrów na zachód, w kierunku starej wierzy. Dziewczyna pokonała później tę samą trasę w towarzystwie Shelby'ego i innych detektywów; w zaroślach koło drzewa leżały rzucone na stertę przecięte sznurówki, pocięte na strzępy lewisy i zielone majtki. Dziewczyna oświadczyła, że nie została zgwałcona. Wydobywanie informacji od osób, które padły ofiarą brutalnej napaści, jest zajęciem trudnym, zwłaszcza jeśli, tak jak Shelby, jesteś starszym mężczyzną i masz sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, a ofiara jest nastolatką na skraju załamania nerwowego. Patrzysz jej w oczy i zadajesz trudne pytania. Możesz wierzyć w odpowiedź albo nie. Później zadajesz to samo pytanie jeszcze raz, bardziej niezobowiązująco, czasem w środku rozmowy na inny temat. Dziewczyna powtarza swoją wcześniejszą odpowiedź. To wszystko, co możesz zrobić.

Niewykluczone, że gwałciciel wziął ją za kogoś innego. W pewnym momencie spytał: „Nie studiujesz w American River College?”. Kiedy zaprzeczyła, przycisnął jej nóż do gardła i spytał jeszcze raz. Ponownie zaprzeczyła. Dziewczyna powiedziała później śledczym, że jest podobna do sąsiadki, która chodzi do tego właśnie miejscowego college'u. Jednak napaść znowu wskazywała na niesamowicie precyzyjne planowanie. Dziewczyna miała być sama w domu jedynie bardzo krótko. Jej rodzice pojechali do szpitala odwiedzić jej brata, a później tego wieczora była umówiona na randkę ze swoim chłopakiem. Gwałciciel, zanim zaciągnął ją do rowu odwadniającego, starannie zasłonił z powrotem okiennicami okno, przez które wszedł, oraz wyłączył telewizor i wszystkie światła w domu, jak gdyby wiedział, że jego mieszkańcy mają wkrótce wrócić, i nie chciał ich alarmować.

Dziewczyna dodała parę szczegółów do stale rosnącego katalogu ulotnych detali, jakie ofiarom udało się dostrzec w mroku przez luźny

materiał, który przesłaniał im oczy. Czarne buty z kwadratowymi czubkami. Nieduża latarka, na tyle mała, że mogła się skryć w jego lewej dłoni. Wojskowe polowe spodnie. Kiedy leżała związana, co chwila wdrapywał się na wschodnią stronę obwałowania i za czymś się rozglądał. Tam i z powrotem. Nerwowo. Shelby wspiał się na obwałowanie. Jak zawsze byli za nim, spóźnieni o minuty albo godziny. Można było stanąć w tym samym miejscu co on, na jego śladach, ale kiedy się nie wiedziało, co go tu przyciągnęło, rozglądało się bez celu, na próżno wgapiając się w horyzont w poszukiwaniu jakiejś wskazówki. Gąszcz splątanych krzewów. Ogrodzenia. Tylne podwórka domów. Za dużo. Za mało. Powrót do punktu wyjścia.

Opisywany przez dziewczynę skórzany kaptur napastnika sięgał dalej niż jego szyja i miał wycięte szpary na oczy i usta; Shelby miał wrażenie, że taki rodzaj kaptura noszą spawacze pod swoimi hełmami. Zwrócił się do firm sprzedających sprzęt spawalniczy o podanie nazwisk klientów. Nic nie wypłynęło. Tymczasem brzęczały telefony w Biurze Szeryfa, padały ciągle nowe nazwiska. Detektywi próbowali przyjrzeć się wszystkim. Odrzucano facetów, jeśli mieli duże stopy, zapadniętą klatkę piersiową, brzuszki, brodę, zezę w lewym oku, utykali albo mieli bratową, która zeznała, że kiedyś kąpała się nago z młodszym bratem swojego męża i widziała, że ma naprawdę dużego penisa.

Gwałciciel ze Wschodniej Strony 18 grudnia zaatakował kolejną nastolatkę. Tym razem w Fair Oaks. Styczeń przyniósł dwie kolejne ofiary. „Gwałciciel uderza ponownie, czternasty raz w ciągu piętnastu miesięcy” – głosił tytuł w „Sacramento Bee” z 24 stycznia. Zacytowano słowa anonimowego śledczego z Biura Szeryfa, dające wyraz pewnego znużenia detektywów. „Wszystko przebiegło tak samo jak poprzednio”.

Rankiem 2 lutego 1977 roku trzydziestoletnia kobieta w Carmichael leżała na

swoim łóżku skrepowana, zakneblowana i z zawiązanymi oczami. Przez dłuższy czas nadśluchiwała i kiedy wydało jej się, że nie słyszy żadnych dźwięków, wypluła knebel z ust i zawołała do swojej siedmioletniej córeczki, która, jak wyczuwała, była w sypialni: „Nic ci nie jest?” – spytała. Córeczka ją uciszyła: „Mamo, bądź cicho”. W tym momencie ktoś gwałtownie nacisnął na łóżko, a potem odpuścił, jak gdyby chciał dać znak, że jeszcze tam jest. Przez kilka minut kobieta leżała z otwartymi oczami, wpatrując się w pomarańczowo-białą tkaninę frotté, którą przewiązał jej oczy, i wsłuchując się w jego oddech dobiegający z pobliza.

Hipnotyzerzy wypytywali ofiary o szczegóły. Detektywi szukali czarno-białego motocykla z siodełkami z włókna szklanego. Czarnego samochodu, który przypuszczalnie niegdyś należał do policji jako wóz patrolowy drogówki, z głośno działającym tłumikiem. Białego vana bez bocznych szyb. Motocyklisty o imieniu Don, z bokobrodami i dużym wąsem. Pewna kobieta zadzwoniła na policję, żeby powiedzieć o pracowniku miejscowego sklepu spożywczego. „Penis tego mężczyzny – oświadczyła z wielką pewnością siebie – jest bardzo szorstki, jak gdyby był kompletnie zużyty”.

Śledczy, rozpaczliwie pragnąc zdobyć dowody w postaci odcisków palców, próbowali metody z użyciem związków jodu pozwalającej na zdejmowanie odcisków palców z ludzkiej skóry; proszono Carol Daly o pokrywanie przez rurkę nagiego ciała ofiar delikatnym proszkiem. Ale nic. Mimo to zdarzały się niewielkie zwycięstwa. W lutym pewna kobieta z Carmichael próbowała odebrać gwałcicielowi pistolet. Uderzył ją w głowę. Kiedy detektywi oglądali obrażenia powstałe na głowie ofiary, zauważyli na jej włosach plamę krwi, położoną jakieś pięć centymetrów powyżej miejsca, gdzie napastnik ją uderzył. Carol Daly odcięła zakrwawione włosy i posłała do laboratorium kryminalistycznego. Ofiara miała grupę krwi B. Krew z próbki – należąca, jak stwierdzono, do gwałciciela – była grupy A.

[Uwaga wydawcy: Poniższy fragment został odtworzony na podstawie notatek Michelle].

Było około dziesiątej trzydzieści wieczorem 16 lutego 1977 roku. Rodzina Moore'ów<sup>[6]</sup> wróciła już do domu przy Ripon Court w dzielnicy Sacramento zwanej College-Glen. Osiemnastoletni Douglas poszedł do kuchni ukroić sobie kawałek ciasta, jego piętnastoletnia siostra Priscilla oglądała telewizję w salonie. Nagle zwykły rytm ich wieczornego życia zaburzył nieoczekiwany hałas – łomot, który musiał dochodzić z podwórka za domem. Stała tam ich elektryczna wędzarnia. Ktoś właśnie przeskoczył przez ogrodzenie i ją potrącił.

Mavis Moore włączyła światła na patiu i wyjrzała przez zasłony akurat w porę, by ujrzeć jakąś postać biegnącą przez podwórko. Douglas bez namysłu ruszył w pogoń za intruzem, a jego ojciec Dale chwycił latarkę i wybiegł przez boczne drzwi.

Dale nie mógł nadążyć za synem, ale widział z pewnej odległości, że Douglas ściga jasnowłosego mężczyznę, który kręcił się po ich podwórku – najpierw biegli przez Ripon Court, a potem po pustym terenie między dwiema sąsiednimi rezydencjami, gdzie nieznajomy zniknął za ogrodzeniem. Douglas skoczył za nim, ale w chwili gdy znalazł się na szczycie ogrodzenia, rozległ się głuchy huk. Dale widział, jak jego syn pada na plecy na trawę.

– Zostałem postrzelony – krzyczał Douglas. Kiedy Dale do niego dobiegł, rozległ się kolejny strzał. Tym razem niecelny. Dale wyciągnął syna z linii ognia.

Przyjechała karetka i pospiesznie przewieziono Douglasa do szpitala. Kula trafiła go w brzuch i spowodowała liczne obrażenia jelit, pęcherza i odbytu.

Kiedy policjanci zaczęli rozmawiać z mieszkańcami okolicznych domów, ich

notatniki wypełniły szczegóły złowrogo podobne do opisów, jakie śledczy słyszeli, przesłuchując sąsiadów po każdym ataku gwałciciela: sąsiedzi słyszeli jakieś hałasy na swoich podwórkach, jakby ktoś przechodził przez ogrodzenie; jeden z nich słyszał, jak ktoś chodził po dachu; znajdowali wyrwane deski z płotów, a w jednym wypadku otwartą boczną furtkę. Psy sąsiadów jeden po drugim sygnalizowały szczekaniem kierunek, w jakim poruszała się nieuchwytna postać. Mieszkańcy całej okolicy donosili, że ktoś kręcił się wokół ich domów; mówili także o włamaniach w tygodniach poprzedzających strzelaninę z udziałem członków rodziny Moore'ów.

We wszystkich zeznaniach świadków, w tym także Douglasa Moore'a, pojawiał się podobny opis sprawcy: biały mężczyzna, w wieku od lat dwudziestu pięciu do trzydziestu, sto siedemdziesiąt pięć–sto siedemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, o mocnych nogach i włosach w kolorze jasnego piasku, do ramion; ubrany był w kurtkę, czapkę z daszkiem, lewisy i tenisówki.

Wśród zgromadzonych tropów jeden nie pasował do reszty i krył w sobie intrygujący potencjał, być może niemający żadnego związku z incydentem, który zakończył się postrzeleniem Douglasa Moore'a – ale nawet jeśli miał, wydawało się, że oferuje niewiele konkretnych informacji: strażnik wychodzący po swojej zmianie z leżącej w pobliżu szkoły imienia Thomasa Jeffersona natknął się przed jednym z budynków w kampusie na parę włóczęgów. Jeden z nich spytał o godzinę, podczas gdy drugi najwyraźniej coś ukrywał pod płaszczem – przypuszczalnie radio tranzystorowe.

Obaj mieli, jak się wydawało, po osiemnaście albo dziewiętnaście lat i około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu. Jeden, najwyraźniej pochodzenia meksykańskiego, miał długie włosy do ramion, nosił niebieską kurtkę i lewisy, podczas gdy drugi, identycznie ubrany, był biały.



Strażnik pracował w tej szkole od siedmiu lat i dobrze znał z widzenia włóczęgów, którzy kręcili się wokół szkoły godzinami, ale na tych dwóch osobników nigdy się nie natknął.

Gwałciciel zaatakował ponownie wczesnym rankiem 8 marca, tym razem w Arden-Arcade. W „Sacramento Bee” ukazał się artykuł poświęcony napaści („Gwałt może być powiązany z całą serią”). Reporter odnotował, że „ofiara żyje w separacji z mężem i ma małe dziecko, które w ten poniedziałkowy wieczór przebywało gdzie indziej. Gwałciciel ze Wschodniej Strony nigdy nie atakuje, gdy w domu jest mężczyzna, choć od czasu do czasu wtedy, gdy są w nim dzieci”. Jeśli kiedykolwiek zadawano sobie pytanie, czy EAR czyta prasowe artykuły na swój temat, kwestia stała się nieaktualna wkrótce po opublikowaniu tego tekstu. Wprawdzie następną ofiarą gwałciciela była kolejna nastolatka, ale później napadał on na heteroseksualne pary, jedenaście z rzędu, i od tego momentu to one stały się głównym celem jego ataków.

18 marca ludzie z Biura Szeryfa odebrali trzy telefony między czwartą a piątą po południu. „To ja jestem EAR” – powiedział męski głos, dzwoniący zaśmiał się i rozłączył. Druga rozmowa miała taki sam przebieg jak pierwsza. Po czym mężczyzna zadzwonił trzeci raz: „Jestem Gwałcicielem ze Wschodniej Strony, namierzyłem już swoją następną ofiarę, a wy nie potraficie mnie złapać”.

Tego wieczora w Rancho Cordova szesnastoletnia dziewczyna po powrocie do domu z baru Kentucky Fried Chicken, gdzie pracowała dorywczo, postawiła na ladzie w kuchni torbę z jedzeniem i chwyciła za telefon, żeby zadzwonić do przyjaciółki. Jej rodzice wyjechali z miasta i zamierzała zatrzymać się u niej na noc. Jednak przy drugim dzwonku ujrzała nagle człowieka w zielonej masce narciarskiej, który wyłonił się z sypialni jej rodziców. W ręku trzymał uniesioną nad głową siekiere.

Tym razem ofierze udało się nieco lepiej przyjrzeć twarzy napastnika, ponieważ nosił maskę z wycięciem na środku twarzy. Kierując się przeczuciem, że gwałcicielem może być jakiś młody mieszkaniec Rancho Cordova, Richard Shelby i Carol Daly przynieśli ze sobą stertę szkolnych roczników z okolicy i zasiedli przy nich razem z ofiarą, przeglądając zdjęcia. Dziewczyna zatrzymała się przy pewnej fotografii z rocznika Folsom High School 1974. Wręczyła śledczym książkę, pokazując na jednego z chłopców. „Ten jest najbardziej podobny”.

Sprawdzili informacje na temat chłopaka. Emocjonalna niestabilność – ptaszek. Dziwne zachowania – kolejny. Pracował na stacji benzynowej przy Auburn Boulevard. Ukrywszy ofiarę z tyłu nieoznakowanego samochodu, poprosili ją, żeby przyjrzała się mu z odległości metra, gdy podjechali na stację zatankować paliwo. Jednak dziewczyna nie miała pewności.

Domy miały różny układ pomieszczeń. Część ofiar była nastolatkami, które przyciskając poduszkę do brzucha, z wyrazem zmieszania i bólu na twarzy kręciły głową w odpowiedzi na pytanie, czy wiedzą, co to jest „orgazm”. Inne były po trzydziestce, niedawno się rozwiodły z drugim mężem, chodziły na zajęcia w akademii piękności i aktywnie udzielały się w klubach dla singli. Mimo to śledczym, których wyrywano z łóżka wczesnym rankiem, scena zbrodni za każdym razem wydawała się odrętwiająco taka sama. Pocięte sznurowadła na grubym dywanie. Głębokie czerwone otarcia na nadgarstkach. Ślady włamania na ramach okien. Otwarte szafki w kuchni. Puszki po piwie i pudełka krakersów rozrzucone na patio albo w ogrodzie za domem. Ofiary słyszały szelest papierowej torby albo otwieranie zamka błyskawicznego, kiedy kradł grawerowaną biżuterię, prawa jazdy, fotografie, monety, czasami pieniądze, choć bez wątplenia kradzież nie była jego głównym motywem. Często pomijał cenniejsze przedmioty i często to, co ukradł, jak choćby ślubną obrączkę brutalnie ściągniętą z zapuchniętego

palca, porzucał gdzieś w pobliżu domu.

Drugiego kwietnia w jego *modus operandi* pojawił się nowy element i zagościł w nim na stałe. Pierwszą parę, którą zaatakował, zbudził strumień oślepiającego światła z latarki o kwadratowej soczewce. Napastnik stłumionym głosem wyszeptał, że ma pistolet („czterdziestkę piątkę z czternastoma kulami”), i rzucił w stronę kobiety zwinięty sznurek, po czym kazał jej związać chłopaka. Po skrępowaniu mężczyzny gwałciciel położył mu na plecach filiżankę ze spodkiem. „Jeśli usłyszę grzechot filiżanki albo sprężyny wydadzą jakiś dźwięk, pozabijam wszystkich w domu” – wyszeptał. Do kobiety powiedział w pewnym momencie: „Byłem w armii i dużo wtedy pieprzyłem”.

Często zastanawiano się, czy EAR ma jakieś związki z wojskiem. W odległości godziny jazdy od Sacramento znajdowało się pięć baz militarnych. W bazie Amerykańskich Sił Powietrznych Mather, graniczącej z Rancho Cordova, pracowało około ośmiu tysięcy osób. Z zeznań świadków wynikało, że napastnik ma upodobanie do wojskowych zieleni i czasami nosi sznurowane wojskowe buty do połowy łydki. Kilka ofiar, w tym osoby, które miały wojskowych w rodzinie, odniosło wrażenie, że jego niedopuszczające sprzeciwu zachowanie i sztywna postawa przypominają im kogoś, kto ma za sobą służbę w siłach zbrojnych. Sztuczka ze spodkiem, jego najczęściej stosowany system alarmowy, kojarzyła się niektórym z metodami używanymi podczas walki w dżungli.

Śledczy nie mogli się pogodzić z tym, że wciąż wywodzi ich w pole. Ciągłe był na wolności. Ludzie z Biura Szeryfa wypożyczyli od Stanowego Wydziału Leśnictwa kamery do instalowania na drzewach, zwykle używane do łapania podpalaczy. Nadszarpnęli budżet przeznaczony na nadgodziny, wysyłając patrole policjantów w cywilu, aby przemierzali okolice, w których gwałciciel pojawiał się najczęściej. Wypożyczyli wojskowe noktowizory

i detektory ruchu stosowane w Wietnamie. A mimo to nadal gdzieś się krył wtopiony w tło; człowiek, którego maską była jego zwyczajność.

Biuro Szeryfa sprowadziło wojskowego, pułkownika, który znał się na technikach stosowanych przez Siły Specjalne, aby pomógł im rozgryźć taktykę stosowaną przez gwałciciela. „Główny punkt, na który kładzie się nacisk w szkoleniu, to cierpliwość – powiedział pułkownik. – Człowiek odpowiednio wyszkolony może czekać bez ruchu w jednej pozycji godzinami, jeśli zajdzie taka potrzeba, i nawet nie drgnie”. Wyczulenie gwałciciela na dźwięki – często wyłączał klimatyzatory i urządzenia ogrzewające, żeby lepiej słyszeć – to także była umiejętność, którą ćwiczono w szeregach Sił Specjalnych. To samo dotyczyło noży, więzów i planowania licznych dróg ucieczki. „On potrafi wykorzystać każdą kryjówkę i na pewno tak zrobi – oświadczył pułkownik. – Szukajcie go tam, gdzie najmniej się spodziewacie znaleźć człowieka, na przykład na dnie wychodka albo w środku krzaka jeżyn”. Pułkownik w kółko powtarzał: pamiętajcie, cierpliwość. On jest głęboko przekonany, że jest odważniejszy niż wszyscy inni, i że ci, co go szukają, dadzą za wygraną, a on nie.

Shelby zastanawiał się, czy aby gwałciciel nie wymyka im się z jeszcze innego powodu. Zauważył, że rozmieszczali patrole policjantów, ubranych po cywilnemu, w okolicach, gdzie, jak wiadano, pojawiał się najczęściej, ale wtedy on atakował w innym miejscu. Wydawało się, że o wiele lepiej zna się na policyjnych procedurach niż zwykły obywatel. Zawsze nosił rękawiczki i parkował poza obszarem zwykle brany pod uwagę przez policję. „Stać. Ani kroku!” – zawołał pewnego razu do jednej z kobiet, kiedy próbowała mu się wymknąć. Shelby nie był jedynym, który zwrócił na to uwagę. Podobna myśl przychodziła do głowy także innym policjantom z Biura Szeryfa. Czyżby był jednym z nich?

Pewnego wieczora Shelby pojechał sprawdzić telefoniczną informację

o jakimś podejrzanym osobniku kręcącym się wokół domu. Kobieta, która zadzwoniła na policję, wydawała się zaskoczona, gdy Shelby zapukał do jej frontowych drzwi i się przedstawił. Jak powiedziała, już od kilku minut miała wrażenie, że policjant jest na miejscu; była gotowa przysiąc, że słyszała przed swoim domem odgłosy policyjnej krótkofalówki.

– Pozwoli tym, co go szukają, podejść do siebie na parę centymetrów, a mimo to nie drgnie – przestrzegali ich pułkownik.

Pod koniec kwietnia liczba ofiar sięgnęła siedemnastu. Gwałciciel ze Wschodniej Strony napadał średnio dwa razy na miesiąc. Jeśli zwracało się na to uwagę, a większość ludzi tak właśnie robiła, nie wróżyło to najlepiej.

A potem przyszedł maj.

Ludzie z Biura Szeryfa przyjęli ofertę pewnej wróżbitki, która oświadczyła, że potrafi zidentyfikować sprawcę. Podczas seansu śpiewała coś i jadła surowe hamburgery. Zastanawiali się też nad sporządzeniem biorytmu gwałciciela, ale dowiedzieli się, że to nie zadziała, jeśli nie mają daty jego urodzin. Koło północy 2 maja, nieco ponad dwa tygodnie po ostatnim ataku, trzydziestoletnia kobieta mieszkająca przy La Riviera Drive usłyszała na zewnątrz jakiś łomot, dokładnie taki sam, jaki powodowali jej synkowie, zeskakując z ogrodzenia na podwórko. Podeszła do okna, ale niczego nie zauważyła. Nagły snop światła latarki, pierwszy sygnał niebezpieczeństwa, zaskoczył ją i jej męża, majora sił powietrznych, około trzeciej nad ranem.

Dwa dni później jakiś człowiek w beżowej masce narciarskiej i ciemnogrnatowej kurtce, przypominającej kurtkę żołnierzy marynarki wojennej, wyłonił się z ciemności i rzucił się na młodą kobietę i jej współpracownika, gdy podchodzili do jej samochodu zaparkowanego na podjeździe jego domu w Orangevale. Obie sprawy wydawały się znajome. Głuche telefony wcześniej. Sztuczka z kubkiem i spodkiem. W jednym

przypadku niepokojące połączenie brutalnego gwałtu i nieoczekiwanej przerwy, jaką zrobił sobie napastnik, żeby zjeść w kuchni pudełko krakersów Ritz. W rozmowach ze śledczymi obie pary opisywały gwałciciela jako człowieka bardzo się starającego sprawiać wrażenie twardziela – niczym zły aktor, który oddycha zbyt głęboko, próbując udawać gniew albo szaleństwo. Kobieta z Orangevale powiedziała, że w pewnym momencie na kilka minut poszedł do łazienki; miała wrażenie, jak gdyby zmagał się w tym czasie z atakiem hiperwentylacji.

„Gwałciciel ze Wschodniej Strony atakuje po raz dwudziesty w Orangevale” – głosił następnego dnia nagłówek w „Sacramento Bee”.

W Biurze Szeryfa robiło się coraz bardziej niespokojnie. Szefowie, którzy normalnie dawali ludziom wolną rękę, teraz podenerwowani wydawali coraz to nowe rozkazy. Ledwo zaczął się maj, a już rozdysponowano prawie cały roczny budżet na pracę w nadgodzinach. Zalewały ich prowadzące donikąd telefony o eksnarzeczonych i pracownikach służb miejskich sprawdzających światła na ulicach. Z codziennych odpraw zniknęło wylegiwanie się na fotelach i leniwe popijanie ze styropianowych kubków, zastąpiło je nerwowe chodzenie tam i z powrotem i niespokojne zakładanie nogi na nogę. Detektywi wpatrywali się w mapy i usiłowali przewidzieć, gdzie gwałciciel zaatakuje po raz kolejny. Mieli poczucie, że uderzy gdzieś w okolicach Sunrise Mall w dzielnicy Citrus Heights; napływały stamtąd liczne doniesienia o włamaniach i tajemniczych osobnikach.

Około trzech kwadransów po północy 13 maja jakaś rodzina mieszkająca przy Merlindale Drive, niedaleko od Sunrise Mall, usłyszała, że ktoś chodzi po dachu. Psy zaczęły szczekać na sąsiednich podwórkach. Jeden z sąsiadów zadzwonił do niej około pierwszej z wiadomością, że słyszał, że u niego także ktoś chodzi po dachu. Dziesięć minut później pojawiły się radiowozy; osobnik biegający po dachach zniknął.

Następnego wieczora EAR zaatakował ponownie; ofiarami jego napaści okazali się młoda kelnerka i jej mąż, menedżer w restauracji, mieszkający przecznicę dalej.

Ludzie zaczęli kręcić głowami z niedowierzaniem. Pas o szerokości około piętnastu kilometrów położony wzdłuż rzeki American na wschód od miasta, w stronę niezmunicipalizowanych terenów hrabstwa Sacramento, znalazł się pod oblężeniem. Nikt już nie pytał o kontekst. Nie było pytań: „Czy słyszałeś?”. Tak, wszyscy słyszeli. Zamiast „Jest taki facet” wystarczyło „On”. Wykładowcy stanowego uniwersytetu zrezygnowali z nauczania i całe zajęcia poświęcali na dyskusje na temat gwałciciela, wypytywano o szczegóły każdego studenta, który miał jakieś nowe informacje.

Zmieniły się także związki okolicznych mieszkańców z naturą. Zniknęła zimowa mżawka i gęste mgły, przed którymi każdy wolał skryć się w domu, pojawiło się przyjazne ciepło, krzewy zazieleniły się, a kamelie obsypały czerwonymi i różowymi płatkami. Jednak ludzie zaczęli innym okiem spoglądać na zieleń drzew, z których tak dumne jest Sacramento, tych wszystkich błękitnych dębów i jesionów porastających brzegi rzeki, i bujny, zielony parawan okazał się teraz przeszkodą przesłaniającą widok. Wszystkich ogarnęło pragnienie oczyszczenia terenu. Mieszkańcy wschodniej strony miasta ścinali wokół swoich domów gałęzie drzew i wyrzucali całe krzewy z korzeniami. Nie wystarczało wzmocnienie przesuwanych szklanych drzwi dodatkowymi zasuwami. To mogło go powstrzymać, ale chcieli czegoś więcej; chcieli całkowicie pozbawić go jakiegokolwiek możliwości ukrycia się.

Do 16 maja światła świeżo zainstalowanych reflektorów zalały podwórka wschodniej strony, rozświetlone teraz niczym bożonarodzeniowa choinka. W jednym z domów do każdego okna i drzwi przymocowano tamburyny. Ludzie kładli młotek pod poduszkę. Od stycznia do maja sprzedano

w hrabstwie Sacramento około trzech tysięcy sztuk broni. Wiele osób w ogóle nie chciało spać między pierwszą a czwartą nad ranem. Niektóre pary sypiały na zmianę, jedno z nich zawsze siedziało na kanapie salonu ze strzelbą w rękach wycelowaną w okno.

Tylko szaleni zaatakowałyby ponownie.

17 maja wszyscy wstrzymali oddech, czekając na rozwój wydarzeń. Rankiem obudziła ich wiadomość, że EAR zaatakował po raz czwarty w tym miesiącu, był to dwudziesty pierwszy napad przypisywany mu w ciągu niecałego roku. Najnowsze ofiary, para w okolicy Del Dayo, oświadczyły policji, że gwałciciel groził, iż tej nocy zamorduje dwie osoby. W ciągu dwudziestu czterech godzin, między 17 a 18 maja, Biuro Szeryfa Hrabstwa Sacramento otrzymało 6169 telefonów, niemal wszystkie na temat gwałciciela.

17 maja policjanci odpowiedzieli na wezwanie zgłoszone o trzeciej pięćdziesiąt pięć rano. Trzydziestojednoletni mężczyzna, ofiara ataku, znajdował się na zewnątrz swojego domu w cienkiej, niebieskiej piżamie, z jego lewego nadgarstka zwisał kawałek białego sznurowadła. Mówił gniewnie mieszaniną angielskiego i włoskiego. „Co za pośpiech – powiedział do policjantów. – On zniknął. Ruszajcie za nim!” Kiedy Shelby przyjechał na miejsce zbrodni, rozpoznał natychmiast tego człowieka. W listopadzie, gdy razem z Carmen Daly odpowiadali w zatłoczonej sali ratusza na pytania dotyczące gwałciciela, ten człowiek wstał w pewnym momencie i krytykował śledztwo. Shelby wdał się z nim wtedy w ostrą pyskówkę. Do incydentu doszło sześć miesięcy wcześniej i może to był zbieg okoliczności, ale związek między tymi zdarzeniami pogłębił wrażenie, że gwałciciel jest na tyle bezczelny, że chodzi na publiczne spotkania poświęcone wysiłkom policji w jego sprawie i że lubi wtapiać się w tłum, obserwować i ma dobrą pamięć, a do tego cechuje go pewna złośliwa, okrutna cierpliwość.



Kolejna napaść, tuż obok American River Drive w Del Dayo niedaleko stacji uzdatniania wody, przypominała poprzednie, choć tym razem gwałciciel, jakby w zgodzie z temperaturą emocji, jakie ogarnęły całą społeczność, był wyjątkowo niespokojny. Jąkał się i nie wyglądało to na udawanie. Miał także do przekazania pewną wiadomość i dosłownie wypluł ją w twarz swojej ofierze, zgwałconej kobiecie, z gniewną ekscytacją. „Te pieprzone gnoje, te świnię... słyszysz mnie? Nigdy jeszcze nikogo nie zabiłem, ale teraz będę zabijał. Chcę, żebyś powiedziała tym pieprzonym gnojom, tym świniom, że pójdę teraz do domu, do swojego mieszkania. Mam tam kilka telewizorów. Posłucham radia i będę oglądał telewizję i jeśli usłyszę o tym jutro, wyjdę na miasto wieczorem i zabiję dwie osoby. Ktoś zginie”.

Ale mężowi ofiary, który leżał związany w sąsiednim pokoju, przekazał nieco inne przesłanie. „Powiedz tym pieprzonym świniom, że mogłem dziś w nocy zabić dwie osoby. Jeśli nie dowiem się o tym jutro z gazet i telewizji, jutro w nocy zabiję dwie osoby”.

Przed wyjściem pochłonął opakowanie krakersów i połowę melona.

Rankiem miasto obudziło się wśród hałaśliwych nagłówków „Sacramento Bee”: „Gwałciciel ze Wschodniej Strony atakuje dwudziesty trzeci raz, dziś w nocy zginą następne ofiary?”. W artykule donoszono, że Biuro Szeryfa zasięgnęło porady grona miejscowych psychiatrów i doszło do wniosku, że gwałciciel „przypuszczalnie cierpi na schizofrenię paranoidalną” oraz że prawdopodobnie znajduje się w stanie „homoseksualnej paniki z powodu nieadekwatnego (fizycznego) wyposażenia”. W artykule kilkakrotnie powtarzano tezę o fizycznych niedostatkach gwałciciela. Jednak można się było jedynie domyślać, czy na takim rodzaju prasowego rozgłosu mu zależało albo czy w ogóle go pragnął, podobnie jak nikt nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, czy naprawdę zamierza kogoś zabić.

Maj 1977 roku upłynął pod znakiem wstawiania krat w oknach i całonocnych patroli, które pojawiły się na ulicach: około trzystu mężczyzn zaczęło przemierzać osiedla we wschodniej części hrabstwa Sacramento w pikapach wyposażonych w CB radio. Okna i drzwi wyposażano w panele z twardego akrylu, wstawiano dodatkowe zasuwki. Pracownicy odczytujący liczniki trzymali w ręku swoje karty identyfikacyjne i wielokrotnie na cały głos obwieszczali swoje przybycie, wchodząc na posesje mieszkańców. Zamówienia na reflektory oświetlające podwórka za domem wzrosły od dziesięciu na miesiąc do sześciuset. W „Sacramento Union” ukazał się list typowy dla nastroju tamtego okresu: „Poprzednio nocą otwieraliśmy okna, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Ale to już się skończyło. Wychodziliśmy wieczorem z psem na spacer. Już tego nie robimy. Moi synowie czuli się bezpiecznie w swoim rodzinnym domu. To też się skończyło. Wszyscy spaliśmy spokojnie, nie budząc się na dźwięk każdego zwykłego odgłosu. To też się skończyło”.

Mniej więcej w tym czasie Shelby podczas patrolu w godzinach dziennych znalazł się pewnego razu w nieoznakowanym samochodzie na południe od Sacramento, w towarzystwie innego detektywa. Jechali na wschód; po lewej mieli krótką ulicę, na której młodzi ludzie grali w futbol dotykowy. Minął ich jakiś samochód, który bardzo powoli jechał na wschód. Prędkość auta była nietypowa, ale uwagę detektywa przykuło coś innego: niezwykle napięcie, z jakim kierowca obserwował mecz. Shelby przyjrzał się bliżej zawodnikom; grali sami chłopcy, ale na pozycji quarterbacka dostrzegł młodą kobietę z długimi włosami, gdzieś około dwudziestki. Kilka minut później ten sam samochód drugi raz pojawił się w okolicy, znowu jechał powoli i kierowca jak wcześniej intensywnie przyglądał się graczom. Shelby zanotował markę i model auta. Kiedy samochód minął ich trzeci raz, zapisał numer rejestracyjny i przekazał go przez radio. „Jeśli pojawi się jeszcze raz,

zatrzymamy go” – powiedział do swojego partnera. Ale kierowca, blondyn z cienką szyją, tuż po dwudziestce, już się nie pokazał. Jego skupiona, czujna uwaga mocno zapisała się w pamięci Shelby’ego. Podobnie jak to, że kilka dni później gwałciciel po raz pierwszy zaatakował w południowym Sacramento, jakieś półtora kilometra od tego miejsca.

Okazało się, że numer rejestracyjny samochodu nie występuje w policyjnej bazie danych.

Zdażyłam się przekonać, że zasiedziałyh mieszkańców Sacramento cechuje pewna trzeźwa rzeczowość i dumne poczucie, że potrafią o siebie zadbać. Umówiłam się pewnego razu na rozmowę w porze śniadania w centrum miasta, w butikowym hotelu, gdzie się zatrzymałam. Mąż mojej rozmówczynie, stolarz zajmujący się wyrobem mebli, przyszedł razem z nią na spotkanie. Zdażyłam już zamówić śniadanie: zdekonstruowane jogurtowe parfait, które podano mi w maleńkim słoiczku razem ze staroświecką srebrną łyżeczką. Zachęcałam swoich gości, żeby też coś sobie zamówili, ale kiedy kelnerka zwróciła się do męża kobiety, pokręcił głową i uprzejmie się uśmiechnął. „Zrobiłem już sobie rano swoje śniadanie”. W tym momencie oblizywałam ten zdekonstruowany jogurt z łyżeczki.

Wspominam o tym tylko dlatego, żeby unaocznić kilka spraw. Na przykład dwa dni po ataku z 17 maja pewien miejscowy dentysta publicznie ogłosił, że ustanawia nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów (potem podniósł ją do dwudziestu pięciu tysięcy) oraz że z pewnym biznesmenem założył oddolny ruch EARS Patrol (East Area Rapist Surveillance Patrol, Patrol Terenowy w sprawie Gwałciciela ze Wschodniej Strony). Setki miejscowych mężczyzn wzięło udział w wiecu, po czym wyposażeni w CB radia zaczęli patrolować wschodnią stronę miasta w samochodach, jeżdżąc przez całą noc. Zastępca szeryfa dał wyraz swojemu niezadowoleniu z takiego obrotu wypadków w artykule zamieszczonym

w „Sacramento Bee” z 20 maja. Zasadniczo miał jedno przesłanie: Proszę, nie róbcie tego. Mimo to obywatelskie polowanie na gwałciciela trwało nadal wśród hałasów i świateł reflektorów helikoptera wypożyczonego z California Highway Patrol, który nieubłaganie krążył nad okolicą.

Inny przykład: w artykule zamieszczonym w „Sacramento Union” z 22 maja, pod tytułem „Dwie ofiary wspominają Gwałciciela ze Wschodniej Strony”, cytowano wypowiedź kobiety ukrywającej się pod pseudonimem Jane; zamieszczono jednak tak wiele charakterystycznych dla niej szczegółów, że gwałciciel, gdyby przeczytał tekst, mógłby łatwo ją rozpoznać, co sprawia, że jej słowa tym silniej zapadają w pamięć.

„Poczułabym się oszukana, gdyby ktoś po prostu rozwalił mi głowę. Proszę ich, żeby celowali niżej” – powiedziała.

Rankiem w piątek 27 maja, wraz z początkiem weekendu Dnia Pamięci, Fiona Williams<sup>[7]</sup> po skończeniu kilku prac porządkowych w domu zabrała swojego trzyletniego synka Justina<sup>[8]</sup> do Jumbo Market przy Florin Road, żeby zrobić zakupy spożywcze. Potem podrzuciła go do opiekunki i pojechała na umówione spotkanie z optykiem. Odebrała wypłatę w bibliotece, gdzie pracowała na część etatu, i zawiozła pieniądze do banku, po czym wybrała się na kolejne zakupy do Penneys. Odebrała Justina i pojechała z nim do Mel’s Coffee Shop na obiad. Po powrocie do domu pływali przez chwilę w basenie. O zmierzchu podlała trawnik od frontu, nadal w kostiumie kąpielowym, Justin bawił się w pobliżu.

Oczywiście Fiona zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje, w wiadomościach lokalnej telewizji każdego wieczoru aż huczało od historycznych relacji, ale nie sądziła, że musi jakoś szczególnie uważać. W końcu to był Gwałciciel ze Wschodniej Strony. Nigdy jeszcze nie zaatakował w południowym Sacramento, w okolicy, gdzie mieszkała

w nowym domu ze swoim mężem Phillipem i Justinem. Ale trudno było zapomnieć o gwałcicielu. Phillip pracował jako kierownik w stacji uzdatniania wody w Del Dayo. Para, która padła ofiarą ostatniego ataku, z 17 maja, mieszkała zaledwie parę kroków od stacji. Phillip pracował na zmiany, więc kiedy przyjechał wtedy do pracy, koledzy wyjaśnili mu przyczynę pojawienia się chmary policjantów po drugiej stronie ulicy. EAR przystawił pistolet do głowy napadniętego mężczyzny. „Zamknij się, jeśli powiesz jeszcze słowo, to cię zabiję, rozumiesz?”

Phillip nie znał tamtej pary; to byli dla niego obcy ludzie odgradzeni przez kordon policyjnych radiowozów, przedmiot plotek powtarzanych ściszym głosem w miejscu pracy. Ale wkrótce będzie miał okazję ich poznać.

Kiedy Phillip wrócił z pracy do domu, jakieś pół godziny po północy, Fiona i Justin już spali. Wypił piwo, pooglądał trochę telewizję, a potem położył się do łóżka i zasnął. Jakies dwadzieścia minut później oboje z Fioną zbudzili się jednocześnie i zaczęli się do siebie przytulać. Kilka minut później zaskoczył ich nagle jakiś chrobot w sypialni. Przesuwane szklane drzwi na patio otworzyły się i pojawił się w nich człowiek w czerwonej masce narciarskiej. Natychmiast zrozumieli, kto to jest, co w niczym nie osłabiło ich przerażenia. Przeżycie było prawdziwie surrealne, jak gdyby jakaś postać z filmu, którą przed chwilą oglądaliście na ekranie telewizora, nagle wychynęła zza zasłony i zaczęła do was mówić. Mężczyzna w lewej ręce trzymał długą latarkę. Drugą wymachiwał czymś, co wyglądało jak pistolet kalibru 45, i wyciągnął go w stronę strumienia światła, żeby im pokazać.

– Leżcie spokojnie albo was wszystkich pozabijam – oznajmiał. – Zabije ciebie, zabiję ją. Zabiję waszego dzieciaka.

Rzucił w stronę Fiony kawałek sznurka i kazał jej związać Phillipa. Potem sam ją związał. Przeszukiwał mieszkanie, groził, jego latarka migotała

w sypialni w chaotycznych ruchach. Postawił talerze na grzbiecie Phillipa, a potem zaprowadził Fionę do salonu.

– Dlaczego to robisz? – spytała.

– Zamknij się! – syknął do niej.

– Przepraszam – powiedziała odruchowo w odpowiedzi na to, że ktoś na nią krzyczy.

– Zamknij się!

Popchnął ją na podłogę w salonie, gdzie poprzednio porozkładał ręczniki. Zgwałcił ją kilka razy, a potem powiedział: „Mam coś dla ciebie, żebyś przekazała tym pieprzonym świniom. Wszystko pomieszali ostatnim razem. Powiedziałem, że zabiję dwie osoby. Nie zamierzam was zabić. Jeśli to pojawi się w telewizji albo w jutrzejszych gazetach, zabiję dwie osoby. Słyszysz? Czy ty mnie słyszysz? Mam telewizory w swoim mieszkaniu i wszystkie będą włączone. Jeśli to będzie w wiadomościach, zabije dwie osoby”.

Kiedy wspominał o telewizorach, przez głowę Fiony przebiegł obraz Lyndona Johnsona patrzącego w Gabinetie Owalnym na trzy telewizory, które stały obok jego biurka, migawka często odtwarzana w telewizyjnych wiadomościach w latach sześćdziesiątych. EAR w zauważalny sposób zacinał się na głosce „ł”, zwłaszcza w takich słowach jak „słuchać”. Oddychał spiesznie – głośno wciągał powietrze. Miała niemal nadzieję, że udaje, bo jeśli nie udawał, to brzmiał naprawdę jak ktoś obłąkany.

– Moja mama jest przerażona, kiedy mówią o tym w wiadomościach – powiedział, dysząc nerwowo.

Kilka minut po czwartej rano pierwszy policjant wszedł do domu Fiony przez otwarte tylne drzwi na patio i z pewnym wahaniem ruszył w stronę dobiegających z głębi domu wołań kobiety. Leżała twarzą do dołu na podłodze salonu, była naga i miała skrępowane sznurowadłami ręce

w nadgarstkach oraz nogi w kostkach. Jakiś zamaskowany nieznajomy przez półtorej godziny terroryzował ją i jej męża. Brutalnie ją zgwałcił. Fiona miała sto pięćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu i ważyła około pięćdziesięciu kilogramów – prawdziwe piórko. Była także mieszkanką Sacramento z urodzenia, osobą trzeźwą, rzeczową i mimo drobnej postury twardo patrzącą na życie.

– No cóż, domyślam się, że Gwałciciel ze Wschodniej Strony jest teraz Gwałcicielem z Południowej Strony – powiedziała[9].

Shelby przyjechał do żółtego domu z brązowymi ozdobami o piątej rano. Technicy pracujący na miejscu zbrodni rozłożyli plastikowe torebki na podłodze w miejscu, gdzie doszło do gwałtu, żeby ochronić dowody. Z tyłu domu na patiu znaleziono zieloną butelkę po winie i dwie paczki kiełbasek rzucone na ziemię jakieś pięć metrów od drzwi. Shelby poszedł za psem policyjnym i jego opiekunem, kiedy pies podjął trop i poszedł przez podwórko za domem w stronę kwietnika w północno-wschodnim rogu, gdzie znaleźli odciski butów.

Obok domu biegła autostrada 99 i w miejscu, gdzie pies zgubił trop, na poboczu jednego z pasów jezdni w kierunku północy, znaleźli odciski opon niedużego samochodu, jak się wydawało zagranicznej produkcji, może to był volkswagen garbus. Technik wyciągnął taśmę do mierzenia. Rozstaw śladów opon wynosił, od osi do osi, sto trzydzieści centymetrów.

Tuż po napaści, gdy śledczy z notatnikami w dłoniach pytali Fionę, czy nie przypomina sobie jakichś szczegółów, jedyną rzeczą, jaka wydawała jej się trochę dziwna tego wieczora, były drzwi do garażu. Chodziła kilka razy z domu do garażu i z powrotem, robiąc pranie, i była pewna, że boczne drzwi prowadzące do garażu były zamknięte. Ale kiedy wróciła któregoś razu, były otwarte. Pomyślała, że to wiatr. Zamknęła je i zablokowała. Mieszkali w tym domu zaledwie od trzech tygodni i dopiero przyzwyczajali się do jego

rozkładu i osobliwości. Dom był narożny, miał cztery sypialnie i basen w ogrodzie z tyłu. Jeden obraz nie dawał Fionie spokoju; jakiś mężczyzna stał obok niej, gdy oboje oglądali ten basen podczas dnia otwartego, zorganizowanego przez agenta nieruchomości. Nie wiedziała, dlaczego zapamiętała ten moment. Może stał za blisko? Może stał odrobinę za długo? Próbowała odtworzyć z pamięci jego twarz, ale nic nie potrafiła zobaczyć. Mężczyzna – to wszystko.

Autostrada 99 biegła tuż obok ich domu oddzielona od nich przez jakieś sto metrów piachu i rząd dużych drzew iglastych; bezpośrednio za nimi, po drugiej stronie ogrodzenia z metalowej siatki, leżała pusta działka. Teraz Fiona zaczęła inaczej postrzegać tę otaczającą ich otwartą przestrzeń niż na początku; to, co niegdyś zapewniało przyjemne poczucie swobody, stało się sygnałem zagrożenia. Pierwotnie nie mieli takich planów, ale po tym, co się wydarzyło w ten weekend Dnia Pamięci, wydali razem z Phillipem trzy tysiące dolarów, choć nie bardzo ich było na to stać, na ceglany mur wokół swojego nowego domu.

Shelby zauważył na frontowym ganku tabliczkę z napisem „Sprzedane”, umieszczoną przez firmę handlu nieruchomościami. Jednym ze znaczących wątków śledztwa było poszukiwanie czegoś, co łączyłoby ze sobą ofiary gwałciciela. Detektywi wręczali ofiarom szczegółowe kwestionariusze i starannie analizowali odpowiedzi. Obszary zainteresowań albo związki rodzinne, które wydawały się nadreprezentowane, obejmowały studentów, sferę edukacji, pracowników służb medycznych oraz wojskowych. Zauważono, że kilka ofiar odwiedzało tę samą pizzerię. Jednak bez wątplenia najczęściej powtarzający się schemat zależności miał związek z handlem nieruchomościami. W domu Jane, gdzie Shelby po raz pierwszy zetknął się z ofiarą gwałciciela, w październiku 1976 roku, zauważył na trawniku, bezpośrednio po drugiej stronie ulicy, tabliczkę firmy Century 21. Kilka ofiar



niedawno wprowadziło się do nowego domu, inne się wyprowadzały albo mieszkaly obok domów wystawionych na sprzedaż. W miarę upływu lat, gdy sprawa stawała się coraz bardziej skomplikowana, czynnik handlu nieruchomościami stale się pojawiał, ale jego znaczenie – jeśli miał jakiegokolwiek – pozostało niejasne aż do chwili, gdy pewien agent handlu nieruchomościami wyjął ze skrzynki klucz do domu wystawionego na sprzedaż i natknął się w środku na ostatnią znaną ofiarę Gwałciciela ze Wschodniej Strony, piękną dziewczynę, którą trudno było rozpoznać po śmierci.

Po napaści na Fionę i Phillipa w weekend Dnia Pamięci gwałciciel zniknął z Sacramento na czas lata. Wrócił dopiero w październiku. W tym czasie Shelby został już odsunięty od sprawy i przydzielono mu ponownie służbę patrolową. Jego spięcia z przełożonymi przybierały coraz bardziej otwartą postać. Sprawy priorytetowe, nagłaśniane przez prasę, niczym magnes skupiają wokół siebie wewnętrzne rozgrywki personalne, a Shelby nigdy nie był zbyt dobry w te klocki. Głośno dawał wyraz swoim podejrzaniom dotyczącym korupcji w jego wydziale. Kiedy w 1972 roku został detektywem, jego szef, porucznik Ray Root, miał jakąś mglistą filozofię aktywnego działania. Idź na miasto, poszukaj informatorów – poradził Shelby’emu – i znajdź jakieś poważne przestępstwa, o których inaczej się nie dowiemy. Zamiast czekać, aż ci coś przydzielimy, poszukaj własnych spraw. Taki styl działania pasował do temperamentu Shelby’ego. Ale okazywanie uprzejmego zainteresowania ideami szefów – już nie. Twierdzi, że przenosiny go nie zabolaly. Miał już dość stresującego polowania na gwałciciela. Wyczerpywały go wewnętrzne przepychanki. Praca nad sprawą, o której mówią i piszą wszyscy, taką jak sprawa gwałciciela, oznacza, że wszyscy patrzają ci na ręce, a Shelby nie czuł się dobrze, kiedy mu się przyglądano; nie zapomniał o tym pełnym dumy

młodym człowieku, który z nadzieją stał przed komisją rekrutacyjną w Biurze Szeryfa i którego odesłano do domu, ponieważ uznano, że brakuje mu pewnej części ciała.

W następnych dniach po napaści Fiona zauważyła, że zaczyna się jąkać tak jak EAR. Carol Daly zorganizowała w domu jednej z ofiar gwałciciela spotkanie w gronie napadniętych przez niego kobiet. Fiona wspomina, że wymieniały ze sobą półgłosem uwagi: „Dobrze sobie radzisz” albo „Przez pięć dni nie wychodziłam z domu”. Śledcza odtworzyła im kilka nagrań męskich głosów, ale Fiona nie przypomina sobie, żeby któraś z nich kogoś rozpoznała. Pamięta też, że przez jakiś czas irracjonalnie dbała potem o swoje osobiste bezpieczeństwo. Wieczorami nie chciała chodzić do sypialni położonej z tyłu domu, dopóki Phillip nie wrócił z pracy. Czasami trzymała naładowaną broń pod siedzeniem kierowcy w swoim samochodzie. Przekonała się, że chodzi cały czas podminowana, i gdy pewnego wieczoru z furią odkurzała w całym domu, przepaliła korki: w domu i na podwórku zapadły ciemności. Zaczęła histerycznie krzyczeć. Sąsiedzi – sympatyczna para w starszym wieku – którzy wiedzieli, co się stało, szybko przybiegli i naprawili bezpiecznik.

Wkrótce po napaści gwałciciela Phillip w czasie przerwy w pracy poszedł do domu, gdzie mieszkały inne ofiary podobnego ataku, i przedstawił się. Fionie powiedział o tym dopiero wiele lat później, ale od czasu do czasu wczesnym rankiem spotykał się z mężem tej drugiej kobiety, żeby wspólnie jeździć samochodem po okolicy, przeczesując spojrzeniem podwórka i puste działki. To przyspieszali, to zwalniali. Wypatrywali zarysów postaci kryjącej się wśród żywopłotów. Łączyła ich niewypowiedziana więź. Niewielu mężczyzn przeżyło to co oni, niewielu mogło zrozumieć, jak to jest, gdy z bezsilną wściekłością leżysz twarzą w dół na łóżku, zakneblowany i związany, i słyszysz, jak twoja żona krzyczy w sąsiednim pokoju. Polowali

na człowieka, którego twarzy nie znali. Ale to nie miało znaczenia. Chodziło tylko o to, żeby jechać przed siebie, nie mając skrępowanych dłoni, i coś robić.

Fragment z artykułu, jaki 28 lutego 1979 roku ukazał się w jednym z lokalnych tygodników, przez miejscowych zwanych Green Sheet, może rzucić pewne światło na to, jak wyglądało Sacramento w latach siedemdziesiątych. Nagłówek brzmi: „W oczekiwaniu na trzy procesy o gwałt”, podtytuł: „Pytania o zainteresowanie mediów”. Pierwszy akapit: „Biuro Obrońcy Publicznego zamierza wykazać, że ze względu na prasowy rozgłos, jaki towarzyszy sprawie Gwałciciela ze Wschodniej Strony, trzech mężczyźni oskarżeni o wielokrotne gwałty nie mogą liczyć na uczciwy proces w hrabstwie Sacramento”.

W lutym 1979 roku EAR już od dziesięciu miesięcy nie dopuścił się żadnego ataku na terenie hrabstwa Sacramento. Wiele wskazywało na to, że zmienił obszar działania i operuje teraz we wschodnim rejonie zatoki San Francisco. Jednak z artykułu można się dowiedzieć, że Biuro Obrońcy Publicznego przeprowadza sondaże telefoniczne wśród mieszkańców Sacramento, próbując ustalić, „do jakiego stopnia ze względu na działalność Gwałciciela ze Wschodniej Strony wśród miejscowej społeczności nadal utrzymuje się atmosfera lęku”. Biuro obawiało się, że rozgłos towarzyszący postaci tego gwałciciela może niekorzystnie wpłynąć na wybór członków ławy przysięgłych oraz że jej członkowie mogliby uznać klientów Biura – gwałcicieli znanych pod kryptonimami Woolly, Midday i City College – za winnych zarzucanych im czynów w opacznie rozumianej próbie ukarania niezidentyfikowanego sprawcy, którego przezwisko nadal budziło tak wielkie przerażenie, że wielu badanych w sondażu, usłyszawszy telefoniczne pytanie ankietera, potrafiło jedynie wysłuchać pierwszych czterech słów „Gwałciciel ze Wschodniej Strony”, po czym odkładało słuchawkę.

Pewne wyobrażenie o tym, jak wyglądało Sacramento w latach siedemdziesiątych, może dać informacja, że w artykule o trzech seryjnych gwałcicielach, których przyćmił ten czwarty, nie wspomina się nawet o piątym seryjnym gwałcicielu wciąż pozostającym na wolności. Gwałciciel znany jako Ranny Ptaszek działał w Sacramento od roku 1972 do początku 1976, gdy – jak się wydawało – zniknął z pola widzenia. Cztery lata włamań i napaści na tle seksualnym, około czterdziestu ofiar, a mimo to wyszukiwarka Google nadal pokazuje wzmianki o nim wyłącznie w związku z Gwałcicielem ze Wschodniej Strony.

Pewna kobieta przysłała do mnie e-mail o swoim, jak sądzi, bliskim spotkaniu z nim, do którego doszło, gdy była nastolatką. Razem z przyjaciółką poszły na skróty do swojej szkoły średniej w Arden-Arcade, osiedlu położonym po wschodniej stronie hrabstwa Sacramento. Pamięta, że tego ranka było zimno i prawdopodobnie była jesień albo zima 1976, a może 1977 roku. Postanowiły pójść cementową ścieżką, która biegła wzdłuż strumienia, i trafiły na tylne ogrodzenie czyjegoś podwórka. Kiedy się odwróciły, okazało się, że kilka metrów od nich stoi jakiś mężczyzna. Nosił czarną kominiarkę, która zasłaniała mu całą twarz oprócz oczu. Ruszył w ich stronę, trzymając jedną rękę w kieszeni. Autorka listu, niewiele myśląc, wyciągnęła rękę i zaczęła szukać klamki w ogrodzeniu. Furka otworzyła się i obie przyjaciółki z krzykiem wbiegły na podwórko. Pojawili się zaalarmowani przez hałas właściciele domu i wpuścili je do środka. Pamięta, że były wówczas przesłuchiwane przez śledczych. Napisała do mnie, żeby mi powiedzieć, że zamaskowany człowiek miał inną budowę, niż opisałam w swoim artykule poświęconym Gwałcicielowi ze Wschodniej Strony. Mężczyzna, którego spotkały, był wyjątkowo muskularny. „Aż za bardzo” – dodała.

Przesłałam tego e-maila do Shelby’ego, który nie pracuje już w Biurze

Szeryfa Hrabstwa Sacramento. „Prawdopodobnie naprawdę widziały Gwałciciela ze Wschodniej Strony – odpisał. – Jednak opis umięśnienia pasuje idealnie do Richarda Kislinga.”

Richard Kisling? Sprawdziłam, kto to taki – jeszcze jeden seryjny gwałcieł działający w okolicach Sacramento, który podobnie jak Gwałciciel ze Wschodniej Strony nosił narciarską kominiarkę i krępował mężów, zanim zgwałcił ich żony.

Problemy nękające Sacramento nie należały do wyjątków. Odsetek gwałtownych przestępstw stale rósł w Stanach Zjednoczonych przez całe lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte, osiągając szczyt w 1980 roku. W lutym 1976 roku na ekranach kin pojawił się film *Taksówkarz*; nikt się nie dziwił, że tę posępną opowieść o przemocy wychwalano jako wierny obraz tamtej epoki. Wielu emerytowanych policjantów, z którymi rozmawiałam – z Sacramento, ale także z innych miejsc – jednym głosem wspomina lata od 1968 do 1980 jako okres wyjątkowo ponury. Jednak w odróżnieniu od innych miejsc Sacramento, miasto zbudowane przez pionierów zmuszonych do pokonywania rzek i pokrytych śniegiem łańcuchów górskich, aby dotrzeć w to miejsce, jest znane z tego, że zamieszkują je ludzie, których niełatwo złamać.

Nie zamierzam opisywać Sacramento jako miasta dotkniętego przez plagę, ale chcę zwrócić uwagę na coś innego: w mieście zamieszkanym przez ludzi twardych i nękanym przez gwałtownych przestępców, jeden z tych ostatnich się wyróżniał.

Może okaże się pomocne w zrozumieniu, czym było Sacramento w latach siedemdziesiątych, a także trochę czym był EAR, jeśli powiem, że ilekroć mówię komuś z tamtejszych mieszkańców, że piszę książkę o seryjnym gwałcicielu z Sacramento, nikt nigdy nie spytał mnie, o którego mi chodzi.

---

---

[5] Pseudonim.

[6] Pseudonimy.

[7] Pseudonim.

[8] Pseudonim.

[9] To był jedyny znany atak EAR na południe od miasta. Dentysta, który współtworzył patrole EARS i zaproponował dziesięć tysięcy dolarów nagrody – media donosiły o tym bardzo często w tygodniu poprzedzającym atak – miał swoją praktykę pół kilometra dalej, co mogło być zupełnie przypadkowe, ale nie musiało.

## VISALIA

[Uwaga wydawcy: Poniższy rozdział został skomponowany na podstawie notatek Michelle oraz pierwszych szkiców tekstu *In the Footsteps of a Killer* (Śladami zabójcy) napisanego przez nią dla czasopisma „Los Angeles”, który pierwotnie ukazał się w lutym 2013 roku, a następnie był uzupełniany on-line].

Pewnego piątkowego ranka, pod koniec lutego 1977 roku, Richard Shelby siedział przy swoim biurku w siedzibie Biura Szeryfa Hrabstwa Sacramento, gdy rozległ się dzwonek telefonu. W słuchawce odezwał się sierżant Vaughan z wydziału policji miasta Visalia. Vaughan sądził, że ma informacje, które potencjalnie mogą być użyteczne dla osób prowadzących śledztwo w sprawie gwałciciela znanego jako EAR.

Od kwietnia 1974 roku do grudnia roku następnego w Visalii odnotowano prawdziwą plagę dziwnych włamań popełnionych przez młodego sprawcę, któremu tamtejsi policjanci nadali pseudonim Szperacz. W ciągu niecałych dwóch lat Szperacz zaatakował ponad sto trzydzieści razy, ale od grudnia 1975 roku nie odnotowano dalszych przejawów jego aktywności, a sześć miesięcy później rozpoczęła się seria gwałtów popełnionych przez Gwałciciela ze Wschodniej Strony w Sacramento. W dodatku wydawało się, że istnieje bardzo wiele podobieństw między sposobami działania obu sprawców. Być może warto by było się zająć tymi powiązaniem.

Szperacz był równie pracowity jak dziwaczny. Często jednej nocy włamywał się do kilku domów – czasami do czterech, czasem pięciu, a raz nawet do

kilkunastu. Wielokrotnie włamywał się do budynków na tych samych czterech osiedlach domków jednorodzinnych. Interesował się głównie pamiątkami o charakterze osobistym, takimi jak fotografie i obrączki ślubne, nie zwracając uwagi na rzeczy o większej wartości. Śledczy zauważyli, że ma szczególne upodobanie do balsamów do rąk.

Jednak niewątpliwie miał także cechy osoby perwersyjnej oraz złośliwej i najwyraźniej czuł awersję do życia rodzinnego. Jeśli znajdował jakieś rodzinne fotografie, darł je na strzępy albo ukrywał, czasami łamiąc przy tym ich ramki, ale niekiedy zabierał ze sobą całe zdjęcia. Rozlewał sok pomarańczowy z lodówki na ubrania wyciągnięte z szaf – zupełnie jak uprzykrzony dzieciak, który chce dokuczyć rodzicom. Z wielką satysfakcją zostawiał po sobie kompletny chaos. Wyglądało na to, że bardziej mu zależy na tym niż na kradzieży, stąd jego przezwisko. Wyjmował na przykład gotówkę z miejsc, gdzie ją schowano, i zostawiał na wierzchu łóżka. Chętnie przywłaszczał sobie świecidełka i osobistą biżuterię, skarbonki świnki i bony lojalnościowe ze sklepów, które można było następnie zamienić na gotówkę. Wyłączał urządzenia elektryczne i radioodbiorniki z zegarem. Lubił także zabierać jeden kolczyk z pary. Szperacz uwielbiał robić ludziom na złość.

Nie ulegało też wątpliwości, że jego włamania miały podtekst seksualny, o czym świadczyło jego zamiłowanie do grzebania w damskiej bieliźnie; często rozrzucał ją po pokoju albo układał w dziwnych miejscach. Pewnego razu wrzucił stertę majtek i biustonoszy do dziecięcej kołyski, kiedy indziej starannie porozkładał męskie bokserki w długą linię biegnącą przez cały korytarz, od sypialni do łazienki. Miał talent do znajdowania w domu wszystkiego, co można było wykorzystać jako lubrykant – ale szczególnie lubił balsam do rąk Vaseline Intensive Care. Był także sprytny; niemal zawsze zostawiał sobie więcej niż jedną drogę ucieczki, tak że gdyby nawet właściciele domu wrócili, zanim skończył swoje przeszukanie, miał kilka



dróg ewakuacji do dyspozycji. Stosował także własne systemy alarmowe, doraźnej natury, na przykład stawianie flakonów perfum albo sprayów na klamkach drzwi.

Wczesnym rankiem 11 września 1975 roku w kryminalnej karierze Szperacza nastąpił dramatyczny zwrot.

Było około drugiej w nocy. Szesnastoletnia córka Claude'a Snellinga, profesora dziennikarstwa w College of the Sequoias, obudziła się, czując, że ktoś ją dusi. Napastnik mocno zasłaniał jej usta swoją dłonią w rękawiczce, na szyi czuła ostrze noża. „Pójdiesz ze mną, nie krzycz albo cię dźgnę” – wyszeptał chropawym głosem intruz w kominiarce. Kiedy próbowała się opierać, wyciągnął rewolwer, grożąc: „Nie wrzeszcz, bo cię zastrzelę”. Wyprowadził ją tylnymi drzwiami.

Snelling zbudzony przez hałasy wybiegł na patio.

– Hej, co robisz, gdzie zabierasz moją córkę? – krzyknął.

Intruz wycelował i strzelił do niego. Trafił Snellinga w prawą stronę klatki piersiowej, siła strzału obróciła go wokół osi. Rozległ się kolejny strzał, tym razem kula trafiła profesora z lewej strony, przeszła przez jego ramię, a potem przeszła serce i oba płuca. Ranny zdołał dowlec się do domu i po kilku minutach zmarł. Napastnik trzykrotnie kopnął swoją ofiarę w twarz, po czym uciekł. To był biały mężczyzna, miał mniej więcej metr siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu oraz – jak opowiadała potem dziewczyna przesłuchującym ją policjantom – „wściekłość w oczach”.

Testy balistyczne wykazały, że rewolwer, którym posłużył się napastnik, miroku kaliber 38, został skradziony podczas włamania Szperacza dziesięć dni wcześniej. Śledczy dowiedzieli się także, że w lutym tego samego roku Claude Snelling po powrocie do domu zauważył podglądacza kucającego pod oknem pokoju jego córki. Rzucił się wtedy za nim w pogoń, ale zgubił go w ciemnościach.

Dowody mocno wskazywały na Szperacza. Policja zintensyfikowała swoją obecność po zmroku, przydzielając do nocnych patroli dodatkowe jednostki. Szczególne zainteresowanie policjantów wzbudził pewien dom położony w obszarze nadzwyczajnej aktywności Szperacza, przy West Kaveah Avenue, który już trzykrotnie był wcześniej celem włamań. Właśnie przed tym domem detektyw Bill McGowen 10 grudnia zaskoczył napastnika; podejrzany przeskoczył przez ogrodzenie, zaczął się pościg. Kiedy McGowen oddał strzał ostrzegawczy, podejrzany uniósł ręce na znak, że się poddaje.

– O mój Boże, nie. Nie rób mi nic złego – zapiszczał w dziwny sposób wysokim głosem. – Widzisz? Mam ręce w górze.

Mężczyzna o twarzy dziecka obrócił się delikatnie, niezauważalnie wyciągając z kieszeni kurtki rewolwer, po czym natychmiast strzelił do detektywa. Policjant upadł na plecy i nagle zrobiło się zupełnie ciemno. Kula trafiła w jego latarkę.

9 stycznia 1976 roku Bill McGowen i John Vaughan, detektywi z Wydziału Policji Visalii, wstali wcześniej niż zwykle i ruszyli w trzygodzinną drogę na południe do Parker Center, kwatery głównej Wydziału Policji w Los Angeles, położonej w centrum miasta. McGowen niedawno znalazł się twarzą w twarz z przestępcą, który wykazywał niemal niepojęty talent do unikania ścigających go policjantów i skupiał na sobie uwagę, prawdę powiedziawszy, całego wydziału policji w Visalii. Spotkanie McGowena twarzą w twarz ze Szperaczem uważano za ważny przełom w sprawie, zorganizowano więc zebranie detektywa ze specjalną jednostką śledczą policji Los Angeles, aby poddać go hipnozie, w nadziei, że być może mogłyby przy tej okazji wypłynąć jakieś nowe szczegóły.

W Parker Center policjanci z Visalii spotkali się z kapitanem Richardem

Sandstromem, szefem jednostki Los Angeles Police Department zajmującej się hipnozą. Zreferowali Sandstromowi najważniejsze szczegóły. McGowen narysował szkic sytuacyjny osiedla domów jednorodzinnych, gdzie doszło do jego spotkania ze Szperaczem. Policyjny rysownik na podstawie informacji McGowena sporządził portret pamięciowy, po czym wszyscy przeszli do pokoju 309. Szkic i rysunek położono przed McGowenem. O jedenastej dziesięć rozpoczęła się sesja hipnozy.

Sandstrom spokojnym głosem poprosił McGowena, żeby się zrelaksował. Następnie skierował uwagę detektywa na wydarzenia sprzed miesiąca. Wieczorem 10 grudnia 1975 roku kilku funkcjonariuszy policji wysłano w okolice Mount Whitney High School, przy czym część z nich ukryła się w z góry określonych miejscach, podczas gdy pozostali patrolowali pieszo okolice, jeden z nich w nieoznakowanym samochodzie. Celem tej skoordynowanej akcji było „wykrycie i zatrzymanie” ich największego przeciwnika, Szperacza z Visalii.

Poprzedniego wieczora McGowen odebrał szczególnie interesujący telefon. Rozmówczyni przedstawiła się jako pani Hanley<sup>[10]</sup> z West Kaweah Avenue. Dzwoniła w sprawie śladów butów. Czy detektyw pamięta, jak jej kiedyś powiedział, żeby sprawdzała, czy na terenie wokół domu nie ma śladów butów? Pamiętał.

W lipcu dziewiętnastolatka córka Hanleyów Donna<sup>[11]</sup> natknęła się na podwórku za domem na nieznanego mężczyznę w kominiarce. Po zawiadomieniu policji pani Hanley usłyszała radę McGowena, aby sprawdzała od czasu do czasu podwórko i zawiadomiła go, jeśli się pojawią ślady butów. I właśnie się pojawiły.

Na podstawie tej informacji McGowen otrzymał następnego wieczora zadanie patrolowania okolic domu Hanleyów.

Siedząc na fotelu w Parker Center, pod kierunkiem specjalisty od

hipnozy, McGowen wrócił wspomnieniem do tamtego wieczora.

Postanowił zająć pozycję od frontu, we wnętrzu garażu przy West Kaweah Avenue 1505. Miał przeczucie, że Szperacz może spróbować jeszcze raz wrócić do domu Hanleyów, gdzie zaobserwowano odciski jego tenisówek pod oknem sypialni Donny.

O siódmej wieczorem McGowen rozpoczął swoją nieskomplikowaną operację wywiadowczą. Pozostawił otwarte drzwi od garażu. Wyłączono wszystkie światła. Usiadł w ciemności, obserwując sąsiedni dom przez boczne okno, a jednocześnie starał się zwracać uwagę na każdego, kto przechodził obok garażu. Minęła godzina. Nic się nie działo. Minęło kolejne pół godziny.

Po czym, około ósmej trzydzieści wieczorem, jakaś pochylona postać zakradła się pod okno. McGowen czekał. Postać pojawiła się w drzwiach garażu i rozejrzała się wokół. McGowen szybko przejrzał w myślach możliwości. Właściciel domu? Inny policjant? Jednak jego wzrok zdążył się już przyzwyczaić do ciemności i detektyw potrafił dostrzec, że podejrzany osobnik jest ubrany na czarno i ma na głowie czapkę z daszkiem.

McGowen obserwował nieznajomego, który przeszedł wzdłuż boku garażu, kierując się na tyły budynku. Podejrzany był wysoki, poruszał się niezgrabnie i miał dziwne proporcje. McGowen wyszedł na zewnątrz i ruszył za nim, po czym skierował na niego światło latarki, gdy ten manipulował przy bocznej furtce.

Vaughan, kolega McGowena, robił notatki, podczas gdy detektyw, znajdując się w stanie hipnozy, przypominał sobie, co wydarzyło się następnie. Zaskakująca konfrontacja. Pościg w głąb podwórka. Krzyk przypominający krzyk kobiety.

– O mój Boże! Nie rób mi krzywdy!

– Czy to była kobieta? – spytał McGowena Sandstrom, hipnotyzer.

– Nie – odparł detektyw.

McGowen cały czas kierował światło swojej latarki na uciekającą przed nim postać i kilkakrotnie wzywał ją do zatrzymania się. Szperacz najwyraźniej wpadł w histerię; krzyczał co chwila: „Mój Boże, nie rób mi krzywdy, nie rób mi krzywdy!”, i uciekał co sił, po czym wreszcie przeskoczył przez niski płotek oddzielający sąsiednie podwórko. McGowen wyciągnął z kabury swój służbowy rewolwer i oddał ostrzegawczy strzał w ziemię. Szperacz zamarł i odwrócił się. Uniósł prawą dłoń w geście poddania się.

– Poddaję się – powiedział drżącym głosem. – Widzisz? Widzisz? Podniosłem ręce do góry.

Przypominając sobie pod wpływem hipnozy ten moment, McGowen zanurzył się w głębszy trans. Skupił się na twarzy oświetlonej strumieniem światła z latarki.

Jak u dziecka. Okrągła. Pulchna. Jak u dziecka... On się jeszcze nie goli... Bardzo jasna skóra. Miękka. Okrągła. Dziecięca twarz... – Dziecko...

Stojąc przy ogrodzeniu, McGowen z pewnością poczuł radość. Wyczerpujący półtoraroczny pościg dobiegł końca. Kilka sekund dzieliło go od schwytania przestępcy, który z taką zręcznością im umykał, że niemal wydawał się niewidzialny i niejednen policjant zastanawiał się, czy aby nie ścigają ducha. Ale Szperacz z Visalii istniał naprawdę. To był człowiek. Zły człowiek. Niemniej ich złowrogi przeciwnik nie sprawiał groźnego wrażenia. Pulchny chłopak – pomyślał McGowen – biegający niezgrabnie i błagający wysokim, piskliwym głosem, żeby nie robił mu krzywdy. McGowen nie zamierzał go skrzywdzić. Był człowiekiem pobożnym, starej daty, gliniarzem, który robił wszystko zgodnie z zasadami. Ekscytowała go sama świadomość, że koszmar się skończył. Przygwoździli zbrojeńca. McGowen zaczął przechodzić przez płot, żeby go aresztować.

Tyle że Szperacz uniósł do góry na znak kapitulacji tylko jedną rękę, prawą. Lewą wyciągnął z kieszeni kurtki niebieski stalowy rewolwer i bez wahania strzelił prosto w pierś detektywa. Na szczęście zadziałała pamięć motoryczna z policyjnych szkoleń – McGowen trzymał na wyciągnięcie ręki przed sobą swoją latarkę. Kula trafiła właśnie w nią. Siła wystrzału odrzuciła policjanta do tyłu. Jego partner zaalarmowany odgłosem strzelaniny błyskawicznie wbiegł na podwórko i zobaczył kolegę leżącego bez ruchu na ziemi. Sądząc, że został postrzelony, podbiegł do miejsca, gdzie – jak sądził – uciekł Szperacz, jednocześnie wzywając przez radio pomoc. Nagle usłyszał za sobą ruch. Błyskawicznie się odwrócił. To był McGowen. Na twarzy miał ciemne smugi prochu, czerwone, przekrwione oko. Poza tym nic mu się nie stało.

– Tam pobiegł – powiedział.

Siedemdziesięciu policjantów z trzech różnych jednostek odgrodziło cały obszar okolicznych domów. Ale nic nie znaleźli. Dziwnie zbudowany mężczyzna–dziecko uciekł i zniknął w mroku nocy niczym ćma połknięta przez ciemność, zostawiając za sobą porzuconą skarpetkę pełną kolekcjonerskich monet i biżuterii oraz dwa albumy z odcinkami talonów firmy Blue Chip.

Opowieść McGowena o dziwnym wyglądzie Szperacza i jego osobliwym sposobie zachowania zgadzała się z wcześniejszymi doniesieniami o bliskich spotkaniach mieszkańców Visalii z niemal wszechobecnym Tomem Podglądaczem.

Policjanci doszli do wniosku, że nigdy nie pojawia się w godzinach dziennych. Jest blady. Kilka osób, które miały okazję go zobaczyć, zwracało uwagę na jego cerę. Trudno zachować barwę skóry przypominającą kolor rybiego brzucha w takim mieście jak Visalia, położonym wśród pól

środkowej Kalifornii, w rejonie, gdzie latem temperatura przekracza trzydzieści pięć stopni. Aby zrozumieć, dlaczego ta bladość zwracała na siebie uwagę, warto pamiętać, że mieszkańcy Visalii w znacznej mierze są potomkami uciekinierów z rejonu Dust Bowl. Żyją zgodnie z wewnętrznym zegarem nastawionym przez naturę. Pamiętają ulewne deszcze, powodzie. Obawiają się suszy. Oparci o swoje pikapy obserwują popiół opadający z pożarów szalejących wśród lasów i zarośli pięćdziesiąt kilometrów dalej. Życie na świeżym powietrzu to nie jest w ich przypadku idea, ale twardy fakt. Skóra spalona słońcem to dla nich skrótowa oznaka wiedzy i wiarygodności. Mówi: wiem, co to znaczy pielęgnować drzewko cytrusowe; wiem, że „siekać bawełnę” to znaczy wyrwać motyką chwasty z pola bawełny; pływałem w nadmuchanej dętce samochodowej w dół St. John’s River, a alkaliczny pył obmywany z moich stóp przez wodę miał kolor słabej kawy.

Bladość na twarzy Szperacza wskazywała, że nie był jednym z nich. To było niezwykle, a tym samym podejrzane. Wskazywało na kogoś, kto żyje w ukryciu, spędzając czas na knuciu podejrzanych planów. Ścigający go detektywi z wydziału policji w Visalii nie mieli pojęcia, kim jest ani gdzie się zamelinował, ale wiedzieli, że porusza się nocą, i mieli dobre wyobrażenie o tym, co wyciąga go z domu.

Nastoletnim dziewczętom zasuwającym zasłony w oknach wydawał się mignięciem w mroku. Błyskiem dziwnego światła, które sprawiało, że zatrzymywały się w pół ruchu. Ale po ciemku trudno było cokolwiek zobaczyć. Jesienią 1973 roku, gdy Glenda<sup>[12]</sup>, piętnastoletnia dziewczyna mieszkająca przy West Feemster, zaciągając kotary, wyjrzała przez okno, zauważyła w krzakach jakiś przedmiot, marmurowo biały, okrągły jak księżyc. Z ciekawością uniosła do góry okno w sypialni, żeby się przyjrzeć. Człowiek z twarzą okrągłą jak księżyc odwzajemnił jej spojrzenie. W lewej

dłoni ścisnął śrubokręt.

A potem zniknął. Tam gdzie widziała nieduże, twardo patrzące na nią oczy, była tylko ciemność. Słyszała jedynie szelest, jakby jakieś stworzenie z gęstym ogonem uciekało od światła. Zaszleściły krzaki. Rozległo się głucho łupnięcie koło ogrodzenia. Tupot stóp cichł, ale to nie miało znaczenia. Krzyk wołania o pomoc przesłonił wszystko inne. W tym czasie, w 1973 roku, o dziewiątej wieczorem w Visalii zamykano wszystko i lokalne kłopoty ograniczały się głównie do sprzeczek mężczyzn skupiających się wokół rowów nawadniających, którzy kłócili się o dostęp do wody. Ale tego dźwięku nie sposób pomylić z niczym innym, kiedy człowiek go usłyszał. Filmy nie oddają prawdziwego wrażenia. Nie da się tego odtworzyć w studiu. Rozmowy milkną. Głowy nagle się odwracają. Bębenki uszne rozpoznają panikę, ponieważ nic innego nie oddaje z równą siłą ludzkiego przerażenia jak krzyk nastolatki, dziki i niepohamowany krzyk w środku nocy.

Bładość twarzy nieznanego nie była jedyną jej niepokojącą cechą. Tydzień po incydencie z nieznanym kręcącym się po podwórku chłopak Glendy Carl<sup>[13]</sup> czekał na nią przed domem. To był wczesnojesienny wieczór, jeszcze ciepły, a już ciemny. Dom Glendy w południowo-zachodniej części Visalii przypominał okoliczne domy sąsiadów w zamieszkaną przez klasę średnią dzielnicę niedaleko Mount Whitney High School: parterowy, solidnie zbudowany w latach pięćdziesiątych, o powierzchni około stu czterdziestu metrów kwadratowych, niespecjalnie duży. Carl siedział na trawniku. Jego postać niknęła w mroku mimo silnego światła padającego z jasno oświetlonych, dużych okien od frontu. Ze swojego miejsca w ciemności Carl zauważył jakiegoś człowieka, który pojawił się na ścieżce biegnącej wzdłuż kanału po drugiej stronie ulicy. Nieznajomy szedł powoli wzdłuż kanału, ale nagle się zatrzymał, kiedy jego wzrok przykuł jakiś widok. Carl spojrzał w tamtą stronę; mężczyzna patrzył na okno salonu,



w którym Glenda, ubrana w szorty i top, rozmawiała ze swoją matką. Mężczyzna opadł na dłonie i kolana.

Carl był akurat w domu Glendy tego wieczora, gdy dostrzegła nieznanego kręcącego się pod jej sypialnią; pobiegł wtedy za nim na podwórko sąsiada, ale tamten zniknął w ciemnościach. Carl wiedział, że patrzy teraz na tego samego człowieka, mimo to nie był przygotowany na to, co się potem wydarzyło. Nieznajomy zaczął na czworakach pełzać niczym żołnierz w stronę domu Glendy, jak gdyby przyciągnięty niczym magnesem przez widok w oknie.

Carl pozostał na swoim miejscu w ciemnościach. Począł, aż mężczyzna dotrze do żywopłotu od frontu. Intruz najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z jego obecności. Osiągnięcie maksymalnego efektu zaskoczenia oznaczało w tym wypadku wybranie właściwego momentu, żeby się odezwać. Carl poczekał, aż mężczyzna uniósł się nieco i zaczął ponad żywopłotem spoglądać w stronę domu.

– Co tutaj robisz?! – krzyknął Carl.

Mężczyzna skulił się zaskoczony, wrzasnął coś niezrozumiałego i uciekł w panice dziwnym, niemal wodewilowym krokiem. Glenda opisała twarz intruza jako pulchną. Z całą pewnością był dość otyły – potwierdził Carl – miał spadziste barki i grube nogi. Biegł jakoś niezgrabnie i niezbyt szybko. Pościg skończył się nagle, gdy nieznanomy skręcił w lewo i zniknął w altanie sąsiada, która z jednej strony była zasłonięta. Carl stanął przed altaną, blokując wyjście. Złapał tamtego w pułapkę. Dzięki światłom latarni Carl miał okazję przyjrzeć się bliżej facetowi, który podglądał jego dziewczynę. Miał jakieś metr siedemdziesiąt osiem, osiemdziesiąt kilo, krótkie, grube nogi i pulchne ramiona. Posklejane włosy blond, zaczesane na bok. Zadarty nos. Krótkie, mięsiste uszy i lekko skośnawe oczy; nieco wystającą dolną wargę. A także okrągłą twarz bez wyrazu.

– Co tutaj robisz, podglądając moją dziewczynę przez okno? – spytał Carl.

Mężczyzna odwrócił wzrok.

– Hej, Ben, wygląda na to, że ten facet nas złapał! – odezwał się na głos podekscytowany, jak gdyby wołał do jakiegoś współnika na boku.

Tylko że tam nikogo nie było.

– Coś ty za jeden? Co tutaj robisz? – spytał znowu Carl.

Mężczyzna milczał, więc Carl podszedł bliżej.

– Zostaw mnie w spokoju – powiedział tamten. – Odejdź.

Mówił powoli, niewyraźnie, z lekkim akcentem wieśniaka z Oklahomy.

Carl zrobił krok bliżej. Mężczyzna w odpowiedzi wetknął rękę do kieszeni. Nosił brązową bawełnianą kurtkę z elastycznymi mankietami; to był styl dość popularny wiele lat wcześniej, ale od tamtej pory wyszedł z mody.

– Zostaw mnie w spokoju – powtarzał matowym głosem. – Odejdź.

Carl zauważył, że mężczyzna ma w kieszeni, do której wsunął rękę, jakiś wystający przedmiot. Potrzebował jakiejś sekundy, żeby zrozumieć, o co chodzi; ale kiedy do niego dotarło, odruchowo się cofnął. To było bardzo dziwne, niepokojące uczucie – ujrzenie na moment mroczne poruszenia umysłu kryjącego się za maską beznamietnego spojrzenia. Za tą okrągłą twarzą gamonia w niemodnym ubraniu, mówiącego stłumionym głosem prostaka z Oklahomy, krył się, na co wskazywał ruch w stronę czegoś, co bez wątplenia było bronią, ktoś zupełnie inny. Carl odsunął się na bok. Kiedy tamten przechodził koło niego, Carl zauważył, że jego twarz jest blada i niezwykle gładka. Carl był pewien, że mężczyzna ma co najmniej dwadzieścia pięć lat, ale – co dziwne jak na kogoś w tym wieku, kto, jak mogliby powiedzieć w Visalii, osiągnął dojrzałość – nie wyglądało na to, aby kiedykolwiek się golił.

Carl przyglądał się nieznajomemu, który poszedł na północ Sowell Street.

Co kilka sekund obracał się za siebie, żeby się upewnić, czy Carl nie idzie za nim. Ale nawet wtedy, mimo niespokojnej mowy ciała, wskazującej na niepewność i lęk, blada twarz tego człowieka, okrągła i gładka, pozostała pusta i bez wyrazu jak skorupka jaja.

Jeszcze wcześniej, we wrześniu 1973 roku, Fran Cleary<sup>[14]</sup> przeżyła dziwne spotkanie przed swoim domem przy West Kaweah Avenue. Wsiadała właśnie do samochodu, gdy usłyszała jakiś hałas; uniosła wzrok i zobaczyła człowieka o jasnych włosach i gładkiej, okrągłej twarzy, który wyłonił się z jej podwórka. Wybiegając na ulicę, dostrzegł ją, zrobił do niej minę, zawołał: „Złapię cię później, Sandy!”, po czym pobiegł dalej na północ i zniknął z widoku. Fran opowiedziała o tym incydencie swojej piętnastoletniej córce Shari<sup>[15]</sup>. Wtedy Shari przyznała się, że tydzień wcześniej widziała kogoś, kto wyglądał mniej więcej tak samo i zaglądał przez okno do jej sypialni. Nieznajomy podglądacz prześladował obie kobiety przez dwa miesiące.

Po raz ostatni pojawił się w okolicach ich domu w październiku.

Od 1973 do początku 1976 roku liczne inne nastolatki i młode kobiety w sąsiedztwie natykały się na podglądacza zerkającego przez okno, który pasował do tego samego opisu.

Ale kiedy w połowie grudnia 1976 roku opublikowano w miejscowej prasie portret pamięciowy sporządzony na podstawie wspomnień Billa McGowerna ze spotkania ze Szperaczem – nigdy więcej nie pojawił się w Visalii.

Mimo to śledztwo w sprawie Szperacza toczyło się nadal pełną parą. W przypadku nierozwiązanej sprawy seryjnych przestępstw, aby uzyskać jakiś postęp, zwykle trzeba się cofnąć. Jeszcze raz przejrzano wcześniejsze raporty, przyglądając się im, niczym przez lupę, w kontekście późniejszych

wydarzeń. Ponownie skontaktowano się z ofiarami i ze świadkami. Czasami wspomnienia wracają w bardziej wyrazistej postaci. Niekiedy przy tej okazji wypływa jakiś przeoczony trop. Ktoś przypomina sobie o jakimś wydarzeniu, którego nie odnotowano w oficjalnych raportach. Nieraz jest nazwisko, ale brakuje numeru telefonu. Śledczy dzwonią do nowych świadków.

Detektywi z Visalii pozostający w 1977 roku w kontakcie z kolegami z Sacramento odnotowali przynajmniej kilkanaście podobieństw między oboma sprawcami. Choćby takie: obaj przetrząsali domy. Obaj kradli drobiazgi i osobistą biżuterię, pozostawiając na miejscu rzeczy o większej wartości. Obaj działali w podobny sposób, zakradając się do śpiących ofiar i zasłaniając im usta ręką. Obaj używali tego, co znaleźli pod ręką, jako doraźnych systemów alarmowych. Obaj mieli podobną metodę włamywania się z wykorzystaniem jakiegoś narzędzia, którym odłamywali kawałek framugi, żeby ominąć okucia zamków. Obaj przeskakiwali przez ogrodzenie. Obaj mieli około metra siedemdziesięciu pięciu wzrostu. Obaj zabierali z okradanych domów damskie torebki, a potem wyrzucali ich zawartość na ulicę. To była imponująca lista. Śledczy z Visalii sądzili, że są na tropie czegoś ważnego.

Ludzie z Biura Szeryfa Hrabstwa Sacramento przyjrzeni się obu seriom przestępstw i dostrzegli niepodważalne różnice. Przede wszystkim nie zgadzało się sześć z dziewięciu punktów na liście *modus operandi*. Sprawcy zostawiali różne odciski butów. Mieli różną wielkość stóp. EAR nie kradł znaczków emitowanych przez Blue Chip. Zasadniczo różnił się opis fizycznej budowy obu podejrzanych. W końcu opisy Szperacza wskazywały na postać bardzo charakterystyczną: kogoś o dziecinnej twarzy, pulchnych kończynach i palcach oraz gładkiej bladej cerze. Gwałciciel tymczasem był opisywany jako mężczyzna średniej budowy, nawet szczupły, jedna ofiara nazwała go wręcz chudym. W miesiącach letnich wydawał się opalony. Nawet gdyby

Szperacz stracił na wadze, wydawało się mało prawdopodobne, żeby mógł do tego stopnia się zmienić.

Policjanci z Visalii nie zgadzali się z taką opinią i zwrócili się do gazet. W lipcu 1978 roku w „Sacramento Union” ukazał się artykuł, w którym opisywano możliwość istnienia związku między tymi sprawami i krytykowano Biuro Szeryfa Hrabstwa Sacramento za wąskie horyzonty. Następnego dnia Biuro odpowiedziało w prasie na atak, zarzucając „Sacramento Union” nieodpowiedzialne dziennikarstwo i oskarżając Wydział Policji w Visalii o szukanie rozgłosu oraz rozpaczliwą próbę poprawy swojego wizerunku.

Niemniej detektywi z Sacramento pozostali otwarci na możliwość istnienia jakiegoś związku. Richard Shelby od czasu do czasu przyglądał się niektórym wątkom. Biuro Szeryfa Hrabstwa Sacramento zwróciło się także do miejscowych firm o listy pracowników, którzy przenieśli się z rejonu Visalii do Sacramento między grudniem 1975 roku a kwietniem 1976 roku. Znalaziono dwie takie osoby. Obaj mężczyźni zostali następnie wyeliminowani z grona podejrzanych.

Czterdzieści lat później oficjalne opinie policjantów nadal są podzielone, choć większość skłania się ku istnieniu takiego związku. Ken Clark, obecnie główny śledczy w Sacramento, uważa, że obie serie przestępstw były dziełem tego samego sprawcy. Podobnie sądzi FBI. Paul Holes, główny śledczy z Contra Costa, jest przeciwnego zdania. Jak szybko zauważa, nie sposób cudownie zmienić budowy ciała.

---

[10] Pseudonim.

[11] Pseudonim.

[12] Pseudonim.

[13] Pseudonim.

[14] Pseudonim.

[15] Pseudonim.

## HRABSTWO ORANGE, 1996

Roger Harrington doszedł do pewnego przekonania, które podtrzymywał z uporem mimo nieprzyjemnych implikacji. W tekście opublikowanym w czasopiśmie „Orange Coast” w październiku 1988 roku, osiem lat po morderstwie jego syna i synowej, cytowano jego wypowiedź, że motyw tej zbrodni z całą pewnością krył się gdzieś w dawniejszym życiu Patty, a nie Keitha. Pobrali się zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Oczywiście Patty nie można było niczego zarzucić, ale ile tak naprawdę wiedzieli o jej przeszłości? Zwłaszcza jeden szczegół podsycił pewność Rogera Harringtona, że ofiary musiały znać zabójcę: kapa na ich łóżku. Morderca zatroszczył się o to, aby ją zaciągnąć, zasłaniając ich głowy.

– Ktokolwiek to zrobił, znał ich i żałował tego, co się stało – powiedział Roger dziennikarzom.

W dawniejszych czasach nierozwikłane zagadki znajdowały rozwiązanie w następstwie jakiegoś nieoczekiwanego telefonu – ostrego dzwonka aparatu z okrągłą tarczą, zapowiadającego czyjeś przedśmiertne wyznanie, albo cynku podrzuconego przez kogoś, kto znał jakieś dające się zweryfikować fakty. Jednak telefon nigdy nie zadzwonił w sprawie Keitha i Patty Harringtonów ani Manuela Witthuhn. W tym wypadku przełom w śledztwie pojawił się w postaci trzech szklanych fiolek przechowywanych w pomarańczowych papierowych kopertach, do których nikt nie zaglądał przez piętnaście lat.

Jak można się spodziewać, niewiele osób powitałoby tę wiadomość

z większym entuzjazmem niż Roger Harrington. Widmowa twarz zabójcy jego syna zajmowała rozległe puste obszary na mentalnej mapie Rogera. Zamieszczona w „Orange Coast” opowieść o poszukiwaniu przez niego zabójcy Keitha i Patty kończy się przygnębiającym, szczerym wyznaniem: „Dlatego jeszcze żyję, nie chcę odejść, dopóki go nie znajdę”.

Trzy fiołki, które popchnęły naprzód śledztwo w sprawie morderstwa Harringtonów, zostały otwarte i poddane testom w październiku i listopadzie 1996 roku. W grudniu, z wynikami w ręku, śledczy z Biura Szeryfa Hrabstwa Orange byli gotowi na kilka rozmów telefonicznych z rodzinami ofiar. Jednak Roger Harrington nie dożył tej wiadomości. Zmarł półtora roku wcześniej, 8 marca 1995 roku.

Gdyby Roger dożył tej chwili, dowiedziałaby się nieco więcej o historii zabójcy. Dowiedziałaby się także, że się mylił co do tego, dlaczego głowy jego syna i synowej zostały zasłonięte kapą. Nie chodziło o wyrzuty sumienia. Kiedy zabójca poprzednim razem zatłukł swoje ofiary na śmierć, krew pryskała na wszystkie strony; nie chciał, żeby krew Keitha i Patty tym razem go poplamiała.

W niedzielny poranek w 1962 roku pewien brytyjski chłopiec roznoszący gazety znalazł przy drodze ciało martwego kota. Dwunastolatek włożył kota do torby i przyniósł ze sobą do domu. Działo się to w Luton, mieście położonym niecałe pięćdziesiąt kilometrów na północ od Londynu. Chłopiec miał trochę wolnego czasu przed lunchem, więc położył kota na stole w salonie i zaczął przeprowadzać sekcję, używając zestawu domowej roboty, obejmującego skalpel zrobiony z rozpląszczonej spinki. Po całym mieszkaniu rozniósł się ohydny fetor, co wywołało zrozumiałą reakcję rodziny chłopca. Gdyby kot jeszcze żył, kiedy rozpruwano mu brzuch, anegdota mogłaby być opowiastką z życia Teda Bundy’ego. Ale bohater tej historii, początkujący naukowiec, w przyszłości zostanie największym przeciwnikiem seryjnych



zabójców, twórcą swego rodzaju kryptonitu, który odbierze im moc. Nazywa się Alec Jeffreys. We wrześniu 1984 roku Jeffreys odkrył metodę identyfikacji za pomocą DNA i w ten sposób zmienił na zawsze dzieje kryminalistyki oraz wymiaru sprawiedliwości.

Między pierwszą generacją metod analizy DNA a ich dzisiejszą postacią jest mniej więcej taka sama różnica jak między komputerem Commodore 64 a smartfonem. Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych laboratorium kryminalistyczne Hrabstwa Orange zaczęło włączać testy DNA do swojego arsenału, specjalista z zakresu kryminalistyki potrzebował do czterech tygodni, aby rozstrzygnąć jedną sprawę. Biologiczna próbka poddana testom musiała być dość duża – na przykład plama krwi wielkości ćwierćdolarówki – i zachowana w dobrym stanie. Obecnie wystarczy kilka komórek naskórka, aby w ciągu kilku godzin sporządzić genetyczny odcisk palca.

Ustawa z 1994 roku, *DNA Identification Act*, pozwalała FBI na utworzenie ogólnokrajowej bazy danych, dzięki czemu narodziła się baza CODIS (*Combined DNA Index System*). Aby wyjaśnić, w jaki sposób CODIS działa współcześnie, najlepiej wyobrazić sobie, że znajduje się ona na szczycie ogromnej piramidy instytucji pracujących na potrzeby kryminalistyki. U podstawy tej piramidy znajdują się setki lokalnych laboratoriów kryminalistycznych w całym kraju. Te laboratoria gromadzą nierozpoznane próbki DNA z miejsca zbrodni wraz z próbkami DNA części osób podejrzanych, które udało się zebrać, po czym przekazują wyniki do stanowych baz danych; w Kalifornii informacje o DNA z takich próbek są automatycznie wczytywane w każdy wtorek. Stan odpowiada także za zbieranie próbek DNA pochodzących z więzień i sądów. Stanowe bazy danych poddają następnie wszystkie zgromadzone próbki procesowi weryfikacji oraz porównywania na poziomie międzystanowym, po czym

materiał jest przekazywany w górę drabiny, do CODIS.

Szybko. Skutecznie. Wszechstronnie. Ale w połowie lat dziewięćdziesiątych, gdy powstały pierwsze tego rodzaju bazy danych, wyglądało to inaczej. Laboratoria kryminalistyczne opierały się wówczas w analizie próbek DNA na metodzie zwanej w skrócie RFLP (*Restriction fragment length polymorphism* – analiza polimorfizmu długości fragmentów restrykcyjnych), co było procesem pracochłonnym, który ostatecznie podzielił los pagera. Jednak laboratorium w Orange zawsze cieszyło się reputacją ośrodka wyprzedzającego swoje czasy. W artykule zamieszczonym 20 grudnia 1995 roku w „Orange County Register” pod tytułem: „Cel Prokuratury Rejonowej: Duchy morderczej przeszłości”, wyjaśniono, że miejscowi prokuratorzy, w porozumieniu ze śledczymi i specjalistami od kryminalistyki, po raz pierwszy zamierzają przekazać dowody z zakresu DNA pochodzące z dawnych, nierozwiązanych spraw do nowego laboratorium Kalifornijskiego Wydziału Sprawiedliwości w Berkeley, gdzie zgromadzono profile DNA czterech tysięcy znanych sprawców gwałtownych przestępstw, w tym wielu o charakterze seksualnym. Kalifornijska baza danych DNA dopiero powstawała i hrabstwo Orange pragnęło pomóc w jej rozwoju.

Sześć miesięcy później, w czerwcu 1996 roku, hrabstwo Orange po raz pierwszy odnotowało zgodność pomiędzy próbką DNA znaną w miejscu zbrodni a próbką DNA znanego przestępcy znajdującą się w bazie danych (ang. *cold hit*). Ten pierwszy sukces miał niezwykle charakter: zidentyfikowano dzięki niemu osadzonego w więzieniu Geralda Parkera jako seryjnego zabójcę winnego śmierci pięciu kobiet. Szósta ofiara Parkera była w ciąży i zdołała przeżyć atak mordercy, ale płód nie przeżył. Mąż ciężarnej ofiary, który na skutek odniesionych obrażeń cierpiał na poważną utratę pamięci, spędził szesnaście lat w więzieniu skazany za tę napaść. Został

natychmiast zwolniony. Gdy potwierdzono zgodność próbek DNA zebranych w obu sprawach, Parkerowi został jeszcze miesiąc do końca wyroku i miał wkrótce wyjść na wolność.

Pracownicy Biura Szeryfa Hrabstwa Orange i laboratorium kryminalistycznego byli zdumieni. Pierwszy raz przekazali DNA do powstającej stanowej bazy danych i od razu rozwiązali zagadkę sześciu morderstw! Wydawało się, że klimat w magazynie dowodów, zawsze dojmująco przygnębiający, nagle się zmienił, i monotonna szarość półek pełnych kartonowych pudeł nagle się rozjaśniła. Dowody zebrane podczas dawnych śledztw często leżały w magazynie nieporuszone od dziesięcioleci. Każde z tych pudeł to była kapsuła czasu. Torebka z frędzlami. Wyszywana tunika. Rzeczy należące do życia, które zakończyło się gwałtowną śmiercią. W dziale magazynu dowodów gromadzącym materiały z nierozwiązanych spraw panuje zwykle atmosfera rozczarowania. To wydłużająca się lista rzeczy do zrobienia, których nigdy nie udało się zrobić.

Nagle wszyscy zaczęli pławić się w możliwościach. Myśl, że można wyczarować człowieka z plamy na bawełnianej kołdrze z 1978 roku, że można przechylić szalę na swoją korzyść, przyprawiała o zawrót głowy. Jeśli popełniasz morderstwo, a potem znikasz, zostawiasz za sobą nie tylko cierpienie, ale także kompletną pustkę, nieobecność, która triumfuje nad całą resztą. Niezidentyfikowany morderca zawsze zamyka za sobą drzwi z drugiej strony i to są drzwi, których nigdy nie udaje się otworzyć. Jego władza nad nami znika jednak w chwili, gdy dowiadujemy się, kim jest. Poznajemy jego banalne sekrety. Patrzymy na niego, jak idzie w kajdankach, spocony, do jasno oświetlonej sali sądu, a potem ktoś, siedząc kilka stóp wyżej, spogląda na niego z góry bez uśmiechu, uderza młotkiem i wypowiada wreszcie każdą głoskę jego imienia i nazwiska.

Nazwiska. Biuro Szeryfa potrzebowało nazwisk. Zapomniane pudła

w magazynie dowodów były ściśle wypakowane rzeczami. Pałeczki kosmetyczne zachowane w fiolkach. Bielizna. Tanie białe prześcieradła. Każdy milimetr kwadratowy płótna i bawełny z pałeczki krył w sobie obietnicę. Chodziło nie tylko o szansę, że da się kogoś szybko aresztować. Profile DNA, które można było opracować na podstawie tych dowodów, mogły nie tylko pasować do próbek DNA znanych przestępców, znajdujących się w bazie danych, ale także profile pochodzące z różnych spraw mogły pasować do siebie nawzajem, wskazując po raz pierwszy na działanie seryjnego zabójcy. Taka informacja mogła zmienić bieg dochodzenia, nadać mu nowy napęd. Trzeba było zabrać się do pracy.

Specjaliści z laboratorium kryminalistycznego przetworzyli dane. W latach 1972–1974 w hrabstwie Orange prowadzono dochodzenie w sprawie 2479 zabójstw i wyjaśniono 1591 z nich, co oznaczało, że prawie 900 spraw pozostało nierozwiązanych. Opracowano strategię ponownego analizowania zamkniętych dochodzeń odłożonych na półki. Priorytet otrzymały zabójstwa na tle seksualnym, ponieważ sprawcy takich zbrodni zwykle działają seryjnie i pozostawiają po sobie rodzaj materiału biologicznego, który pozwala na przeprowadzenie testów pod kątem DNA.

Mary Hong należała do grupy specjalistów od kryminalistyki, którym powierzono zajęcie się starymi, nierozwiązanymi sprawami. Jim White poprosił ją o chwilę rozmowy. Mimo upływu piętnastu lat nadal pamiętał o swoich dawnych podejrzaniach.

– Harringtonowie – powiedział. – Witthuhn.

Te nazwiska nic jej nie mówiły, ponieważ jeszcze nie pracowała w laboratorium w czasach, gdy popełniono te morderstwa. White namawiał ją, aby zajęła się przede wszystkim tymi dwiema sprawami. „Zawsze uważałem, że to był ten sam gość” – dodał.

Pomocne może okazać się tu krótkie, niespecjalistyczne wyjaśnienie, na czym polega tworzenie profilu genetycznego. DNA, czyli kwas dezoksyrybonukleinowy, to sekwencja cząsteczek, która w unikalny sposób charakteryzuje każdą istotę ludzką. Każda komórka w naszym ciele (oprócz czerwonych krwinek) ma jądro, które zawiera nasze DNA. Specjalista z laboratorium kryminalistycznego, który zamierza sporządzić genetyczny profil jakiejś osoby, musi najpierw wydobyć dostępne DNA z biologicznej próbki – nasienia, krwi, włosów – a potem je wyizolować, wzmocnić i poddać analizie. DNA składa się z czterech powtarzających się elementów i to właśnie dokładna sekwencja tych elementów różni nas od innych osobników naszego gatunku. Można ją sobie wyobrazić jako ludzki kod kreskowy. Cyfry tego kodu reprezentują genetyczne markery. We wczesnej fazie badań genetycznych analizie można było poddać jedynie kilka takich markerów. Dzisiaj istnieje trzynaście standardowych markerów w ramach CODIS. Prawdopodobieństwo, że dwie osoby (oprócz bliźniąt jednojajowych) mają taki sam ludzki kod kreskowy, wynosi mniej więcej jeden na miliard.

Pod koniec 1996 roku, gdy Mary Hong zaczęła przynosić z magazynu dowodów pobrane na miejscu zbrodni materiały związane z gwałtem (*rape kits*) w sprawach Harringtonów i Manueli Witthuhn, badania DNA przechodziły właśnie fazę ekscytujących przemian. W stanowej bazie danych nadal stosowano tradycyjną metodę RFLP, ale by się nią posługiwać, potrzebna była duża próbka DNA, które nie mogło być w żaden sposób uszkodzone. A zatem nadawała się do starych, nierozwiązanych spraw. Jednak laboratorium kryminalistyczne Biura Szeryfa Hrabstwa Orange niedawno włączyło do swojego arsenału nową metodę, PCR-STR (*Polymerase chain reaction of short tandem repeat* – analiza reakcji łańcuchowych polimerazy PCR i układów sekwencji mikrosatelitarnych

STR), która była znacznie szybsza niż RFLP i do dziś stanowi podstawową metodę stosowaną w kryminalistyce. RFLP różni się od PCR-STR tak jak kaligraficzne przepisywanie liczb od kserografu pracującego z dużą prędkością. PCR-STR nadawała się wyjątkowo dobrze do starych, nierozwiązanych spraw, w których próbki DNA często były bardzo małe albo z czasem uległy uszkodzeniu.

Jeden z pierwszych przykładów zastosowania medycyny sądowej do rozwiązania sprawy morderstwa znajduje się w książce zatytułowanej *Hsi yuan chi lu* (Oczyszczanie ze zła), opublikowanej w 1247 roku przez Song Ci, chińskiego detektywa i medyka sądowego. Autor opowiada historię brutalnego morderstwa pewnego wieśniaka, który został zabity ręcznym sierpem. Miejscowy sędzia, nie potrafiąc rozwikłać tej sprawy, wezwał wszystkich mieszkańców wioski, aby stawili się przed nim ze swoimi sierpami. Polecono im ułożyć swoje sierpy na ziemi, a potem odejść kilka kroków w tył. Gorące słońce paliło bezlitośnie. Słychać było bzyczenie owadów. Zielone muchy o metalicznym połysku nadleciały chaotycznym rojem, a potem jak gdyby wszystkie się umówiły, wylądowały na jednym sierpie, oblepiając go ze wszystkich stron, podczas gdy inne sierpy nie wzbudziły ich zainteresowania. Sędzia wiedział, że ślady krwi i ludzkiej tkanki przyciągają muchy. Właściciel sierpa oblepionego muchami zwiesił głowę pełen wstydu. Sprawa została rozwiązana.

Współcześnie stosowane metody nie są aż tak nieskomplikowane. Miejsce owadów zajęły wirówki i mikroskopy. DNA niezidentyfikowanego mężczyzny, które wydobyto z zestawów dowodów w sprawach Harringtonów i Manueli Witthuhn, zostało poddane analizie za pomocą najbardziej subtelnych narzędzi laboratorium kryminalistycznego: enzymów restrykcyjnych, fluorescencyjnych barwników, termocyklerów. Ale w tych wszystkich najnowocześniejszych metodach kryminalistyki tak naprawdę

chodzi o to samo co w przyciągnięciu much do sierpa splamionego krwią. Cel jest taki sam jak na chińskiej wsi w trzynastym wieku: pewność co do ustalenia winnego.

Mary Hong stanęła w drzwiach gabinetu Jima White'a. Siedział właśnie przy biurku.

– Harringtonowie – powiedziała. – Manuela Witthuhn.

Uniósł wzrok z oczekiwaniem. Specjaliści od kryminalistyki tacy jak Mary Hong i Jim White to ludzie metodyczni. Nie mają innego wyboru. Wyniki ich pracy zawsze mogą zostać zakwestionowane w sądzie przez obrońców oskarżonych. Często posuwają się do ogólnych wniosków (i używają na przykład określenia tępe narzędzie), co z kolei bywa źle przyjmowane przez gliniarzy, którzy zarzucają im potem, że są zbyt ostrożni w trosce o własną skórę. Policjanci i specjaliści od kryminalistyki potrzebują siebie nawzajem, ale pod względem temperamentów to diametralnie różne postacie. Gliniarze uwielbiają być w akcji. Zaczynają się niespokojnie wiercić na widok biurka zavalonego papierami. Wolą być na zewnątrz, w terenie. Intuicyjnie rozpoznają zachowania podejrzanych osobników; jeśli podchodzą do takiego gościa, a on na przykład nagle skręca w prawo, domyślają się, że przypuszczalnie ukrywa broń. Wiedzą, który narkotyk pozostawia na odciskach palców ślady spalenizny (crack) i jak długo może przeżyć osoba bez wyczuwalnego pulsu (cztery minuty). Przedzierają się przez chaos przyzwyczajeni do kręactwa i nędzy. W ich pracy trudno uniknąć zranień. Ale i sami potrafią ranić. Najbardziej, kiedy policjant, przez którego mrok przeniknął już niczym barwnik przez wodę, zostaje wysłany, aby pocieszyć rodziców martwej dziewczyny. Niektórym gliniarzom coraz trudniej przychodzi radzenie sobie z tymi nagłymi przeskokami, od chaosu do pocieszania innych, i w końcu całkowicie zatracają swoje współczucie.

Specjaliści od kryminalistyki są odgradzeni od tego chaosu przez

warstwę lateksu. Laboratorium kryminalistyczne jest jałowe i panuje w nim surowy porządek. Nie ma tu niepotrzebnych ostrych słów. Gliniarze bezpośrednio zmagają się z brudem i chaosem życia; specjaliści od kryminalistyki opisują ten chaos ilościowo. Ale i oni są ludźmi. Szczegóły spraw, nad którymi pracowali, zostają z nimi na długo. Na przykład dziecięcy kocyk Patty Harrington. Nawet jako osoba dorosła miała zawsze w łóżku mały biały kocyk, każdego wieczora szukając poczucia bezpieczeństwa w dotyku jego gładkich, jedwabnych lamówek. Znalaziono go między nią a Keithem.

– Ten sam facet – powiedziała Mary Hong.

Jim White pozwolił sobie na uśmiech, zanim wrócił do swojej pracy.

Kilka tygodni później, pod koniec 1996 roku, Mary Hong siedziała przy swoim biurku, przeglądając na komputerze arkusz kalkulacyjny w Excelu. Arkusz stanowił kompilację około dwudziestu nierozwiązanych spraw, w których udało się z powodzeniem sporządzić profile DNA. Tabela zawierała powiązania między numerami spraw i nazwiskami ofiar a profilami DNA, które składały się z pięciu markerów używanych wówczas do identyfikacji. Na przykład przy markerze „THO1” można było zobaczyć liczby „8,7” i tak dalej. Mary Hong wiedziała, że profile DNA ze sprawy Harringtonów i Manuela Witthuhn zgadzają się ze sobą. Ale kiedy przebiegając wzrokiem arkusz, spojrzała na kolejny profil, na moment zamarła. Kilka razy odczytała sekwencję i dla pewności porównała ją ze sprawami Manuela Witthuhn i Harringtonów. Nie, nie myliła się. Profil był ten sam.

Ofiarą była Janelle Cruz, osiemnastoletnia kobieta, której ciało znaleziono w domu jej rodziny w Irvine 5 maja 1986 roku. Nikt nigdy nie wysuwał tezy, że sprawa Janelle Cruz ma coś wspólnego ze sprawami



Harringtonów i Manueli Witthuhn, mimo że ofiara mieszkała w Northwood, w tej samej okolicy co Manuela Witthuhn, a ich domy dzieliło nieco ponad trzy kilometry. Nie chodziło także o to, że minęło pięć lat między oboma morderstwami. Ani o to, że Janelle była o dziesięć lat młodsza od Patty Harrington i Manueli Witthuhn. Była inna.

## IRVINE, 1986

[Uwaga wydawcy: Poniższy rozdział został skomponowany z notatek Michelle].

Krótkie życie Janelle Cruz było nie mniej tragiczne niż jej śmierć. Jej biologiczny ojciec szybko zniknął z pola widzenia. Potem przyszła cała seria ojczymów i przyjaciół matki, z których większość molestowała Janelle na różne sposoby. Jej matka bardziej interesowała się imprezowaniem i zażywaniem narkotyków niż wychowywaniem córki – a w każdym razie tak to widziała Janelle.

Często się przenosiły: z New Jersey do Tustin, potem Lake Arrowhead w Newport Beach i wreszcie do Irvine.

Kiedy miała piętnaście lat, została nafaszerowana narkotykami i zgwałcona przez ojca swojej najlepszej przyjaciółki, u której została na noc. Janelle opowiedziała o wszystkim swojej rodzinie; poszli do tego człowieka, który był żołnierzem w pobliskiej bazie marines. Wszystkiemu zaprzeczył. Kiedy rodzina Janelle naciskała, zwołał kilku kumpli, żeby ją nastraszyć i zmusić do zaniechania sprawy. Nikt nie doniósł o przestępstwie policji.

W następnych latach Janelle zaczęła się buntować. Ubierała się na czarno. Zamykała się w sobie. Zaczęła się okaleczać. Zażywała kokainę – nie tyle z powodów rozrywkowych, ile żeby stracić na wadze. Matka wysyłała ją w różne miejsca, od obozów YMCA po Job Corps w Utah, oraz na pewien czas do szpitala psychiatrycznego.

W Job Corps Janelle zdołała ukończyć szkołę średnią i po powrocie do

Irvine zapisała się na zajęcia w miejscowym college'u, jednocześnie nie stroniąc od bogatych kontaktów seksualnych z wieloma mężczyznami, najczęściej o kilka lat starszymi od siebie. Zaczęła pracować jako hostessa w restauracji Bullwinkles, rodzinnej knajpie w stylu Chuck E. Cheese, która zawdzięczała swoją nazwę tytułowemu bohaterowi serialu *Rocky and Bullwinkle and Friends* (tyt. pol. *Rocky, Łoś Superktoś i przyjaciele*). Jak żartują miejscowi, Irvine to miasto, którego motto powinno brzmieć: „Szesnaście kodów pocztowych, sześć układów pomieszczeń”. Albo „Irvine: mamy sześćdziesiąt dwa słowa opisujące kolor beżowy”. Janelle snuła się po swoim monochromatycznym osiedlu w jakimś nerwowym oszołomieniu, jakby czegoś szukała. Ale wstrząs, jakiego pragnęła, prawdziwa miłość, jakoś nigdy się nie pojawił.

3 maja 1986 roku jej matka i ojczym wyjechali na wakacje do Cancún.

Następnego wieczora odwiedził ją w domu kolega z pracy w Bullwinkles, ponieważ Janelle powiedziała mu, że z powodu wyjazdu rodziców czuje się samotna. Siedzieli na podłodze w jej sypialni, przeczytała mu kilka swoich wierszy. Nadzieje na romantyczny wieczór zatrzymały go na miejscu, nawet kiedy odtworzyła mu czterdziestopięciominutowe nagranie z sesji psychoterapeutycznej, na której wściekała się na swoją popieprzoną rodzinę. Nagle zaskoczył ich jakiś hałas, jakby ktoś zamknął bramę albo drzwi. Janelle wyjrzała przez okno i zamknęła okiennice. „To pewnie koty” – powiedziała, zerkając przez okno. Jakiś czas później hałas się powtórzył, tym razem od strony garażu. Janelle ponownie zlekceważyła sprawę.

– To tylko pralka.

Nastoletni kolega z pracy, przypomniawszy sobie, że nazajutrz ma zajęcia w szkole, wyszedł chwilę później. Janelle na pożegnanie uściskała go przyjaźnie.

5 maja po południu Linda Sheen[16] wstała od swojego biurka w Tarbell Realty, żeby pojechać do pewnego domu w Irvine, którym był zainteresowany potencjalny nabywca. Parterowa nieruchomość, położona przy ulicy Encina 13, miała trzy sypialnie, dwie łazienki i znajdowała się na rynku już od kilku miesięcy. W domu nadal mieszkała obecna właścicielka razem z mężem i czwórką swoich dzieci – w tym dwiema dorosłymi córkami. Dom wyglądał tak samo jak wiele podobnych domów w dzielnicy Northwood, w tym także dom przy Columbus 35, jakiś kilometr dalej, w którym pięć lat wcześniej zamordowano ciosami w głowę dwudziestodwuletnią gospodynię domową; przestępstwo, którego nigdy nie udało się rozwikłać i o którym szybko zapomniano.

Dom przy Encina 13 przylegał do parku i był drugi od końca przy ślepej uliczce zamkniętej przez gęsty żywopłot z przejściem pośrodku, które prowadziło na niezabudowany teren oznaczający koniec cywilizacji; dalej ciągnęły się kilometry sadów pomarańczowych i otwarte pola oddzielające Northwood od sąsiednich miast Tustin i Santa Ana. Zaledwie dziesięć lat wcześniej takie same sady pomarańczowe porastały teren, na którym stał dom przy Encina 13 i sąsiednie budynki. Dwie dekady później resztki sadów niemal całkowicie uległy naporowi urbanizacji wraz z powstaniem gigantycznego centrum handlowego i osiedli identycznych domów, zajmujących obecnie cały obszar dzielący Irvine od sąsiednich miast.

Sheen przyjechała na Encina 13 i nacisnęła dzwonek. Choć brązowy chevrolet chevette stał zaparkowany na podjeździe, wewnątrz panowała cisza, zadzwoniła więc ponownie. Nadal nikt nie odpowiedział, podobnie jak wcześniej tego popołudnia, gdy zadzwoniła do tego domu z biura i nikt nie odebrał telefonu. Otworzyła więc skrzynkę i wyjęła klucz, po czym weszła do środka.

Rozejrzała się wokół i zauważyła, że światła w jadalni są zapalone.

W kuchni na stoliku śniadaniowym stał karton z mlekiem. Obok leżała gazeta otwarta na dziale ogłoszeń dotyczących pracy. Linda Sheen położyła na stole w jadalni swoją wizytówkę i przeszła do salonu, zerkając przez rozsuwane szklane drzwi w stronę podwórka za domem. Zobaczyła kilka składanych krzeseł i plażowy fotel z przewieszonym ręcznikiem. Poszła do głównej sypialni i przekręciła klamkę, ale drzwi były zamknięte. Druga sypialnia wyglądała jak pokój dziecienny. Kiedy Sheen weszła do następnej sypialni, na końcu korytarza, zobaczyła ciało młodej kobiety leżące bez ruchu na łóżku, z kocem zasłaniającym jej głowę.

Linda Sheen poczuła nagły lęk. Pomyślała, że może nie jest sama w domu. Może znalazła się w niewłaściwym miejscu, w niewłaściwym momencie i widzi coś, czego nie powinna była zobaczyć. Miała wrażenie, że ta kobieta nie śpi, ale albo jest nieprzytomna – może z powodu przedawkowania narkotyków – albo nie żyje. Pospiesznie wybiegła z domu przy Encina 13 i wróciła do biura, gdzie opowiedziała o wszystkim swojemu szefowi Normowi Pratowi<sup>[17]</sup>. Prato polecił jej jeszcze raz zadzwonić do tego domu. Zrobiła to dwukrotnie, ale nikt nie odpowiedział.

Linda i Norm opowiedzieli o całej sprawie kolegom z Century 21, agencji handlu nieruchomościami, która zajmowała się sprzedażą domu, Arthurowi Hogue i Carol Nosler<sup>[18]</sup>. Ci z niedowierzaniem pojechali na Encina 13 i weszli do środka, po czym rzeczywiście znaleźli ciało młodej kobiety, która z pewnością nie żyła. Hogue wezwał policjantów, mówiąc im, że znalazł młodą damę z rozwaloną głową.

Funkcjonariusz policji w Irvine Barry Aninag pierwszy przyjechał na miejsce zbrodni. Kiedy wszedł do domu, natychmiast podszedł do niego Arthur Hogue, który wyłonił się z kuchni, gorączkowo powtarzając: „Tam w sypialni jest martwe ciało. Tam w sypialni jest martwe ciało”.

Powtórzył to jeszcze kilkakrotnie, gdy Aninag szedł w stronę otwartej

sypialni na końcu korytarza. Na łóżku leżało nagie ciało młodej kobiety, którą później zidentyfikowano jako Janelle Cruz. Ciało ofiary było zimne w dotyku, puls był niewyczuwalny. Leżała twarzą do góry, jej pierś i twarz przesłaniał koc, na którym widać było dużą, ciemną plamę w miejscu, gdzie przypuszczalnie znajdowała się jej głowa. Aninag powoli ściągnął koc, który przykleił się do twarzy ofiary; pod spodem zobaczył rozległą ranę na czole, rozbity nos i prawdziwą maskę zakrzepłej krwi. Kobieta miała wybite trzy zęby. Dwa z nich znaleziono w jej włosach.

Między nogami ofiary znajdowały się plamy zaschniętego płynu, który w laboratorium zidentyfikowano jako nasienie. Na ciele ofiary znaleziono także kępki niebieskich włókien, co wskazało na to, że ktoś, stojąc nad nią, rozdarł kawałek płótna.

Po wschodniej stronie domu natrafiono na odciski tenisówek. Na miejscu zbrodni nie znaleziono niczego, co mogło posłużyć do krępowania ofiary, ani broni.

Później ustalono, że z podwórka zniknął ciężki czerwony klucz hydrauliczny.

Policjanci przeczesujący sąsiedztwo nie znaleźli zbyt wielu użytecznych tropów. Widziano jakiegoś przedstawiciela firmy zajmującej się myciem okien, który wieczorem w przeddzień morderstwa chodził od drzwi do drzwi i rozdawał żółte ulotki. Jakiś dzieciak z sąsiedztwa usłyszał, że dziewczyna z Encina 13 została zatłuczona na śmierć, i powiadomił policjantów, że widział w pobliżu złamany kij do bejsbola. Zaprowadził śledczych na miejsce. Po powierzchni kija mozolnie sunął ślimak, poza tym kij był zasadniczo nietknięty. Porastała go trawa. Najwyraźniej leżał tam już od dłuższego czasu.

Jeden z sąsiadów słyszał, jak samochód Janelle, z charakterystycznym, głośno działającym tłumikiem, zajechał pod jej dom kwadrans po

jedenastej – jakieś pół godziny po wyjściu od niej kolegi z pracy. Sąsiad słyszał, jak ktoś wyłączył silnik, a potem głośno zatrzasnął drzwiczki.

Dwaj inni sąsiedzi zauważyli rankiem o czwartej i piątej trzydzieści, że – jak to ujęli – dom Jeanelle jest „niezwykle jasno oświetlony”.

Siostra ofiary Michelle była na wakacjach w Mammoth, gdy ktoś do niej zadzwonił z wiadomością: „Janelle została zamordowana”.

Połączenie nie było najlepsze. Michelle powtórzyła ze skrajnym niedowierzaniem usłyszane słowa: „Janelle wyszła za mąż?”.

Za drugim razem rozmówca wyraźniej powtórzył swoje słowa.

Główny śledczy Larry Montgomery i jego koledzy zaczęli przyglądać się poczynaniom Janelle, odkrywając przy tej okazji cały korowód młodych mężczyzn, którzy pojawili się w jej życiu w dniach poprzedzających morderstwo. Był tam Randy Gill[19], znajomy z obozu YMCA, który sypiał z Janelle i dzwonił do niej wieczorem w dniu, kiedy została zamordowana. Podobno miał problem z alkoholem. Janelle zerwała z nim dwa tygodnie wcześniej. Znalazł się tam również Martin Gomez[20], były skazaniec, który poznał Janelle w poprzednim miejscu pracy i wdał się z nią w związek o charakterze seksualnym, ale w końcu z nim zerwała, kiedy zaczął zachowywać się obsesyjnie i kontrolować jej życie. Był także Philip Michaels\*, ochroniarz, z którym Janelle dopiero zaczęła się spotykać i z którym spędziła parę godzin w dniu poprzedzającym morderstwo. On także sypiał z Janelle – choć początkowo temu zaprzeczał.

A następnie kilku Davidów: David Decker\*, który poznał Janelle na obozie YMCA, gdzie był opiekunem, a ona uczestniczką obozów, i po raz ostatni widział się z nią dwa dni przed jej śmiercią; David Thompson\* (nie należy go mylić z Ronem Thomsenem\* – ostatnim chłopcem, który widział ją żywą) zatrudniony w Bullwinkles; a także Dave Kowalski\*, kolejny narzeczony, który odwiedził Janelle w jej domu w dniu jej śmierci

i oświadczył jej, że ją kocha. Na dowód swoich uczuć podarował jej zegarek na rękę marki Seiko. Zegarek znaleziono obok jej ciała.

Nie brakowało także dziwaków i outsiderów takich jak Bruce Wendt\*, niezrównoważony osobnik, który także był w domu Janelle na krótko przed jej śmiercią. W książce adresowej dziewczyny widniała obok numeru jego telefonu odręczna notatka: „Kretyn, dupek, pedał popieprzony”.

A do tego wszystkiego był jeszcze ktoś, kto się przyznał.

Tom Hickel\* wracał swoim vanem z kina do domu razem z przyjacielem Mikiem Martinezem\*, który jechał na siedzeniu pasażera obok kierowcy. Gdzieś w połowie drogi Martinez nagle obrócił się do niego i powiedział:

– Muszę ci coś powiedzieć.

Hickel nie spodziewał się jednak tego, co zaraz miał usłyszeć.

– Zabiłem ją – oświadczył Martinez takim tonem, jak gdyby uwalniał się od jakiegoś ogromnego brzemienia. – Zabiłem Janelle. – Mówił to ze śmiertelną powagą. – Wiesz, że mam takie coś, ze stali.

– Nie mam pojęcia, jakie „coś”, o czym ty mówisz? – odparł Hickel.

– Nieważne – ciągnął Martinez. – Po prostu chciałem się przekonać, czy potrafię kogoś zabić. Wszystko zaczęło się w łazience i najpierw się z nią pobiliśmy. A potem walnąłem ją tym metalowym przedmiotem.

Hickel zapytał go, jak się wtedy czuł.

Martinez odpowiedział:

– To łatwe. Czujesz się normalnie.

Hickel starał się nie pokazywać po sobie, że obleciał go strach.

– Chciałem się dowiedzieć, czy mam jaja, żeby zabić Jennifer<sup>[21]</sup> – wyjaśnił Martinez.

Jennifer to była jego narzeczona.

– Nie obchodzi mnie, czy mnie wsadzą do więzienia na dwadzieścia pięć



lat. Tutaj nie ma kary śmierci. Zabiłem Janelle i zapłacę za to.

Martinez opowiedział Hickelowi, że jakiś tydzień przed śmiercią Janelle zaszedł do jej domu. Spotkał jej rodziców. Dowiedział się, że wyjeżdżają z miasta i Janelle będzie w domu sama.

– Kupiłem jednostrzałowy karabinek Big Five – przyznał. – Zamierzam rozwalić nim łeb Jenny, ponieważ ona musi umrzeć.

Hickel nadal ze wszystkich sił starał się niczego po sobie nie okazywać.

– Potem, jak już to zrobię, oddam się glinom – obiecał Martinez. – Zrobię to w sobotę.

Nie powiedział w którą.

Zanim się rozstali, Martinez oświadczył Hickelowi, że mówiąc o zabiciu Janelle, tylko żartował.

– Po prostu chciałem zobaczyć, co zrobisz.

Hickel w odpowiedzi poszedł na posterunek policji – gdzie Mike Martinez z całą pewnością nie był osobą nieznaną. Miał już na koncie kilka aresztowań za próbę kupowania marihuany, za włamanie do sklepu, za włamanie do mieszkania prywatnego, za napad i pobicie, a do tego dwukrotnie próbował popełnić samobójstwo – raz pijąc drano, środek do udrażniania rur. Zarzut włamania do mieszkania prywatnego oraz jeden z zarzutów napaści i pobicia miały związek z pewnym incydem, do którego doszło z udziałem Jenny, dziewczyny Martineza, którą ten zamierzał teraz zabić.

Jak się okazało, Martinez jeszcze raz powtórzył tę samą sekwencję przestępstw – dosłownie w przeddzień morderstwa Janelle. O pierwszej w nocy pijany włamał się przez rozsuwane, szklane drzwi do domu Jennifer i zaczął na nią krzyczeć, domagając się wyjaśnień, dlaczego go zignorowała, kiedy spotkali się tydzień wcześniej w knajpie Carl's Junior. Z zamglonym wzrokiem i chwiejąc się na nogach, zaczął opowiadać Jennifer o swojej

miłości, obrażając jednocześnie jej wierzenia religijne. Błagała go, żeby sobie poszedł. Nie zwracał na nią uwagi. Jego puste spojrzenie nie wskazywało, żeby w ogóle słyszał, co do niego mówi.

– Dlaczego do mnie nie dzwonisz? – powtarzał w kółko.

Wreszcie wyszedł z pokoju. Sądząc, że sobie poszedł, Jennifer ostrożnie zeszła na dół, jednak okazało się, że Martinez stoi w kuchni. W ręku trzymał nóż, którym przecinał kuchenny ręcznik na wąskie paski. Domyślając się, że zamierza ją związać, zaczęła krzyczeć. Martinez rzucił się na nią i zatkał jej usta ręką, po czym zaciągnął ją z powrotem do sypialni i cisnął na łóżko. Krzyczała i starała się wyrwać; w końcu udało jej się go przepędzić. Ale tylko na chwilę.

Kiedy wrócił, by poszukać swoich kluczy, Jennifer znowu zaczęła krzyczeć i kazała mu wyjść. Wtedy rzucił ją na łóżko i dwukrotnie uderzył w twarz i raz w głowę. Po czym dał wreszcie za wygraną i poszedł.

21 czerwca Mike Martinez został aresztowany niedaleko swojego domu w Garden Grove.

W policyjnym radiowozie, w drodze na posterunek, powtarzał uparcie:

– Sam bym się poddał. Tom mnie wrobił. Ja tego nie zrobiłem. To nie fair! Dlaczego ja? – Mówił w kółko jak nakręcony. – Czy wy w ogóle macie przeciwko mnie jakieś dowody, żeby mnie zabrać, czy jak? Na pewno nie macie, ponieważ ja nic nie zrobiłem... Nie widziałem Janelle od trzech lat. – A i tak pewnie macie dość dowodów – ciągnął. – No tak, jestem Meksykaninem. Nie mam pieniędzy. Nie stać mnie na adwokata. Dostanę obrońcę z urzędu, a on mi powie, żebym poszedł na układ, zgodził się na piętnaście albo dwadzieścia pięć lat. Pewnie oskarżą mnie o morderstwo pierwszego stopnia z premedytacją. To będzie dwadzieścia pięć lat. Ale właściwie o co chcecie mnie oskarżyć? Pierwszego stopnia czy drugiego? To nie fair. Dlaczego w ogóle żeście mnie zabrali?

W radiowozie cały czas pracował włączony magnetofon. Gliniarze pozwalali mu mówić bez opamiętania. Kopał sobie własny grób.

– Okay, no dobra, jestem w tej sytuacji... to jakoś tak wygląda, jak morderstwo pierwszego stopnia, nie? Mnóstwo ludzi jest niewinnych, głównie czarni i Meksykanie, jak ja, to oni muszą za wszystko zapłacić. Powinniście przynajmniej pobrać krew. Dowiedzieć się, że jestem niewinny, i w końcu złapać tego właściwego faceta. Ja jestem niewinny, mogę pozwać Toma? A i tak myślę, że się nie wywinę. Pewnie Montgomery po prostu wykorzysta to, co już ma, a to mu wystarczy.

Na posterunku technik z Laboratorium Kryminalistycznego Gold Coast pobrał Martinezowi krew. Funkcjonariusz z wydziału śledczego pomógł pobrać od podejrzanego próbki włosów.

Na początku lipca wyniki z laboratorium, gdzie poddano analizie próbkę krwi Martineza, wylądowały na biurku Montgomery'ego. Martinez został wyeliminowany z grona podejrzanych.

Wyeliminowano także kolegę z pracy Janelle. Profilowanie DNA dopiero rok później po raz pierwszy pojawiło się na horyzoncie specjalistów od kryminalistyki, ale postępy w dziedzinie serologii – analizy serum i innych płynów – dostarczały śledczym ważnych informacji.

Zabójca Janelle miał pewne rzadko spotykane cechy genetyczne. Należał do grupy osób, u których w płynach ustrojowych, takich jak ślina, nasienie i tym podobne, nie ma antygenów grupy krwi. Takie osoby stanowią około dwudziestu procent populacji. Cechowała go także niezwykła odmiana PGM (*phosphoglycerate mutase*, fosfogliceromutaza), jednego z enzymów białkowych. Pracownik z laboratorium kryminalistycznego Biura Szeryfa Hrabstwa Orange poinformował śledczych pracujących nad sprawą Janelle Cruz, że cechujące zabójcę połączenie niewydzielania antygeny krwi i typu

PGM występuje jedynie u mniej więcej jednego procenta populacji.

Nie wpływało to jednak na jego budowę fizyczną. Nie wpływało na stan zdrowia i zachowanie. Po prostu cechowały go rzadkie markery.

Śledczy doceniali wagę wyników badań kryminalistycznych, ale potrzebowali twarzy i nazwiska. Byli pewni, że odpowiedź kryje się w gronie najbliższych znajomych ofiary. Utrzymywała się więc teoria, że odpowiedzialny za zbrodnię jest jeden z młodych mężczyzn obecnych w jej życiu.

Dziesięć lat później Martinez, podobnie jak wszyscy pozostali kochankowie i znajomi Janelle, którzy przepłynęli przez jej życie, zostali definitywnie wyeliminowani z grona podejrzanych, gdy opracowano profil DNA jej zabójcy. Nie pasował do profilu żadnego z pierwotnych podejrzanych. Zamiast tego pasował do niezidentyfikowanego zabójcy odpowiedzialnego za trzy inne morderstwa.

Mary Hong jest badaczką, beznamiętnym naukowcem, i niełatwo nią wstrząsnąć. Ale to, że w sprawach Harringtonów/Manueli Witthuhn/Janelle Cruz chodziło o tę samą osobę, zrobiło na niej wrażenie. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w arkusz kalkulacyjny na ekranie swojego monitora.

– To nieprawdopodobne – powiedziała w stronę komputera.

---

[16] Pseudonim.

[17] Pseudonim.

[18] Pseudonimy.

[19] Pseudonim.

[20] Pseudonim.

[21] Pseudonim.

## VENTURA, 1980

Biuro Szeryfa powołało specjalną jednostkę, aby na bieżąco przetwarzała napływające w szybkim tempie informacje o nowych wątkach nierozwiązanych spraw. Członkowie tej jednostki, zwanej w skrócie CLUE (Countywide Law Enforcement Unsolved Element, Ogólnokrajowa Jednostka do badania Spraw Nierozwiązanych), zaczęli w styczniu 1997 roku przedzierać się przez materiały z dawnych spraw. Jednocześnie Mary Hong przesłała faksem profil DNA przypuszczalnego mordercy w sprawach Harringtonów/Manueli Witthuhn/Janelle Cruz do setek laboratoriów kryminalistycznych w całym kraju. Ale nie dostała żadnej odpowiedzi.

Śledczy Larry Pool został przeniesiony do CLUE z wydziału zajmującego się przestępstwami na tle seksualnym w lutym 1998 roku. Pool jest weteranem sił powietrznych, człowiekiem nieco sztywnym w obejściu. W swoich poglądach moralnych nie uwzględnia odcieni szarości. Kocha Boga i nie toleruje przekleństw. Kiedy zapytasz gliniarzy o ulubioną część ich pracy, najczęściej wspominają czasy, gdy pracowali jako tajni agenci, czując adrenalinę, jaka wyzwalała się w ich organizmie, gdy nie mieli pojęcia, co wydarzy się za chwilę. Pool nigdy nie pracował jako tajny agent. Trudno nawet sobie wyobrazić, aby mógł coś takiego robić. Pewnego razu przesłuchiwał seryjnego zabójcę, czekającego w innym stanie na egzekucję, w sprawie ciała pewnej kobiety, która zaginęła w Kalifornii Południowej zamordowana przypuszczalnie, jak sądziła policja, przez tego człowieka. Pool zaproponował zabójcy, żeby mu po prostu powiedział, gdzie znaleźć

ciało. Bo tak należy zrobić. Dla dobra własnego sumienia. Dla dobra rodziny tej kobiety. Zabójca zaczął delikatnie pertraktować z Poolem, wspominając coś o tym, że w kalifornijskich więzieniach są lepsze warunki. Może dałoby się wynegocjować przenosiny w zamian za informację?

Pool zabrał swoje papiery i wstał od stolika.

– Umrzesz tutaj – powiedział i wyszedł z pokoju.

Praca w jednostce do spraw nierozwiązanych odpowiadała Poolowi. Mnóstwo było w nich białych plam, których bardziej porywczy gliniarze, tacy, co mają czasem ochotę kopniakiem otworzyć drzwi, żeby wejść do środka, nigdy nie zdołają wypełnić niezbędnymi informacjami. A Pool to potrafił. Cierpiał na bezsenność i lubił „wydawać polecenie” swojemu mózgowi, który gdzieś w tyle głowy cały czas przetwarzał otrzymane zadanie, dopóki jakiś czas później, może przy myciu zębów albo wsiadaniu do samochodu, nie pojawiła się odpowiedź. Gliniarze znający na wylot pokrętną naturę życia potrafią usiąść naprzeciwko jakiegoś ojca, który właśnie podpalił swoją rodzinę, i rozmawiać z nim, jak gdyby byli dobrymi kumplami i mieli z nim wypić parę piw podczas oglądania meczu bejsbolu. Potrafią pogodzić się z pewną dawką moralnej niejednoznaczności, a przynajmniej sprawiać takie wrażenie. Dla kogoś takiego jak Pool, który nie potrafił niczego udawać, dawne, nierozwiązane sprawy wydawały się wręcz idealne. W Biurze Szeryfa pracował już od dwunastu lat, ale śledztwa w sprawie zabójstw stanowiły dla niego względną nowość. Czekające go wyzwanie kryło się w kartonowym pudle, zawierającym akta trzech spraw (Harringtonów, Manueli Witthuhn i Janelle Cruz). Wewnątrz kryła się opowieść o skradzionym życiu czterech osób. A także jeden potwór bez twarzy. Pool powiedział sobie, że będzie zadawał sobie pytania, dopóki go nie znajdzie.

Na marginesie jednego z raportów w sprawie Harringtonów Pool

zauważył zapisany numer śledztwa prowadzonego przez Wydział Policji w Venturze. Zadzwoił i spytał, co to za sprawa. Dowiedział się, że chodzi o morderstwo Lymana i Charlene Smithów. Sprawa bardzo głośna w Venturze. Lyman był znanym adwokatem. Powiadano, że wkrótce miał otrzymać nominację na stanowisko sędziego w sądzie wyższej instancji. Charlene niegdyś była jego błyskotliwą sekretarką, potem została jego drugą żoną. W niedzielę 16 marca 1980 roku Gary Smith, dwunastoletni syn Lymana z pierwszego małżeństwa, przyjechał na rowerze do domu ojca skosić trawnik. Drzwi frontowe były otwarte. Z głównej sypialni dobiegały słabo słyszalne odgłosy budzika. Żółty dywan był usiany kawałkami kory. Na podłodze w nogach łóżka leżało wąskie polano. Pod narzutą leżały dwa ciała, ojca i jego drugiej żony.

Śledczy mieli do dyspozycji mnóstwo tropów. Położony na wzgórzu dom Smithów, skąd rozciągał się widok na morze, stanowił sprytną zasłonę dla rozmaitych dramatów i tajemnic. Romansów. Niezbyt czystych interesów. Śledczy szybko skupili uwagę na postaci przyjaciela oraz byłego biznesowego partnera Lymana, który nazywał się Joe Alsip. Wiadomo było, że mężczyzna odwiedził Smithów wieczorem w dniu morderstwa; na karafce z winem znaleziono jego odciski palców. Co gorsza, pastor jego parafii poinformował policję, że Alsip zasadniczo przyznał mu się do winy. Aresztowano podejrzanego. Policja i prokurator przybyli na wstępne przesłuchanie, emanując pewnością siebie. Właściwie byli zadowoleni, że obrońcą Alsipa okazał się Richard Hanawalt. Znali go głównie jako skutecznego obrońcę pijanych kierowców. Miał skłonność do skomplikowanych metafor i zdań logicznie niepowiązanych ze sobą.

„W czasie lunchu zastanawiałem się chwilę, jaka jest definicja słowa silny” – oświadczył pewnego dnia podczas przesłuchań w sprawie Alsipa. Na temat wersji wydarzeń przedstawianej przez stronę przeciwną powiedział:

„Krok po kroku zaczyna się rozwijać niczym długi dywan przed wejściem do hotelu”.

Ale to, co wszyscy uważali za niezborne dygresje Hanawalta, kryło w sobie prawdziwą bombę. Anonimowi informatorzy zachęcali go do zainteresowania się przeszłością wielebnego. Okazało się, że duchowny już od dziesięcioleci, w różnych miejscach kraju, od Indiany po Waszyngton, w jakiś dziwny sposób zwraca na siebie uwagę policji, próbując wpleść swoją osobę w różne śledztwa. Sierżant Gary Adkinson, jeden z głównych śledczych w sprawie Smithów, po cichu spodziewał się, że duchowny okaże się niewiarygodnym świadkiem, i tylko się skrzywił, gdy Hanawalt z radością zaczął relacjonować jego historię. Szef policji przydzielił pastorowi policyjną krótkofalówkę pod wpływem jego twierdzeń, że ktoś mu grozi śmiercią z powodu wydania Alsipa. Pewnego popołudnia w krótkofalówce rozległ się zdyszany głos przerażonego duchownego. „On tu jest, idź do mnie!” – krzyczał. Tak się zdarzyło, że Adkinson znajdował się właśnie na skrzyżowaniu ulic Telegraph i Victoria, zaledwie przecnicę dalej od jego domu. Szybko ruszył na ratunek. Duchowny stał w drzwiach wejściowych, głupkowato przyciskając krótkofalówkę do piersi, kompletnie zaskoczony tym, że zobaczył Adkinsona tak szybko.

– Zniknął – powiedział spokojnie.

W mowie końcowej Hanawalt skutecznie odmalował także obraz miejsca zbrodni jako widmową scenerię wskazującą raczej na działanie nieznanego ofiarom psychopaty niż kogoś, z kim Smithowie byli w dobrej komitywie: skrupowanie ofiar sznurem od zasłony, zabójcze ciosy w głowę zadane drewnianym polanem. Brak jakichkolwiek świateł w domu wskazywał, że brutalny napad mógł rozegrać się w kompletnych ciemnościach. A do tego okno od łazienki. Ktoś, kto tam stał, miał dobry widok na sypialnię. Kilka kroków od okna znajdowała się sterta drewna do kominka i właśnie stamtąd



zabójca chwycił polano półmetrowej długości.

Po wstępnym przesłuchaniu prokurator rejonowy hrabstwa Ventura zwolnił Joego Alsipa z braku dowodów. Zespół prowadzący śledztwo wrócił do punktu wyjścia. Zdania były podzielone. Część policjantów sądziła, że zabójca znał Smithów; według pozostałych napaść była przypadkowa i miała podłoże seksualne. Przez lata akta sprawy Smithów leżały w biurze śledczych na półce; po upływie dekady przeniesiono je do magazynu dowodów.

Larry Pool wyjaśnił policjantom z Ventury, że Biuro Szeryfa Hrabstwa Orange ma nierozwiązaną sprawę seryjnego zabójcy, który zamordował cztery osoby, i że jego *modus operandi* przypomina zabójstwo Smithów. Poprosił ich o przesłanie wszelkich dowodów z zakresu medycyny sądowej, jakie jeszcze mają w sprawie Smithów, do laboratorium kryminalistycznego Biura Szeryfa Hrabstwa Orange. Mary Hong otworzyła pakunek przesłany z wydziału policji w Venturze; wewnątrz znalazła kilka szkiełek. Poczula rozczarowanie. Pałeczki do pobierania wymazów, które zwykle wchodzi w skład zestawu dowodów gromadzonych w przypadku gwałtu, pociera się następnie o szkiełka, ponieważ na szkiełkach łatwiej potem oglądać spermę pod mikroskopem. Jednak zwykle te pałeczki są dołączone do zestawu. Specjaliści od kryminalistyki zawsze starają się pracować, mając do dyspozycji jak najwięcej materiału biologicznego.

17 lutego 1998 roku Pool otrzymał raport Mary Hong. Zdołała uzyskać profil DNA ze spermy znajdującej się na szkiełkach. Lyman Smith został wyeliminowany jako źródło zebranego nasienia.

Profil DNA pasował do sprawcy zabójstw w sprawie Harringtonów, Manueli Witthuhn i Janelle Cruz.

Część starych wyjadaczy z wydziału policji w Venturze nie potrafiła w to uwierzyć. Detektyw Russ Hayes, jeden z głównych śledczych w sprawie Smithów, udzielił wywiadu w jednym z odcinków *Cold Case Files*,

wyemitowanym kilka lat później. „Kompletnie mnie zatkało” – wspominał chwilę, kiedy się dowiedział o istnieniu związku profilu DNA. Starzy wyjadacze są nieufni wobec nowych technologii; Hayes też z niedowierzaniem kręcił głową.

– Jakoś nie mogłem w to uwierzyć – oświadczył. – Po prostu w to nie wierzyłem.

Hayes wspominał swoją teorię, że zabójca stał na zewnątrz pod oknem łazienki, po północnej stronie domu, w miejscu, z którego mógł widzieć sypialnię Lymana i Charlene, i wpadł we wściekłość na widok czegoś, co zobaczył – najprawdopodobniej chodziło o jakieś objawy czułości.

– Pomyślałem, że to był ktoś blisko z nimi związany. Pomyślałem, że to był ktoś, kto zobaczył coś przez okno, zaglądając do sypialni. I po prostu to go tak rozwścieczyło, że wszedł do środka i zrobił to, co zrobił.

Hayes zapewne miał rację, kiedy mówił o miejscu, w którym zabójca stał za oknem. A także o jego wściekłości. Ale już nie o zażyłości. Charlene Smith była jedynie niefortunna, zastępczą reprezentantką tego świata zmysłowych i wzgardliwych kobiet – takich jak matka, szkolna narzeczona, była żona – w wyobraźni napastnika tworzących wokół niego szyderczy krąg, kakofonię potępień, głosów, które zawsze domagały się, aby padł przed nimi na kolana; sięgając po polano do kominka, przetwarzał swoje pobudzenie we wściekłość; wymierzał złowrogą karę orzecaną przez jedynego sędziego, który się liczył: jego zdeprawowany mózg.

Liczba ofiar sięgnęła sześciu. Śledczy niemal o dwadzieścia lat za późno zaczęli powoli poznawać metody sprawcy. Widzieli, jak się dostosowywał. A także jak zmieniał miejsce. Kiedy nanosi się na mapę lokalizację kolejnych zbrodni, trudno powściągnąć pragnienie, aby znaleźć punkt wyjścia, ofiarę numer zero. Gdzie był, zanim przyjechał do Ventury? Ktoś wyciągnął stare

artykuły prasowe, w których zastanawiano się, czy tylko sprawy z Ventury i Orange są ze sobą powiązane; może chodzi także o Santa Barbara. Nagłówek artykułu zamieszczonego 30 lipca 1981 roku w „Santa Ana Register” głosił: „Podwójne morderstwa mogą mieć ze sobą związek – mówi policja”. Niemal dwadzieścia lat później te trzy hrabstwa ponownie porównały posiadane informacje. Odnotowano kilka różnic – dwie ofiary, mężczyźni z Santa Barbara, najwyraźniej zostały zastrzelone, gdy próbowały stawiać opór – ale istniało zbyt wiele podobieństw, aby odrzucić istnienie powiązań. Rozpoznawanie terenu i podglądanie. Nocny atak na ofiary z klasy średniej, które śpią. Ciosy zadawane tępym narzędziem w głowę. Kawałki sznura przyniesione na miejsce zbrodni. Odciski tenisówek. Wiele elementów obecnych także w przypadku dwu podwójnych morderstw w mieście położonym sześćdziesiąt pięć kilometrów na północ.

[Uwaga wydawcy: Śledztwo w Venturze było bez wątpienia najbardziej skomplikowanym ze wszystkich odrębnych dochodzeń. Michelle zamierzała opisać je bardziej szczegółowo, ale sprawa z Ventury jest jedynie szczątkowo reprezentowana w książce ze względu na przeciągające się zabiegi autorki o uzyskanie dostępu do materiałów ze śledztwa.

W 2014 roku Michelle zapłaciła Sądowi Hrabstwa Ventura tysiąc czterysta dolarów za kopię zeznań złożonych podczas wstępnego przesłuchania w sprawie przeciwko Joemu Alsipowi. Wszystkie 2806 stron należało wydrukować z mikrofilmu. Michelle wspomina później, że urzędniczka, która wręczała jej potężną stertę świeżo wydrukowanych materiałów z archiwum, patrzyła na nią z mieszaniną zakłopotania i szyderstwa.

Czytając te protokoły, pełne ekscytujących odniesień do kwestii dokładniej opisanych w oficjalnych raportach policyjnych, Michelle tym bardziej pragnęła uzyskać dostęp do akt sprawy z Ventury. W styczniu 2016 roku ostatecznie udało jej się uzyskać dostęp do tych akt, gdy pożyczyła kilkadziesiąt pudeł materiałów dotyczących Zabójcy z Golden State z Biura Szeryfa Hrabstwa Orange. Przed śmiercią zdołała przeczytać większą część tych akt – dotyczących głównie zastępczego wątku Joego Alsipa – ale nie zdążyła już wpleść ich w swoją

opowieść.

Bardziej wyczerpującym źródłem informacji na temat dochodzenia w sprawie zabójstwa Smithów oraz sprawy przeciwko Joemu Alsipowi jest seria artykułów Colleen Cason *The Silent Witness* (Milczący świadek), jakie ukazały się w listopadzie 2002 roku w czasopiśmie „Ventura County Star”].

## GOLETA, 1979

[Uwaga wydawcy: Fragmenty poniższego rozdziału zostały ułożone z różnych wersji artykułu *In the Footsteps of a Killer*].

Jakiś człowiek podszedł do Lindy[22], kiedy rankiem wychodziła do pracy. „Mój pies został dźgnięty nożem na twoim podwórku ostatniej nocy” – powiedział. Mężczyzna był młody, tuż po dwudziestce, miał delikatne rysy i wydawał się trochę nadaktywny. Wskazał w stronę mostka dla pieszych, spinającego dwa brzegi strumienia, jakieś sześćdziesiąt metrów od miejsca, w którym stali przy Berkeley Road w Golecie. Razem ze swoim psem o imieniu Kimo przyszedł z tamtej strony, jak wyjaśnił. Kimo biegał bez smyczy, a mężczyzna niespiesznie podążał za nim. Miasteczko Goleta to podmiejska sypialnia ciesząca się opinią bezpiecznego miejsca, nawet dość nudnego, ale niewiele osób wybrałoby się, nocą samotnie na spacer przez strumień San Jose. Potok wije się płynąc wąskim korytem w dół porośniętych chaparralem gór leżących po wschodniej stronie miasta i jest ocieniany przez wysokie drzewa o zwieszających się gałęziach – sykomory, olchę i eukaliptusy o spękanej, cienkiej jak papier korze, która wygląda, jak gdyby ktoś ją poszarpał pazurami. W okolicach strumienia nie ma świateł, słychać jedynie szelest liści i odgłosy przebiegania niewidocznych zwierząt szukających pożywienia.

Kimo był dużym psem obronnym, ważącym ponad pięćdziesiąt kilo mieszańcem owczarka niemieckiego i malamuta z Alaski. Jego opiekunowi nawet nie przyszło do głowy, że psu mogłoby się przytrafić coś złego. Kiedy

zszedł z kładki w stronę osiedla domów mieszkalnych, zobaczył, jak Kimo znika między domami Lindy i jej najbliższego sąsiada. Coś musiało zwrócić uwagę psa. Kimo lubił węszyć. Jednak z punktu widzenia człowieka w okolicy domu przy Berkeley Road 5400 nic się nie działo. Aż do lat sześćdziesiątych okolice Golety były porośnięte zagajnikami kasztanowców oraz sadami drzew cytrynowych i w niektórych miejscach, zwłaszcza blisko strumienia, można było natknąć się na fragmenty krajobrazu wyglądające zapewne tak samo, jak wyglądały w czasach, gdy ciszy nie zakłócały tu odgłosy silników ani dźwięki wydawane przez urządzenia elektronicznie; wokół rozciągała się jedynie zalewająca wszystko nieprzenikniona ciemność, gdzieś tylko rozpraszana przez światła parterowych domów. Deska surfingowa na dachu vana volkswagena na czyimś podjeździe stanowiła jedyne przypomnienie, że to są przedmieścia miasteczka w Kalifornii Południowej, wczesną jesienią 1979 roku.

Nagle nocną ciszę przerwał ostry skowyt. Chwilę później Kimo wyłonił się z ciemności. Pies szedł niepewnym krokiem, dotarł do chodnika i przewrócił się u stóp swojego pana. Właściciel obrócił go na grzbiet. Z długiej rany na brzuchu psa płynęła krew.

Kimo przeżył. Młody człowiek gorączkowo stukał do drzwi kilku domów, w którymś z nich wreszcie udało mu się znaleźć telefon i wezwał pomoc. Lekarz pogotowia weterynaryjnego zaszył ranę, zakładając siedemdziesiąt szwów – psu pozostała po nich blizna rozciągająca się od krocza aż do mostka. Ale właściciel psa nadal był oszołomiony i kompletnie nie mógł pojąć, skąd wzięła się ta rana. Linda rozumiała jego niepokój. Praca może poczekać. Ściągnęła do pomocy sąsiada i w trójkę starannie sprawdzili okolice domów i podwórka za domami w poszukiwaniu ostrych przedmiotów, takich jak ostrze kosiarki do trawy albo kawałek uszkodzonego ogrodzenia, które mogły skaleczyć psa. Niczego nie znaleźli. To było

dziwne. Równie dziwne było zalanie wodą trawnika od frontu przed domem Lindy. Mniej więcej w tym samym czasie gdy Kimo został zraniony, ktoś najwyraźniej odkręcił kurek przy wężu do podlewania i zostawił.

Linda nigdy się nie dowiedziała, jak się nazywał właściciel psa. Uprzejmie jej podziękował i odszedł. Niemal zapomniała o tym incydencie aż do chwili, gdy w lipcu 1981 roku jakiś inny mężczyzna podszedł do niej przed domem, zadając jej pytanie. Wiele się zmieniło przez półtora roku od czasu, gdy Kimo doznał obrażeń. W sąsiedztwie policjanci trzykrotnie rozciągali żółtą taśmę wokół miejsca zbrodni. Rzecz niezwykła jak na tak niewielki obszar – około sześciu i pół kilometra kwadratowego – zamieszkaną przez tak zżytą społeczność, że policjanci z sympatią nazywali nastolatków, których regularnie wypłaszali z sadów awokado, gdzie młodzi palili trawkę, gangiem czerwonoookich.

To było hrabstwo Santa Barbara z wakacyjnym ranchem prezydenta Reagana, o powierzchni dwustu osiemdziesięciu hektarów, a także miejsce, gdzie chętnie kupowali domy zamożni szpanerzy o hipisowskich skłonnościach; okolica, gdzie przez cały dzień można było nosić klapki albo bawić się w kowboja w inscenizowanych rodeo; gdzie można było podziwiać zachowaną hiszpańską architekturę, nieskalaną przez krzykliwe billboardy (zakaz wywalczono po wieloletniej kampanii prowadzonej przez estetycznie uwrażliwionych przywódców miejscowej społeczności). Od 1950 do 1991 roku jedyne miejsce, gdzie trzeba się było zatrzymać na światłach na autostradzie 101, ciągnącej się poza tym bez przeszkód przez siedemset kilometrów z Los Angeles do San Francisco, to były cztery sygnalizatory w Santa Barbara; w zależności od tego, komu dawało się wiarę, działało się tak dlatego, że miejscowi obawiali się, że autostrada odetnie ich od możliwości podziwiania widoków oceanu, albo dlatego, że zależało im na tym, aby turyści zatrzymywali się w miejscowych lokalach, albo dlatego, że należało

zachęcać ludzi do tego, aby stawali i podziwiali piękne widoki, a czyż jest lepsze miejsce po temu niż Santa Barbara, Amerykańska Riwiera wtulona między skaliste góry i rozległy Pacyfik? Kto nie chciałby się zatrzymać na moment na świątłach w takim raj? Ostatecznie okazało się jednak, że nikt. Wypadków było co niemiara, w weekendy ruch dławiły korki, a powietrze zatrzuwały wyziewy z samochodów czekających na zmianę świateł.

Śledczy mieli poczucie, że wiedzą, której nocy napastnik przekonał się, że musi być ostrożny. Wiedzieli, że ta noc zmieniła go nieodwołalnie. Pierwsza zbrodnia, z którą mogli go powiązać, miejsce, gdzie zatrzymywała się taśma przewijana do tyłu: 1 października 1979 roku. Niecały tydzień po tym jak Kimo został dźgnięty w brzuch. Tej nocy para mieszkańców Golety obudziła się w swoim domu przy Queen Ann Lane wyrwana ze snu przez oślepiające światło latarki i słowa rzucane przez młodego człowieka zduszonym szeptem, przez zaciśnięte zęby. Napastnik kazał kobiecie związać swojego chłopaka. Potem związał ją samą. Zaczął chodzić po domu, czegoś szukać, otwierał i zamykał z hukiem szuflady. Przeklinał. Rzucał groźby. Żądał pieniędzy, ale nie interesował się nimi specjalnie. Zaprowadził kobietę do salonu i kazał jej się położyć twarzą do ziemi na podłodze, rzuciwszy jej na głowę parę tenisowych szortów, co miało przesłonić jej oczy. Słyszała, jak wchodzi do kuchni. Słyszała, jak sobie podśpiewuje.

– Zabiję ich, zabiję ich, zabiję.

Pod wpływem nagłego przyływu adrenaliny kobieta dała radę wyrwać się ze swoich więzów i z krzykiem wybiegła przez frontowe drzwi. Jej chłopak, skrepowany w sypialni, zdołał wyskoczyć na podwórko. Kiedy usłyszał kroki intruza, rzucił się na ziemię i skulił za drzewkiem pomarańczowym, cudem unikając światła szukającej go latarki.

Sąsiadem młodych ludzi był agent FBI. Obudzony przez krzyki wybiegł



na zewnątrz akurat w porę, by dostrzec jakiegoś człowieka, który mijał go, zawzięcie pedaując na skradzionym srebrnym nishiki z dziesięcioma biegami. Koszulka Pendletona. Dżinsy. Pochwa na nóż. Tenisówki. Brązowe włosy. Agent rzucił się swoim samochodem w pościg; zdołał dostrzec podejrzanego w świetle reflektorów kilka przecznic dalej, przy San Patricio Drive. Kiedy mężczyzna zobaczył światła samochodu, porzucił rower i przeskoczył przez ogrodzenie między dwoma domami.

Napadnięta para potrafiła opisać napastnika jedynie bardzo ogólnikowo. Biały mężczyzna. Ciemne krótkie włosy powyżej kołnierzyka. Sto siedemdziesiąt siedem–sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Mniej więcej dwadzieścia pięć lat, jak się domyślali.

Żadna z jego następnych ofiar nie przeżyła ataku i nie mogła go opisać.

Ciała leżały w sypialni.

Rankiem 30 grudnia 1979 roku policjanci z Biura Szeryfa Hrabstwa Santa Barbara odpowiedzieli na wezwanie z 767 Avenida Pequena, domu należącego do lekarza medycyny holistycznej doktora Roberta Offermana. Dobrzy przyjaciele Offermana, Peter i Marlene Brady<sup>[23]</sup>, przyjechali na partię tenisa z Robertem i jego nową dziewczyną Alexandrią Manning i zastali otwarte szklane przesuwane drzwi. Weszli do środka i zawołałi Offermana, ale nikt się nie odezwał. Peter przeszedł przez salon i spojrzął w głąb korytarza, w stronę sypialni.

– Tam na łóżku leży jakaś naga dziewczyna – powiedział do żony.

– Lepiej stąd chodźmy – odparła Marlene. Nie chciała przeszkadzać gospodarzom. Skierowali się do wyjścia.

Jednak po kilku krokach Peter się zatrzymał. Coś było nie tak. Czy nie zawołał Offermana na cały głos? Odwrócił się i poszedł w stronę sypialni jeszcze raz, żeby się przyjrzeć dokładniej.

Kiedy zjawili się policjanci, Marlene Brady stała przed domem i płakała.  
– W środku są dwie martwe osoby – powiedziała.

Debra Alexandria Manning leżała po prawej stronie wodnego łóżka z głową skierowaną w lewo, ręce miała skrępowane na plecach białą nylonową linką. Offerman klęczał przy łóżku, w dłoni ścisnął kawałek tej samej linki. Ślady na framugach okien wskazywały, że napastnik posłużył się śrubokrętem, aby wdrzeć się do środka, przypuszczalnie w środku nocy, gdy obie ofiary spały głęboko. Wymachując pistoletem, zapewne oświadczył, że zamierza je obrabować: dwa pierścionki należące do Alexandrii Manning znaleziono ukryte między materacem i ramą łóżka.

Napastnik prawdopodobnie rzucił dziewczynie sznurek i kazał jej związać partnera, co posłusznie zrobiła, ale niezbyt mocno. Śledczy przypuszczają, że w jakimś momencie, być może gdy napastnik skończył wiązać nadgarstki Alexandrii, Offerman uwolnił się ze swoich więzów i próbował zaatakować intruza.

Sąsiedzi opowiadali potem, że około trzeciej nad ranem usłyszeli odgłosy wystrzałów, po czym zaległa cisza, a potem padł jeszcze jeden strzał. Robert Offerman został postrzelony trzykrotnie, w plecy i w klatkę piersiową. Pojedyncza rana Alexandrii Manning znajdowała się po lewej stronie z tyłu głowy.

Na nocnej szafce Offermana leżała książka *Your Perfect Right. A Guide to Assertive Behavior* Roberta E. Albertiego. To był okres świąteczny. Na frontowych drzwiach wisiał zielony okrągły wieniec z czerwonymi kwiatami. U wejścia stało w donicy drzewko sosnowe. Przeszukując miejsce zbrodni, policjanci znaleźli zawiniętego w celofan indyka, który został porzucony na patiu. Doszli do wniosku, że w jakimś momencie zabójca otworzył lodówkę i poczęstował się resztkami świątecznego obiadu doktora Offermana.

Kimkolwiek był sprawca, tej nocy nie poprzestał na wizycie w domu

Offermana. Śledczy znaleźli ślady jego adidasów ze wzorem gwiazdki na podeszwie, wskazujące, że obszedł naokoło dom doktora. Zauważyli, że kwietnik przy 769 Avenida Pequena, niezamieszkaney sąsiedniej posiadłości, został podeptany. Wewnątrz znaleźli dowody, że ktoś tam przebywał – głównie w łazience, gdzie znaleźli zwój nylonowego sznurka.

Napłynęły doniesienia o włamaniach i szperaniu w sąsiednich domach, w ciągu kilku godzin poprzedzających morderstwo. Kiedy pewna para mieszkająca przy Windsor Court, kilkaset metrów od domu Offermana, podjechała do swojego domu około dziesiątej piętnaście wieczorem, zauważyła jakiegoś człowieka, który biegł przez salon w stronę tylnych drzwi. Kiedy właściciele weszli do środka, usłyszeli, jak intruz przeskakuje przez tylne ogrodzenie. Biały mężczyzna w ciemnej czapce z daszkiem i ciemnej kurtce – tylko tyle zdołali dostrzec na pewno. Brutalnie kopnął ich pudła w oko.

W ciągu następnych dni po morderstwie śledczy nadal znajdowali kawałki nylonowego sznurka porzucone w różnych miejscach: na ścieżce wzdłuż strumienia San Jose, na trawniku przy Queen Ann Lane. Jednak nie mieli pewności, kiedy porzucono sznurek przy Queen Ann Lane; kilka domów dalej mieszkała para, która zaledwie dwa miesiące wcześniej cudem uniknęła losu Roberta Offermana i Alexandrii Manning. To wszystko znalazło się w policyjnych raportach. Nylonowy sznurek. Ślady włamania. Odciski adidasów.

---

[22] Pseudonim.

[23] Pseudonimy.

## GOLETA, 1981

Debbi Domingo ze swojej ostatniej rozmowy z matką Cheri najlepiej pamięta to, że wcale nie rozmawiały. Wrzeszczały na siebie. Była niedziela 26 lipca 1981 roku, szczyt letniego sezonu w Santa Barbara. Zniknęła już nadbrzeżna mgła niosąca zapach wilgotnego eukaliptusa. Ocean Spokojny robił się coraz cieplejszy i w stronę miękkiego piasku oraz niekończących się szeregów trzydziestometrowych palm sunęły rzędy biało zwieńczonych fal. Opaleni na złoto nastoletni chłopcy o długich włosach i gibkich ciałach bez wysiłku nieśli deski surfingowe, idąc w stronę wody sprężystym krokiem, który miejscowi nazywali tańcem surferów. To był magiczny czas w Santa Barbara i Debbi, jeśli nie była właśnie w Granada Theater, gdzie pracowała dorywczo, myślała tylko o tym, żeby cieszyć się promieniami słońca. Uwielbiała energię emanującą z East Beach, zwłaszcza z miejsc, gdzie grało się w siatkówkę. Ale był pewien kłopot i właśnie dlatego tego popołudnia Debbi nacisnęła mocno na hamulce swojego dziesięciobiegowego roweru przed budką telefoniczną na State Street. Z kieszeni jeansów z obciętymi nogawkami wyciągnęła kilka monet. Matka odebrała telefon. Debbi od razu przeszła do rzeczy.

– Muszę przyjść po kostium kąpielowy – oznajmiła.

Nie spodziewała się jednak tak kategorycznej odpowiedzi.

– Nie – oświadczyła Cheri.

Debbi poczuła, że zalewa ją wściekłość. Ścisnęła mocniej słuchawkę i odpowiedziała równie zdecydowanie. Matka i córka w jednej chwili

znalazły się w środku swojej niedawnej gwałtownie przerwanej rozmowy.

To było cztery dni wcześniej, na Anacapa Street 1311, w nierzucającym się w oczy niedużym narożnym domu mieszczącym siedzibę Klein Bottle Crisis Shelter, organizacji, która zajmowała się pomaganiem nastolatkom z problemami. Debbi, uciekiniarka na rowerze, pojawiła się w ośrodku w połowie lipca z jedną pośpiesznie spakowaną torbą, za to z dobrze rozwiniętym systemem wykrywania zasad i wiedzą, jak je obchodzić. Niemniej Klein Bottle trudno było uznać za instytucję, w której panowałyby surowe zasady. Wystarczyło spojrzeć na liczne paprocie zwisające w makramowych plecionkach. To były czasy szczytowej popularności książki Alice Miller *Dramat udanego dziecka*, bestsellera literatury poradnikowej, który miał obnażać subtelne mechanizmy emocjonalnych szkód, na jakie dzieci bywają narażone nawet w najlepiej z pozoru funkcjonujących rodzinach. Alice Miller namawiała czytelników, aby odnaleźli własną prawdę o swoim potencjalnie destrukcyjnym dzieciństwie; w rezultacie autorka przyczyniła się do narodzin niebywałej mody na psychoterapię. Psychologowie z Klein Bottle pili herbatę z glinianych kubków i zapewniali nieumiejących się wysławić nastolatków, że żadne uczucia nie są zbyt banalne ani zbyt wstydlive, aby o nich opowiadać.

Oprócz wykonywania prac porządkowych na rzecz ośrodka dzieciaki musiały przestrzegać jednej zasady: mogły wychodzić i wracać kiedy chciały, ale zobowiązać się na piśmie, że będą uczestniczyć w sesjach psychoterapii. Pracownicy ośrodka zaaranżowali spotkanie Cheri i Debbi; mieli nadzieję, że z pomocą psychologa matka i córka zdołają jakoś rozwiązać swoje problemy.

Zapewne wydawało się, że ich kłopoty to przypadek idealnie nadający się do mediacji. Żadna z nich nie była narkomanką o mętnym spojrzeniu; w zachowaniu Debbi nic nie wskazywało na brutalne przejścia na ulicach ani zaniedbanie. Całkiem przeciwnie. Zarówno matka, jak i córka były

pięknościami o delikatnych rysach. Obie preferowały podobny, swobodny styl plażowy: skromny makijaż, sandały, drukowane topy, jeansy. Debbi od czasu do czasu zaplatała warkocz albo ozdabiała włosy spinką z boku. Trzydziestopięcioletnia Cheri była szczupła jak modelka, w typie urody Natalie Wood, i miała bezpośrednie, życzliwe usposobienie, rezultat pracy na stanowisku kierowniczkii biura. Debbi miała bardziej zmysłową figurę, a spojrzenie jej dużych, błękitnych oczu, podobnie jak większości nastolatków, wskazywało, że myśli raczej o najbliższej chwili niż o tym, co będzie później. Obie emanowały spokojną pewnością siebie i cieszyły się dobrym zdrowiem.

Nadeszła pora spotkania. Wymieniono uprzejmości i wszyscy zajęli swoje miejsca. Ledwo Debbi i Cheri usiadły na kanapie, ostrożnie niczym dwa ptaki na drucie, nastąpiła erupcja. W swoich kłótniach, naładowanych skumulowaną wściekłością, już od dawna kręciły się w kółko, a jedyna odmiana polegała na tym, że raz jedna, raz druga była bardziej nieufna albo czuła się bardziej skrzywdzona. Nie trzeba ich było zachęcać ani popychać. Granice. Reguły. Chłopcy. Brak szacunku. Debbi nie pamięta, czy psycholog był mężczyzną czy kobietą, przypomina sobie tylko, że krzyczała na matkę i że jeszcze ktoś trzeci był w pokoju; jakaś osoba, która przypuszczalnie patrzyła na to wszystko oniemiała i bezradna. W końcu Debbi nagle wybiegła jak burza z pokoju, tak jak poprzednio: ciemnowłosa dziewczyna pedałużąca zawzięcie na rowerze, z torbą kryjącą wszystkie jej rzeczy. Za dwa tygodnie miała skończyć szesnaście lat.

Cheri patrzyła, jak miasto pochłania jej córkę, i ogarnął ją niepokój. Santa Barbara kusiło. Zwodniczo. Obietnica romansu uśmiechała się zewsząd, z pola widzenia znikwały potencjalne zagrożenia. Po dziesiętnastosekundowym trzęsieniu ziemi, które w 1925 roku zburzyło większość centrum, miasto odbudowano w jednolitym hiszpańskim stylu

kolonialnym – białe gipsowe ściany, niskie dachy z czerwonej dachówki, ozdoby z kutego żelaza. Przywódcy miejscowej społeczności, z myślą o zachowaniu charakteru miasta, pilnowali, aby budynki były niskie i żeby nie było billboardów. Santa Barbara zachowało atmosferę małego miasteczka. Pewien grecki emigrant przez trzydzieści dwa lata każdego dnia sprzedawał popcorn ze swojego wózka u podnóża Stearns Wharf. W gorące wieczory przez otwarte okna wpadał zapach kwitnącego jaśminu. Huk oceanu kołysał ludzi do snu.

Ale czaiła się też niepewność. Pienił się groźny, podziemny nurt. Recesja zdławiła wiele firm działających w centrum miasta. Nie wprowadzono jeszcze praw zakazujących spożywania alkoholu w miejscach publicznych i nocami w dolnym odcinku State Street, w przerwach między piciem i wymiotowaniem, wrzeszczeli na siebie pijacy. Kluby muzyczne zmieniały charakter. Znikał folk, potem disco, zastąpione przez bardziej gniewny punk. W miejscowych gazetach można było przeczytać, że anonimowy mężczyzna dzwoni do dzieci w wieku od lat jedenastu do piętnastu i mówi im, że wkrótce umrą. Inny, może ten sam, mówił kobietom, które odebrały telefon, że zrobi krzywdę ich mężom, jeśli nie spełnią jego żądań. Miejscowi gliniarze mówili o tym niezidentyfikowanym szaleńcu „nasz dychacz”.

Na skrzyżowaniu State Street i autostrady 101 znajdowała się sygnalizacja świetlna; autostrada stanowiła jeden z głównych szlaków północ – południe przez całą Kalifornię i przez ponad dekadę w pobliżu światła paradowali barwni hipisi z transparentami, prosząc o podwiezienie do takich miejsc jak San Diego czy Eureka. Na stacji benzynowej Texaco w Santa Barbara leżały zawsze pisaki przeznaczone dla autostopowiczów, żeby mieli czym wypisywać na kawałkach tektury nazwy celów swoich podróży.

Ale ostatnio trudno było nie zauważyć, że mimo tamburynów i szat

przypominających Lato Miłości hippisi nie są już tacy młodzi. Z bliska można było dostrzec, że ich twarze naznaczyły nie tylko wiatr i słońce, ale także liczne odcienie porażki, która wymiotła światło z ich oczu. Znacznie mniej było tabliczek z nazwą miejscowości, do których chcieli dotrzeć, część z nich po prostu chodziła w kółko przez cały dzień.

Fioletowe kwiaty bugenwilli obficie porastającej Santa Barbara mogą przesłonić czające się niebezpieczeństwa. Cheri miała nadzieję, że w mieście nie stanie się Debbi nic złego. W głowie każdej matki wyświetla się niekończąca się litania strasznych rzeczy, jakie mogą przytrafić się jej dziecku. Rzadko się zdarza, że jest na odwrót. Bo też czemu miałyby tak być? Zwłaszcza gdy chodzi o nastolatki, które porzuciwszy dziecięcy obraz rodziców jako bogów, zanim zaczną postrzegać ich jako istoty ludzkie, przez pewien czas widzą w nich jedynie przeszkodę, uparte drzwi, które nie zawsze chcą się otworzyć.

Nie, mówiąc językiem panującym w Klein Bottle, to Debbi była zagrożona. Opowieść o pięknej nastolatce, która uciekła z domu, rzadko kończy się dobrze. Ale tym razem tak właśnie się stało.

Dzięki temu, że nie było jej w domu, Debbi Domingo ocalała życie.

Cheri wiedziała, że jej kłopoty z Debbi to jedynie przejściowa trudność, jak wyboje na drodze, i że z czasem wszystko między nimi się ułoży. Obie będą się jeszcze kiedyś z tego śmiały, gdy Debbi sama będzie miała nastoletnią córkę. Ale na razie Cheri potrzebowała rozwiązań. Pracowała jako kierowniczka biura i wszyscy opisywali ją jako opiekuńczą kwokę, tyle że własnej córce, jak się wydawało, nie potrafiła matkować ani nią pokierować.

– Jak ty to robisz? – spytała w ogrodzie swojej najlepszej przyjaciółki Ellen, siedząc z nią w jacuzzi i popijając wino. Ellen miała trzy nastoletnie córki, dla których razem z mężem stanowili rodzinę zastępczą. Dziewczynki



urodziły się uzależnione od narkotyków. Porzucono je pod drzwiami. Cheri zdumiewała się tym, jak dobrze się zachowują.

– Dyscyplina – oświadczyła Ellen.

Jej zdaniem podejmowane przez Cheri próby wprowadzenia dyscypliny w życie Debbi przysły za późno. Wcześniej była zbyt pobłażliwa. Ellen zawsze domagała się od swoich córek jasnej informacji, gdzie są i dokąd się wybierają. Dziewczynki wiedziały, że jeśli pójdą na wagary, Ellen albo jej mąż Hank pojawią się w szkole z plakatem obwieszczającym, że są opiekunami wagarowiczek. Groźba publicznego wstydu trzymała je w ryzach.

Cheri tymczasem dawała Debbi bardzo dużo swobody. Cierpliwie przyjmowała to, że Debbi nie przychodzi do domu na czas albo w ogóle się nie pojawia. Cheri była z natury osobą optymistyczną, zrównoważoną; wierzyła, że afery, w jakie wdaje się Debbi, są typowe dla nastolatek, i niechętnie myślała o tym, żeby jej czegoś zabraniać. Mawiała, że ta faza w jej życiu przeminie. Cheri sama miała zaledwie dziewiętnaście lat, gdy Debbi przyszła na świat, i w szczęśliwszych czasach, gdy wspólnie przymierzały stroje w centrum handlowym albo jadły lunch w swojej ulubionej restauracji Pancho Villa, uwielbiały, jak nieznajomi brali je za siostry. Zaczynały wtedy chichotać. Nieznajomi szybko uświadamiali sobie swój błąd. Oczywiście nie były siostrami. Były przyjaciółkami.

Dlatego właśnie w miesiącach narastających napięć, gdy Debbi wrzeszczała: „Nie obchodzą mnie twoje zasady! Niszczysz mi życie!”, Cheri odpowiadała, zgodnie z prawdą, ale z pewną potulną niepewnością w głosie: „Przecież jestem twoją mamą”.

Wszystko zaczęło zmierzać w stronę katastrofy z powodu rozwodu. Cheryl Grace Smith poznała dwa lata starszego od siebie Rogera Deana Dominga, technika elektronika pracującego w straży przybrzeżnej, kiedy była

jeszcze w szkole średniej. Pobrali się szybko, gdy tylko Cheri skończyła osiemnaście lat, 19 września 1964 roku w San Diego. Debbi przyszła na świat w sierpniu następnego roku. Niemal dokładnie rok później urodził się syn David. Roger porzucił pracę w straży przybrzeżnej i został pastorem w Kościele metodystycznym, a potem nauczycielem w gimnazjum. W 1975 roku cała rodzina przeniosła się do Santa Barbara.

Debbi pamięta, że pierwsze dwanaście lat jej życia upłynęło w ciepłym, łagodnym słońcu. Cheri piekła domowe ciasteczka z cukrem. Urządzali pikniki w Nojoqui Falls Park. Cieszyła się, że ma młodych rodziców, którzy nie patrzą na nią z ławki w parku, ale podsadzają ją na drabinki i sami wspinają się za nią po skałach na plaży. Cheri i Roger byli wysportowani, wychowywali się w ciepłych promieniach słońca i to było widać w ich zachowaniu. „Nie wiedziałam, co to cynizm, aż do początku szkoły średniej” – opowiada Debbi.

Gdzieś po drodze pojawiły się jednak napięcia pomiędzy Cheri a Rogerem. Istnieje raport śledczych z Biura Szeryfa Hrabstwa Santa Barbara, o objętości 1157 stron, w większości poświęcony szczegółom z życia Cheri; na stronie sto trzydziestej detektywi pytają Rogera o ich małżeństwo, a zwłaszcza o ich życie towarzyskie w Santa Barbara. Roger wspomina pikniki pod gołym niebem. Mówi, że lubili odwiedzać Solvang, sąsiednią wioskę w nieco duńskim stylu. Mniej więcej w połowie rozmowy przestaje używać zaimka „my” na rzecz „ona”. „Cheri lubiła tańczyć”. „Lubiła się bawić”. Nie wiadomo, czy cytaty to słowa Rogera czy osoby prowadzącej przesłuchanie. Ale słyhać w nich oskarżycielski ton. Cheri nie zażywała narkotyków, nie nadużywała alkoholu; fraza „bawić się” wskazuje przypuszczalnie raczej na pewne skłonności. Roger zadowalał się wiklinowym koszykiem z kanapkami i kocem na trawie. W pewnym momencie Cheri zapragnęła czegoś więcej. W grudniu 1976 roku zaczęli żyć

w separacji.

Roger wrócił do San Diego, a Debbi i David dzielili odtąd swoje życie między dwa miasta. Debbi dostrzegła dla siebie szansę w rozpadzie rodziny. Zaczęła rozgrywać rodziców przeciwko sobie. Sprawdzała, jak daleko może się posunąć. Ignorowała obowiązujące w domu zasady. Na choćby najdrobniejsze oznaki oporu pakowała swoje rzeczy i oświadczała, że jedzie do drugiego rodzica. Krążyła w ten sposób między nimi przez kilka lat, kursując tam i z powrotem między San Diego a Santa Barbara, zmieniając szkoły co najmniej kilka razy, czasami w środku roku szkolnego. W lipcu 1981 roku jej niegdyś dobre stopnie nagle się pogorszyły. Zaczęła zadawać się w San Diego ze starszym od siebie chłopakiem, co zarówno Cheri, jak Roger, rzadko zgodni w czymkolwiek, uznali za zły znak.

Wojownicza nastolatka pełna buntowniczych pomysłów może wstrząsnąć najbardziej stabilną rodziną, a to, że w osobistym życiu Cheri także niewiele było oznak spokoju, za to wiele stresu, nie poprawiało sytuacji. W czerwcu, w obliczu trudności gospodarczych, obie z Ellen zostały zwolnione z pracy w Trimm Industries, niewielkiej firmie produkującej meble komputerowe. Aby poprawić ich szanse na znalezienie nowego zatrudnienia, Cheri pożyczyła maszynę do pisania IBM Selectric i wygładziła CV. A potem postanowiła się przeprowadzić.

Przez kilka lat Cheri razem z dziećmi, jeśli nie przebywały akurat u ojca w San Diego, wynajmowała mieszkanie w Montecito. Ale w maju kuzynka ojca Cheri, znana w rodzinie jako ciotka Barbara, zadzwoniła do niej z wiadomością, że wystawia na sprzedaż swój dom w Golecie i przenosi się do Fresno. Nie chciała, żeby dom stał pusty, dopóki nie znajdzie się nabywca, spytała więc, czy Cheri z synem i córką nie chcieliby się do niego tymczasowo wprowadzić?

Ciotka Barbara mieszkała przy Toltec Way, zaułku w spokojnej,

zadrzewionej dzielnicy w północno-wschodniej części Golety, przylegającej do strumienia San Jose. Dom wykładany drewnianymi panelami w stylu Cape Cod miał nad garażem dobudowane piętro i okna z żaluzjami. Sąsiedzi nazywali go wielką czerwoną stodołą. Cheri zdecydowała się przyjąć propozycję, kiedy dowiedziała się, że czystym zbiegiem okoliczności Ellen mieszka tuż za rogiem, przy Toltec Drive.

Na początku czerwca Cheri i dzieciaki, z pomocą firmy przeprowadzkowej, przenieśli swoje rzeczy na Toltec Way 449. Wszędzie zwieszały się gałęzie eukaliptusów. Wokół domu panowały cisza i spokój jakby narzucone przez samą naturę, ale to nie miało wpływu na Debbi. Prawdziwe życie toczyło się w dzielnicy Mesa w Santa Barbara albo wśród przyjaciół z Montecito. Wszystko wydawało się doraźne. Tymczasowe. Pracownicy firmy zajmującej się sprzedażą nieruchomości mieli prezentować dom potencjalnym klientom. Na trawniku pojawił się napis „Santana Properties/Na sprzedaż”. Debbi tęskniła za chłopakiem z San Diego, tym, który według jej rodziców miał na nią zły wpływ, i ciągle do niego wydzwaniała, nabijając rachunki telefoniczne. Kilka tygodni po przeprowadzce do nowego domu, po kolejnej ostrej scysji z Cheri, wrzuciła do torby, co się dało, wskoczyła na rower i odjechała.

Wieczorami Cheri najczęściej chodziła do Ellen, przyjaciółki otwierały butelkę wina i wskakiwały do jacuzzi. Rozmawiały o kłótniach Cheri z Rogerem w sprawie pieniędzy na dzieci. O poszukiwaniu pracy. O miłości. Cheri zaczęła eksperymentować, zamieszczając ogłoszenia osobiste i korzystając z usług serwisów randkowych. Miała za sobą kilka dość sztywnych randek w restauracjach w centrum. Jeden z mężczyzn zadzwonił do biura, szukając jej, i tajemniczo przedstawił się jako „Marco Polo”. Cheri roześmiała się, gdy odsłuchiwała wiadomość, ale nie pokazała niczego po sobie. Ellen wiedziała, że Cheri chce ponownie wyjść za mąż, że jej przyjaciółka,

nieco zaskakująco jak na świeżą rozwódkę, jest staroświecką romantyczką stęsknioną miłości jak z ckliwej pocztówki, na której zakochani, idąc plażą o zachodzie słońca, trzymają się za ręce.

Cheri niewiele opowiadała o pewnym mężczyźnie, któremu niedługo po rozwodzie prawie się udało zdobyć jej serce. Ellen nigdy go nie spotkała, ponieważ ta znajomość zaczęła się wcześniej niż jej zażyłość z Cheri, ale raz zauważyła go, jak zakradł się do biura przyjaciółki podczas pracy. Był znacznie młodszy od Cheri, szalenie przystojny, wysoki, bardzo zadbany, miał gęste, czarne włosy. Ellen zdołała się dowiedzieć tylko tyle, że od lat spotykają się od czasu do czasu, ale Cheri ostatnio doszła do wniosku, że sprawa jest skończona. Czas ruszyć naprzód.

Najczęściej obie kobiety rozmawiały o problemach Cheri z Debbi. „Trudna miłość” – mówiła Ellen. Konsekwencje.

– Powinnaś postawić granice – doradziła przyjaciółce.

I tak właśnie postąpiła Cheri, kiedy Debbi zadzwoniła do niej cztery dni po burzliwym spotkaniu w Klein Bottle. Debbi miała w głowie tylko jedno, i to nie były przeprosiny czy gałązka oliwna, ale kostium kąpielowy. Zostawiła go w domu przy Toltec.

– Muszę przyjść po kostium kąpielowy – powiedziała.

– Nie – odparła Cheri.

– Co?

– Powiedziałam nie – powtórzyła Cheri.

– To mój kostium!

– Ale mój dom!

Debbi wściekle zawyła do telefonu. Cheri odpowiedziała tym samym. Ludzie na State Street zwalniali kroku, wyczuwając dramatyzm sytuacji. Debbi nie dbała o to, co myślą gapie. Całe jej ciało trzęsło się z gniewu.

Wyprowadzona z równowagi z całą mocą rzuciła do słuchawki najgorszą rzecz, jaka przyszła jej do głowy.

– Dlaczego po prostu, do diabła, nie wyniesiesz się z mojego życia! – wrzasnęła. A potem z całej siły odwiesiła słuchawkę.

Następnego dnia, około drugiej trzydzieści po południu, ktoś zadzwonił do Debby, która zatrzymała się w domu przyjaciół. To była jej koleżanka z pracy w Granada Theater. Okazało się, że odebrała telefon od Ellen, przyjaciółki jej matki, która zostawiła dla Debby wiadomość, że musi do niej natychmiast oddzwonić. Debby zebrała się w sobie, przygotowując się na wyrzuty, jakie Ellen z pewnością zaraz zacznie jej robić z powodu złego traktowania matki. Pierwsze słowa Ellen w najmniejszym stopniu jej nie zaskoczyły. Potrafiła sobie wyobrazić, jak kobieta stoi z ręką na biodrze i zaciśniętymi ustami pełna potępienia.

– Musisz przyjechać do domu – powiedziała Ellen.

– Nie zamierzam przyjeżdżać do domu – oświadczyła Debby. – Nie ma mowy.

Ellen i Debby nie całkiem pamiętają, jakie słowa potem padły, ale zgodnie potwierdzają, że Debby szybko pojęła, że musi natychmiast przyjechać do domu. To było pilne. W drodze do domu Debby siedziała na przednim siedzeniu volkswagena przyjaciółki, gorączkowo przerzucając w myślach możliwe scenariusze. Z widoku, jaki odsłonił się przed nimi, gdy podjeżdżały do Toltec Way, Debby najlepiej zapamiętała żółte taśmy otaczające miejsce zbrodni: nie tylko sam zaułek, ale także drugi dom, po lewej w głębi uliczki. Wielką czerwoną stodołę. Dom ciotki Barbary.

To było dziwne – widok dziesiątek ludzi, którzy kręcili się po zazwyczaj zupełnie pustym zaułku. Policjanci w mundurach. Detektywi w garniturach. Media. Hałas i napięcie, zamieszanie. Ludzie poruszali się szybko, podchodzili do siebie, a potem każdy szedł w swoją stronę; wszyscy

poszukiwali informacji, widać było napięcie na twarzach. Ktoś przeprowadził Debbi pod żółtą taśmą. Szła wśród tego całego zgiełku jak otumaniona.

„Dlaczego po prostu, do diabła, nie wyniesiesz się z mojego życia!”

Serce skoczyło jej do gardła, gdy zobaczyła samochód matki, brązowego datsuna 280zx zaparkowanego na podjeździe.

A potem rozpoznała drugi samochód, białe camaro z dwoma czarnymi paskami na masce, zaparkowane przed domem.

– Gdzie jest Greg? – spytała, nie bardzo wiadomo kogo. Zaczęła rozglądać się wokół, wołając coraz głośniejszym głosem. – Chcę rozmawiać z Gregiem!

Ludzie kręcący się po zaułku nagle zastygli i jak na komendę odwrócili się w jej stronę; wszyscy w zdumieniu unieśli brwi. A potem ruszyli w jej stronę, powtarzając dwa słowa – w jakiejś dziwnej, dręczącej harmonii, która jeszcze bardziej wzmocniała poczucie chaosu, gdy Debbi jak we śnie płynęła przez tłum w stronę miejsca, gdzie jak miała nadzieję, zobaczy swoją matkę.

– Greg? Jaki Greg? Jaki Greg?

[Uwaga wydawcy: Poniższy fragment został zrekonstruowany na podstawie notatek Michelle oraz fragmentu zatytułowanego *Writer's Cut*, który opublikowała w cyfrowej wersji czasopisma „Los Angeles” jako kontynuację artykułu *In the Footsteps of a Killer*].

Greg to był Gregory Sanchez, dwudziestosiedmioletni programista komputerowy, który poznał Cheri Domingo pod koniec lat siedemdziesiątych, gdy oboje pracowali w Burroughs Corporation. W okresie od 1977 do 1981 roku od czasu do czasu spotykali się i tak wiele razy to chodzili ze sobą, to się rozstawali, że kiedy wreszcie postanowili skończyć tę historię, Debbi po prostu uważała, że to tylko kolejna przerwa w ich romansie.

Greg był osiem lat młodszy od Cheri i czasem to było widać.

Strasznie mu zależało na odgrywaniu prawdziwego mężczyzny. Jeździł na motocyklu. Prowadził chevroleta camaro z paskami na boku, jak samochód rajdowy. Był trenerem zespołu Małej Ligi i drużyny futbolowej Pop Warner; miał w domu zapasową sypialnię wyposażoną w najnowszy sprzęt stereo, jaki tylko można sobie wyobrazić. Był wysportowany i zawsze starannie się ubierał. Podobnie jak Cheri bardzo dbał o siebie. Łączyła ich pewna pedantyczność. Żadne z nich nie było bogate z domu i oboje bardzo dbali o to, co posiadają. W ciągu czterech lat romansu zdecydowanie kręcili się w kółko. Ona czekała, aż on dorośnie. On czekał, aż ona się wyluzuje. Wreszcie uznali, że mają dosyć. Oboje zaczęli spotykać się z innymi osobami.

W czerwcu 1981 roku Burroughs Corporation ogłosiła, że zamyka oddział w Santa Barbara. Sanchez zamierzał pojechać na Wschodnie Wybrzeże, by sprawdzić, czy uda mu się znaleźć pracę w oddziale firmy na Florydzie. W następnym miesiącu, gdy Debbi mieszkała w ośrodku Klein Bottle, Greg skontaktował się z nią i zaprosił ją na lunch.

Greg i Debbi byli bardzo ze sobą zżyci. Uważała go za członka rodziny. Może nie całkiem kogoś w rodzaju ojca, skoro z racji wieku znajdował się gdzieś pośrodku między Cheri a nią, ale w jakimś sensie odgrywał rolę starszego brata. Był zabawny i traktował ją dobrze. Lubił nazywać ją Debrą D.

– Greg, nie mam na imię Debra – przypominała.

– W porządku, Debro D. – droczył się dalej. – Nie musisz się tym martwić.

Tego popołudnia w połowie lipca Greg nad hamburgerem przekazał Debbi wiadomość o przenosinach na Florydę. Wyjaśnił, że zależało mu na tym, żeby raczej usłyszała o tym od niego, niż dowiedziała się o wszystkim już po fakcie – jak wiedział, bardzo by ją to zabolowało. Niemniej to, że



usłyszała tę wiadomość z pierwszej ręki, nie osłabiło jej przygnębienia.

– Wiele razy oświadczałem się twojej matce – powiedział z rezygnacją. – Ale ona nigdy za mnie nie wyjdzie.

Cheri uważała, że jest za stara dla Grega – wymówka, którą Debbi uważała za śmieszna.

Debbi nie wiedziała jednak, że Greg spotyka się już z kimś innym.

Tabithę Silver<sup>[24]</sup> poznał w maju. Oboje mieszkali w tym samym kompleksie mieszkaniowym. Wcześniej Greg umawiał się z jej bliską przyjaciółką Cynthią<sup>[25]</sup>. Cynthia pozostała przyjaciółką Grega i w końcu przedstawiła go Tabicie. Zaczęli umawiać się na mieście, ich znajomość szybko się pogłębiła. Nie minęły trzy tygodnie, a Greg zdumiewał się – z pewnym niepokojem – jak szybko sprawy przybrały poważny obrót.

Spotkali się jednak w niedobrym momencie. Oboje znaleźli się w przejściowej fazie życia. Tabitha zaczęła jesienią studia stomatologiczne na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles, a na razie wyniosła się z Santa Barbara i wróciła na lato do rodzinnego domu w San Diego. Greg szukał nowej pracy i zastanawiał się nad przeprowadzką na Florydę.

– To nie jest dobry moment w moim życiu, żebym się mógł angażować – powiedział jej Greg.

– A kiedy będzie dobry moment? – odparła Tabitha. – Kiedy znajdziesz się w grobie?

Greg wrócił z Florydy 23 lipca i natychmiast do niej zadzwonił. Postanowił jednak zostać w Kalifornii. Floryda leżała zbyt daleko od jego rodziny i przyjaciół. Z myślą o urodzinach Tabithy, które przypadały za kilka dni, zaprosił ją do Santa Barbara na weekend.

Przyjechała w sobotę i spędzili cały dzień razem. Greg robił aluzje do małżeństwa. Następnego wieczora pojawiła się na progu jego mieszkania. Jednak w ostatniej chwili zaskoczył ją zmianą planów: zamierzał spędzić ten

wieczór z inną przyjaciółką.

Tą przyjaciółką była Cheri Domingo.

Jeden z sąsiadów Cheri usłyszał w środku nocy wystrzał z broni palnej, a potem czyjś głos – jakaś kobieta mówiła do kogoś łagodnym, opanowanym tonem, coś w rodzaju: „Spokojnie,”. Przymuszczałnie to były ostatnie słowa, jakie wypowiedziała w swoim życiu.

Śledczy wysnuli później teorię, że głośne szorowanie drzwi sypialni o gęsty dywan zaalarmowało Sancheza, wskazując na czyjąś obecność w domu. Wyglądało na to, że stoczył walkę z zabójcą.

Jeden z detektywów dobrze znających tę sprawę wspominał później perswazyjny, uspokajający kobiecy głos, jaki usłyszał sąsiad. „Musiała go wkurzyć” – powiedział.

Tym razem zabójca zabrał ze sobą sznur, którym krępował ofiary. Uczył się, eliminował dowody.

W poniedziałkowy poranek agent handlu nieruchomości przyjechał na Toltec Way 449 pokazać dom potencjalnemu nabywcy i jego rodzinie. Wszedł do środka i po wejściu do głównej sypialni znalazł ciała kobiety i mężczyzny. Natychmiast pospiesznie wyprowadził swoich klientów na zewnątrz i zadzwonił na policję.

Obie ofiary były nagie. Ciało Sancheza leżało częściowo w garderobie, na brzuchu. Zabójca zasłonił jego głowę stertą ubrań ściągniętych z wieszaka powyżej. Obok ciała leżała latarka – na bateriach znaleziono odciski palców Sancheza, co wskazywało, że pochodziła z mieszkania.

Greg Sanchez został postrzelony w policzek – przypuszczalnie podczas szamotaniny albo kiedy stawiał opór napastnikowi. Rana nie była śmiertelna. Zginął od dwudziestu czterech ciosów zadanych tęym narzędziem niewiadomego rodzaju. Cheri Domingo leżała twarzą do dołu na łóżku,

w kałuży krwi. Została zatłuczona na śmierć tym samym narzędziem. Leżała zawinięta w kapę na łóżko ze wzorem pasującym do tapet na ścianach. Miała ręce skrzyżowane na plecach, jak gdyby zostały wcześniej skrępowane. Otarcia na jej nadgarstkach potwierdzały takie przypuszczenie.

Śledczy znaleźli otwarte nieduże okno w gościnnej łazience na dole. Usunięto z niego siatkę i schowano ją w gęstwinie za krzakiem jałowca. Chociaż okno było za małe, aby dorosły mężczyzna mógł się przez nie przecisnąć, śledczy przypuszczali, że sprawca zdołał przez okno dosięgnąć do zamka i otworzyć drzwi do łazienki.

Policjanci badający scenę zbrodni zauważyli, że z zakurzonej półki z narzędziami w korytarzu zabrano niedawno dwa przedmioty, o czym świadczył ich zarys na brudnym regale. Jednym z pewnością był klucz hydrauliczny. Drugie zostało później zidentyfikowane przez byłego męża Cheri jako przypuszczalnie przycinacz do darni. Ani jednego, ani drugiego nie udało się nigdy odnaleźć.

Policjanci zaczęli szukać świadków, pukając do wszystkich drzwi w okolicy. Najbliższy sąsiad powiedział, że około drugiej piętnaście w nocy obudziło go szczekanie psów. Razem z żoną wyjrzeli przez okno, ale nie zobaczyli niczego niepokojącego i wrócili do łóżek.

Dwaj trzynastoletni chłopcy przypomnieli sobie, że wieczorem chodzili po okolicy i mniej więcej za kwadrans dziesiąta zobaczyli jakąś postać stojącą pod dużym drzewem, przecnicę dalej od miejsca zbrodni. Wydawało im się, że to mężczyzna, ale nie byli pewni; w cieniu widzieli jedynie niewyraźny zarys sylwetki.

Len i Carol Goldscheinowie<sup>[26]</sup> opowiedzieli, że tego wieczora wyszli na spacer i przydarzyło im się dziwne spotkanie. Około dziesiątej trzydzieści, gdy zmierzali na zachód University Drive, zauważyli nieznanego człowieka, który najwyraźniej podążał za nimi, starając się ich dogonić.

Kiedy skręcili w Berkeley Road, podejrzany osobnik szedł równoległe z nimi po drugiej stronie ulicy.

Mężczyzna był biały, miał nieco mniej niż lub nieco ponad dwadzieścia lat, około metra osiemdziesięciu wzrostu, szczupłą sylwetkę, bardzo jasne włosy blond, proste, sięgające do ramion. Był gładko ogolony. Nosił koszulkę typu Ocean Pacific i jasnoniebieskie spodnie, sztruksowe albo może jeansowe.

Około jedenastej wieczorem Tammy Straub i jej córka Carla<sup>[27]</sup> biegały po Merida Way, gdy zauważyły podejrzanego młodego mężczyznę z niemieckim owczarkiem, patrzącego w stronę garażu jednego z domów. Stał tyłem do nich kompletnie bez ruchu, jak sparaliżowany. Wyglądał na dwadzieścia kilka lat, może około trzydziestu, jakieś sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, był dobrze zbudowany. Miał jasnoblond włosy, nosił białe albo beżowe szorty do gry w tenisa i T-shirt o jasnej barwie. Sporządzono portret pamięciowy.

Śledczy dowiedzieli się także, że po południu w dniu morderstwa agentka biura nieruchomości Cami Bardo<sup>[28]</sup> pokazywała klientom dom nazywany wielką czerwoną stodołą. Kiedy rozmawiała z grupą potencjalnych nabywców, pojawił się nagle biały mężczyzna w wieku trzydziestu pięciu do czterdziestu lat i bez słowa zaczął chodzić po domu. Zanim zdążyła skończyć rozmowę z grupą innych klientów, ten człowiek wyszedł.

Kiedy otwarte popołudnie dla klientów dobiegło końca, Cami Bardo obejrzała dom i zauważyła w kuchni jakieś metalowe przedmioty. Później uświadomiła sobie, że wyglądały dokładnie tak samo jak mechanizm zamykający tylne drzwi do domu.

Pani Bardo opisała dziwnego gościa, który pojawił się w godzinach otwartych dla klientów, jako mężczyznę niskiego, o jasnoniebieskich oczach, jasnobrażowych, krótkich kręconych włosach o złotym odcieniu. Był

opalony, miał jakieś metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, nosił jasnozieloną koszulę i spłowiełe lewisy. Spotkała się z policyjnym rysownikiem z Biura Szeryfa Hrabstwa Santa Barbara i sporządzono kolejny portret pamięciowy.

Początkowo policjanci przypuszczali, że Grega Sancheza i Cheri Domingo zabili handlarze narkotyków, którzy włamali się do domu, ale osoby blisko związane z ofiarami odrzuciły ten pomysł jako niedorzeczny. Żadna z ofiar nie zażywała narkotyków. Detektywi skupili się następnie na byłym mężu Cheri. W trakcie uporczywych przesłuchań zaczęli sprawdzać jego alibi, ale okazało się wiarygodne.

W następnych latach miejscowi nazwali widmową postać odpowiedzialną za nieudany napad i dwa podwójne morderstwa Zabójcą znad Strumienia, Creek Killer. Ponieważ żadna z trzech zaatakowanych par nie była małżeństwem, przypuszczano nawet, że zabójca jest religijnym fanatykiem, który stara się ukarać ludzi żyjących w jego przekonaniu w grzechu. Śledczy z Santa Barbara doszli tymczasem do wniosku, że zabójcą jest miejscowy podejrzany typek, który nazywał się Brett Glasby.

Glasby, którego policjanci z Santa Barbara już w 1980 roku zaczęli uważać za potencjalnego sprawcę przestępstwa, był miejscowym włóczęgą znanym z wybuchowego charakteru i złośliwości. Nikt nie miał do powiedzenia o nim jednego dobrego słowa. To był paskudny łajdak. Glasby, utalentowany włamywacz, miał także pewne powiązania z Robertem Offermanem, jedną z ofiar serii zabójstw: razem z kilkoma łobuzami, z którymi się zadawał, Glasby znalazł się w gronie głównych podejrzanych o brutalne pobicie strażnika pracującego w budynku, gdzie mieścił się gabinet Offermana. Glasby mieszkał w okolicy i miał dostęp do broni Smith & Wesson kaliber 38 – broni tego samego rodzaju, jaką posłużył się zabójca Roberta Offermana i Alexandrii Manning. Niemniej testy balistyczne wykluczyły jego rewolwer; inne fizyczne dowody także nie połączyły nigdy

Glasby'ego z żadnym z tych morderstw.

W 1982 roku Brett Glasby sam zginął zamordowany razem ze swoim bratem Brianem. Podczas wakacji w Meksyku wybrali się obaj na plażę w San Juan de Alima w przekonaniu, że czeka ich korzystny biznes narkotykowy. Jednak na miejscu zostali obrabowani i zastrzeleni; okazało się, że spotkanie było pułapką. Policjanci z Biura Szeryfa Hrabstwa Santa Barbara uznali, że to Glasby był przypuszczalnie odpowiedzialny za podwójne zabójstwa Roberta Offermana i Alexandrii Manning oraz Grega Sancheza i Cheri Domingo, i trzymali się tej wersji nawet wtedy, gdy jednostka do rozpracowywania nierozwiązanych spraw z hrabstwa Orange powiązała te zbrodnie, na podstawie *modus operandi*, z postacią Pierwotnego Nocnego Łowcy – który swoją ostatnią znaną zbrodnię popełnił w 1986 roku, cztery lata po śmierci Glasby'ego.

W 2011 roku, wiele lat po wcześniejszych nieudanych próbach, udało się sporządzić profil DNA zabójcy na podstawie zniszczonego materiału genetycznego uzyskanego z koca znalezionego na miejscu zabójstwa Grega Sancheza i Cheri Domingo. Wyniki tych badań ostatecznie powiązały sprawy z Golety z działalnością Gwałciciela ze Wschodniej Strony i Pierwotnego Nocnego Łowcy.

Podobnie jak Joe Alsip, Brett Glasby okazał się kolejnym fałszywym tropem.

Nikt nigdy nie powiedział Debbi Domingo, że zabójca jej matki przypuszczalnie zamordował także inne osoby. Dowiedziała się o tym dopiero na początku pierwszej dekady następnego stulecia, gdy w programach telewizyjnych poświęconych prawdziwym zbrodniom zaczęto omawiać sprawy związane z postacią Pierwotnego Nocnego Łowcy. W tym czasie Debbi pracowała jako strażniczka więzienna w Teksasie, od siedmiu

lat trzeźwa po prawie dekadzie uzależnienia od metamfetaminy. Jej życie kompletnie się rozsypało po śmierci matki.

Tego dnia w lipcu, gdy szesnastoletnia Debbi dowiedziała się o śmierci matki, zadzwoniła do swojej babki. Powiedziała jej, że Cheri nie żyje.

– Debbi – odparła babcia. – To nieładnie żartować w ten sposób.

Niemal natychmiast po śmierci Cheri Debbi przeniosła się do San Diego. Rodzina ze strony matki stopniowo zniknęła z jej życia. Wkrótce po śmierci Cheri podsłuchiwała rozmowę rodzinną, która wracała potem do niej przez lata. „Linda – mówiła jej babka do drugiej córki, siostry Cheri. – Tak się cieszę, że to nie ty. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś to była ty”.

Po latach Debbi próbowała nawiązać kontakty ze swoją babką i ciotką, mając nadzieję na ożywienie rodzinnych więzi, ale nigdy nie odpowiedziały na jej list.

---

[24] Pseudonim.

[25] Pseudonim.

[26] Pseudonim.

[27] Pseudonimy.

[28] Pseudonim.

## HRABSTWO ORANGE, 2000

Starzy wyjadacze z Biura Szeryfa Hrabstwa Orange pamiętali, jak Larry Pool ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w zdjęcia ofiar przypięte do tablicy ponad swoim biurkiem, podczas gdy wokół niego pękate skoroszyty akt piętrzyły się niczym ponura forteca.

– Ten facet nie żyje – mówili Poolowi beznamiętnym tonem, jak gdyby powtarzali wynik ostatniego meczu w koszykówce. – Albo dostał dożywocie. Ci goście nigdy nie przestają.

„Ci goście” to psychopaci, seryjni mordercy, potwory. Jakkolwiek ich nazwiemy, potoczna wiedza podpowiada, że przestępcy dopuszczający się niezwykle gwałtownych zbrodni, seryjni mordercy, nie przestają zabijać, dopóki nie powstrzyma ich od tego śmierć, choroba albo więzienie. Osobnik, na którego polował Pool, po raz ostatni zaatakował w 1986 roku. Teraz był rok 2000.

– Czemu ci tak zależy? – dogryzali Poolowi starzy wyjadacze.

Bolała go taka postawa. Pobudzała jego potrzebę sprawiedliwości i sprawiała, że tym mocniej trzymał się swojego najgłębszego przekonania: kiedyś złapie tego gościa.

Policjanci z Santa Barbara nie mieli DNA sprawcy, ale jego *modus operandi* wystarczająco silnie przemawiał na rzecz istnienia powiązań i Pool włączył tamte podwójne zabójstwa do serii morderstw, między innymi Janelle Cruz, popełnionych od 1 października 1979 do 5 maja 1986 roku. Zginęło dziesięć osób. Dwie napadnięte ofiary zdołały się uratować.



Rozmiary sprawy powodowały, że śledczy mieli nad czym pracować. Postanowili powstrzymać się od kontaktów z mediami, dopóki nie wyczerpią wszystkich tropów. Nie chcieli ostrzegać zabójcy. Pool zgadzał się z kolegami, że facet dopuszczający się tak wielu tak gwałtownych zbrodni może siedzieć gdzieś w więzieniu skazany za jakieś poważne przestępstwa. Przeglądał dane o aresztowaniach. Podglądacze. Włamywacze. Gwałciciele. Ekshumowano nawet ciało jakiegoś ekskazańca w Baltimore. Nic.

Pool nadal nie wyłączał polecenia szukaj w swoim mózgu. Pewnego dnia przypomniał sobie pierwszą autopsję, w jakiej uczestniczył pod koniec szkolenia w akademii policyjnej. Ciało wyjęto z worka i położono na metalowym stole. Zmarły mężczyzna miał metr osiemdziesiąt wzrostu, ciemne włosy, był muskularny. I pozwiązywany jak świnia. Nosił kobiece buty, podwiązki, majtki, wypchany biustonosz. Przyczyna śmierci: zatrucie toluenem; wdychał klej ze skarpety, jednocześnie oddając się jakiegoś rodzaju autoerotycznym przyjemnościom. Pool zauważył ślady spermy na majtkach. Ten widok zrobił wrażenie na moralnym rygorystyce. Teraz zastanawiał się, czy przypadkiem zabójca, którego szukają, nie eksperymentował czasami, krępując samego siebie, gdy nie miał pod ręką jakiejś ofiary. Przypominając sobie tamtą pierwszą autopsję, Pool doszedł do wniosku, że odbyła się w październiku 1986 roku, pięć miesięcy po ostatnim zabójstwie.

Zaczął grzebać w historii faceta związanego jak świnia. Okazało się, że nie miał on żadnej kryminalnej przeszłości, żadnych powiązań z innymi przestępstwami. Został skremowany. „Jeśli to był nasz gość – pomyślał Pool – jesteśmy ugotowani”. Zebrał raporty koronera z okresu od 5 maja do 31 grudnia 1986 roku ze wszystkich hrabstw południowej Kalifornii i zaczął się przez nie przedzierać. Ale nie znalazł żadnych tropów. Po pewnym czasie doszedł do wniosku, że pójście do mediów nie jest taką złą opcją.

1 października 2000 roku w „Orange County Register” opublikowano pierwszy artykuł poświęcony możliwym powiązaniom na podstawie DNA: „DNA może wskazywać na działalność seryjnego zabójcy w okolicy”. Pool został scharakteryzowany w tekście jako policjant, który ma na swoim biurku dziewięćdziesiąt trzy skoroszyty akt tej sprawy.

– Nasz zabójca to Pierwotny Nocny Łowca – oświadczył.

Zamierzał jedynie zwrócić uwagę na to, że ich zabójca popełnił swoje zbrodnie wcześniej niż nazywany Nocnym Łowcą Richard Ramirez, który terroryzował południową Kalifornię w latach 1984–1985, ale okazało się, że przezwisko chwyciło, czego Pool bardzo żałował. Od tej pory poszukiwanego przez nich człowieka nazywano Pierwotnym Nocnym Łowcą (Original Night Stalker, ONS).

Artykuł zaczynał się od spekulacji na temat miejsca, gdzie może znajdować się teraz zabójca. Martwy. Za kratkami. Planuje następne morderstwo. Nie zastanawiano się jednak nad jego przeszłością. Prywatnie wielu śledczych z hrabstwa Orange przypuszczało, że zabójca pochodził z Golety, ponieważ tam popełnił pierwsze morderstwa. Larry Montgomery, jeden z kolegów Poola, nawet się tam wybrał i przez kilka dni wypytywał nauczycieli szkół podstawowych, aktywnych i emerytowanych, z okolic strumienia San Jose, czy nie przypominają sobie sprawiających kłopoty młodych chłopców, których uczyli w połowie lat sześćdziesiątych, chłopców, którzy budzili wtedy ich niepokój w taki sposób, w jaki budzą niepokój chłopcy dręczący małe zwierzęta. Przywiózł ze sobą kilka nazwisk, ale po sprawdzeniu okazało się, że wszyscy noszący je mężczyźni są w porządku.

W napaści z 1 października 1979 roku można znaleźć pewne elementy młodzieńczych zachowań, które wskazywałyby na miejscowego chuligana. Skradziony rower dziesięciobiegowy. Nóż do steków zabrany z domu. Ale inne tropy zgromadzone wraz z upływem czasu wskazywały na człowieka

zdobywającego swoje doświadczenie gdzie indziej, nie w gronie zamulonych narkotykami surferów, którzy mówili dużo, ale mieli niewiele przestępstw na koncie, tylko w izolacji, w trakcie samotnych, kompulsywnych czynności – pod wpływem poczucia wyobcowania zamienionego w umiejętności bezwzględnego przestępcy. Ten mężczyzna nie wyłamał po prostu tego wieczora zamka w domu napadniętej ofiary. Wymontował całą ramę okienną i wyrzucił ją za płot.

Poza tym potrafił na dziesięciobiegowym rowerze uciec przed ścigającym go uzbrojonym agentem FBI w samochodzie, i to w sytuacji, gdy nadciągała w jego stronę cała flotylla radiowozów z ludźmi szeryfa. Stan Los, agent FBI ścigający napastnika, mocno potem oberwał od miejscowych gliniarzy, którzy mieli mu za złe, że po prostu nie zastrzelił tego gościa. Los jeżył się na ich obelgi, ale uparcie bronił swojej decyzji. Wiedział tylko tyle, że jakaś kobieta wzywała pomocy i zwykły, biały mężczyzna uciekał przed nim na rowerze, przyspieszając za każdym razem, gdy Los do niego krzyczał albo trąbił. Brakowało mu niezbędnego kontekstu, aby oddać strzał.

Stan Los nie zamierzał wróżyć z fusów. Nie mógł przewidzieć w chwili, gdy ścigany rzucił rower na pobocze i pobiegł sprintem między numerami 5417 i 5423 przy San Patricio Drive, a potem przeskoczył przez płot, że kiedy następnym razem pojawi się na horyzoncie, będzie już bardziej bezwzględnym przestępcą, silniej krępującym ofiary, i nie będzie już musiał podśpiewywać, żeby dodać sobie odwagi; stanie się stuprocentowym zabójcą. W noc pościgu nie tylko szukał ratunku przed goniącym go Stanem Losem, ale najwyraźniej uciekał także w stronę czegoś jeszcze; jakiegoś stanu umysłu, w którym banalne, codzienne sprawy znikają z pola widzenia, a ich miejsce zajmują kompulsywne fantazje dotąd migoczące niespokojnie z tyłu głowy, lecz teraz wskakujące na środek sceny i przejmujące pełną kontrolę.

Stan Los nie mógł wtedy strzelić. Co nie znaczy, że od czasu do czasu nie rekonstruował wydarzeń tamtej nocy, sekund straconych na starcie, gdy uruchamiał samochód, nagłego skrętu o sto osiemdziesiąt stopni, uciekającej jakieś pięćdziesiąt metrów przed nim postaci na rowerze, zlewającej się w jedno ze skrajem światła po prawej stronie, które w jakimś sensie podziały jak swoisty rozkaz. A potem porzucenia roweru, ucieczki ściganego. Gdyby Los potrafił przewidzieć, kim stanie się ten człowiek, z całą pewnością wycelowałby swój służbowy rewolwer kalibru 38 i położył go trupem na miejscu.

Wszyscy zgadzali się, że noc z 1 października 1979 roku stanowiła przepaść, którą przekroczył przyszły zabójca.

Tajemniczy osobnik zakradający się do ludzkich domów ostatecznie wziął na cel północno-wschodni skraj miasta wokół skrzyżowania Cathedral Oaks i Patterson, o powierzchni około sześciu kilometrów kwadratowych. Wszystkie trzy napaści w Santa Barbara nastąpiły w pobliżu strumienia San Jose, który zaczyna się w porośniętych laurem górach i meandrami płynie w dół przez wschodnią część Golety, po czym wpada do Pacyfiku. Podmiejskie okolice tego strumienia to krajobraz jak z marzeń Huckleberry'ego Finna o skałach porośniętych mchem i linowych huśtawkach, o miejscu, gdzie nastolatki mogą bezpiecznie palić w cieniu wysokich drzew. Przyglądając się położeniu miejsc zbrodni na mapie Golety, Pool zauważył, jak ściśle zabójca trzymał się tego strumienia niczym pępowiny.

Ataki z Golety były także godne uwagi z innego powodu. Ten sprawca przemawiał przede wszystkim językiem kontroli. Widać to w krępowaniu ofiar. W nagłych atakach z zaskoczenia. Nawet jeśli za dnia wydawał się żalonym niedorajdą, nocą sprawował absolutną władzę w domach, do których się zakradał, jego nieruchoma maska budziła przerażenie. Czasami

zostawiał w kuchni otwarte mleko, napoczęty chleb, jakby na swój psychopatyczny sposób chciał pokazać, jak bardzo swobodnie się tam czuł.

Jednak w Golecie ten niezwykle sprawny przestępca zawsze tracił panowanie nad sytuacją. Zaatakował trzy razy; trzy razy poniósł porażkę. Nigdy nie udało mu się seksualnie wykorzystać napadniętych kobiet; podczas pierwszej napaści kobieta uciekła, w drugim i trzecim przypadku mężczyzna stawiał opór i został zastrzelony. Zabójca zapewne obawiał się, że odgłosy wystrzałów mogą ściągnąć policję, szybko zabijał więc także kobiety i uciekał.

Odtwarzanie morderczej przeszłości zabójcy przypominało oglądanie horroru od końca, ale to cofanie taśmy miało sens. „Najsłabszym, czułym punktem przestępcy jest jego historia, a nie jego przyszłość” – pisze David Canter, czołowy brytyjski psycholog zajmujący się psychologią przestępstwa, w książce *Criminal Shadows*. Według Cantera klucz do rozwiązania zagadki seryjnych przestępstw kryje się raczej w odkryciu, co wydarzyło się przed pierwszym z nich, niż w ustaleniu, gdzie sprawca udał się po swojej najświeższej zbrodni. „Zanim popełnił pierwszą zbrodnię, być może nawet nie wiedział, czy jest do tego zdolny – pisze Canter – więc może przed nią nie był tak ostrożny jak po niej”.

Co do tego, że później był bardzo ostrożny, nie ma wątpliwości. Obserwował uważnie. Kalkulował. Weźmy na przykład Venturę. Kilkakrotnie atakował w Santa Barbara i w hrabstwie Orange, ale w Venturze zaledwie raz. Dlaczego? Aresztowanie Joego Alsipa pod zarzutem zamordowania Smithów było szeroko nagłaśniane przez media. Czemu miałyby ryzykować popełnienie kolejnego podwójnego zabójstwa w Venturze, co jedynie wzbudziłoby podejrzenia, że Alsip jest niewinny, skoro ten idiota i tak miał ponieść całą odpowiedzialność?

Choć trzy napaści na domy nastąpiły w Golecie, nowszym i mniej eleganckim miasteczku położonym na zachód od Santa Barbara, ludzie z Biura Szeryfa starali się trzymać te zbrodnie w sekrecie. Podobnie jak wiele instytucji o długim stażu Biuro Szeryfa Hrabstwa Santa Barbara miało wypracowaną kulturę organizacyjną oraz reputację instytucji działającej dyskretnie i niezabiegającej o uwagę. Nawet jeśli włosy jeżyły się na głowie detektywa na widok tego, co zobaczył na miejscu zbrodni, jego praca wymagała zachowania pokerowej twarzy w kontakcie z obywatelami. Z całą pewnością takie wrażenie starał się robić O.B. Thomas, detektyw z Biura Szeryfa, gdy po południu w piątek 31 lipca 1981 roku zaczął zbierać informacje w rejonie Toltec Way 449, pięć dni po tym, jak pierwszy funkcjonariusz policji zjawił się w tym miejscu na wezwanie. Takie przeczesywanie okolicy polega na pukaniu do drzwi sąsiadów i zadawaniu pytania, czy przypadkiem nie widzieli albo nie słyszeli czegoś niezwykłego bądź podejrzanego. Nie było powodu do wprawiania opinii publicznej w panikę. Thomas odpytywał sąsiadów, ale niewiele pokazywał po sobie. Kiedy patrzyło się na jego twarz, nie sposób było się domyślić, co sam widział.

Linda mieszkała zaledwie przecznicę dalej od Toltec Way. Kiedy detektyw Thomas zastukał do jej drzwi i wyjął notatnik, w jej pamięci ożyło pewne zdarzenie. Przypomniała sobie rannego psa, swój zalany wodą trawnik i trudny do wyjaśnienia brak jakichkolwiek ostrych przedmiotów czy to u niej, czy na podwórku u sąsiada, które mogłyby tak dotkliwie skaleczyć biedne zwierzę. Opowiedziała tę historię w rozmowie z detektywem Thomasem. Spytał, czy pamięta może datę tego wydarzenia. Linda zastanowiła się chwilę, a potem sprawdziła w swoim dzienniku. „24 września 1979” – powiedziała.

Thomas natychmiast zrozumiał znaczenie tej daty. To było na tydzień

przed pierwszym atakiem. Detektywi nie wiedzieli o poszukiwanym przez siebie człowieku wiele więcej ponad to, co powiedział im świadek, który dostrzegł go, jak ucieka w ciemnościach: dorosły, biały mężczyzna. Nie mieli pojęcia, co przyciąga go w takie senne okolice podobnych do siebie domów, ale coś jednak już wiedzieli. Nosi przy sobie nóż – porzucił nóż, uciekając z miejsca pierwszej zbrodni. Krąży po okolicy nocą; odnaleźli ślady jego butów pozostawione, kiedy przekradał się od domu do domu, szukając ofiar. A poza tym lubi okolice strumienia. Może wykorzystywał zarośla i osłonę drzew, aby poruszać się w sposób niedostrzegalny. Może był jakoś związany z tym miejscem. Może jako dziecko bawił się wśród porośniętych mchem skał i linowych huštawek. Ale niezależnie od przyczyny odciski butów i porzucone kawałki linki wskazywały na to, że tam był. Trzy domy, które zaatakował, miały jedną wspólną cechę: wszystkie znajdowały się niedaleko strumienia.

Z miejsca, w którym stali, Linda i detektyw Thomas mogli dostrzec plątaninę drzew i niskie białe drewniane płotki biegnące wzdłuż strumienia. A także kładkę dla pieszych, z której wybiegł Kimo tamtej nocy zaintrygowany czymś, co poruszało się w ciemnościach w miejscu, gdzie nie powinno być nic takiego. Teraz można było odtworzyć przypuszczalny przebieg wydarzeń. Pies pobiegł między domy, łapiąc trop, a kryjący się w mroku człowiek, bez wątplenia zaskoczony i zirytowany, dźgnął go nożem w brzuch, próbując go przepędzić. Może miał potem na sobie jego krew i posłużył się węzłem do podlewania z ogrodu Lindy, żeby ją spłukać. W sąsiedztwie często znajdowano oznaki jego obecności, zanim zaatakował. Drobne, niepokojące szczegóły, które rozumiano dopiero z perspektywy czasu.

Wiele lat później, po wynalezieniu przeglądarki Google Earth, ludzie zajmujący się nierozwiązanymi sprawami stworzyli cyfrową mapę oraz

chronologię obrazującą szlak brutalnych zbrodni podejrzanego w Kalifornii. Jasnożółte ikony o kształcie pinezki znajdujące się wzdłuż strumienia San Jose reprezentują miejsca, gdzie zaatakował w północno-wschodniej Golecie. Okolica nie zmieniła się zbyt wiele w ciągu trzydziestu pięciu lat. Kiedy zrobimy większe przybliżenie obrazu, można zobaczyć ogród za domem, gdzie jego obecność po raz pierwszy zasygnalizował skowyt psa rozlegający się tamtej nocy. Głębokość odcisków jego buta wskazuje, że często stał w jednej pozycji przez dłuższy czas, opierając się o ścianę, albo kuczał w ogrodzie. Łatwo sobie wyobrazić, jak kryje się w mroku na podwórku, a od frontu rozlega się skowyt Kima, gdy jego właściciel puka do kolejnych drzwi, a potem słyszczyć odgłosy samochodu, który odwozi człowieka i psa na pogotowie. W okolicy ponownie zapada cisza. Podejrzan przemyka się między domami, zmywa krew ze swoich butów węzłem do podlewania, a potem po cichu znika w ciemności. Strumyki wody zabarwionej krwią wsiąkają w trawę.



## CONTRA COSTA, 1997

– Co to jest EAR? – spytał Paul Holes.

John Murdock na moment zaniemówił. Nie słyszał tego skrótu od lat.

– Dlaczego? – spytał.

Siedzieli obok siebie po obu stronach przejścia podczas lotu na konferencję Kalifornijskiego Stowarzyszenia Specjalistów Kryminalistyki. Był rok 1997. Murdock niedawno odszedł na emeryturę ze stanowiska kierownika laboratorium kryminalistycznego Biura Szeryfa Hrabstwa Contra Costa. Specjalizował się w broni palnej i śladach pozostawianych przez narzędzia. Holes, dobiegający trzydziestki, dostał pracę w laboratorium tuż po studiach, które skończył na Uniwersytecie Kalifornijskim w Davis, specjalizując się głównie w biochemii. Zaczął od toksykologii, ale wkrótce ciekawość odciągnęła go od mikroskopu, gdy uświadomił sobie, że jego prawdziwą pasją jest badanie miejsc zbrodni. Pracował w nich razem ze śledczymi; okazało się, że jest detektywem od nierozwiązanych spraw schwytanym w pułapkę laboratorium kryminalistycznego. Uwielbiał snuć się po magazynie dowodów, wyciągać pudła zawierające materiały ze starych, nierozwiązanych spraw. Znalazł tam opowieści. Zeznania. Fotografie. Urywki myśli naskrobane na marginesach przez rozproszonych detektywów. W laboratorium nie ma miejsca na niejednoznaczność. W aktach starych spraw wręcz się od nich roi. Zagadki kuszą, przyzywają.

„Paul, to nie twoja robota”. Nieraz słyszał te słowa nagany wypowiediane przez kolegów. Ale nie przejmował się. Miał godną prawdziwego harcerza

umiejętność zachowywania przyjaznych kontaktów, mimo że i tak robił to, na czym mu zależało. A zależało mu, jak sobie uświadomił, na tym, żeby zostać śledczym. Był gotowy przenieść się do wydziału dochodzeniowego przy pierwszej nadarzającej się sposobności.

Mimo różnicy wieku Murdock i Holes dostrzegli, że coś ich łączy: obaj byli świetnymi naukowcami, ale tak naprawdę pociągały ich historie. Każdego dnia po skończeniu pracy w laboratorium Holes siadał przy biurku ze starymi aktami zdumiony i zafascynowany mrocznymi zaułkami ludzkich zachowań. nierozwiązane sprawy zostawały w jego pamięci. Jak przystało na naukowca, nie mógł pogodzić się z niepewnością. Przejrzawszy całe pudła dokumentów, zauważył pewien wzorzec. Najbardziej drobiazgowo raporty z miejsca zbrodni zawsze podpisywała ta sama osoba: John Murdock.

– Widziałem skrót EAR pisany dużymi czerwonymi literami na niektórych teczkach odłożonych na bok w szafce z aktami – wyjaśnił Holes. Nie zdążył jeszcze zajrzeć do tych akt, ale widział, że zostały odłożone na bok z jakimś szczególnym, niemal nabożnym szacunkiem.

– EAR to skrót od East Area Rapist – powiedział Murdock. Dobrze pamiętał, co znaczyły te słowa, ich znaczenie w niczym nie osłabło wraz z upływem czasu.

– A, tego nie znam – mruknął Holes.

Przez resztę lotu, na wysokości dziesięciu tysięcy metrów, Murdock opowiadał koledze tę historię.

EAR polował nocami. Intensywnie. Początkowo niemal nie zwracał na siebie uwagi gliniarzy. W połowie czerwca 1976 roku pojawił się w sypialni jakiejś młodej kobiety we wschodnim Sacramento, wykonując „taniec bez majtek”; miał na sobie tylko T-shirt i nic więcej. W ręku miał nóż. Szeptem rzucał groźby, przetrząsał mieszkanie. Zgwałcił ją. To było brutalne. Ale w 1976 roku w Sacramento roilo się od agresywnych czubków. Kominiarka

i rękawiczki wskazywały na pewną inteligencję, lecz faceci tańczący bez majtek to zwykle otumanione nastolatki, które prędzej czy później matka przyprowadza za kołnierz.

To się jednak nie zdarzyło. Nastąpiły kolejne gwałty. Dwadzieścia dwa w ciągu jedenastu miesięcy. Metody działania miał charakterystyczne i niezmiennie. Udawanie, że jest tylko włamywaczem, żeby zmusić ofiarę do uległości. Traktowanie zakneblowanych kobiet jak przedmioty posłuszne jego rozkazom. Związywanie im rąk i nóg, często wielokrotnie i nierzadko sznurowadłami. W swoich seksualnych atakach, co ciekawe, unikał dotykania piersi i całowania. Podniecało go grzebanie po szufladach. Ze złośliwą satysfakcją podnosił stawkę, gdy całe wschodnie Sacramento wpadło w kompletną panikę. Zaczął atakować śpiące pary. Ustawiał naczynia na grzbiecie skrępowanego mężczyzny, grożąc, że zabije jego żonę albo dziewczynę, jeśli usłyszy, że spadły na ziemię. East Area Rapist stał się zjawą nawiedzającą sypialnie, tajemniczym nieznanym, który wiedział za dużo – znał układ pomieszczeń, liczbę dzieci i rozkład zajęć. Kominiarka i chropawy, sztuczny głos wskazywały na *alter ego*, ale czyje?

Ludzie z Biura Szeryfa Hrabstwa Sacramento stawali na głowie. Robili wszystko, co mogli. Wielokrotnie zatrzymywano tych samych młodych białych mężczyzn. Ale żaden z nich nie był tym właściwym. A może był? Na tym polegał problem. Każdy ze śledczych ze specjalnego zespołu polującego na gwałciciela miał własne wyobrażenie na temat twarzy podejrzanego, lecz każdy inne. Sprawca był upalonym trawą blondynem w wojskowej kurtce. Mormonom na rowerze. Albo gładkim agentem nieruchomości o oliwkowej cerze.

Carol Daly, detektyw w zespole śledczych, po dwudziestym drugim gwałcie, gdy znowu o trzeciej nad ranem eskortowała do szpitala przerażoną ofiarę, zaskoczyła samą siebie mroczną myślą: „Kocham swojego męża,

nienawidzę mężczyzn”.

Richarda Shelby’ego wyrywały ze snu w środku nocy powtarzające się, wiarygodne doniesienia o podejrzanym osobniku kręcącym się po okolicy, który – kiedy ktoś go zobaczył – z opanowaniem odchodził „niespiesznym krokiem”.

Ten szalenciec przechadzał się spokojnie wśród nich.

Członkowie miejscowej społeczności zaczęli dostrzegać przerażenie w oczach ludzi szeryfa. Groziło im, że posypią się głowy. Wszystkie. Wraz z nadejściem zmroku budził się zbiorowy strach. Wydawało się niemożliwe, żeby mieli go nigdy nie złapać. Rachunek prawdopodobieństwa wskazywał, że go w końcu dopadną, ale jaki idiota chciałby czekać tak długo?

A potem, po dwuletnim okresie rządów terroru, od 1976 do 1978 roku, zniknął – równie tajemniczo, jak tajemniczo pojawił się we wschodnim Sacramento.

– O rany – powiedział Holes. – Co się działo potem?

Murdock pamiętał, że Holes miał w tym czasie dziesięć lat i nie zdawał sobie sprawy z potężnego paraliżu, jaki spowodowała ta sprawa, jej zwrotów, fałszywych nadziei i ślepych zaułków. Jego związki z tą sprawą pojawiły się dopiero wtedy, gdy zauważył akta oznaczone literami EAR czerwonym atramentem.

– Wyłynął w rejonie Wschodniej Zatoki – stwierdził Murdock. – Przyjechał do nas.

Holes zaczął wypytywać starszych przyjaciół i kolegów o gwałciciela i był zaskoczony tym, jak rozległa okazała się ta sprawa. Wszyscy potrafili coś opowiedzieć na jej temat. Jego zwierzchnik, zastępca szeryfa, pamiętał helikoptery krążące nad głową, reflektory wędrujące przez ciemność ponad spokojnymi osiedlami. Pewien profesor z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Davis powiedział, że na pierwszą randkę z przyszłą żoną umówił się

podczas jednego z nocnych patroli szukających gwałciciela. Jeden ze współpracowników Holesa wyznał mu po cichu, że jego siostra należała do grona ofiar.

Między październikiem 1978 a lipcem 1979 roku, gdy EAR zniknął z północnej Kalifornii, odnotowano jedenaście napaści gwałciciela w rejonie Wschodniej Zatoki, włączając w to dwa w San Jose i jeden we Fremoncie. Próba osiągnięcia jakiegoś postępu w tej sprawie dwadzieścia lat później wydawała się zadaniem karkołomnym. Częścią z tych spraw zajęły się miejscowe wydziały policji. Wszystkie agencje, w tym Biuro Szeryfa Hrabstwa Sacramento, zniszczyły posiadane dowody. Taka była rutynowa procedura obowiązująca w magazynie dowodów. Sprawy przedawniły się na tyle, że nie obowiązywały w nich standardowe ograniczenia. Na szczęście Biuro Szeryfa Hrabstwa Contra Costa (CCCSO), w którym pracował Holes, zachowało swoje dowody. Odłożenie na bok akt z czerwonym napisem „EAR” nie było przypadkiem; policjanci pracujący w CCCSO w latach siedemdziesiątych, choć sami stracili nadzieję na rozwiązanie sprawy, dopilnowali, żeby akta nie przepadły. Ten gest stanowił rodzaj *memento*. Nie potrafili rozpracować gwałciciela, ponieśli porażkę. Jeśli ludzki mózg, jak twierdzą eksperci, jest najlepszym komputerem na świecie, policjanci ze starej gwardii chcieli, aby pokaźne archiwum akt dotyczących sprawy skusiło jeden z tych młodych, badawczo nastawionych komputerów i żeby przekopał się on przez nie szybciej i sięgnął głębiej. Czasami trudne sprawy były po prostu jak wyścig sztafetowy.

Zawsze łapiemy tych durnych – lubią powtarzać gliniarze. Mogli zrobić krzyżyk, napisać „załatwione”, na tych dziewięćdziesięciu dziewięciu pudłach materiałów dotyczących spraw, które skończyły się aresztowaniem. Ale jedno zostało. I to ono mogło przyprawić człowieka o przedwczesną śmierć.

W lipcu 1997 roku Holes zaczął ściągać z magazynu zestawy pobranych materiałów biologicznych ze spraw dotyczących gwałtów, żeby się zorientować, jakie dowody można w nich znaleźć. Laboratorium kryminalistyczne CCCSO dopiero od niedawna dysponowało programem oznaczania DNA i nie było tak zaawansowane jak w innych hrabstwach Kalifornii. Mimo to wyglądało na to, że trzy z tych zestawów zawierają materiał wystarczający do sporządzenia elementarnego profilu DNA. Holes doszedł do wniosku, że chociaż EAR miał charakterystyczny *modus operandi* i nie ulegało wątpliwości, że ataki w północnej Kalifornii były ze sobą powiązane, to jednak gdyby mu się udało z naukową pewnością ustalić, że jeden człowiek był odpowiedzialny również za trzy przypadki napaści przypisywanych Gwałcicielowi ze Wschodniej Strony w trzech sprawach znajdujących się w gestii CCCSO, mogłoby to na nowo ożywić całe dochodzenie. Wtedy można by było wyciągnąć jakichś starych podejrzanych i pobrać od nich materiał genetyczny.

Proces wzmocnienia informacji zawartych w DNA wymagał trochę czasu, ale kiedy rezultaty wreszcie były gotowe, uzyskano potwierdzenie. Ten sam człowiek, jak przewidywali, był odpowiedzialny za trzy sprawy gwałtów w hrabstwie Contra Costa. Holes dysponował teraz podstawowym profilem DNA Gwałciciela ze Wschodniej Strony. I ten profil mógłby znacznie się wzbogacić, gdyby laboratorium otrzymało lepsze wyposażenie. Holes zaczął szukać tropów w samych aktach, które wcześniej odłożył na bok, skupiając się na kwestiach rozstrzygalnych naukowo. Wrócił do schematu działania gwałciciela. Wyboru osiedli, po których krążył EAR, szukając informacji. Dzwonienia do ofiar. Przygotowań taktycznych.

Sporządził listę dawnych podejrzanych, a następnie odszukał emerytowanego detektywa Larry'ego Cromptona. Crompton był członkiem zespołu specjalnego CCCSO do sprawy gwałciciela w szczytowym okresie

serii napaści. Na podstawie częstotliwości, z jaką jego nazwisko pojawiało się w raportach, Holes mógł przypuszczać, że *de facto* Crompton był przywódcą tego zespołu. Albo był pracowity jak pszczołka, albo zależało mu na tych sprawach.

Dzwonienie do emerytowanych detektywów z pytaniem o dawne śledztwo to zawsze sprawa ryzykowna. Niektórym to pochlebia. Większość jest łagodnie zirytowana. Stoją właśnie w kolejce w aptecce, czekając na lekarstwo na serce. Instalują sprzęt w swojej łodzi rybackiej. Twój uprzejmy entuzjazm oznacza dla nich utratę cennego czasu.

Crompton zareagował na telefon Holesa, jak gdyby właśnie przed chwilą opowiadał komuś o tej sprawie, albo rozmawiał o niej przez lata, i nieoczekiwane pytania młodszego kolegi stanowiły naturalną kontynuację toczącej się cały czas w jego domu rozmowy.

Urodził się w Nowej Szkocji i wyglądem przypomina jednego z tych wysokich, szczupłych farmerów o uczciwych twarzach, których bohater westernu grany przez Johna Wayne'a mógł śmiało obdarzyć swoim zaufaniem. Ma także nieco osobliwy sposób mówienia, jakby ciągle łąpał oddech; nigdy się nie waha, zawsze odpowiada krótko i rzeczowo, tyle że mógłby zaczerpnąć nieco więcej powietrza.

Holes chciał się dowiedzieć, czy Crompton pamięta jakichś dawnych podejrzanych, którzy wyróżniali się wówczas na tle innych i można by ich ponownie poddać badaniu. Oczywiście pamiętał i podał, choć bez entuzjazmu, kilka nazwisk. Ale jak się okazało, tak naprawdę pragnął, aby Holes poszedł za jego starym przeczuciem, które jego szefowie stłumili w swoim czasie, nie pozwalając mu podążyć tym tropem.

Współpraca między wydziałami policji z różnych jurysdykcji nawet dziś jest dość wyrywkowa, ale pod koniec lat siedemdziesiątych była jawnie fatalna. Jedyne sposoby, w jaki można się było dowiedzieć czegoś o sprawach,

którymi zajmują się inne agencje policyjne, to były plotki i policyjny telefaks. Latem 1979 roku EAR zniknął z rejonu Wschodniej Zatoki. Szefowie Cromptona niemal podskakiwali z radości. A Crompton miał jak najgorsze przeczucia. Widział, że ten facet eskaluje swoje działania; że pragnie zobaczyć w oczach ofiar coraz większe przerażenie; jego groźby, że zabije następne osoby, wcześniej nieco stłumione, brzmiały teraz poważniej, ale także bardziej zdawkowo, jak zapowiedzi kogoś, kto stara się uwolnić od swoich ograniczeń. Crompton czuł niepokój. Byłoby niedobrze, gdyby EAR zaczął pozbywać się dotychczasowych zahamowań.

Na początku 1980 roku do Cromptona zadzwonił Jim Bevins, śledczy z Biura Szeryfa Hrabstwa Sacramento, z którym zaprzyjaźnił się dzięki pracy w oddziale specjalnym zajmującym się sprawą gwałciciela. Bevins próbował wypłatać się z tego śledztwa. Wessało go tak bardzo, że rozsypało mu się małżeństwo. Ale chciał powiedzieć Cromptonowi, że słyszał plotki o tym, że w Santa Barbara mają kilka spraw, w tym jedno zabójstwo, które bardzo przypominają sposób działania ich sprawcy. Crompton zadzwonił na południe.

Kategorycznie zaprzeczono.

– Nie mamy tutaj nic takiego – usłyszał.

Kilka miesięcy później, podczas ogólnokrajowej konferencji szkoleniowej, Crompton siedział przypadkiem obok śledczego z Biura Szeryfa Hrabstwa Santa Barbara. Zaczęli rozmawiać o tym i owym. Crompton udał głupka. Wolał pogadać o pracy.

– Słyszałem, że niedawno mieliście jakieś podwójne zabójstwo – zagadnął.

Ani na moment nie pokazał po sobie lęku, jaki go zmroził, gdy usłyszał szczegóły.

– Mówię ci, Paul – powiedział teraz do Holesa – zadzwoń na południe.



Zacznij od Santa Barbara. Słyszałem, że mieli tam kiedyś pięć trupów.

– Tak zrobię – obiecał Holes.

– WIEM, że to on – oświadczył Crompton i odłożył słuchawkę.

Dwadzieścia lat po tych wydarzeniach Holes zadzwonił do Santa Barbara i usłyszał podobne zaprzeczenia. Ludzie z Biura Szeryfa nie przypominali sobie, jakoby którakolwiek z ich spraw była podobna do tego, o czym mówi Holes, ale pod koniec rozmowy detektyw, z którym rozmawiał, albo coś sobie przypomniał, albo zmienił zdanie i postanowił pójść mu na rękę.

– Spróbuj w Irvine – powiedział. – Oni mieli coś takiego, jak mi się wydaje.

Telefon do Irvine zaprowadził Holesa do Biura Szeryfa Hrabstwa Orange, gdzie skontaktowano go ze specjalistką z tamtejszego laboratorium kryminalistycznego Mary Hong. Holes wyjaśnił, że niedawno uzyskał profil DNA niezidentyfikowanego białego mężczyzny, znanego jako Gwałciciel ze Wschodniej Strony, sprawcy pięćdziesięciu przestępstw na tle seksualnym w północnej Kalifornii w latach 1976–1979. Śledczy zajmujący się tą sprawą zawsze podejrzewali, że sprawca udał się na południe i popełnił tam więcej zbrodni. Holes szybko przytoczył opis jego *modus operandi*. Klasa średnia, parterowe domy. Włamanie w środku nocy. Śpiące pary. Zawiązywanie oczu. Gwałty na kobietach. Czasami kradzież, głównie biżuteria o wartości osobistej, która miała znaczenie dla ofiary. Pomijanie cenniejszych przedmiotów. Kominiarka utrudniała fizyczną identyfikację, ale dowody wskazywały, że nosił buty numer 9, miał krew typu A. Osobnik, w którego ślinie i nasieniu nie ma antygenów grupy krwi.

– To bardzo przypomina nasze sprawy – powiedziała Mary Hong.

W czasach gdy Paul Holes i Mary Hong przeprowadzili tę rozmowę, ich laboratoria posługiwały się innymi metodami identyfikacji DNA – hrabstwo

Orange, jako jedno z pierwszych, stosowało nowszą metodę STR. Mogli porównać jeden gen, DQA1, który pasował, ale na tym koniec. Poza tym laboratorium w Contra Costa nie było jeszcze włączone w system CODIS, co oznaczało, że nie mogło połączyć się ze stanowymi ani krajowymi bazami danych. Mary Hong i Paul Holes umówili się, że pozostaną w kontakcie i będą się nawzajem informować, gdy laboratorium w Contra Costa zacznie stosować nowszą metodę.

Laboratoria kryminalistyczne finansowane z funduszy publicznych podlegają wszystkim normalnym kolejom losu związanym ze zmianami sytuacji ekonomicznej. Urzędnicy pochodzący z wyboru wiedzą, że redukcja sił policyjnych jest niepopularne, więc kiedy przychodzi do cięć, znikają stanowiska w miejscach mniej rzucających się w oczy, takich jak laboratoria, i etaty specjalistów od medycyny sądowej. Poza tym wyposażenie tych laboratoriów nie jest tanie i kierownicy tych jednostek często muszą wielokrotnie upominać się o to, czego potrzebują.

To po części wyjaśnia, dlaczego laboratorium w Contra Costa, które już wcześniej było skromnie wyposażone, musiało czekać ponad półtora roku, aby nadrobić dystans w stosunku do kolegów z hrabstwa Orange. W styczniu 2001 roku, gdy ludzie z Contra Costa mogli wreszcie zastosować metodę STR, Holes poprosił Dave'a Stockwella, jednego ze swoich współpracowników, aby jeszcze raz zweryfikował fragmenty DNA dotyczącego sprawy Gwałciciela ze Wschodniej Strony, żeby sprawdzić, czy w trzech interesujących go przypadkach gwałtów nadal chodzi o ten sam profil przestępcy. Stockwell po zbadaniu próbek odpowiedział, że tak.

– Zadzwoń do Mary Hong z hrabstwa Orange – polecił mu wtedy Holes. – Mamy teraz tę samą technologię. Porównaj swoje dane z tym, co ma.

Przez telefon Stockwell i Mary Hong odczytali sobie nawzajem markery.

– Tak – mówiła Mary Hong, kiedy Stockwell odczytał jeden z markerów gwałciciela.

– Tak – potwierdził Stockwell w odpowiedzi na podany przez nią wynik.

Poszedł do biura Holesa.

– Pasują idealnie.

Wiadomość trafiła do mediów 4 kwietnia 2001 roku. „DNA łączy gwałty z lat siedemdziesiątych ze sprawami seryjnego mordercy” – głosił nagłówek w „San Francisco Chronicle”. Nikt nie ostrzegł żyjących ofiar gwałtów, że sprawa ponownie wypływa, i wiele z nich przeżyło szok, widząc poranną gazetę na swoim stole przy śniadaniu. „Sacramento Bee” pisała wielkimi literami na pierwszej stronie: „Nowe tropy znalezione po dziesięcioleciach w sprawie seryjnych gwałtów, DNA łączy Gwałciciela ze Wschodniej Strony ze zbrodniami w hrabstwie Orange”.

Jeszcze bardziej nierzeczywisty wielu z nich wydawał się widok detektywów ze zdjęcia na pierwszej stronie „Bee”. Richard Shelby i Jim Bevins. Shelby, wysoki, szorstki, facet o doskonałej pamięci. Oraz Jim Bevins – Ciepłe Oczy, jak żartobliwie nazywali go koledzy. Nikt nie był bardziej lubiany niż Bevins. Kiedy się zbliżał, już z odległości pięćdziesięciu metrów można było dostrzec, że to jest facet, którego przysłano, aby rozładować napięcie i sprawić, aby wszyscy poczuli się lepiej.

A jednak ci dwaj dziś już niemłodzi mężczyźni znaleźli się wspólnie na pierwszej stronie. Dwadzieścia pięć lat to długo w przeliczeniu na lata pracy w policji. Widać po nich było duże doświadczenie. Wyraz ich twarzy wskazywał na coś jeszcze. Zakłopotanie? Wstyd? Spekulowali, co się teraz dzieje z człowiekiem, który stał się symbolem ich porażki. Shelby obstawiał szpital psychiatryczny, Bevins cmentarz.

Holes przez kilka dni odpowiadał na pytania reporterów i cieszył się

podniecającym się zamieszaniem. Ale choć prywatnie nadal czuł, że jego powołaniem jest praca śledczego, dostał awans na stanowisko zwierzchnika innych specjalistów od kryminalistyki. Czekwały go nowe obowiązki. Poza tym był żonaty, miał dwójkę dzieci. Nie miał czasu, aby poświęcić się bez reszty przekopywaniu się przez dziesięć tysięcy stron akt, jakie nowe odkrycia z zakresu DNA połączyły w jedno. To była niesłychana wprost liczba dowodów. Ludzi, którzy pracowali nad tą sprawą, ogarnął niebywały optymizm. Profil DNA? Sześćdziesiąt spraw obejmujących teren całego stanu Kalifornia? Spierali się o to, który z nich pierwszy go przesłucha, kiedy już go znajdą i wprowadzą do sali.

Wszystko wskazywało na to, że sprawą zajmie się przede wszystkim Larry Pool z hrabstwa Orange. Wiadomość o związku DNA Pool odebrał z radością, ale poczuł też oniesmielenie, jak gdyby spędził kilka lat w małym, dobrze znanym pomieszczeniu, po czym nagle się okazało, że to był tylko przedsiónek ogromnego magazynu.

Nadal odpierał wzgardliwe uwagi starych wyjadaczy, którzy upierali się, że potwór dawno nie żyje. Seryjni zabójcy na tle seksualnym nie przestają zabijać, jeśli coś ich nie powstrzyma; może jakiś kierujący się słusznym odruchem właściciel domu zastrzelił go podczas włamania? Nie marnuj czasu – mawiali.

Siedem miesięcy później Pool miał prawo poczuć się usprawiedliwiony przez wiadomość, która nadeszła z północno-zachodniego wybrzeża Pacyfiku. W listopadzie 2001 roku uwaga mediów zwróciła się w stronę innego niezidentyfikowanego dotąd seryjnego zabójcy, który pozostał w uśpieniu przez prawie dwa dziesięciolecia i wielu przypuszczało, że dawno nie żyje: był to Zabójca znad Green River w stanie Waszyngton. Jak się okazało, ten osobnik mający na sumieniu śmierć wielu prostytutek był jak najbardziej żywy i miał się dobrze, mieszkając na przedmieściach Seattle.

Czemu odpuścił? Ożenił się.

– Dopadła mnie technologia – oświadczył gliniarzom Gary Ridgway, co stanowiło słowny odpowiednik uniesionego w górę środkowego palca. Miał rację. Latami wodził policjantów za nos, robiąc minę idioty i tępo patrząc przed siebie. Niemożliwe – myśleli – żeby ten półgłówek był diabolicznym seryjnym zabójcą. I zawsze, mimo piętrzących się dowodów, puszczaali go wolno.

6 sierpnia 2001 roku, dwa dni po doniesieniach mediów o związku DNA łączącym postaci Gwałciciela ze Wschodniej Strony i Pierwotnego Nocnego Łowcy, w jednym z domów przy Thornwood Drive we wschodnim Sacramento zadzwonił telefon. Słuchawkę podniosła kobieta tuż po sześćdziesiątce. Mieszkała w tym domu od prawie trzydziestu lat, choć w tym czasie zmieniło się jej nazwisko.

– Halo?

Głos w słuchawce był niski. Mężczyzna mówił powoli. Ale rozpoznała go natychmiast.

– Pamiętasz, jak się bawiliśmy?

# **CZEŚĆ DRUGA**

## SACRAMENTO, 2012

[Uwaga wydawcy: Poniższy rozdział jest fragmentem wczesnej wersji artykułu Michelle *In the Footsteps of a Killer*].

Kobietę, która siedziała naprzeciwko mnie w zatłoczonym biurze w szkole średniej w Sacramento, widziałam pierwszy raz w życiu. Jednak nikt by się tego nie domyślił, słysząc, jak od pierwszej chwili wymieniamy się w rozmowie skrótowymi wyrażeniami, naszą wersją języka klingońskiego, tyle że dotyczącego Gwałciciela ze Wschodniej Strony-Pierwotnego Nocnego Łowcy (EAR-ONS).

– Włamanie z pogryzieniem przez psa w siedemdziesiątym czwartym? – spytałam.

Kobieta, którą będę nazywała Pracownicą Opieki Społecznej, poprawia gęste włosy spięte w kucyk i pociąga łyk napoju z puszki Rockstar. Ma duże zielone oczy, przenikliwe spojrzenie, niski głos. Powiedziałaoby się, że dobiega sześćdziesiątki. Powitała mnie na parkingu, energicznie wymachując rękami nad głową. Z miejsca ją polubiłam.

– Nie wierzę, żeby to miało związek – odpowiada.

Włamanie z 1974 roku w Rancho Cordova to właśnie jedna z tych niedawno odkrytych spraw, jakimi z wielkim upodobaniem zajmują się członkowie forum, czyli grupy dyskusyjnej poświęconej serialowi *Cold Case Files*, emitowanemu przez sieć A&E, w wątku poświęconym EAR-ONS. Pracownica Opieki Społecznej jest *de facto* jednym z liderów tej grupy. Z czasem nauczyłam się doceniać ich drobiazgową analizę i badania

dotyczące tej sprawy, ale początkowo byłam po prostu oszołomiona. Forum prowadzi jakieś tysiąc wątków, jest w nim dwadzieścia tysięcy postów.

Natrafiłam na nie jakieś półtora roku temu, pochłonawszy niemal za jednym zamachem książkę Larry'ego Cromptona *Sudden Terror*, która jest prawdziwą kopalnią niczym nieupiększonych szczegółów związanych ze sprawą, aż za często słyhać w niej polityczną niepoprawność z lat siedemdziesiątych, a zarazem jest jakoś dziwnie poruszająca w swoich opisach żalu, jaki prześladuje tego rzeczowego gliniarza. Zdumiała mnie liczba informacji, jakie w niej znalazłam. Ukazało się co najmniej kilkanaście książek poświęconych nocy z 25 grudnia 1996 roku, gdy została zamordowana Jon Benét Ramsey. Ale EAR-ONS? To sprawa, która ciągnęła się przez dekadę na terenie całego stanu, doprowadziła do zmiany praw dotyczących DNA w Kalifornii[29], obejmowała sześćdziesiąt ofiar – prowadzący ją śledczy dysponowali dziwnymi wypowiedziami podejrzanego z miejsca zbrodni („Zabiję was, tak jak zabiłem tych ludzi w Bakersfield”), wierszem rzekomo napisanym przez sprawcę („Pragnienie podniecenia”), a nawet nagraniem jego głosu na taśmie (była to krótka, wypowiedziana szeptem groźba zarejestrowana przez jakieś policyjne urządzenie podłączone do telefonu jednej z ofiar), a mimo to na temat tej sprawy powstała zaledwie jedna książka, niemal niedostępna, wydana przez samego autora.

Kiedy po raz pierwszy zalogowałam się na forum poświęcone osobie Gwałciciela ze Wschodniej Strony-Pierwotnego Nocnego Łowcy (EAR-ONS), natychmiast zaskoczyła mnie skala inteligentnych, zbiorowych poszukiwań, jakie się tam odbywają. To prawda, są też oszołomy, w tym jakiś gość pełen dobrych intencji, który twierdzi, że Ted Kaczynski, Unabomber, to EAR-ONS (to nieprawda). Ale większość zamieszczanych tam analiz jest pierwszorzędna. Na przykład pewien często publikujący swoje posty osobnik zwany Port of Leith pomógł odkryć, że rozkład zajęć na



Uniwersytecie Stanowym w Sacramento w latach aktywności gwałciciela pokrywa się z jego zbrodniami. Na forum można znaleźć sporządzone przez członków mapy przedstawiające wszystko, od położenia miejsc zbrodni po wycieczki świadków na teren, gdzie napastnik upuścił zakrwawioną, motocrossową rękawiczkę w Dana Point. Setki postów poświęcono analizie jego przypuszczalnych związków z wojskiem, branżą handlu nieruchomościami czy ochroną zdrowia.

Detektywi amatorzy polujący na EAR-ONS są sprawni i bardzo poważnie wykorzystują swoje umiejętności do tego, aby go złapać. Jednego razu spotkałam się w kawiarni Starbucks ze studentem informatyki z Los Angeles, żeby porozmawiać o pewnym osobniku, który ostatnio budził jego zainteresowanie. Przed spotkaniem dostałam od rozmówcy siedmiostronicowe dossier obejmujące przypisy, mapy oraz zdjęcia ze szkolnego rocznika przedstawiające podejrzanego. Zgodziłam się z młodym człowiekiem, że ten wątek wygląda obiecująco, choć jeden szczegół budził jego niepokój; chodziło o to, że nie znał numeru butów swojego podejrzanego (rozmiar butów EAR – dziewięć albo dziewięć i pół – jest nieco mniejszy niż przeciętny rozmiar męskiego buta).

Członkowie forum mają pewną skłonność do nieco paranoicznej nieufności, ukrywają się pod pseudonimami oraz, co zapewne nie jest zaskakujące w przypadku osób spędzających mnóstwo czasu w internecie na dyskusjach o seryjnym mordercy, nie brak wśród nich konfliktów personalnych. Pracownica Opieki Społecznej działa jako swego rodzaju pośrednik między członkami grupy a śledczymi z Sacramento. Irytuje to autorów niektórych postów, którzy zarzucają jej, że robi aluzje do posiadania poufnych informacji, a potem milczy, kiedy się ją prosi, aby się nimi podzieliła.

To, że od czasu do czasu zdobywa nowe informacje, którymi może się

podzielić, nie ulega wątpliwości. 2 lipca 2011 roku Pracownica Opieki Społecznej opublikowała na forum rysunek naklejki, jaką widziano, jak mówiła, na podejrzanym pojeździe w pobliżu miejsca popełnienia jednego z gwałtów w Sacramento.

„Przypuszczalnie pochodzi z NAS [Naval Air Station] North Island, ale to niepotwierdzone i nie ma na ten temat żadnych informacji. Czy ktoś z forum zna taką naklejkę? Mam nadzieję, że uda nam się dowiedzieć, skąd ona jest”.

My. Im bardziej zagłębiałam się w aktywność forum, coraz bardziej oczywista stawała się dla mnie osobliwa, ale nieulegająca wątpliwości obecność na nim przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości. Internetowi detektywi, zafascynowani pod wpływem własnych, osobliwych powodów starą, nierozwiązaną sprawą sprzed dziesięcioleci, próbują, posługując się swoimi laptopami, wytropić zabójcę, ale ich poczynaniami subtelnie sterują prawdziwi policjanci.

Pracownica Opieki Społecznej zabrała mnie na przejażdżkę śladem miejsc związanych ze zbrodniami gwałtociela, labiryntem uliczek wśród skromnych, parterowych domów okalających tereny Mather, starej bazy Amerykańskich Sił Powietrznych, a potem przez bardziej zadrzewione okolice większych domów w Arden-Arcade i Del Dayo. Jak powiedziała, zaczęła nieformalnie współpracować ze śledczymi z Sacramento jakieś pięć lat temu.

– Mieszkałam tutaj, kiedy to się wszystko działo – opowiada.

Miała wtedy małe dziecko i pamięta przerażenie sięgające w okolicy niemal paralizującego napięcia, gdy doszło do gwałtu numer piętnaście.

Zabudowy wschodniej części Sacramento, w której polował EAR-ONS, nie planowano z myślą o estetyce. Zauważyłam cały kwartał domów w jednolicie beżowym kolorze. Mimo aury powściągliwej ostrożności, jaką

emanuje ta okolica, doszło tu do straszliwych rzeczy. Skręciłyśmy w Malaga Way, gdzie 29 sierpnia 1976 roku dźwięki dzwonków i ostry zapach wody po goleniu zbudziły dwunastoletnią dziewczynkę. Jakiś zamaskowany mężczyzna stał przy oknie jej sypialni, dłubiąc nożem przy górnym lewym rogu siatki ochronnej.

– To naprawdę mroczne miejsce, kiedy się o tym wszystkim pomyśli – powiedziała Pracownica Opieki Społecznej. Więc czemu ona się tym zajmuje?

Pewnego wieczoru, wiele lat temu, leżąc w łóżku, skakała po kanałach telewizji, gdy natknęła się na końcówkę jakiegoś odcinka *Cold Case Files*. Aż usiadła z wrażenia.

O mój Boże – pomyślała – on został mordercą.

Męczyło ją jakieś niewyraźne wspomnienie z tego okresu i zwróciła się do jednego z detektywów z wydziału policji w Sacramento, żeby się upewnić, czy sobie tego wszystkiego nie wymyśliła. Ale nie wymyśliła. Potwierdził, że jeszcze zanim podano do publicznej wiadomości, że EAR lubi dzwonić do swoich ofiar, trzykrotnie zawiadamała policję o obscenicznych telefonach, o kimś, kto ją prześladował, mówiąc, że wie o niej wszystko. Teraz jest przekonana, że tym człowiekiem był EAR-ONS.

W oddali połyskuje niebiesko rzeka American. Pracownica Opieki Społecznej powiedziała mi właśnie, że czuje się „duchowo” powołana, żeby pomóc w rozwiązaniu tej sprawy.

– Ale przekonałam się, że trzeba uważać, trzeba dbać o siebie. Inaczej to może cię wciągnąć – dodała.

Może? Spędziłyśmy kilka godzin, rozmawiając wyłącznie o gwałcicielu-mordercy. Kiedy jej mąż podczas przyjęcia wyczuwa, co jej chodzi po głowie, delikatnie kopie ją pod stołem i szepcze: „Nie zaczynaj”. Sama pewnego razu spędziłam całe popołudnie, wyszukując wszelkie dostępne

informacje o członku drużyny waterpolo z Rio Americano High School w 1972 roku, tylko dlatego że na zdjęciu w szkolnym roczniku wydaje się szczupły i ma mocne łydki (w pewnym momencie uważano to za charakterystyczną cechę EAR-ONS). Pracownica Opieki Społecznej zjadła kiedyś obiad z pewnym podejrzanym, a potem zabrała ze sobą jego butelkę po wodzie, żeby pobrać próbkę DNA. W aktach policyjnych często podawane są najpierw nazwiska, a dopiero potem imiona, i w jakimś momencie zaćmienia, kiedy już nie bardzo wiedziałam, co robię, naprawdę zaczęłam szukać jakiegoś Lary'ego Burga, zanim mój wzrok i mózg zaskoczyły na tyle, żeby mi podpowiedzieć, że chodzi o słowo *Burglary* [czyli włamanie].

Czuję teraz w gardle krzyk, który utkwiał mi tam na stałe. Kiedy mój mąż, starając się mnie nie zbudzić, wszedł pewnego wieczora do naszej sypialni, wyskoczyłam z łóżka, chwyciłam lampkę ze stolika nocnego i cisnęłam nią w jego stronę. Na szczęście nie trafiłam. Kiedy rano zobaczyłam leżącą na podłodze lampę i przypomniałam sobie, co zrobiłam, aż się wzdrygnęłam. A potem zaczęłam rozglądać się wśród pościeli za swoim laptopem i wróciłam do swoich talmudycznych badań nad zawartością policyjnych raportów.

Niemniej roześmiałam się, słysząc delikatne ostrzeżenia Pracownicy Opieki Społecznej, żebym nie popadła w obsesję. Pokiwałam głową. Wolałam udawać, że tylko chodzimy wokół króliczej jamy, choć już dawno ryjemy w głębi.

W naszej jamie można także spotkać trzydziestoletniego mężczyznę z południowej Florydy, którego będę nazywała Dzieciakiem. Ma dyplom z filmoznawstwa i jak aluzyjnie zauważył, trochę skomplikowane stosunki ze swoją rodziną. Szczegóły mają znaczenie dla Dzieciaka. Niedawno przestał oglądać w kablówce emisję *Brudnego Harry'ego*, ponieważ „zaraz po

początkowych napisach przeskoczyli z [formatu obrazu] 2.35:1 na 1.78:1”. Jest inteligentny, drobiazgowy i od czasu do czasu szorstki. Jest także w moim przekonaniu największą nadzieją w gronie detektywów amatorów pracujących nad tą sprawą.

Większość ludzi obeznanych ze sprawą Gwałciciela ze Wschodniej Strony-Pierwotnego Nocnego Łowcy zgadza się, że jednym z najlepszych tropów jest geograficzny szlak jego zbrodni. Nie ma w końcu tak wielu białych mężczyzn urodzonych, powiedzmy, w okresie 1943–1959, którzy mieszkali albo pracowali w Sacramento, w hrabstwie Santa Barbara i w hrabstwie Orange w latach 1976–1986.

Ale tylko Dzieciak spędził prawie cztery tysiące godzin, analizując dane i szukając możliwości, przeczesał przy tej okazji wszystko, od Ancestry.com, po USSearch.com. Ma dzięki eBayowi kopię wydanej przez firmę R.L. Polk książki adresowej *1977 Sacramento Suburban Directory*. Ma także na swoim twardym dysku zdigitalizowaną książkę telefoniczną hrabstwa Orange z roku 1983.

Zrozumiałam, że Dzieciak jest poszukiwaczem pierwszej klasy, kiedy na samym początku mojego zainteresowania tą sprawą, zauważywszy na podstawie jego postów na forum, że wydaje się mocno wprowadzony w temat, wysłałam mu e-maila z nazwiskiem przypuszczalnego podejrzanego, którego wytropiłam. Teraz już wiem, że podniecenie, jakie cię ogarnia, kiedy znajdziesz podejrzanego, bardzo przypomina pierwsze chwile głupiej miłości, gdy mimo mglistych sygnałów ostrzegawczych śmiało bnieisz naprzód, w przekonaniu, że to jest właśnie ta Jedyna Osoba.

Widziałam już swojego podejrzanego w kajdankach, ale Dzieciak był w poszukiwaniach jakiś rok przede mną i kilka baz danych do przodu. „Ostatnio nie zajmowałem się tym gościem” – odpisał. Do swojego e-maila załączył fotografię jakiegoś skwaszonego prymusa w kamizelce zrobionej na

drutach, zdjęcie mojego podejrzanego z drugiego roku nauki. „Raczej nie figuruje w pierwszej dziesiątce na mojej liście” – dodał.

Później zwięźle podsumował rodzaj niebezpieczeństw, jakie czyhają na nas, kiedy próbujemy rekonstruować obraz podejrzanego, zauważając, że jeśli sądzić na podstawie historii miejsc zamieszkania i fizycznego opisu, dobrym kandydatem na EAR-ONS byłby Tom Hanks. (Którego, co należy podkreślić, należałoby wyeliminować z grona podejrzanych wyłącznie na podstawie samego terminarza zdjęć do *Bosom Buddies*).

Ostatniej wiosny wybrałam się z rodziną na wakacje na Florydę i umówiłam się w jakiejś kawiarni na spotkanie z Dzieciakiem, aby poznać go osobiście. Jest przystojny, ma starannie przystrzyżone jasnobrązowe włosy, jest bardzo wymowny i wydaje się zupełnie nieprawdopodobnym kandydatem na kogoś, kto kompulsywnie przeszukuje bazy danych w związku ze starymi, nierozwiązanymi sprawami, z którymi osobiście nic go nie łączy. Nie chciał napić się kawy, ale palił camele lighty jednego za drugim. Przez chwilę rozmawialiśmy o Kalifornii, o przemyśle filmowym. Powiedział mi, że pewnego razu pojechał do Los Angeles tylko po to, żeby zobaczyć reżyserską wersję swojego ulubionego filmu *Aż na koniec świata* Wima Wendersa.

Ale głównie rozmawialiśmy o wspólnej obsesji. Sprawa jest tak skomplikowana i tak trudno opowiadać o niej zwięźle innym ludziom, że zawsze oddycham z pewną ulgą, gdy znajdę się w obecności kogoś, z kim mogę rozmawiać, posługując się skrótami. Wydaje się, że oboje byliśmy trochę zdumieni, a trochę skrupowani swoją manią. Niedawno podczas weselnego przyjęcia pan młody w pewnym momencie wtrącił się do rozmowy między swoją matką a Dzieciakiem, który jest jego starym przyjacielem. „Opowiedz jej o swoim seryjnym mordercy!” – zaproponował mu, po czym poszedł dalej.

Powiedziałam Dzieciakowi, że zawsze zastanawiam się nad tym, że zwierzęta trzymane w niewoli wolą, jak dowodzą eksperymenty, raczej same poszukiwać żywności, niż ją dostawać. Poszukiwanie to impuls, który wyzwala strumień dopaminy w naszym mózgu. Nie wspomniałam jednak o tym, że uświadomiłam sobie z pewną przykrością, iż nasze gorączkowe poszukiwania często przypominają kompulsywne zachowania – deptanie trawników, zostawianie śladów zadrapań na okiennicach, głuchość telefonów – postaci, za którą sami się uganiamy.

Jednak w pewnym momencie poczułam się nieco mniej zakłopotana swoją fascynacją, gdy usłyszałam rzucone mimochodem słowa Jeffa Klapakisa, detektywa z Biura Szeryfa Hrabstwa Santa Barbara. Siedzieliśmy w kwaterze głównej jego i jego partnera, z którym pracuje nad sprawą EAR-ONS – jakimś położonym z tyłu pokoju, zagraconym plastikowymi pojemnikami wypchanymi teczkami pełnymi starych akt. Nad jego prawym ramieniem wisiała ogromna mapa Golety, sporządzona na podstawie Google Earth, na której zaznaczono miejsca popełnienia podwójnych morderstw. Dzieliło je dziewiętnaście miesięcy, ale zaledwie niecały kilometr. Przez środek mapy biegła kręta trasa strumienia San Jose – rosnące wokół niego potężne zielone drzewa zapewniały gwałcicielowi-mordercy doskonałą osłonę.

Spytałam Klapakisa, co sprawiło, że porzucił swoją emeryturę i zaczął pracować nad tą sprawą. Wzruszył ramionami.

– Lubię zagadki – powiedział.

Dzieciak miał na myśli mniej więcej to samo, gdy napisał krótkie wyjaśnienie przeznaczone dla wszystkich ewentualnych śledczych, którzy mogliby natknąć się na jego poszukiwania: „Powodów jego zainteresowania sprawą – napisał, posługując się trzecią osobą – nie sposób wyjaśnić krótko i zwięźle, dość powiedzieć, że chodzi o prostą odpowiedź na wielkie pytanie

i on musi ją poznać”.

Dzieciak ostatecznie podzielił się ze mną swoim *pièce de résistance*, które nazywa główną listą. W tym dokumencie na stu osiemnastu stronach wymienia około dwóch tysięcy nazwisk mężczyzn wraz z dotyczącymi ich informacjami, takimi jak data urodzenia, kolejne adresy, przeszłość kryminalna, a nawet fotografie, jeśli to możliwe. Wyczerpujący charakter opracowania – lista jest zaopatrzona w indeks – sprawił, że opadła mi szczęka. Przy części nazwisk są dopiski (na przykład „zapalony kolarz” albo „kuzynka Bonnie”) wyglądające na nonsensowne, jeśli nie wie się aż za dużo, tak jak my, o seryjnym zabójcy, który być może już nie żyje, a po raz ostatni popełnił morderstwo, gdy prezydentem był Ronald Reagan.

„W pewnym momencie będę musiał zostawić to wszystko za sobą i zająć się swoim życiem – napisał do mnie Dzieciak w e-mailu. – Ironia sytuacji polega na tym, że im więcej czasu i pieniędzy poświęcam na to bardzo niepraktyczne (i dla większości ludzi niezrozumiałe) przedsięwzięcie, tym skuteczniejsze są moje dalsze poczynania, dzięki czemu być może uda mi się w końcu zidentyfikować tego sukinsyna. A to usprawiedliwia moje zaangażowanie”.

Nie wszyscy podziwiają detektywów amatorów z forum czy ich wysiłki. Niedawno na stronie pojawił się pewien krzykacz i zaczął rozpisywać się o tej, jak to ujął: „żałosnej obsesji niedoszłych gliniarzy o pokręconych umysłach”. Oskarżył ich o to, że nie mają pojęcia, co robią, wtrącają się w nie swoje sprawy i żywią niezdrowe zainteresowanie gwałtem i morderstwem.

„Walter Mitty Detective” – napisał.

Tyle że w tym momencie byłam już przekonana, że jeden z tych Mittych przypuszczalnie rozwiąże tę zagadkę.

---



---

[29] Ta sprawa zainspirowała wniesienie projektu ustawy *California Proposition 69*, uchwalonej w 2004 roku, która wprowadzała obowiązek zbierania DNA wszystkich winnych poważnych przestępstw oraz osób, zarówno dorosłych, jak i młodocianych, oskarżonych o pewne przestępstwa (na przykład przestępstwa na tle seksualnym, morderstwa, podpalenia). Jedną z osób finansujących kampanię w tej sprawie był brat Keitha Harringtona Bruce, który poświęcił na ten cel prawie dwa miliony dolarów.

## WSCHODNIE SACRAMENTO, 2012

To, co widzą: światła reflektorów na pustym polu za domem, gdzie nie powinien stać żaden samochód. Człowiek w białej koszuli i ciemnych spodniach, przechodzący przez dziurę w ogrodzeniu sąsiada o trzeciej nad ranem. Wyłamane drzwi. Światło latarki w oknie sypialni. Człowiek wyłaniający się z rowu nawadniającego i zakradający się na podwórko z tyłu sąsiedniego domu. Furtka poprzednio zamknięta, a teraz otwarta. Ciemnowłosa mężczyzna w niebieskim, letnim garniturze, który stoi pod drzewem po drugiej stronie ulicy i na nich patrzy. Tajemnicze ślady butów na podwórku. Człowiek wybiegający z zarośli i wskakujący na rower. Znowu światła latarki w oknie sypialni. Dolna część ciała jakiegoś człowieka ubranego w brązowe sztruksy i tenisówki, biegnącego wzdłuż domu i ukrywającego się za drzewem. Rachmistrz spisowy, który puka do frontowych drzwi i pragnie się dowiedzieć, ile osób mieszka w domu, choć w tym roku nie przeprowadza się żadnego spisu. Sąsiad, trzydziestokilkuletni mężczyzna, który wyłania się ze swojego domu w bieliźnie, ze skrępowanymi rękami i nogami, i wzywa pomocy o drugiej nad ranem.

To, co słyszą: szczekanie psów. Ciężkie kroki na kamiennej ścieżce. Odgłos piłowania okiennicy. Głuchy stuk, jakby ktoś wskoczył na klimatyzator. Manipulowanie przy przesuwanych szklanych drzwiach. Drapanie z boku domu. Wołanie o pomoc. Szamotanina. Wystrzały z broni palnej. Długi krzyk kobiety.

Nikt nie wzywa policji.

Policja zbiera te spostrzeżenia już po fakcie. Czasami, gdy policjanci zachodzą do domów sąsiadów, żeby zadać kilka pytań, ktoś im pokazuje przeciętą okiennicę albo zniszczone światła na ganku. Czytając policyjne raporty, początkowo zdumiewałam się bezczynnością sąsiadów. W końcu nawet ja zaczęłam myśleć o tym z lekka obsesyjnie. Niektóre podejrzone zachowania niezgłoszone na policję obserwowano w szczytowym okresie paniki, jaka wybuchła w Sacramento z powodu napaści Gwałciciela ze Wschodniej Strony.

– On nieustannie kręcił się po tych osiedlach. Dlaczego tak mało osób dzwoniło na policję? – spytałam Richarda Shelby’ego.

W pierwszym momencie Shelby sprawia wrażenie człowieka szorstkiego, jak można by się spodziewać po emerytowanym policjancie po siedemdziesiątce, który mieszka na prowincji hrabstwa Placer. Jest wysoki, trochę nieufny i oczywiście brakuje mu połowy serdecznego palca lewej dłoni, co niemal uniemożliwiło mu służbę w policji. Ale jest w nim pewna miękkość – w jasnobłękitnym odcieniu jego koszuli, w jego niezwykle cichym głosie, niemal niedosłyszalnym, i w sposobie, w jaki zareagował, gdy podczas lunchu kelnerka powiedziała, że nie mają lemoniady, skończyła się, a on nie popatrzył na nią ze złością, tylko łagodnie wymruczał: „To poproszę mrożoną herbatę”. Shelby, o czym sam opowiada, ma za sobą burzliwą karierę w Biurze Szeryfa Hrabstwa Sacramento i zaczął zajmować się tą sprawą wcześniej, jesienią 1976 roku, należąc do grona policjantów, którzy najwcześniej skojarzyli fakty i doszli do wniosku, że mają do czynienia z seryjnym gwałcicielem.

– Zadzwoń i co zgłosić? – pyta żartem Shelby. – Jest noc. Facet jest ubrany cały na czarno. Czai się za żywopłotem. Co można zobaczyć?

– Mam na myśli to, co wypłynęło podczas późniejszych przesłuchań świadków przez policję. To, co sąsiedzi sami potem przyznawali, że widzieli

i słyszeli – mówię.

Wrażenie zrobiło na mnie zwłaszcza zdanie zanotowane podczas zbierania zeznań przez policję w okolicy Malaga Road i El Caprice w Rancho Cordova 1 września 1976 roku, po trzecim gwałcie. Nie mogłam o nim zapomnieć. „Kilku sąsiadów stwierdziło, że słyszeli krzyki, ale nie wyglądali na zewnątrz”.

W styczniu 1977 roku człowiek mieszkający na południe od rzeki American, u którego niedawno było włamanie, zauważył młodego mężczyznę zagląającego przez okno do domu sąsiadów. Zakasłał znacząco, żeby dać sygnał podglądaczowi, że go widzi; nieznajomy uciekł. Gest wydaje się niemal uprzejmy. Tydzień później dwudziestopięcioletnia kobieta mieszkająca przecnicę dalej na północ została ofiarą numer jedenaście. Była w piątym miesiącu ciąży.

Spytałam Shelby’ego, czy ta niechęć do wzywania policji była charakterystyczna dla lat siedemdziesiątych. Zaczęłam coś mówić o poczuciu wykorzenia w epoce, jaka nastąpiła po wojnie w Wietnamie, ale pokręcił głową. Nie miał prostej odpowiedzi, ale to nie było to. Z jego punktu widzenia bierność sąsiadów stanowiła tylko jeden z wielu błędów, do jakich doszło w tej sprawie, poczynając od zaaferowania jego własnych szefów głównianą polityką po kilka podstawowych uchybień, jakie sam, co przyznaje, ma na koncie, kiedy jadąc swoim wozem patrolowym, posłuchał polecenia dyspozytora, który wysłał go do jakiejś rodziny zgłaszającej, że znalazła w krzakach za domem ukrytą torbę zawierającą latarkę, kominiarkę i rękawiczki. „Wyrzuć to”.

Shelby mieszka jakieś czterdzieści pięć kilometrów na północ od Sacramento, w okolicy, gdzie, jak mówi, może zajmować się głównie pracą na roli. Ale spotkaliśmy się na lunch na jego dawnym terenie, który trzydzieści sześć lat wcześniej patrolował, jeżdżąc krętymi uliczkami

w pobliżu rzeki, ze zgaszonymi światłami na desce rozdzielczej, kierując się tylko poleceniami podawanymi przez radio i nadzieją, że skręci we właściwą stronę i reflektory jego samochodu oświetlą młodego mężczyznę, sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, w kominiarce. Shelby nigdy w swojej karierze policyjnej nie spotkał drugiego takiego przestępcy jak Gwałciciel ze Wschodniej Strony. Na dachach domów znajdowali drobne przedmioty, które ukradł swoim ofiarom. Z jakiegoś powodu je tam rozrzucał. A potem, po serii kolejnych telefonów od ludzi zgłaszających, że słyszeli dziwne kroki i łomoty na swoich dachach, Shelby uświadomił sobie, że te skradzione przedmioty nie zostały rozrzucone, ale wypadały sprawcy z kieszeni, kiedy czołgał się po tych dachach.

Shelby należy do grona tych imponująco szczerych ludzi, którzy na moment odwracają wzrok, zanim powiedzą coś nieprzyjemnego, sygnał kryjącej się w głębi łagodności charakteru. Sam wybrał miejsce spotkania, ale domyślałam się, że dla niego ta okolica na zawsze pozostanie terenem, gdzie natknął się na sprytniejszego przeciwnika, „tego socjopatycznego łajdaka”, którego legowisko podglądacza znalazł kiedyś pod gęstymi gałęziami drzewa przy Northwood Drive, o czym świadczyły ślady butów i kopczyk niedopałków. Kolejna niejasna obecność zauważona przez sąsiadów, którzy nigdy nie zadzwonili na policję.

– Ludzie mówią, że był bardzo bystry – powiedział Shelby. Na chwilę odwrócił wzrok. – Prawda jest taka, że nie zawsze tego potrzebował.

W początkowej fazie pisania tekstu o gwałcicielu-mordercy dla czasopisma „Los Angeles” weszłam podczas pobytu w Sacramento w posiadanie karty pamięci zawierającej ponad cztery tysiące stron zdigitalizowanych policyjnych raportów. Zdobyłam ten flash drive w drodze staromodnego handlu wymiennego, z gatunku transakcji, w których żadna ze stron do końca nie ufa drugiej, ale w końcu z wyciągniętymi rękami i patrząc sobie uważnie

w oczy, godzą się jednocześnie wypuścić z rąk swoje skarby w zamian za to, co ma do zaoferowania druga strona. Miałam wtedy pewien rzadko spotykany dysk z dwugodzinnym, nagrany na wideo wywiadem z pewną drugoplanową, ale ważną postacią związaną z jednym z zabójstw w południowej Kalifornii. Oddałam dysk bez chwili wahania; miałam w domu kopię.

Ten podziemny handel wymienny, rezultat ukradkowych sojuszy zrodzonych ze wspólnej obsesji na punkcie seryjnego zabójcy bez twarzy, nie należał do rzadkości. Internetowi detektywi, emerytowani policjanci, śledczy w czynnej służbie – wszyscy brali w tym udział. Dostałam niejedną e-mail zatytułowany „*quid pro quo*”. Wierzyłam, podobnie jak oni, że ja i tylko ja zdołam dostrzec coś, czego nikt inny nie potrafił zauważyć. Aby to osiągnąć, musiałam jednak obejrzeć wszystko.

Poszukiwaczka we mnie, pełna wielkich ambicji, nie mogła się doczekać chwili, gdy podłączę kartę pamięci do swojego laptopa w hotelowym pokoju. Na każdych światłach, czekając na zielone, dotykałam górnej kieszeni plecaka, aby się upewnić, że ten malutki prostokąt jeszcze tam jest. Zatrzymałam się w Citizen Hotel na J Street w centrum. Przemówiły do mnie zdjęcia zamieszczone on-line, okna w ołowianych ramach, musztardowa tapeta w paski. W okolicy recepcji półki na książki wbudowane w ściany. Ozdobny blat w kolorze chińskiej czerwieni.

– Jak opisałaby pani ten styl? – spytałam pracownicę hotelu, meldując się.

– Skrzyżowanie biblioteki prawniczej z burdelem – odparła.

Później dowiedziałam się, że architekt, który zaprojektował ten budynek, George Sellon, zaprojektował także San Quentin.

W pokoju natychmiast przebrałam się w biały, hotelowy szlafrok. Zasunęłam rolety, wyłączyłam telefon. Wrzuciłam do szklanki torebkę

żelowych misiów i postawiłam obok siebie na łóżku, a potem usiadłam ze skrzyżowanymi nogami przed laptopem. Czekają mnie rzadkie święto, dwadzieścia cztery godziny niczym niezakłóconego spokoju – żadne drobne rączki umazane farbą nie pojawią się z prośbą, żeby je umyć, nie wejdzie zaaferowany, głodny mąż z pytaniem, gdzie jest obiad. Wsunęłam kartę pamięci do komputera. Nastawiłam umysł na tryb przeglądania poczty, mój palec wskazujący spoczął na strzałce przewijania, zaczęłam nie tyle czytać, ile pochłaniać.

Raporty policyjne sprawiają wrażenie opowiadań napisanych przez roboty. Są zwięzłe, mają wyraźnie zakreślone granice, zostawiając niewiele miejsca na osąd czy emocje. Początkowo podobała mi się ta lapidarność. Odrzucenie wszystkich zbędnych szczegółów. Czułam, że na tym tle nazwisko sprawcy błysnie mi w oczy. Pomyliłam się. Lakoniczność tych raportów jest zwodnicza. Kiedy się je pochłania w dużych ilościach, nawet najbardziej oszczędnie zarysowane detale zaczynają stapiać się w nierozpoznawalną masę. Niektóre momenty wyodrębniają się z tła, wywołując gwałtowne fale uczuć, na jakie czasami byłam kompletnie nieprzygotowana – jakaś trzydziestoosmioletnia kobieta, od niedawna żyjąca w separacji, w ciemności stara się znaleźć na podłodze piłę-zabawkę swojego synka, a potem próbuje, na próżno, przeciąć nią więzy na swoich spuchniętych dłoniach; trzynastoletnia dziewczynka, związana w łóżku, pyta swojego ukochanego psa, kiedy gwałcieł już wyszedł z pokoju: „Ty głupku, czemu nic nie zrobiłeś?”. Pies trąca ją nosem. Dziewczynka mówi mu, żeby się położył i zasnął. Pies zasypia.

Mijają godziny. Znikają żelki. Mój pokój leżał na dziesiątym piętrze, kondygnację niżej zorganizowano weselne przyjęcie. W holu minęłam druhny panny młodej, w jaskrawozielonych strojach, pozujące do fotografii; teraz zaczęła grać muzyka. Zrobiło się głośno. Sięgnęłam po telefon, żeby

zadzwoić do recepcji. Ale co miałam powiedzieć? „Przyciszcie tę radość”? Odłożyłam słuchawkę. Prawda była taka, że byłam roztrzęsiona od nadmiaru cukru, z głodu i spędzenia samotnie w ciemnościach zbyt wiele godzin, podczas których wchłaniałam złożoną z pięćdziesięciu rozdziałów historię o horrorze, opowiadaną beznamiętnym martwym głosem, jakim posługują się urzędnicy w biurze wydziału komunikacji. Patrzyłam oczami przymrużonymi od blasku komputera i tak wysuszonymi, jak gdyby wszelka wilgoć została z nich wyciągnięta przez toaletę w samolocie. Piosenka *Celebration* zespołu Kool and the Gang nie najlepiej pasowała do stanu mojego umysłu.

Miasto Sacramento leży na północnym krańcu kalifornijskiej Doliny Centralnej, u zbiegu rzek Sacramento i American, zaprojektowano je z myślą o odprowadzaniu nadmiaru wód. Chodziło o to, żeby skierować obfite wody spływające z gór, albo po intensywnych opadach, w dół rzek, w stronę kalifornijskiej delty i oceanu. Wiem o tym tylko dlatego, że rowy nawadniające i kanały o betonowych brzegach często pojawiają się w policyjnych raportach. Od samego początku nie ulega wątpliwości – na podstawie odcisków butów, dowodów i zeznań świadków, którzy widzieli podejrzanego osobnika, oraz zeznań jednej z ofiar, którą poprowadził takim kanałem – że Gwałciciel ze Wschodniej Strony przemieszczał się kanałami i niczym jakieś podziemne stworzenie czekał w nich na zapadnięcie ciemności. Przypomniała mi się ikoniczna scena z filmu *Potwór z czarnej laguny*, w której oceanografka Kay, grana przez piękną aktorkę Julie Adams, nurkuje ze statku ekspedycji w głąb czarnej laguny i potem z tego punktu widzenia, spod powierzchni wody, obserwujemy, jak z kłębowiska morskich wodorostów wyłania się przerażające stworzenie o ludzkim kształcie, bezszelestnie przesuwa pod nią, zafascynowane naśladuje jej ruchy. Czekamy w napięciu na moment, gdy dziewczyna je zobaczy i zacznie uciekać w panice, ale potwór przepływa obok niezauważony, jeśli nie liczyć chwili,



gdy jego rybio-żabia łapa muska jej stopy, a ona wzdryga się odrobinę zaskoczona.

Gwałciciel ze Wschodniej Strony podglądał i atakował jednostki, ale po lekturze policyjnych raportów nie ulega wątpliwości, że uważnie obserwował całe osiedla, często przemieszczając się labiryntem podziemnych kanałów Sacramento i rowów odwadniających. Najchętniej wybierał parterowe domy, zwykle drugie od rogu, w pobliżu terenów zielonych – otwartego pola albo parku. Zanim przypuścił atak, pojawiały się świadectwa, że nocą ktoś chodził po posesjach, nielegalnie wdzierał się do domów w okolicy miejsca zamieszkania ofiary. Znikały drobne, niezbyt kosztowne, czasami osobiste przedmioty. Tuż przed napaścią gwałtownie nasilała się częstotliwość głuchych telefonów w okolicy czterech do pięciu przecznic od domu ofiary. Przeprowadzał swój rekonesans. Przyglądał się mieszkańcom, badał ich zwyczaje, dowiadywał się, kiedy są w domu. Jego metoda najwyraźniej polegała na tym, aby po wybraniu jakiegoś osiedla skoncentrować uwagę na domach kilku ewentualnych ofiar, może nawet od razu przyznawał niektórym priorytet. Starał się wykorzystywać wszystkie możliwości i przeprowadzał rozpoznanie na miejscu; w ten sposób, gdy nadchodziła noc napaści, zawsze udawało mu się dopiąć swego.

To oznacza, że są kobiety, które ze względu na nagłą zmianę planów, albo szczęście, nigdy nie zostały jego ofiarami, ale podobnie jak bohaterka filmu o wdzięcznych kształtach, przedmiot obsesji stworzenia żyjącego w lagunie, czuły, że coś przerażającego muska je, mijając tuż obok.

Z wypowiedzi sąsiadów w tych oszczędnych pięciu lub sześciu linijkach, jakie przyznano im w raportach zawierających zeznania świadków, wyłania się poruszające haiku, obraz pewnego czasu i miejsca. Odpowiadają na pytania policjantów, kiedy wracają do domu z klubu disco albo z podwójnego seansu, na którym wyświetlano *Trzęsienie ziemi* i *Port lotniczy*

'77 w kinie samochodowym, albo z siłowni Jack LaLanne. Donoszą o zaginięciu dwóch kobiecych kurtek numer pięć, jednej zamszowej, drugiej skórzanej. Jakaś dziewczyna widziała podejrzanego człowieka, który wyglądał jak Wolfman Jack. W tamtych czasach niemal na każdym kroku można było spotkać komiwojażerów chodzących od drzwi do drzwi – sprzedawali zraszacze do trawników, proponowali sesje fotograficzne, usługi malarskie. W pewnej dzielnicy wydawało się, że wszyscy wyjeżdżają do pracy o piątej rano. Ci ludzie częściej niż inni zwracali uwagę na nowszy model „błyszczących” samochodów. Na innych osiedlach, głównie na północ od rzeki American, jedyną osobą, która mogła, jak się wydawało, odpowiedzieć na pytania funkcjonariuszy, była opiekunka do dziecka, mieszkająca w domu na stałe. Mieszkańcy tych okolic zwracali uwagę na „brudne”, poobijane po bokach samochody, które wyglądały jak „rupieć” albo były w „złym stanie”.

W kwietniu 1977 roku pewien chłopiec niósł młodszą siostrę na barana. Ze swojego dogodnego punktu obserwacyjnego nagle dostrzegła ona kogoś obcego, kto kręcił się po podwórku sąsiadów, białego mężczyznę w ciemnym ubraniu, który kucał w zaroślach. Kiedy intruz uświadomił sobie, że ktoś go zauważył, zaczął uciekać i przeskoczył kilka płotów. Miesiąc później sąsiadka, młoda kelnerka, obudziła męża o czwartej rano, mówiąc. „Coś słyszałam. Coś słyszałam”. W drzwiach sypialni pojawiło się światło latarki. Później powiedziała policji, że wierzyła napastnikowi, kiedy groził jej śmiercią, i leżąc w ciemnościach, związana, zastanawiała się, jak to będzie, kiedy poczuje kulę przeszywającą jej ciało.

Czytając policyjne raporty z Sacramento, można prześledzić narastanie wśród ludzi świadomości, że w mieście działa, i pozostaje na wolności, seryjny gwałciciel. Podczas pierwszych kilkunastu napaści ta świadomość jest zerowa lub bardzo słaba; potem gazety zaczynają nagłaśniać kolejne ataki,

wybucha medialna wrzawa i budzi się paranoja. Po jakimś roku ofiary napaści wspominają, że kiedy zbudziło je światło latarki, myślały: „O cholera, to on”. Jak opowiadały śledczym, niektóre ich zachowania pojawiały się pod wpływem plotek, jakie zasłyszaly na temat Gwałciciela ze Wschodniej Strony, na przykład kulily się, ponieważ ktoś im powiedział, że napastnik lubi, kiedy jego ofiary są przerażone. Po jakimś roku od pierwszego gwałtu można wyczytać z raportów, że bierność sąsiadów nie wynika już z nieświadomości czy inercji, ale z mentalności obłączonej twierdzy. Widzą coś i zamykają drzwi, wyłączają światła, chowają się we własnej sypialni, mając nadzieję, że tamten nie przyjdzie po nich. „Bałam się” – przyznała pewna kobieta. To dlaczego nie zadzwoniła na policję? Moja wyobraźnia pękała od nadmiaru rozważań „co jeśli...?”.

Nie myślały o swoich sąsiadach. Ale tamten myślał. Wydaje mi się, że po części ekscytowało go granie z ludźmi w jakąś odmianę łamigłówek z gatunku „połącz punkty”. Na przykład pierwszej ofierze ukrađł dwie paczki papierosów marki Winston, a potem zostawił je przed domem czwartej ofiary. Tanią biżuterię skradzioną u sąsiadów dwa tygodnie wcześniej pozostawił w domu piątej ofiary. Ofiara numer dwadzieścia jeden mieszkała tuż obok stacji uzdatniania wody; następną ofiarą został jeden z pracowników, który mieszkał dwanaście kilometrów dalej. Pigułki albo naboje skradzione jednej z ofiar znajdowano później na podwórku sąsiadów. Niektóre ofiary nosiły takie samo nazwisko albo miały taki sam zawód.

To był element zastraszania, sygnał wszechobecności. Jestem zarazem wszędzie i nigdzie. Może wam się wydawać, że nie macie nic wspólnego ze swoimi sąsiadami, ale macie: to ja. Nawet jeśli niemal nie sposób mnie rozpoznać, mam ciemne włosy albo blond, jestem szczupły albo mocno zbudowany, widzicie mnie z tyłu, w półmroku, ta nić będzie łączyła nas ze sobą, nawet jeśli nie będziecie próbować przyjść sobie nawzajem z pomocą.

Wyjechałam z Sacramento w podłym nastroju. Spałam źle. Kiedy próbowałam wyjść z hotelu, natknęłam się na tłoczący się w drzwiach tłum weselnych gości na kacu. Na lotnisku minęłam ogromną czerwoną rzeźbę przedstawiającą królika, której jakimś sposobem udało mi się nie zauważyć, gdy przyleciałam do miasta zbyt pogrążona w swoich myślach. Nie rozumiem, jak mogłam go nie dostrzec. Ten aluminiowy królik, o długości osiemnastu metrów, ważący prawie pięć ton, wisi na linach i wydaje się, że płynie w stronę strefy odbioru bagaży. Czekaając na swój samolot, wpisałam do wyszukiwarki w iPhone: „Sacramento lotnisko królik”. Artykuł Associated Press poinformował mnie, że zamówiono u artysty Lawrence’a Argenta stworzenie ikonicznej rzeźby dla nowego terminalu, który został uruchomiony w październiku 2011 roku.

– Pociągała mnie idea, że coś przyleciało z zewnątrz i wskoczyło do budynku – powiedział Argent.

## SPINKI DO MANKIETÓW. KODA

[Uwaga wydawcy: Poniższy rozdział jest fragmentem wczesnej wersji artykułu Michelle *In the Footsteps of a Killer*].

Nazajutrz po zamówieniu błyskawicznej dostawy spinek do mankietów zadzwoniłam do Dzieciaka. Powiedziałam mu, że następnego dnia powinni mi je dostarczyć.

– Na skrzynkę pocztową? – spytał Dzieciak.

– No nie – przyznałam.

Niedorzeczny scenariusz przemknął mi przez głowę: gwałciciel-morderca wstawia ponownie spinki do sklepu, w którym pracuje, i zbiera adresy klientów; bez wątpienia podejrzliwie patrzyłby na kogoś, kto zapłacił czterdzieści dolarów za natychmiastowe dostarczenie jego spinek wartych pięć razy mniej niż dostawa.

Wiedziałam, że najlepsze, co mogę zrobić, to przekazać spinki śledczym zajmującym się sprawą gwałciciela-mordercy. Narażałam się w ten sposób na ich gniew, że podejmuję działania bez porozumienia z innymi. Zbiegiem okoliczności umówiłam się właśnie na pierwszą rozmowę z Larrym Poolem w hrabstwie Orange. Postanowiłam, że jeśli rozmowa wypadnie dobrze, wyjaśnię mu wszystko i przekażę malutkie złote spinki do mankietów razem z kwadratową torbą poczty kurierskiej.

Problem polegał jednak na tym, że perspektywa spotkania się z Poolem, akurat z nim ze wszystkich śledczych zajmujących się tą sprawą, budziła we mnie największy niepokój. Mówiono o nim, że jest człowiekiem

nieprzystępnym i trochę zdystansowanym. Wiedziałam, że pracuje nad tą sprawą od czternastu lat. Razem z Bruce'em Harringtonem, bratem Keitha, jednej z ofiar, przyczynił się do przegłosowania uchwały 69 – *DNA Fingerprint, Unsolved Crime and Innocence Protection Act*, na mocy której w roku 2004 powołano do życia bazę danych wszystkich przestępców winnych poważnych przestępstw w Kalifornii. Wydział Sprawiedliwości stanu Kalifornia ma teraz największą bazę danych DNA w całym kraju.

Pool i Harrington byli przekonani, że poszerzając bazę danych DNA, z całą pewnością schwytają w końcu gwałciciela-mordercę.

Słyszałam, że przeżyli wielkie rozczarowanie, gdy okazało się, że to nie takie proste. Wyobrażałam sobie Larry'ego Poola jako beznamiętnego gliniarza o chłodnym spojrzeniu, który siedzi w swoim skąpo oświetlonym biurze wśród spoglądających ze ścian portretów pamięciowych gwałciciela.

W holu Regionalnego Komputerowego Laboratorium Kryminalistycznego Hrabstwa Orange powitał mnie przyjazny, może trochę zbyt oficjalny mężczyzna w okularach w cienkiej metalowej oprawce i czerwonej koszuli w kratkę. Usiedliśmy w sali konferencyjnej. Tego dnia Pool miał dyżur w laboratorium komputerowym i kiedy od czasu do czasu przez drzwi zaglądał jeden z jego kolegów i coś do niego mówił, odpowiadał krótkim: „Tak, przyjąłem”.

Okazało się, że należy do osób wypowiadających się w sposób wnikliwy i wyważony, których beznamiętna maska stoika kryje jednak gotowość do dzielenia się swoimi przemyśleniami. Kiedy spotkałam się z Larrym Cromptonem, nie miałam wątpliwości, że emerytowany detektyw bardzo osobiście traktuje swoje niepowodzenie w rozwiązaniu tej sprawy. Jak przyznał, czasem budzi się w nocy i zawsze zadaje sobie pytanie: „Co przeoczyłem?”.

Pool nie zdradzał po sobie udręku tego rodzaju. Początkowo uznałam to za

wyraz buńczucznej pewności siebie. Później zrozumiałam, że to była nadzieja. Pool jeszcze się nie poddał. Daleko mu do tego.

Rozmawialiśmy ostrożnie. Oceńłam, że jest człowiekiem, który na pierwszym planie stawia procedurę, i uznałam, że nie spodoba mu się historia ze spinkami do mankietów. Ale pod koniec rozmowy nie wytrzymałam; nie wiem dlaczego. Zaczęłam mówić odrobinę za szybko i gorączkowo grzebać w plecaku. Pool wysłuchał mnie uważnie, ale niczego po sobie nie pokazał. Przesunęłam paczkę ze spinkami po blacie stołu w jego stronę. Wziął paczkę i obejrzał ją bardzo starannie.

– Dla mnie? – spytał z kamienną twarzą.

– Tak – odparłam.

Po jego twarzy przemknął możliwie najbardziej niedostrzegalny z uśmiechów.

– Myślę, że cię uwielbiam – powiedział.

Zanim zdążyłam wrócić do domu do Los Angeles, Pool odnalazł ofiary i przesłał im e-mailem zdjęcie spinek w wysokiej rozdzielczości. Spinki wcześniej należały do zmarłego członka rodziny i gdy zostały skradzione, ofiary miały je u siebie dopiero od niedawna. Wyglądały jak spinki, które do nich należały, ale para wołała ostrożną formułę: „chcielibyśmy, żeby to były te spinki”. Skontaktowali się z innym członkiem rodziny, który lepiej znał tę rodzinną pamiątkę. Kilka dni później Pool zadzwonił do mnie, by przekazać mi wiadomość: to nie są te same spinki.

Poczułam rozczarowanie; Pool wydawał się niewzruszony. Wcześniej w rozmowie powiedział: „Nie podniecam się już tak bardzo jak kiedyś”. Dziesięć lat temu, gdy wszyscy ze zdumieniem przeżywali jeszcze odkrycie związku DNA Gwałciciela ze Wschodniej Strony i Pierwotnego Nocnego Łowcy, miał do dyspozycji wszelkie środki, jakich może zapragnąć śledczy.

Helikopter z Biura Szeryfa Hrabstwa Orange poleciał raz do Santa Barbara tylko po to, aby pobrać DNA jednego z podejrzanych. W tym okresie znajdował się on pod intensywną obserwacją policji. Pool pojechał także do Baltimore, aby uczestniczyć w ekshumacji pewnego ciała. To było przed 11 września, i jak wspomina, części ciała podejrzanego zapakował do bagażu podręcznego.

Ostatecznie jednak pieniądze na rozwiązanie starej sprawy się skończyły. Śledczych przydzielono do innych dochodzeń. Pool z większym spokojem podchodził do wszystkich nowych odkryć. Nawet portret pamięciowy gwałciciela, jaki wisi nad jego biurkiem, jest z rozmysłem bardzo trzeźwiący – pokazuje podejrzanego w kominiarce narciarskiej.

– Czy to ma jakąś wartość? – spytał Pool. – Nie. Ale wiemy, że wyglądał mniej więcej jakoś tak.

Pokazał mi stertę listów, jakie nadal do niego przychodzą z różnymi sygnałami od ludzi, którzy pragną pomóc w śledztwie; dostał nawet kawałek papieru z fotokopią prawa jazdy jakiegoś człowieka i słowami: „To jest EAR-ONS” (człowiek, o którego chodzi, jest jednak zdecydowanie za młody, aby można go potraktować jako podejrzanego).

Pool ocenia, że w minionych latach prześwietlono około ośmiu tysięcy podejrzanych; sprawdzono DNA kilkuset z nich. Śledczy powtórzyli nawet test DNA jednego z podejrzanych, w jednym ze stanów na południu, ponieważ byli niezadowoleni z jakości wyników za pierwszym razem. Kiedy Pool natyka się na wyjątkowo intrygującego podejrzanego, komentuje to zawsze w ten sam zwięzły sposób.

– Musimy go wyeliminować.

Mimo swojej rezerwy Pool ma powody do optymizmu; prawdę mówiąc, wszyscy, którzy mieli do czynienia ze wzlotami i upadkami dochodzenia, zgodnie powtarzają, że wahadło wychyliła się w tej chwili w drugą stronę.



## LOS ANGELES, 2012

Wpadłam w panikę. Mieliśmy gości i jak zawsze od lat czekało mnie wydanie przyjęcia z udziałem kilkunastu dorosłych i czwórki dzieci poniżej dziesiątego roku życia, tymczasem na wtorek musiałam skończyć drugą wersję artykułu o długości siedmiu tysięcy słów. Kilka dni wcześniej rozesłałam e-maile z SOS, krótkie i szczerze błagania o pomoc, które – jak miałam nadzieję – zostaną zrozumiane. „Bułeczki. Masło”. W okolicy Święta Dziękczynienia zawsze ogarnia mnie nostalgia za Środkowym Zachodem. Dzień był słoneczny i niezwykle rześki, jedno z tych jesiennych popołudni w Kalifornii, gdy, jeśli na moment skupisz się na szarym swetrze przyjaciółki i kawałku dyniowego ciasta w ustach oraz na głosie komentatora meczu NFL dobiegającego w tle, możesz zapomnieć o bugenwillach i mokrych kostiumach kąpielowych, które suszą się na krzesłach w ogrodzie za domem; możesz sobie przez chwilę wyobrażać, że mieszkasz gdzieś, gdzie pory roku naprawdę się zmieniają. Ale nie czułam się swobodnie. Szalałam z niecierpliwości. Zrobiłam, co mogłam, chyba nawet więcej, niż trzeba, starając się dopilnować, żeby Patton nie kupił za dużego indyka. Kiedy usiedliśmy za stołem i powiedzieliśmy sobie, za co jesteśmy wdzięczni, na moment zapomniałam o całym świecie i zamknęłam oczy, pomyślałam życzenie. Po obiedzie dzieciaki zasiadły na kanapie i oglądały *Czarnoksiężnika z Oz*. Zostałam z nimi. Małe dzieci silnie przeżywają emocje i potrzebowały mnie, aby nad nimi zapanować.

W sobotę Patton zabrał Alice na cały dzień, a ja rzuciłam się do gabinetu

na piętrze, żeby pisać i redagować tekst potrzebny na wtorek. Gdzieś o czwartej po południu zadzwonił dzwonek frontowych drzwi. Mamy mnóstwo dostawców i prawdę mówiąc, tego dnia już kilka razy otwierałam drzwi i odbierałam przesyłki, składając swój podpis na różnych papierach. Zirykowało mnie, że ktoś znowu mi przerywa. Zazwyczaj nie zwracam na nich uwagi i czekam, aż po prostu zostawią przesyłkę pod drzwiami. Zwykle jednak, tak na wszelki wypadek, podchodzę do okna naszej sypialni, by przez nie wyjrzeć, i rzeczywiście, dostrzegam plecy posłańca FedExu, w chwili gdy nasza frontowa furka się za nim zamyka.

Nie jestem pewna, dlaczego tym razem wstałam od biurka, zeszłam kilka stopni po krętych schodach i zawołałam: „Kto tam?”. Nikt nie odpowiedział. Podeszłam do okna sypialni i wyjrzałam. Od naszego domu oddalał się szczupły chłopak, młody Afroamerykanin w różowej koszuli i krawacie. Ogarnęło mnie silne poczucie, że jest nastolatkiem; może przez moment dostrzegłam jego profil. Domyśliłam się, że sprzedaje subskrypcje czasopism, chodząc po domach, i na tym poprzestałam. Wróciłam do pracy i więcej o nim nie myślałam.

Jakieś czterdzieści pięć minut później wstałam i chwyciłam kluczyki do samochodu. Wcześniej umówiłam się z Pattonem i Alice na wczesny obiad w jednej z naszych ulubionych restauracji w okolicy. Upewniłam się, że drzwi są zamknięte, i ruszyłam w stronę samochodu zaparkowanego na ulicy. Kiedy byłam mniej więcej w połowie podjazdu, dostrzegłam kątem oka postać młodego mężczyzny po lewej, który szedł bardzo powoli, tyłem do mnie, przed domem naszego najbliższego sąsiada.

Nie jestem pewna, czy zwróciłam na niego uwagę, gdyby w jego zachowaniu nie było czegoś niezwykłego. Kompletnie zamarł, kiedy szybkim krokiem wyszłam z domu. To był młody chłopak, Afroamerykanin, nie ten sam, który dzwonił do naszych drzwi, ale podobnie ubrany, w pastelową

niebieską koszulę i krawat. Stał bez ruchu i delikatnie wyciągał szyję w moim kierunku. Zawahałam się. Jeszcze raz przemknęła mi myśl o nastolatkach sprzedających subskrypcje czasopism i zastanawiałam się, czy chłopak nie próbuje mnie oszacować jako potencjalną klientkę. Jednak wiedziałam, że to coś bardziej dziwnego. W mowie jego ciała było coś tak nienaturalnego. Wsiadłam do samochodu i odjechałam, jednocześnie chwytając telefon, żeby zadzwonić na policję. Nacisnęłam 9 potem 1. Ale co właściwie mam powiedzieć? Podejrzany młody czarny chłopak? To brzmiało rasistowsko i wyglądało na przesadną reakcję. Zrezygnowałam z połączenia. W końcu nie robił nic w otwarty sposób niezgodnego z prawem. Mimo to nacisnęłam hamulce i skręciłam ostro w lewo, robiąc zwrot o sto osiemdziesiąt stopni w stronę naszego domu. Nie minęło więcej niż czterdzieści pięć sekund, ale na ulicy nie było już żadnego z tych chłopaków. Zapadał zmierzch, trudno było dostrzec wyraźnie. Pomyślałam, że zadzwonili do drzwi jakiegoś domu, zaczęli reklamować swoje czasopismo i ktoś zaprosił ich do środka. Pojechałam do restauracji.

Następnego wieczora byłam na górze, gdy usłyszałam dzwonek do drzwi, a potem Patton przywitał się z kimś przed drzwiami. „Michelle!” – zawołał. Zeszłam na dół. W drzwiach stał nasz najbliższy sąsiad Tony.

Tony był pierwszym sąsiadem, jakiego poznaliśmy, gdy kupiliśmy ten dom dwa i pół roku temu. Jeszcze się nie wprowadziliśmy i przyjechałam wtedy z naszym specem budowlanym, rozmawialiśmy o remoncie, gdy we frontowych drzwiach pokazał się przystojny mężczyzna po czterdziestce i przedstawił się. Zapamiętałam, że był rozmowny, ale trochę nieśmiały. Poprzedni właściciel był odludkiem i Tony nigdy nie miał okazji zobaczyć, jak dom wygląda w środku. Był ciekawy. Powiedziałam: proszę bardzo, i oprowadziłam go po pokojach. Snując wyobrażenia o przyszłości, jak zwykle, gdy zaczyna się życie w nowym miejscu, pomyślałam, że z tak

bezpośrednim człowiekiem pewnie się zaprzyjaźnimy. Powiedział mi, że niedawno się rozwiódł. Jego nastoletnia córka miała zamieszkać razem z nim i chodzić do miejscowej katolickiej szkoły średniej dla dziewcząt. Wynajmował dom po sąsiedzku.

Jednak nasze kontakty, choć zawsze przyjazne, nigdy nie przerodziły się w prawdziwą przyjaźń. Pozdrawialiśmy się na ulicy, czasami zamienialiśmy parę słów. Kiedy wreszcie zamieszkaliśmy w nowym domu, pomyśleliśmy z Pattonem, że byłoby dobrze zaprosić sąsiadów na spotkanie w naszym ogrodzie, żeby ich wszystkich poznać. Idea wydawała się dobra. Rozmawialiśmy o tym często, ale w końcu odłożyliśmy rzecz na później. Ciągłe trzeba było coś zrobić w domu albo któreś z nas podróżowało. Ale kiedy piłka Alice przelatowała przez ogrodzenie na ich podwórko, Tony i jego córka zawsze z uśmiechem ją nam zwracali. Kiedy znalazłam na krawężniku przed frontem ich domu osieroczonego gołębia, zrobiłam z wiklinowego koszyka i liści gniazdo i przymocowałam je do gałęzi drzewa, Tony wyszedł i uśmiechnął się do mnie. „Jesteś dobrą osobą” – powiedział. Lubiłam go. Ale nasze kontakty ograniczały się do krótkich spotkań podczas spaceru z psem albo zabaw raczkujących dzieci.

Mój gabinet znajduje się na piętrze od strony domu Tony’ego; dzieli nas zaledwie jakieś pięć metrów. Przyzwyczaiałam się do rytmu ich życia. Późnym popołudniem słyszę, że głośno zamykają się drzwi frontowe i córka Tony’ego, która ma piękny głos, zaczyna śpiewać. Zawsze mam ochotę powiedzieć jej, że ma piękny głos. I zawsze zapominam.

Tym razem Tony stanął w naszych drzwiach, ponieważ chciał nam powiedzieć, że został poprzedniego dnia obrabowany.

– Myślę, że wiem, co się stało – oświadczyłam i zaprosiłam go do środka, proponując, aby usiadł na kanapie w salonie. Opowiedziałam o dzwonku do drzwi i braku reakcji, o tym, co widziałam. Pokiwał głową. Para starszych

ludzi mieszkająca po drugiej stronie domu Tony'ego widziała, jak te same dzieciaki wynoszą torby z jego rzeczami. Chłopcy dostali się do środka przez okno w kuchni i starannie przetrząsnęli cały dom. Policjanci powiedzieli mu, że to typowy chwyt stosowany przez pracujących zespołowo drobnych złodziejasków działających w czasie weekendów. Zadzwoń i sprawdź, czy ktoś jest w domu; jeśli nie ma odpowiedzi – włamanie.

– To tylko iPady i komputery – mówił Tony. – Ale nie mogę przestać myśleć o tym, co by było, gdyby moja córka była sama w domu. Co wtedy mogłoby się wydarzyć?

Przy słowie „córka” jego głos zadrżał. Oczy się zaszklily. Podobnie jak moje.

– Nie musisz mi tego tłumaczyć – uspokoiliam go. – To takie pogwałcenie prywatności. – Wyciągnęłam rękę i położyłam dłoń na jego dłoni.

– Michelle pisze o zbrodniach – wyjaśnił Patton.

Tony wydawał się zaskoczony.

– Nawet nie wiem, czym się zajmujecie – powiedział.

I wtedy umówiliśmy się, że będziemy na siebie nawzajem uważać. Będziemy się zawiadamiać, ilekroć ktoś z nas będzie wyjeżdżał z miasta. Obiecaliśmy sobie, że będziemy lepszymi sąsiadami.

Później tego wieczora zastanawiałam się nad wydarzeniami ostatnich kilku dni. Pomyślałam o bliskości odczuwanej w salonie, o nieoczekiwanym przyływie emocji, jakie wspólnie przeżywaliśmy z Tonym.

– Nawet nie wiem, jak on się nazywa – powiedziałam do Pattona.

Mam pewien wieczorny rytuał z Alice, która nie śpi dobrze i dręczą ją okropne koszmary. Każdego wieczora, zanim zaśnie, woła mnie do swojej sypialni.

– Nie chcę mieć snu – żali się.

Głaszczę wtedy jej piaskowe, jasne włosy, kładę dłoń na czole i patrzę w jej duże brązowe oczy.

– Nie będziesz miała żadnych złych snów – mówię jej z pewnością w głosie.

Z jej ciała znika napięcie i zaczyna zasypiać. Wychodzę z pokoju, mając nadzieję, że chociaż nie mam żadnej władzy nad jej snami, stanie się tak, jak jej obiecałam.

To właśnie robimy. Wszyscy. W najlepszej wierze składamy sobie obietnice, że będziemy się chronić, choć nie zawsze możemy ich dotrzymać.

Zaopiekuję się tobą.

Ale potem słyszysz krzyk i dochodzisz do wniosku, że to nastolatki bawią się w okolicy. Młody człowiek przeskakuje ogrodzenie: po prostu poszedł na skróty. O trzeciej nad ranem rozlega się wystrzał, ale to tylko petarda albo zepsuty tłumik. Przez chwilę zaniepokojony siedzisz w łóżku. Czeka na ciebie zimna i twarda podłoga oraz rozmowa, która może prowadzić donikąd; opadasz z powrotem na ciepłą poduszkę i obracasz się na bok, żeby zasnąć.

Potem budzi cię odgłos policyjnych syren.

Tego popołudnia widziałam, jak Tony wychodzi ze swoim dużym białym psem i pomachałam do niego, stojąc obok swojego samochodu, jednocześnie usiłując znaleźć kluczyki i przypomnieć sobie o czymś, co miałam zrobić.

Nadal nie wiem, jak on się nazywa.

## CONTRA COSTA, 2013

### CONCORD

W historii miasta Concord w Kalifornii występuje Szatan i seria nieporozumień. Według legendy w 1805 roku hiszpańscy żołnierze, ścigając grupę rdzennych mieszkańców Ameryki niechętnie poddających się zabiegom misjonarzy, otoczyli zbiegów w pobliżu wierzbowych zarośli, w miejscu, w którym leży dzisiejsze Concord. Indianie ukryli się w gęstwinie, ale kiedy żołnierze przypuścili szturm, okazało się, że zniknęli. Zdumieni Hiszpanie nazwali to miejsce Monte del Diablo – diabelskim zagajnikiem – definicja słowa „*monte*” w dawnym języku hiszpańskim w pewnym przybliżeniu da się przełożyć na „lasy”. Z czasem nazwa zaczęła oznaczać „góre” – *mountain* albo *mount* – po czym anglojęzyczni przybysze na te tereny zaczęli się nią posługiwać w odniesieniu do pobliskiego szczytu o wysokości 1703 metrów, który dominuje nad krajobrazem Wschodniej Zatoki, i nazwali go Mount Diablo. Diabelską Górą. W 2009 roku pewien miejscowy obywatel Arthur Mijares złożył wszystkie niezbędne papiery wymagane na poziomie federalnym, aby zmienić tę nazwę na Mount Reagan. Uznał, że Diabeł w nazwie jest zbyt obraźliwy.

„Jestem tylko zwykłym człowiekiem, który wierzy w Boga” – oświadczył w rozmowie z dziennikarzem „Los Angeles Times”. Wprawdzie Mijares nie dopiął swego, ale niepotrzebnie się martwił. Concord leży jakieś czterdzieści pięć kilometrów na wschód od San Francisco i czuje każdy kilometr tej

odległości. Jeśli istniały tu resztki złowrogich pustkowi, zostały zniwelowane buldożerami, a na ich miejscu wyrosły perfekcyjnie nijakie centra handlowe. Z okien mojego hotelu można podziwiać Willows Shopping Center, rozległy obszar niepokojąco wyludnionych sieciowych sklepów i restauracji: Old Navy, Pier One Imports i Fuddruckers. Niemal każdy, z kim rozmawiałam na temat Concord, wspomina o korzyściach płynących z tego, że miasto znalazło się w zasięgu kolejki podziemnej BART obejmującej swoim działaniem cały rejon Wschodniej Zatoki. „W dwadzieścia minut jestem w Berkeley” – mówią.

Umówiłam się z Paulem Holesem, że podjedzie po mnie do hotelu o dziewiątej rano. Ma zabrać mnie na wycieczkę po miejscach zbrodni w hrabstwie Contra Costa. Już rankiem temperatura zbliża się do trzydziestu stopni, co zapowiada skwarne dni – jak się potem okazało – najgorętszym miesiącu w całym roku w rejonie Wschodniej Zatoki. Srebrny taurus pojawia się pod hotelem punktualnie; wysiada z niego energiczny, schludnie ubrany mężczyzna z krótkimi włosami blond i śladem letniej opalenizny i woła mnie po imieniu. Nigdy wcześniej nie spotkałam się z Holesem osobiście. Podczas naszej ostatniej rozmowy telefonicznej żartobliwie uskarżał się, że szczeniaczek golden retriever, jakiego niedawno sprawiła sobie jego rodzina, budzi go po nocy, ale teraz sprawia wrażenie, jak gdyby w życiu niczym się nie martwił. Jest po czterdziestce, ma spokojną, przyjazną twarz i krok sportowca. Uśmiecha się ciepło i mocno ściska moją dłoń na powitanie. Mamy spędzić następne osiem godzin, rozmawiając o gwałcie i morderstwie.

Oczywiście Holes, formalnie rzecz biorąc, nie jest gliniarzem; jest specjalistą od kryminalistyki, kierownikiem laboratorium kryminalistycznego Biura Szeryfa Hrabstwa Contra Costa, ale spędziłam do tej pory mnóstwo czasu w towarzystwie gliniarzy i przypomina mi jednego z nich. Kiedy



mówię gliniarze, mam na myśli detektywów. Zadawałam się z nimi na tyle często, żeby zaobserwować to i owo. Wszyscy roztaczają wokół siebie lekki zapach mydła. Nigdy nie spotkałam detektywa, który miałby nieumyte włosy. Bardzo łatwo nawiązują kontakt wzrokowy i mają imponującą postawę. Nigdy nie posługują się ironią. Gra słów wprawia ich w zakłopotanie. Najlepsi zostawiają w rozmowie długie pauzy niedopowiedzeń, a ty odruchowo starasz się je wypełnić – to strategia prowadzenia przesłuchań, dzięki której zobaczyłam, zwłaszcza w kontekście własnego godnego pożałowania gadulstwa, jak łatwo można wydobyć od kogoś zeznanie. W wyrazie ich twarzy brakuje elastyczności; albo raczej starają się ją powściągać. Nie wytrzeszczają nagle oczu ani nie kulą się z obrzydzenia. Nigdy nie spotkałam detektywa, który robiłby miny. Zupełnie inaczej niż ja; ciągle coś się dzieje na mojej twarzy. Wyszłam za mąż za komika. Wielu moich przyjaciół pracuje w show-biznesie. Nieustannie widzę wokół siebie intensywne emocje, dlatego natychmiast zauważyłam, jak bardzo oszczędni są pod tym względem detektywi. Zachowują na twarzy przyjemną w wyrazie, ale energiczną pustkę, którą podziwiam. Próbowałam ją naśladować, lecz bez powodzenia. Nauczyłam się jednak rozróżnić subtelne, acz uchwytnie zmiany w tym braku wyrazu – zmrużenie oczu, napięcie szczęk, zwykle kiedy słyszą jakąś teorię, którą sami dawno odrzucili. Spada zasłona. Ale sami nigdy nie wykładają swoich kart. Nie powiedzą: Zastanawialiśmy się już nad tym wiele lat temu. Po prostu cię wysłuchują i co najwyżej odpowiedzą uprzejmym: Aha.

Pod względem swojej rezerwy, podobnie jak pod każdym innym względem, detektywi są zupełnie inni niż ludzie z show-biznesu. Detektywi słuchają. Starają się wysondować rozmówcę. Ludzie rozrywki robią tak tylko wtedy, kiedy chcą ocenić wrażenie, jakie zrobili na publiczności. Detektywi skupiają się na konkretnych zadaniach. Spędziłam kiedyś godzinę,

wysłuchując, jak pewna przyjaciółka aktorka analizuje trzy linijki tekstu, który urażał jej uczucia. Z czasem potrafię dostrzegać szczeliny w tej masce prezentowanej przez detektywów, ale z początku ich towarzystwo przynosi nieoczekiwaną ulgę, zupełnie jakby się uciekło z nastrojowo oświetlonego przyjęcia w gronie aktorów, na którym wszyscy głośno ze sobą rywalizują, i przyłączyło się do grupy skautów z całą determinacją czekających na swoje następne wyzwanie. Nie czułam się całkiem u siebie w tej krainie ludzi myślących dosłownie, ale było mi tam bardzo dobrze.

Pierwsza napaść gwałciciela w rejonie Wschodniej Zatoki nastąpiła w Concord, zaledwie dziesięć minut jazdy od mojego hotelu. Razem z Holesem pomijamy towarzyskie pogaduszki i od razu przechodzimy do rzeczy. Najbardziej oczywiste nasuwające się pytanie brzmi: Co go tu w ogóle sprowadziło? Czemu przestał atakować w Sacramento i w październiku 1978 roku rozpoczął trwającą prawie rok serię napaści w rejonie Wschodniej Zatoki? Znam najczęściej przytaczaną koncepcję. Holes także ją zna. Ale się z nią nie zgadza.

– Nie sądzę, aby go wypłoszyli z Sacramento – mówi.

Zwolennicy teorii wypłoszenia wskazują na to, że 16 kwietnia 1978 roku, dwa dni po napaści gwałciciela na piętnastoletnią opiekunkę do dzieci w Sacramento, policja opublikowała poprawione pamięciowe portrety dwu przypuszczalnych podejrzanych w sprawie zabójstwa małżeństwa Maggiore – kolejnej nierozwiązanej sprawy dotyczącej pary młodych ludzi, którzy zostali z nieznanых powodów zastrzeleni podczas spaceru ze swoim psem. Po opublikowaniu portretów pamięciowych EAR przestał napadać na swoje ofiary w Sacramento; od tego momentu przypisano mu tylko jeszcze jeden gwałt w hrabstwie Sacramento, przy czym ten atak nastąpił dopiero rok później. Zgodnie z tą teorią jeden z portretów pamięciowych powstałych przy okazji sprawy Maggiore okazał się nieprzyjemnie trafny.

Holes nie jest przekonany. Wiele wie na temat techniki kryminalistycznej zwanej profilowaniem geograficznym; to rodzaj analiz lokalizacji miejsc popełnienia przestępstwa, na których podstawie usiłuje się określić najbardziej prawdopodobny obszar zamieszkania sprawcy. Pod koniec lat siedemdziesiątych gliniarze mogli, stając przy mapie, w którą wetknięto pinezki oznaczające miejsca zbrodni, oddawać się niezobowiązującym spekulacjom. Współcześnie profilowanie geograficzne jest osobną specjalnością kryminalistyczną, ma swoje algorytmy i programy komputerowe. W przypadku seryjnych przestępstw istnieje zawsze pewna strefa buforowa wokół miejsca zamieszkania przestępcy; nie opłaca mu się wybierać celów w obrębie tej strefy, ponieważ wiązałoby się z tym zbyt duże ryzyko, jakim obciążone jest działanie zbyt blisko własnego domu. Specjaliści od profilowania geograficznego analizują więc położenie miejsc zbrodni, starając się wydedukować z nich zasięg strefy buforowej, tego miejsca w środku tarczy, gdzie mieszka sprawca, ponieważ złoczyńcy, podobnie jak wszyscy, zachowują się w przewidywalny, rutynowy sposób.

– Czytałem dużo studiów poświęconych temu, w jaki sposób seryjni przestępcy wybierają swoje ofiary – mówi Holes. – To się dzieje w trakcie ich normalnego życia. Powiedzmy, że jesteś seryjnym włamywaczem i każdego dnia jeździsz do pracy, jak wszyscy zwykli ludzie. Masz pewien punkt zaczepienia w domu i drugi punkt zaczepienia w pracy. Ale tacy ludzie zwracają uwagę na to, co się dzieje wokół nich. Siedzą tak jak my teraz – Holes pokazuje gestem skrzyżowanie, na którym stanęliśmy na światłach – i zauważają na przykład, że tam po drugiej stronie jest obiecujący kompleks mieszkaniowy.

Dodaje, że geograficzny rozkład napaści gwałciciela w Sacramento wskazuje na zupełnie inny wzorzec niż ten ze Wschodniej Zatoki. I to jest znaczące.

– W Sacramento krąży to tu, to tam, ale zasadniczo trzyma się rejonu podmiejskich osiedli na wschodzie i północnym wschodzie. Specjaliści od profilowania geograficznego nazwaliby go włóczęgą. Wybiera się z pewnego punktu zaczepienia w różne strony. Ale odkąd przeniósł się tutaj, porusza się inaczej. Wydaje się oczywiste, że podróżuje wzdłuż korytarza wyznaczonego przez szosę 680.

Międzystanowa droga numer 680 to ponadstukilometrowa autostrada północ – południe, która przecina środkowe obszary hrabstwa Contra Costa. Większość ataków gwałciciela w rejonie Wschodniej Zatoki nastąpiła blisko tej drogi, połowa z nich w odległości niecałych dwóch kilometrów od zjazdu z niej. Na profesjonalnie przygotowanej mapie geoprofilującej widziałam przypadki z rejonu Wschodniej Zatoki przedstawione w postaci małych czerwonych okręgów; niemal wszystkie leżą dokładnie po prawej albo po lewej stronie drogi 680, czerwone krople przylegające do żółtej arterii.

– Zrozumiesz, o co chodzi, kiedy pojeździmy trochę tą drogą, tam i z powrotem – mówi Holes. – Myślę, że poruszał się w ten sposób, ponieważ zmieniły się okoliczności w jego życiu. Nie zaskoczyłoby mnie, gdyby nadal mieszkał w Sacramento, ale jeździł tędy do pracy, i wykorzystywał to, że znalazł się z dala od swojej jurysdykcji.

Słowo „praca” pobudza moją czujność. Na podstawie naszej niedawnej korespondencji e-mailowej domyślam się, że Holes jest na tropie w sprawie przypuszczalnego zawodu gwałciciela, ale zachowuje kamienną twarz w kwestii szczegółów. Nawet teraz uprzedza moje pytanie, machając ręką.

– Dojdziemy do tego.

Holes nie wychowywał się w tej okolicy. W 1978 roku był zaledwie dzieciakiem. Ale od dwudziestu trzech lat pracuje w Biurze Szeryfa Hrabstwa Contra Costa i nieskończenie wiele razy odwiedzał różne miejsca zbrodni w tym rejonie. Sprawdził także, jak ten teren wyglądał w tamtych

czasach. Wyrzebał pozwolenia budowlane. Analizował fotografie lotnicze. Rozmawiał z miejscowymi. Ma w głowie całą mapę tego obszaru z października 1978 roku, którą swobodnie nakłada na dzisiejszy wygląd tej okolicy, kiedy przez nią jedziemy. Zwalnia i pokazuje mi na jakąś ślepa uliczkę. Te zabudowania stoją dokładnie na tyłach domu, w którym EAR zaatakował w Concord po raz pierwszy.

– Tych budynków wtedy nie było – mówi Holes. – Tu było puste pole.

Zjeżdżamy na bok i parkujemy przy narożnym domu, w spokojnej zamożnej dzielnicy. Na zdjęciu przyczepionym do akt pierwszej sprawy ze Wschodniej Zatoki widać parę przystojnych ludzi z roczną córeczką; dziewczynka ma na sobie urodzinową czapkę w kropki i letnią sukienkę; rodzice trzymają razem piłkę, którą unoszą do zdjęcia przed dziewczynką, przypuszczalnie jeden z urodzinowych prezentów. Dziecko uśmiecha się do fotografa, rodzice do aparatu. Półtora miesiąca później, 7 października 1978 roku, męża tej kobiety zbudziło czyjeś dotknięcie; coś dotykało jego stóp. Otworzył oczy i ze zdumieniem zobaczył pochyloną nad sobą postać w ciemnej kominiarce.

– Chcę tylko pieniędzy i jedzenia. To wszystko. Zabiję was, jeśli nie zrobicie tego, co wam każę. – Intruz w lewej dłoni trzymał latarkę, w prawej rewolwer.

Holes pokazuje mi okno w jadalni, przez które trzydzieści pięć lat wcześniej gwałciiciel wślizgnął się do środka i znalazł w sypialni parę pogrążoną we śnie. Mała dziewczynka niczego nie słyszała i spała spokojnie przez cały czas.

Dom zbudowano w 1972 roku. Parterowy, w kształcie litery L, zajmuje mniej więcej takie samo dziesięć arów jak inne budynki w sąsiedztwie. Jestem zdumiona, jak bardzo zabudowa przypomina pozostałe miejsca zbrodni, które dotąd oglądałam. Można by wszystko stąd zabrać i umieścić

na jakimkolwiek innym osiedlu.

– Zdecydowanie ten sam rodzaj architektury – mówi. Holes potakuje.

– W bardzo niewielu okolicach, gdzie zaatakował, były piętrowe domy – mówi. – To ma wiele sensu, jeśli wiesz, gdzie śpią twoje ofiary. W piętrowych domach jest tylko jedna droga na górę i na dół. W tej sytuacji istnieje większe prawdopodobieństwo, że zostaniesz odcięty. Łatwiej także ustalić, co się dzieje wewnątrz parterowego domu, przesuwając się od okna do okna. A jeśli kręcisz się po okolicy, przeskakujesz przez ogrodzenia i chodzisz po podwórkach, ktoś może z góry zobaczyć cię o wiele łatwiej niż z dołu.

Mąż napadniętej kobiety pod wpływem hipnozy przypomniał sobie, że kiedy w dniu ataku przyjechali do domu kwadrans po jedenastej wieczorem, zauważył młodego mężczyznę stojącego obok zaparkowanego vana po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko ich domu. Van w kształcie furgonu był w dwu kolorach, białym i niebieskozielonym. Młody człowiek przypuszczalnie miał dwadzieścia kilka lat, był biały, z ciemnymi włosami, średniego wzrostu i wagi; stał obok prawego tylnego błotnika samochodu lekko pochylony, jak gdyby sprawdzał koło. Fragment jakiegoś obrazu, jeden z setek częściowo odnotowywanych kątem oka każdego dnia. Wyobrażam sobie męża tej kobiety, jak siedzi na fotelu, starając się przywołać wspomnienie, szukając szczegółów, które z perspektywy czasu okażą się decydujące. Albo nie. Na tym polegało szaleństwo tego śledztwa: na niepewności co do znaczenia każdego tropu.

– W tej sprawie zastanawiające jest to, w jak wyrafinowany sposób włamał się do środka – mówi Holes. – Wygląda na to, że najpierw próbował otworzyć przesuwane drzwi. Robi nacięcie obok gałki otwierającej. Ale z jakiegoś powodu rezygnuje. Podchodzi od frontu. Tam jest okno jadalni. Wybijają niewielką dziurę w szybie, dzięki czemu może popchnąć zasuwkę

i w ten sposób wejść do środka.

– Niewiele wiem o włamaniach. Był dobry?

– Był dobry – potwierdza Holes.

Siedzimy w gorącym samochodzie i omawiamy mocne punkty jego sposobu działania. Policyjne psy, odciski butów i ślady opon wskazywały śledczym, że bardzo zręcznie wybierał drogi, którymi się poruszał. Jeśli w okolicy była jakaś budowa, parkował koło niej, ponieważ nieustanny ruch przejeżdżających pojazdów pozwalał mu ukrywać się na widoku; ludzie przypuszczali, że ma jakiś związek z resztą budowlańców. Nigdy nie wracał tą samą drogą, którą przyszedł, dzięki czemu nikt nie widział, że idzie tam i z powrotem, a tym samym trudniej było go zapamiętać.

Psy, które zwykle ujadają na nieznanym, na niego nie szczekały, co wskazuje, że zapewne oswajał je wcześniej ze sobą, przynosząc im jedzenie. Miał dość niezwykły obyczaj zarzucania koca na lampę albo ekran wyciszonego telewizora, kiedy zaciągał kobietę, swoją ofiarę, do salonu; w ten sposób miał dość światła, żeby widzieć, ale nie za wiele, aby nie zwracać na siebie uwagi z zewnątrz. Poza tym planował zawczasu. Ludzie mieszkający w narożnym domu opowiadali potem, że kiedy wrócili, zauważyli, że drzwi do gabinetu męża są zamknięte, co było niezwykłe, a frontowe drzwi są otwarte, choć wydawało im się, że je zamykali. Zastanawiali się potem, czy już wtedy był w środku, może ukrywał się wśród płaszczy w szafie w korytarzu i czekał, aż ich głosy ucichną, by móc uciec, oświetlając sobie drogę latarką skierowaną w podłogę.

Holes opowiada mi to wszystko, po czym na chwilę zapada cisza; nauczona doświadczeniem zawsze się spodziewam takiego milczenia w rozmowach o tej sprawie. To czas na otrzeźwienie, wyjście z oszołomienia. Pod względem konwersacyjnych napięć przypomina moment, gdy łapiasz się na tym, że mówiłaś za dużo o swoim eks, i przerywasz, żeby podkreślić

z naciskiem, że twój eks jest oczywiście beznadziejnym dupkiem.

– Jest bardzo dobry w popełnianiu swoich zbrodni – mówi Holes – ale nie zjeżdża na linie z dachu budynku. Nie robi niczego, co wskazywałoby, że ma jakieś specjalistyczne przygotowanie.

Rodzice Holesa pochodzą z Minnesoty i w jego mowie słyhać wciąż radosny, pogodny rytm ludzi ze środkowego zachodu, ale kiedy mówi, że EAR nie był jakoś szczególnie zręczny, jego głos traci dynamikę, nie brzmi sugestywnie ani pewnie. Przechodzimy do następnej rozpoznawalnej fazy w omawianiu sprawy: rozmowy z samym sobą.

– On jest odważny. EAR. W tym rzecz – mówi Holes, jego szczęka zaciska się w nietypowy dla niego sposób. – To, co go odróżnia od innych przestępców, to wchodzenie do domu. Zodiak na przykład. Pod wieloma względami jego zbrodnie świadczyły o jego tchórzliwości. Alejki, gdzie spotykają się zakochani. Dystans. Podnosisz stawkę, kiedy wchodzisz do środka. Podnosisz stawkę jeszcze bardziej, gdy w domu jest facet.

Rozmawiamy o tym, jak mało uwagi zwracano na mężczyzn, ofiary napaści. Holes opowiada mi o tym, jak raz musiał zadać kilka pytań jednej z ofiar, kobiecie ze Stockton, która została zaatakowana razem ze swoim mężem. Holes postanowił skontaktować się najpierw z nim, wyobrażając sobie, że łatwiej poradzi sobie z rozmową o faktach. Mąż uprzejmie powiedział Holesowi, że nie sądzi, aby jego żona chciała rozmawiać o napaści. Zostawiła to za sobą, nie chce jeszcze raz wracać do tamtych przeżyć. Niemniej z pewnym ociąganiem powiedział, że przekaże jej pytania detektywa. W słuchawce zapadła cisza. Holes uznał, że sprawa jest przegrana. Jednak kilka miesięcy później ta kobieta w końcu do niego zadzwoniła. Odpowiedziała na jego pytania. Chciała mu pomóc, jak powiedziała. Chciała pamiętać. To jej mąż nie chciał.

– To on ma z tym problem – przyznała.



Mężczyźni, ofiary napaści, urodzili się w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, w pokoleniu, dla którego idea terapii była najczęściej rzeczą nieznaną. W policyjnych aktach role obu płci są sztywne i jednoznaczne. Detektywi pytają kobiety o to, gdzie robią zakupy, mężczyzn o mechanizm blokujący drzwi i okna. Okrywają kocem ramiona kobiet i odwożą je do szpitala. Ich partnerów pytają o to, co widzieli, nie o to, co czuli. Wielu zaatakowanych mężczyzn miało związki z wojskiem. Mieli szafki z narzędziami. Ich rola polegała na robieniu rzeczy i opiekowaniu się, a teraz zostali pozbawieni zdolności do robienia i opiekowania się. Ich wściekłość widać w szczegółach. Jeden z mężów dosłownie przegryzł więzy krępujące stopy jego żony.

– Ta trauma często utrzymuje się do dziś – mówi Holes, uruchamiając samochód. Powoli odjeżdżamy od krawężnika. Oddaliśmy się od narożnego domu. W aktach sprawy zachował się krótki, odręczny list od kobiety, ofiary napaści, ślicznej młodej matki uroczej dziewczynki z urodzinowego zdjęcia. Napisała do głównego detektywa prowadzącego dochodzenie pięć miesięcy po napaści.

Rod.

Załączam:

- a. listę zaginionych rzeczy oraz
- b. listę czeków wypisanych w lipcu i sierpniu.

Cała biżuteria została zabrana albo z szuflady w naszej sypialni, albo z blatu komody. Wymieniam także pozostałe przedmioty. Mam szczerą nadzieję, że to wszystko, co będzie niezbędne, ponieważ straszliwie pragniemy, aby nasze życie wróciło do normy. Jestem pewna, że potrafimy zrozumieć nawzajem swoje położenie.

Powodzenia w poskładaniu tego wszystkiego!

Nadawczyni listu wydawała się rozsądna, bezpośrednia, i pełna energii. Nawet optymistyczna. Uznałam, że jej list jest niezwykle. Niektórzy ludzie –

pomyślałam, czytając te słowa – potrafią mimo straszliwych, traumatycznych przejść żyć dalej. Kilka stron dalej znalazłam w aktach krótką notatkę spisana odręcznie przez jednego z policjantów. Ta rodzina nie mieszka już w hrabstwie Contra Costa, czytam w niej. Przeprowadziła się do jakiegoś miasta setki kilometrów stąd.

„Powodzenia w poskładaniu tego wszystkiego!”

Odczytałam ten wykrzyknik jako wyraz optymizmu. A to było pożegnanie.

Jedziemy na wschód. Do drugiej napaści w Concord doszło tydzień po pierwszej, zaledwie kilkaset metrów dalej. Holes zwalnia przed znakiem stop. Pokazuje mi przecznicę, ponownie odświeżając w głowie swoją mapę tych okolic z października 1978 roku:

– Po prawej w tym miejscu jest plac budowy. Więc żeby się tam dostać, ludzie, robotnicy i samochody dostawcze jeżdżą tą ulicą – wskazuje na tę, którą jedziemy – albo tamtą.

Z dwu podstawowych dróg, jakie ktoś mógł wybrać, aby dojechać na miejsce budowy w październiku 1978 roku, jak mówi Holes, jedna przebiega obok miejsca, gdzie dokonano pierwszego ataku, druga obok miejsca kolejnej napaści. Przypominam sobie, że według Holesa EAR przyjechał w te okolice, szukając pracy.

– Budownictwo? Prace budowlane? – pytam.

– Badam właśnie ten trop – mówi.

Zauważam, że mówi „ten”. Nie mówi, że chodzi ogólnie o branżę.

– Czy wiesz, kim był deweloper?

Nie odpowiada, ale wyraz jego twarzy mówi mi, że wie.

Podjeżdżamy do kolejnego miejsca zbrodni w Concord; kolejny parterowy dom w kształcie litery L, tym razem kremowy z zielonymi

zdobieniami. Na niewielkim podwórku od frontu rośnie ogromny dąb. Nic nie wskazuje na to, że w tej okolicy mieszkają ludzie, którzy w tygodniu mają dużo wolnego czasu. Nikt nie przechadza się niespiesznie z psem. Nikt nie truchta z iPodem. Mija nas niewiele samochodów.

W tym przypadku EAR podczas napaści wskazał na pewną możliwość, która intrygująco przewija się w kilku z jego ataków. To był piątek trzynastego, czwarta trzydzieści rano. Psychoseksualny scenariusz, jaki gwałciciel narzucał swoim ofiarom, świecąc im latarką w oczy i rzucając groźby przez zaciśnięte zęby, był już teraz – to był jego trzydziesty dziewiąty atak – tak utrwalony, że kiedy się czyta policyjne raporty, można nie zauważyć pewnej wskazówki, zmiany jednego słowa być może o decydującym znaczeniu: „ja” na „my”.

„Wszystko, czego chcemy, to pieniądze i jedzenie, a potem zabieramy się stąd” – wyrzucał z siebie w stronę zdezorientowanej pary. „Chcę tylko jedzenia i pieniędzy dla swojej dziewczyny i dla mnie”.

Kiedy napadnięta para zaczęła spełniać jego polecenia i dała się związać, zaczął jak zwykle swoje gorączkowe, chaotyczne przeszukiwanie domu, trzaskając drzwiami szafek w kuchni, grzebiąc w szufladach. Zaprowadził kobietę do salonu. Kazał jej położyć się na podłodze.

– Chcesz żyć? – spytał ją.

– Tak – powiedziała.

Zawiązał jej oczy ręcznikiem z łazienki.

– To lepiej niech to będzie najlepsze pieprzenie, jakie kiedykolwiek miałem, albo cię zabiję.

Opowiadała potem śledczym, że przez głowę przelatywały jej sceny z filmu *Z zimną krwią*, opowieści o pewnej rodzinie zamordowanej w środku nocy przez niezrównoważonych zabójców.

Jednak to, co wydarzyło się potem, wprawdzie było dla ofiary

przeróżające, ale jednocześnie wydawało jej się jakoś dziwnie niedorośle i kobieta miała wrażenie, jak gdyby nie ciekawiło napastnika. Szybko i nieuważnie przesunął rękami po jej udach; poczuła, że nosi grube gumowe rękawiczki. Kazał jej pobudzać swój członek przez jakąś minutę, po czym ją zgwałcił i po trzydziestu sekundach miał wytrysk. Poderwał się i znowu zaczął przeszukiwać mieszkanie. Wydawało się, jak gdyby grzebanie po domu podniecało go bardziej niż sam seks.

Otworzyły się jakieś drzwi i kobieta poczuła przeciąg; napastnik poszedł do garażu przylegającego do domu. Usłyszała szelest worka na śmieci. Miała wrażenie, że tamten chodzi tam i z powrotem między domem a garażem. Słyszała, jak coś mówi, ale nie do niej.

– Tutaj, włóż to do samochodu – powiedział głośnym szeptem.

Nie usłyszała odpowiedzi; nie słyszała żadnych kroków. Nikt nie zapalił silnika. Nawet nie zauważyła, kiedy i w jaki sposób wyszedł, po prostu w pewnym momencie zniknął.

To nie był jedyny raz, gdy EAR starał się stworzyć wrażenie, że ma współnika. Pierwsza ofiara słyszała w salonie coś, co wydawało jej się odrębnymi, nakładającymi się na siebie głosami, które gorączkowo rzucały szeptem groźby. „Zamknij się”, a potem szybko: „Mówiłem ci, zamknij się”.

Inna ofiara słyszała, czterokrotnie, odgłos klaksonu sprzed domu, a potem ktoś zaczął dzwonić do drzwi. Rozległo się stukanie w okno od frontu. Słyszała stłumione głosy, przypuszczalnie głos kobiety. Nie umiała powiedzieć, czy wśród tych głosów był głos gwałciciela. Wyszedł i głosy też ucichły, ale ofiara, która leżała związana, twarzą do dołu, na podłodze w swoim salonie, nie potrafiła powiedzieć, czy te wydarzenia rozgrywały się w tym samym czasie ani czy w ogóle były ze sobą związane.

– Mój kumpel jest na zewnątrz, czeka w samochodzie – powiedział raz.

Czy to było kłamstwo, sposób dodawania sobie odwagi, gdy czuł, że

potrzebuje psychicznego wsparcia? Próba wprowadzenia w błąd policji? Większość śledczych sądziła, że to był blef. Holes nie jest taki pewny.

– Czy jest ktoś, kto mu czasami pomaga? W przypadku napaści seksualnych nie, ale tam, gdzie chodzi o włamanie? Kto wie? To się zdarza tyle razy w ciągu całej serii, że zaczynasz myśleć: A może? Powinniśmy chyba uwzględnić taką ewentualność.

Holes przyznaje, że większość z tego, co mówił EAR, miało na celu wprowadzanie w błąd i odwracanie uwagi. Gadał chaotycznie o tym, że mieszka w swoim vanie albo w obozowisku nad rzeką, ale rzadko pachniał w sposób wskazujący na taki tryb życia. Wymyślał związki łączące go z ofiarami. „Wiedziałem, kiedy zobaczyłem cię na balu na zakończenie roku, że muszę cię mieć” – wyszeptał do nastolatki leżącej z zawiązanymi oczami, ale usłyszała, jak ktoś odrywa taśmę klejącą ze ściany w jej sypialni: zabierał zdjęcie z jej balu na koniec roku szkolnego. „Wiedziałem cię nad jeziorem” – powiedział pewnej kobiecie, która miała na podjeździe łódź do ciągnięcia narciarzy wodnych.

Niektóre z tych kłamstw – o tym, że zabił jakichś ludzi w Bakersfield, albo o tym, że wyrzucono go z armii – przypuszczalnie miały wzmacniać jego wyobrażenie o samym sobie jako twardzielu. Zmyślane związki z ofiarami przypuszczalnie stanowiły element jego fantazji albo próbę zdezorientowania napadniętych kobiet fałszywą sugestią zażyłości. Razem z Holesem zastanawiamy się nad innymi osobliwościami jego zachowania, na przykład zduszonymi oddechami, jakby chwycił powietrze. Opisywano je jako głębokie wdechy, próbę łykania powietrza na progu hiperwentylacji. Pewien specjalista od profilowania przestępców, który przyglądał się tej sprawie w latach siedemdziesiątych, miał wrażenie, że ten sposób oddychania stanowił taktykę służącą wprawianiu ofiar w przerażenie; chciał, aby myślały, że mają do czynienia z szaleńcem zdolnym do wszystkiego. Holes

opowiada, że pewien kolega detektyw, cierpiący na astmę, zastanawiał się, czy rzeczywiście nie chodziło o problemy z oddychaniem; nagły rzut adrenaliny może spowodować taki atak.

Tożsamość gwałciciela to zakryta karta. Nasze spekulacje to ślepy zaułek. Kręcimy się w kółko.

– San Ramon? – pyta Holes.

## SAN RAMON

Jedziemy w stronę autostrady 680, która zaprowadzi nas niecałe trzydzieści kilometrów na południe, do miejsca następnej napaści, trzeciej w tym samym miesiącu. Październiku 1978 roku. Prezydentem był Jimmy Carter. Latem wielkim przebojem stał się film *Grease*, piosenka śpiewana przez Johna Travoltę i Olivię Newton-Jones *Summer Nights* nadal królowała w stacjach radiowych, choć w górę list przebojów powoli wspinał się utwór *Who Are You* zespołu The Who. Świeża twarz trzynastoletniej Brooke Shields z pustym wzrokiem zdołała okładkę „Seventeen”. Yankees pobili Dodgersów w rozgrywkach World Series. Nancy Spungen, dziewczyna Sida Viciousa, wykrwawiła się na śmierć, wskutek rany kłutej, na podłodze łazienki w Chelsea Hotel. Jan Paweł II został nowym papieżem. Trzy dni przed napaścią w San Ramon na ekrany wszedł film *Halloween*.

– A płacz? Nie sądzisz, że nie udawał? – pytam Holesa.

Kilkanaście ofiar opowiadało potem, że płakał. Łkał, jak mówiły. Potykał się i wydawał się zagubiony. Jęczał, zawodził wysokim głosem jak dziecko. „Przepraszam, mamó. Mamó, pomóż mi. Nie chcę tego robić, mamó”.

– Tak, myślę, że tak – mówi Holes. – Kobiety dobrze rozumieją zachowania mężczyzn. Czasami ofiary mówią, że jego gniew jest udawany i że go symuluje, a kiedy indziej, gdy siedzi w rogu i łka w niekontrolowany

sposób, mają wrażenie, że nie odgrywa komedii. Rozrywają go wewnętrzne konflikty. Płacze zawsze po seksualnej napaści. Wtedy łka.

Wśród ofiar, które wierzyły, że te łzy były prawdziwe, jest jeden wyjątek. Kobieta ze Stockton, ta, której mąż nie mógł uporać się z następstwami napaści, nie wierzyła, że gwałciciel płacze naprawdę, mówi Holes.

– Słyszała te odgłosy. Ale nie interpretowała by ich jako płacz – opowiada Holes.

– A więc co to było jej zdaniem? – pytam.

– Rozkręcona histeria – mówi Holes. – Jak histeryczny śmiech.

Przez lata nikt najwyraźniej nie zauważył, że numer ratunkowy 911 nie działa w San Ramon, niewłączonym w administracyjny obszar żadnego miasta, mimo że firma telefoniczna ściągała od mieszkańców opłatę za tę usługę. Odkryła to pewna kobieta, która mieszkała na końcu cichej uliczki. Jazgot, jaki rozległ się w jej słuchawce, wskazując na nieudane połączenie, kiedy próbowała się dodzwonić, był dla niej niczym elektryczny wstrząs, którego na pewno nie potrzebowała po dwóch godzinach seksualnej przemocy nieznanego napastnika. Słowa tej kobiety, występującej pod pseudonimem Kathy, przytoczono w artykule z „Oakland Tribune”, jaki ukazał się 10 grudnia 1978 roku, sześć tygodni po napaści. Kiedy Kathy zbudziła się w nocy, gdy została zgwałcona, próbowała gorączkowo dostosować swój wzrok do ciemności. Ale w totalnym mroku potrafiła dostrzec tylko jedno: dzikie spojrzenie, żadnego ciała. „Małe oczka po prostu gapiły się na mnie” – powiedziała.

„Po prostu naprawdę nienawidzę tego faceta” – mówi Kathy rzeczowo o niezidentyfikowanym gwałcicielu. Wyjaśnia także, że jest wściekła na firmę telefoniczną, która nie zapewnia połączenia z telefonem ratunkowym, mimo że twierdzi, jakoby oferowała taką usługę. Z tej wściekłości, jak opowiada Kathy dziennikarzowi, może przynajmniej wyciągnąć pewną

wymierną sprawiedliwość: od jej rachunku odlicza się teraz opłatę za numer 911, dzięki czemu może zaoszczędzić dwadzieścia osiem centów miesięcznie.

Pomoc pojawiła się, dopiero kiedy Kathy zadzwoniła bezpośrednio pod numer Biura Szeryfa Hrabstwa Contra Costa.

W następstwie dwóch gwałtów w Concord wydano ostrzegawczy apel do wszystkich policjantów. Sygnały płynące z Sacramento okazały się złowróżbne: EAR przystawiał teraz swoją twarz w kominiarce do ich własnych okien. Wszyscy muszą zachować czujność. Jednostka specjalna zaczęła typować dzielnice, w których gwałciiciel mógł przypuszczalnie zaatakować. Dyskretnie zapisywano numery rejestracyjne samochodów zaparkowanych w pobliżu otwartych terenów albo tych, które z jakiegoś innego powodu uznano za podejrzone.

Uważne rozglądanie się na wszystkie strony nie należało do repertuaru codziennych odruchów policjantów z San Ramon. Wprawdzie w latach 1970–1980 liczba tamtejszych mieszkańców wzrosła czterokrotnie, ale miasto było otoczone przez trawiaste pagórki, czasem przetykane dębami, rozległe połacie niezamieszkanego terenu, które rodzą wrażenie przestrzeni i spokoju. W policyjnych krótkofalówkach na długo zalegała senna cisza. Światła samochodów patrolowych omiały te same wolno stojące garaże, te same zacienione okna parterowych domów młodych rodzin. Podejrzone postaci rzadko pojawiały się w San Ramon wśród podmiejskich domów; płoty stały nienaruszone, nikt nie zauważał podejrzanego ruchu w zaroślach. Policjanci byli wyszkoleni do działania, ale przyzwyczajeni do spokoju.

Wszystko zmieniło się 28 października, tuż po piątej nad ranem, gdy w policyjnych radiostacjach głąchą ciszę przerwał nagle szum, po czym popłynęły skąpe, ale niepokojące informacje. Wdarcie się do domu, gwałt i rabunek. Montclair Place. Pierwszy na wezwanie odpowiedział



jednoosobowy patrol. Ofiary, Kathy i jej mąż David<sup>[30]</sup>, spokojnie powitały przedstawiciela prawa we frontowych drzwiach. Po upewnieniu się, że żadne z nich nie potrzebuje niezwłocznej pomocy medycznej, uwagę policjanta przykuł dziwny wygląd wnętrza. Dom był niemal całkowicie pusty. Szuflady w kilku jeszcze stojących meblach były chaotycznie powyciągane i opróżnione. Otwarte drzwi szaf ukazywały puste drążki na ubrania i nic poza tym. Czy zostali kompletnie ograbieni przez intruza? Nie, Kathy i David wyjaśnili, że właśnie się wyprowadzają.

Napastnik przyszedł do nich w ciągu ostatnich kilku godzin, jakie mieli spędzić w tym domu.

Ponownie na horyzoncie pojawił się wątek związków z branżą handlu nieruchomościami. Tak precyzyjnie wybrany czas napaści wskazywał na wiedzę, jaką można zdobyć tylko w środowisku agentów. Kathy i David mieli trzyletniego synka; zwrócili uwagę śledczych na to, że napastnik ani razu nie otworzył drzwi do sypialni dziecka, nawet się do nich nie zbliżył. Inne ofiary mające małe dzieci zauważały to samo. W nieskończoność zastanawiano się, w jaki sposób wybierał swoje ofiary i zdobywał wiedzę o ich życiu oraz o rozkładzie pomieszczeń w domu.

Gary Ridgway, Zabójca znad Green River, nazywał czas, jaki poświęcał przed atakiem na zbieranie informacji o swoich ofiarach, patrolowaniem. Jego kamuflażem była banalność. Parkował swój samochód na tyłach 7-Eleven przy Pacific Highway South, w zaśmieconej okolicy wokół lotniska Seattle-Tacoma, znanej z prostytucji. Czasami otwierał maskę samochodu. Był niedużym mężczyzną o szarej twarzy, który z wielkim zaaferowaniem grzebał w silniku. Nikt nigdy nie zwracał na niego uwagi. Wyblakły, szary krajobraz wchłaniał go bez śladu. Jedynie bardzo uważny obserwator, przyglądając się z bliska, mógłby wychwycić pewien szczegół wskazujący na to, że coś jest nie tak: ten człowiek nigdzie się nie spieszył, miał mnóstwo

czasu. Źrenice jego oczu migały niczym wahadło, to w lewo, to w prawo, skupiając się na wszystkim, tylko nie na silniku, głodny umysł błyskawicznie dokonuje kalkulacji zmieniających się jak w kalejdoskopie.

Nagły szcęk. Dźwięk tak oczywisty, naturalny, że ginął w ulicznym hałasie, w szumie mokrych opon, w lekkim deszczu z melodyjką rozbrzmiewającą w drzwiach sklepu spożywczego w tle. Najbardziej przerażający dźwięk, na który nikt nie zwracał uwagi – Ridgway zamykał maskę swojego samochodu. Patrowanie dobiegło końca, zaczynała się nowa faza.

Początkowo sądziłam, że EAR, podobnie jak Ridgeway, musiał ukrywać się na widoku. Wydawało się, że dysponuje informacjami, które można zdobyć jedynie dzięki uważnej, wytrwałej obserwacji. Ale z całą pewnością nie był zwykłym, przyzajonym podglądaczem; mimo tysięcy stron policyjnych raportów, w tym zeznań złożonych przez ofiary i sąsiadów podczas rozmów z detektywami, nie wyłonił się żaden spójny opis wyglądu napastnika. Sądziłam, że po popełnieniu przez niego pięćdziesięciu gwałtów jego twarz powinna zacząć się wyłaniać z ciemności, przynajmniej na tyle, żeby dało się ustalić barwę jego włosów. Ale nic takiego się nie stało. Na tym polegała zagadka. W końcu przypadek zwycięża. Trudno zawsze liczyć na szczęście. Jak to się stało, że tak długo obserwował innych, sam pozostając niezauważony?

Nieustannie wracałam myślami do wyobrażenia mężczyzny w uniformie, może pracownika telekomunikacji albo listonosza, pracowitej pszczołki rodem z Busytown Richarda Scarry'ego, postaci, która samą swoją obecnością sygnalizuje, że wszystko jest w porządku. Ale do niego nie pasują żadne etykiety. To postać w stanie nieustannego rozmywania się. Tyle że mijając go w pędzie na tle niewyraźnych zarysów nieubłaganie beżowych osiedli, ludzie nie zauważali czegoś jeszcze: żarłocznej siły czającej się

w jego zgłodniałych oczach.

Pewien emerytowany detektyw, który pracował nad zabójstwami z Irvine, próbował podważyć moje przekonanie, że EAR był mistrzem rozpoznania terenu. Według mojego rozmówcy napaści gwałciciela nie wymagały jakiegoś wcześniejszego planowania czy informacji dostępnych jedynie u źródeł. Pewnej nocy, w okresie gdy pracowali nad tą sprawą, detektyw przeprowadził razem ze swoim partnerem eksperyment. Ubrali się całkowicie na czarno, włożyli buty na miękkich podszewkach i zaczęli przemykać się po osiedlach w Irvine ścieżkami, które, jak sądzili, przemierzał zabójca. Skradali się wzdłuż murów, zaglądali przez ogrodzenia z tyłu domu i przyklejali się w mroku do pni drzew.

Przyciągały ich prostokąty światła. Tylne okna dawały dostęp do życia dziesiątków nieznanym osobom. Czasami wystarczyła jedynie szpara w zasłonie, na tyle szeroka, by mogli dostrzec pustą twarz jakiejś kobiety myjącej, a potem ponownie myjącej, szklany kieliszek nad kuchennym zlewem. Najczęściej wokół panowała cisza, ale niekiedy rozlegały się salwy śmiechu z telewizora. Jakaś nastolatka skuliła ramiona, gdy jej chłopak podniósł jej spódnicę.

Śledczy pokręcił głową na to wspomnienie.

– Byłabyś zdumiona, jak wiele można zobaczyć – powiedział.

Prawdę mówiąc, zadawałam pytanie o krążenie po okolicy i podglądanie wszystkim detektywom, z którymi rozmawiałam, i zawsze dostawałam tę samą odpowiedź; każdy z nich kręcił głową i robił minę mówiącą, że to najłatwiejsza rzecz na świecie.

Kompulsywny podglądacz szybko uczy się mowy ciała, zauważa, w jaki sposób kobieta, która jest sama w domu, na moment zerka przez tylne okno salonu, zanim zgasi światło, albo w jaki sposób nastolatka stara się zachowywać ciszej, kiedy jej rodzice śpią. Po chwili to już tylko

rozpoznawanie znanych schematów. Czas działania można ograniczyć do minimum.

Spytałam Holesa, czy jego zdaniem EAR był metodyczny w wyborze swoich ofiar.

– Sądzę, że są dowody na tak i na nie. Czasami wydaje mi się, że obserwował ofiary bardzo długo. Dostrzega jakąś kobietę. Skupia na niej swoją uwagę. Chodzi za nią. A kiedy indziej atakuje kogoś, kogo zobaczył po raz pierwszy.

Nikt nie wie, jak długo obserwował Kathy, ale policjanci nie mają wątpliwości skąd. Jej dom przylegał do plantacji choinek. Specjalista od kryminalistyki zauważył odciski butów, „w typie do biegania”, na drewnianym ogrodzeniu od strony podwórka.

Holes skręca w prawo i pokazuje mi miejsce, gdzie kiedyś była ta plantacja za domem. Jedziemy przecnicę albo dwie dalej, a potem znowu skręca w prawo i podjeżdżamy do Sedgfield Avenue 7400.

– Następnego dnia tutaj stoi zaparkowany samochód. Wewnątrz jest krew.

Ten samochód to był ford galaxie 500. Wcześniej zgłoszono jego kradzież.

– Ktoś ewidentnie krwawił, przypuszczalnie z nosa. A potem widać ślady krwi pozostawione przez kogoś, kto się stąd oddalał. Dowody w tej sprawie dawno zniszczono [z powodu przedawnienia], ale zadałem sobie pytanie, jakie jest prawdopodobieństwo, że ktoś, kto w środku nocy ucieka przez plantację choinek, wpadnie na drzewo? I wsiada do tego samochodu, który przedtem ukradł, a potem porzucił? Miałem sprawę, w której człowiek uciekał przed strzelaniną i wpadł na słup telegraficzny. Zostawił na nim takie same ślady krwi.

Ślady krwi prowadziły na wschód, przez krawężnik. Kilka zgniecionych

chusteczek higienicznych wrzucono do rynsztoka. Krople krwi były coraz mniejsze i w końcu zniknęły. Podobnie jak inne ślady w tej sprawie. I tym razem śledczy znowu wielokrotnie zabrnęli w ślepią uliczkę. Żaden trop nie prowadził do frontowych drzwi. Każdy przedmiot, jaki znaleziono podczas przeszukania terenu, mógł należeć do gwałciciela albo mógł nie należeć. Zawsze brakowało pewnych informacji, które można by było zweryfikować. To była sprawa, przy której śledczy ciągle kręcili się w miejscu, wśród niezliczonych możliwości.

– Każdy trop to tylko połowiczna wskazówka – mówi Holes.

– A co z tą budową, która w tym samym czasie trwała w San Ramon? – pytam.

Holes wyjaśnia, że Kathy podrzuciła im pewne użyteczne informacje. Potrafiła przypomnieć sobie liczne miejsca budowy, na których pracowano przy wznoszeniu nowych osiedli w sąsiedztwie w okresie napaści.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że powiedział właśnie, że osobiście rozmawiał z Kathy.

– Rozmawiałeś z nią?

Holes wie, dlaczego jestem zdumiona.

W poświęconej tej sprawie książce *Sudden Terror* Larry Crompton potraktował Kathy lekceważąco. Opisuje jej zachowanie podczas policyjnych przesłuchań tak, jak gdyby niemal przeżywała jeszcze raz „najwyższe podniecenie”. Ujawnia w książce różne niepoehlebne szczegóły z jej życia po napaści i gwałcie. Mówi, że żał mu jej męża i syna. Lubię Cromptona, ale wydaje mi się, że w tym punkcie się myli. Bardzo poważnie się myli. Nawet opisuje jej urodę na tle innych ofiar – korzystnie, ale to nadal błąd. Traktuje Kathy w najlepszym razie, jak gdyby był pozbawiony wrażliwości, w najgorszym, jak gdyby obwiniął samą ofiarę. Szkicuje jej portret, jakby założył, że jest tylko jeden sposób reakcji na brutalną napaść o charakterze

seksualnym. Brakuje mu współczucia i zrozumienia. Na przykład szyderczo opisuje moment, gdy EAR zażądał, aby uprawiała z nim seks oralny, a ona, jak powiedziała policji, poprosiła najpierw o szklankę wody, nie zastanawiając się w ogóle nad tym, że w przypadku przerażonej ofiary napaści prośba o wodę może być sposobem odwlekania tego, co najgorsze. Do tego jeszcze pseudonim, jaki Crompton dla niej wybrał, „Sunny” [Słoneczna]; zapewne nie starał się być celowo złośliwy, ale mam wrażenie, że to wyjątkowo okrutny wybór w świetle tego, jak ją opisał.

Wkrótce po ukazaniu się książki Cromptona śledczy otrzymali e-mail od Kathy. Była wściekła z powodu tego, jak ją sportretował. Nie mieli prawa skontaktować jej z Cromptonem, który był już na emeryturze, ale Holes wraz z jedną ze swoich koleżanek zaprosili Kathy na osobiste spotkanie w biurze.

– Trzęsa się jak liść – wspominał Holes głosem, który zdradzał, że ją rozumie. Kathy podczas spotkania prawie nie nawiązywała z nim kontaktu wzrokowego, co jak sądził, stanowiło pozostałość przeżytej traumy. Relacja między ofiarami a śledczymi badającymi stare, nierozwiązane sprawy stanowi dziwną kombinację intymności i dystansu. Holes miał dziesięć lat, gdy jakiś zamaskowany mężczyzna przyłożył nóż do szyi Kathy i pchnął ją na zimną podłogę w kuchni, pokrytą linoleum. Dziewiętnaście lat później Holes przyniósł z magazynu dowodów plastikowe opakowanie z numerem sprawy Kathy i wyjął z niego bawełniany tampon zamknięty w plastikowej tubce. Kathy była dla niego osobą obcą. Oglądał pod mikroskopem spermę człowieka, który ją zgwałcił, ale nigdy nie spojrzał jej w oczy ani nie uścisnął dłoni.

Zadał podczas spotkania jedynie kilka pytań i pozwolił, aby jego koleżanka prowadziła rozmowę. Wtedy Kathy powiedziała coś, co zwróciło jego uwagę.

Oboje z mężem Davidem byli od dawna rozwiedzeni. Podobnie jak

związki wielu par, które padły ofiarą gwałciciela, ich małżeństwo nie przetrwało napaści. Kathy powiedziała, że po ataku David miał wrażenie, jakby znał skądś głos napastnika, ale nie potrafił sprecyzować skąd.

Słowa Kathy były ważne z dwu powodów. Po pierwsze, nigdy nie widziała map powstałych dzięki geoprofilowaniu. Nie wiedziała, że chociaż rozkład napaści w Contra Costa nie wskazywał na taki sam schemat jak w Sacramento, specjalista od geograficznego profilowania mimo to ustalił najbardziej prawdopodobny obszar zamieszkania napastnika: San Ramon. To miasto znajdowało się w centrum całej serii napaści w rejonie Wschodniej Zatoki i było jednym z niewielu miejsc, gdzie zaatakował tylko raz. W miarę jak zwiększa się odległość od miejsca zamieszkania napastnika, rośnie także liczba potencjalnych celów. Ale czasami przestępca polujący na swoje ofiary atakuje bliżej domu; gdy jakaś konkretna ofiara przykuwa jego uwagę albo gdy jest pewny, że nie zostanie schwytany.

Na mapie sporządzonej metodą geograficznego profilowania pasmo czerwieni wskazujące na obszar, gdzie z największym prawdopodobieństwem był dom gwałciciela, rozciąga się na linii wschód – zachód, w pobliżu leżącego na południe od niego domu Kathy.

Kathy nie wiedziała także o tym, że specjalistka od profilowania z FBI przedstawiła nowe odkrycia podczas niedawnego spotkania zespołu specjalnego zajmującego się sprawą Gwałciciela ze Wschodniej Strony. Holes poczuł, że pewne przypuszczenia specjalistki zgadzają się z jego odczuciami. Kobieta z FBI oświadczyła, że powinni wziąć pod uwagę ewentualność, że w niektórych przypadkach celem ataku był mężczyzna. I że czasem mogło chodzić o zemstę gwałciciela na tym mężczyźnie za jakieś domniemane krzywdy.

Informacje przekazane przez Kathy dwójce śledczych wskazywały na możliwość istnienia pewnego związku, wcześniej pomijanego, który mógł

doprowadzić do znalezienia podejrzanego. W wielu dobrze znanych sprawach seryjnych przestępstw okazywało się, że istniał przynajmniej jeden taki wspólny element. Dawna współlokatorka Lyndy Healy, jednej z ofiar Teda Bundy'ego, była kuzynką Teda, a śledczy odkryli później rozkłady zajęć, które wskazywały, że Ted i Lynda chodzili razem przynajmniej na trzy wykłady. Dennis Rader, Zabójca BTK, mieszkał sześć drzwi dalej od Marine Hedge, swojej ósmej ofiary. John Wayne Gacy rozmawiał publicznie w sklepie z Robertem Piestem o tym, że zatrudni go na budowie, wkrótce przed zniknięciem Piesta.

EAR dokładał wszelkich starań, aby ukryć swoją tożsamość. Zasłaniał twarz i zmieniał głos. Oślepiął ofiary światłem latarki i groził, że je zabije, jeśli będą patrzyły w jego stronę. Ale był także bezczelny i lekceważył ryzyko. Szczekanie psów mu nie przeszkadzało. Pewne rodzeństwo, brat i siostra w wieku studenckim, podczas przebieżki mglistą, grudniową nocą 1977 roku natknęło się na człowieka w czarnej masce, który wyłonił się z biegnącej w szpalerze żywopłotów alejki wiodącej do jednego z domów przy American River Drive 3200. Nieznajomy stanął jak wryty na widok dwójki biegaczy. Rodzeństwo pobiegło dalej, ale odwróciło się za siebie i zobaczyło, że mężczyzna szybko wspina się do pikapa starego typu, ze stopniami po bokach. Zarówno maska, jak i coś w zachowaniu tamtego, który nagle zamarł na ich widok, a potem szybko wsiadł do samochodu, sprawiło, że młodzi ludzie przyspieszyli kroku. Usłyszeli hałaśliwe odgłosy silnika półciężarówki, która zbliżała się wyraźnie w ich stronę. Błyskawicznie skręcili w boczną ulicę; samochód z piskiem zahamował, a potem kierowca chaotycznie cofnął w stronę miejsca, gdzie się zatrzymali. Podbiegli do kolejnego domu i ukryli się, obserwując, jak mężczyzna wyraźnie ich szuka, jeżdżąc półciężarówką po ulicy tam i z powrotem, dopóki w końcu nie dał za wygraną i szybko nie odjechał.



EAR niezwykle starannie dbał o własne bezpieczeństwo, ale poczucie sukcesu i zrodzona z niego arogancja prowadzą do błędów nawet w najlepszych planach. Rodzą wybujałe poczucie wszechmocy. Już wcześniej gwałciciel przekroczył serię barier mentalnych, które powstrzymałyby większość z nas: gwałt, włamywanie się do domów nieznanym, terroryzowanie par, a nie samotnych kobiet. Po dziesiątkach dokonanych bez przeszkód udanych napaści mógł nabrać tak wielkiej pewności siebie, że pod wpływem adrenaliny zaczął łamać własne zasady mówiące o nieatakowaniu osób, z którymi można by go jakoś skojarzyć. Gardłowy, zduszony szept usłyszany w środku nocy trzydzieści pięć lat temu może o tym świadczyć.

Po napaści w San Ramon EAR zaatakował dwukrotnie w San Jose, osiemdziesiąt kilometrów na południe. Postanowiliśmy pominąć San Jose dla zaoszczędzenia czasu.

– Chciałbym pokazać ci Davis – mówi Holes. – Myślę, że Davis jest ważne.

Ale najpierw czekają nas jeszcze dwa przystanki. Po San Jose EAR wrócił do hrabstwa Contra Costa, atakując po raz pierwszy w Danville; miał tam jeszcze wrócić dwukrotnie. Jedziemy na północ drogą 680 w stronę Danville, do miejsca napaści z 9 grudnia 1978 roku, która wyposażyła Holesa w najbardziej obiecujący trop.

## **DANVILLE**

Sto lat temu równy, dudniący odgłos pociągów parowych obwieszczał nadejście czasów prosperity w szerokiej zielonej dolinie u podnóża Mount Diablo. Poczynając od 1891 roku, Southern Pacific Railroad przewoziła pasażerów w górę i w dół doliny trzydziestokilometrowym szlakiem od San

Ramon do Concord. Z pociągów wysiadali przedsiębiorczy przybysze, przynosząc ze sobą plany ściskane w dłoniach i marzenia. Ziemi było pod dostatkiem. Szybko zaczęto parcelowanie gruntu i budowę domów. Przewozy pasażerskie z czasem zniknęły wraz z wynalazkiem samochodu, ale składy San Ramon Branch Line nadal woziły towary – gruszki, owce, żwir. Linia kolejowa wtapiała się dyskretnie w krajobraz. Gwizd lokomotyw odmierzał czas. Wszystkie przystanki pomalowano na ten sam jasnożółty kolor, każdy element okalając brązowymi obwódkami. Kiedy pociągi mijały szkołę podstawową Murwood w Walnut Creek, dzieciaki, słysząc hałas i czując, jak ziemia zaczyna wibrować, porzucały grę w klasy i w dwa ognie i zaczynały energicznie machać w stronę maszynisty i jego ludzi, otrzymując w zamian pozdrowienie syreną z lokomotywy.

Linia kolejowa Southern Pacific pomogła przekształcić wiejskie tereny doliny, ale nie na tyle, aby sprzyjało to rozwojowi kolei. Ośrodki przemysłowe jakoś nigdy nie powstały. Zamiast tego zaczęto wznosić domy jednorodzinne. Środkowe tereny hrabstwa Contra Costa stały się, jak mówiono, przedłużeniem Wschodniej Zatoki. Zbudowana w 1964 roku autostrada numer 680 oznaczała szybkość i wydajność, a jednocześnie zwiastowała śmierć kolei. Taniej było przewozić towary ciężarówkami. Liczba kursujących składów zmalała. A potem topniała nieubłaganie. Po obu stronach torów kolejowych, tam gdzie niegdyś rosły rozległe sady, wyrastały szeregi domów jednorodzinnych. Southern Pacific Railroad ostatecznie złożyła wniosek do Międzystanowej Komisji Handlu o zamknięcie linii. W wrześniu 1978 roku, prawie sto lat po jej uruchomieniu, ostatecznie zakończyła swoją działalność.

Rozpoczęły się spory o to, co zrobić z należącym do kolei terenem wokół torów. Do czasu podjęcia decyzji pas ziemi o szerokości trzydziestu metrów pozostał niezagospodarowany, przecinając niczym widmowy korytarz

okoliczne osiedla domów oświetlonych ciepłym światłem. Martwa strefa nie budziła obaw, raczej się nią nie interesowano. Dotyczyło to zwłaszcza odcinka o siedmiokilometrowej długości, który przebiegał przez Danville, miasto położone na północ od San Ramon. Działki w Danville były większe, domy na nich stojące starsze, a ich mieszkańcy zamożniejsi i prowadzący spokojniejsze życie. Opuszczone tory biegły za schludnymi ogrodzeniami tylnych podwórek. Płoty zasadniczo odgrywały rolę kurtyny. Pozbawione użyteczności pasmo ziemi wokół torów niemal zniknęło z pola widzenia. Nic się tam nie działo. Nie dobiegał stamtąd żaden dźwięk. I tak było aż do pewnego grudniowego poranka, gdy ciszę zakłócił niezwykle odgłos. Przypadkowy przechodzień mógł w pierwszej chwili w ogóle niczego nie zauważyć. Odgłos był rytmiczny, nieprzerwany, ale wyczułone ucho słyszało w nim niezaprzeczalny wyścig z czasem: jakiś pies gończy pędził szybko, szukając jasno określonego celu.

Na początku grudnia 1978 roku wśród mieszkańców Contra Costa powoli zagościło pełne nadziei, ale najczęściej nie wypowiedane poczucie, że być może wreszcie mogą odetchnąć. W październiku Gwałciciel ze Wschodniej Strony nie tyle wyłonił się w ich okolicy, ile wywołał wrażenie wszechobecności ze względu na szybkość następujących po sobie ataków oraz ich szokujący charakter: trzy napaści w ciągu dwudziestu jeden dni. Po trzecim ataku ludzie zaczęli przesiadywać nocami w środku jasno oświetlonych domów i walcząc z sennością, budzili się co chwila na myśl o majaczącej za szybą postaci zamaskowanego osobnika. Po czym kilka tygodni upłynęło bez żadnych incydentów. Uwagę odciągały inne przerażające wiadomości. 18 listopada 1978 roku prezenterzy programów informacyjnych przerwali swoje regularne audycje, aby poinformować widzów, że na terenie Jonestown, osady w gujańskiej dżungli, znaleziono ciała ponad dziewięciuset Amerykanów, z czego jedną trzecią stanowiły

dzieci; ofiary zmarły po wypiciu na rozkaz przywódcy kultu Jima Jonesa napoju zaprawionego cyjankiem. Sekta Jonesa, Świątynia Ludu, zanim przeniosła się do Gujany, miała swoją kwaterę główną w San Francisco. Wśród ofiar znalazł się Leo Ryan, kongresmen z północnej Kalifornii, który poleciał do Gujany, aby na miejscu przeprowadzić dochodzenie w sprawie podejrzewanych nadużyć, i został zastrzelony na pasie startowym w dżungli tuż przed odlotem. Masakra w Jonestown przykuła uwagę przerażonego społeczeństwa w całym kraju, a może nawet na świecie, ale w szczególności wstrząsnęła rejonem zatoki San Francisco.

Weekend Święta Dziękczynienia przeszedł spokojnie. Nocą 30 listopada na niebie pojawił się księżyc w nowiu i wąski pasek światła nie rozpraszał ciemności. Powstały idealne warunki dla kogoś, komu bardzo zależało na tym, aby pozostać niezauważonym. Jednak początek grudnia minął bez nowych wiadomości o kolejnym ataku gwałciciela. Wprawdzie nie rezygnowano jeszcze z ryglowania drzwi i okien, ale napięcie i odruchowe reakcje, zrodzone z oczekiwania w panice na atak, powoli osłabły.

Zapewne nie przypadkiem EAR z pięciu domów skradł radia z zegarem, choć mógł sięgnąć po znacznie cenniejsze dobra. Czas miał dla niego znaczenie – kontrolował go, manipulował jego wpływem. Doskonale wyczuwał, ile czasu musi minąć, aby ofiara zaczęła mniej zważać na swoje bezpieczeństwo. Dzięki trzymaniu w niepewności swoich ofiar i całej społeczności, które nigdy nie wiedziały, czy napastnik jest w pobliżu, czy go nie ma, zyskiwał oczywiście przewagę strategiczną. Skrępowana ofiara, leżąc z zawiązanymi oczami w ciemnościach, staje się wyczulona na bodźce niczym dzika zwierzyzna na sawannie. Cichy odgłos zamykania przesuwanych szklanych drzwi słyszy jako głośnie, mechaniczne stuknięcie. Stara się ocenić odległość na podstawie słabnącego odgłosu kroków. Zaczyna odczuwać delikatną nadzieję. Mimo to czeka. Czas upływa w napiętym

nasłuchiwaniu. Stara się wychwycić odgłos oddechu innego niż jej własny. Mija piętnaście minut. Znika przerażająca świadomość, że jest obserwowana, przygwożdżona przez władcze spojrzenie, którego sama nie może dostrzec. Mija trzydzieści minut. Czterdzieści pięć. Ofiara niedostrzegalnie zaczyna się rozluźniać. Jej ramiona opadają. I właśnie w chwili gdy pozwala sobie na głęboki oddech, koszmar zaczyna się od początku – jeszcze raz czuje na swojej skórze dotyk noża, znowu słyszy ciężki, zduszony oddech coraz bliżej, aż wreszcie czuje, jak napastnik kładzie się obok niczym drapieжник czekający cierpliwie, aż jego konająca ofiara zastygnie w bezruchu.

Iluzja, że sobie poszedł, była okrutną i skuteczną sztuczką. Ofiara, wobec której zastosował ten trik, następnym razem czekała znacznie dłużej, zanim ponownie pozwoliła sobie na myśl, że EAR zniknął; niektóre ofiary, sparaliżowane ze strachu, czekały wiele godzin – aż do momentu gdy rozlegały się głosy ptaków i słabe promienie słońca zaczynały przebijać przez tkaninę, którą przewiązano im oczy. Dzięki dłuższemu okresowi czasu, jaki upływał przed wezwaniem policji, sprawca mógł oddalić się na większą odległość od miejsca zbrodni.

Na początku grudnia 1978 roku minęło sześć tygodni, odkąd gwałciciel zaatakował po raz ostatni w hrabstwie Contra Costa. Nastroje miejscowej społeczności przypominały chwilę, w której ofiara z nieśmiałą nadzieją zaczyna myśleć, że napastnik na dobre zniknął z jej domu. W Sacramento i w rejonie Wschodniej Zatoki nikt, ani śledczy, ani opinia publiczna, nie wiedział, że podczas swojej nieobecności w tych okolicach EAR popełnił dwa gwałty sześćdziesiąt kilometrów na południe, w San Jose, jeden na początku listopada, następny 2 grudnia. Ale nawet gdyby wiadano o atakach w San Jose, szlak, jakim podążał EAR, mógł wzbudzić wśród mieszkańców hrabstwa Contra Costa poczucie ulgi. Najwyraźniej sprawca stale przesuwiał się na południe: najpierw Concord, potem San Ramon,

dwadzieścia pięć kilometrów na południe wzdłuż autostrady międzystanowej 680, a potem San Jose, w zupełnie w innym hrabstwie.

Kiedy w piątek 8 grudnia zapadał zmrok, mieszkańcy osiedli domków jednorodzinnych skupionych u podnóża Mount Diablo, miasteczek położonych na obrzeżach Wschodniej Zatoki, takich jak Concord, Walnut Creek, Danville czy San Ramon, kładli się spać z poczuciem, że wyszli cało z opresji. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że napastnik dalej zmierza na południe i zapewne zaatakuje w Santa Cruz albo Monterey. Ich miasteczka malały coraz bardziej w jego wstecznym lusterku, w miarę jak się od nich oddalał. Najgorsze było za nimi. Minęła północ, przyszła pierwsza, lodówki cicho pomrukiwały w domach pogrążonych w mroku. Czasem przejeżdżał samochód, przerywając ciszę. Zbiorowy rytm osiedli przestawił się na tryb spoczynku.

Ale nie wszędzie. W Danville, tuż przy torach, na wschód od porzuconej linii kolejowej, dwumetrowe drewniane ogrodzenie przesłonięte przez duże drzewa ugięło się pod ciężarem pokonującego je osobnika.

Położonego za nim domu w stylu ranczerskim nie oświetlały żadne zewnętrzne źródła światła. Noc była idealna dla miłośnika przeskakiwania przez płoty. Przyciągały go gęste zarośla. Przemierzał okolice w ciemnym ubraniu, szukając mroku wśród jasno oświetlonych domów. Jego czarne źrenice wyszukiwały cieni.

Przeszedł podwórko za domem i skierował się w stronę patia. W domu było ciemno. Na blacie w kuchni leżała damska torebka. Manipulowanie przy przesuwanych szklanych drzwiach wymagało jedynie niewielkiego nakładu siły, towarzyszący mu odgłos był cichy. Wszedł do kuchni. Gdzieś cicho grało radio. Dom o powierzchni stu dziewięćdziesięciu pięciu metrów kwadratowych krył we wnętrzu niewiele mebli czy rzeczy osobistych, ponieważ wystawiono go na sprzedaż. Przyjaźni agenci nieruchomości przez

ostatnie dwa miesiące często zapraszali nieznajomych do środka. Czy nieproszony gość był jednym z nich, szybko znikających z pamięci, przypadkowych oglądaczy? Zapewne coś mamrotał pod nosem, jeśli w ogóle się odzywał. Podczas gdy inni potencjalni kupcy zadawali pytania, zdradzając swoje realne zainteresowanie, on sprawiał wrażenie człowieka z lekka skwaszonego, jego skupiona mina przypuszczalnie wyrażała dezaprobatę. Usilną pracę pamięci utrwalającej rozkład pomieszczeń mylnie wzięto za osąd.

Minął pokoje z zamkniętymi drzwiami i poszedł prosto do głównej sypialni w północno-zachodnim rogu domu. Stając w drzwiach, z odległości około trzech metrów spojrzął w stronę łóżka. Leżała na nim kobieta, samotnie. Spała na brzuchu z twarzą wtuloną w poduszkę, pogrążona we śnie, w który zapada się głęboko, zamiast jedynie dryfować blisko powierzchni. Kim była kobieta, którą wyrwał siłą ze spokojnego snu? Esther McDonald<sup>[31]</sup>. Była niewysoka, w czasach gdy jej imię cieszyło się szczególną popularnością, nazwano by ją zapewne drobną kobietką. W rodzinnym mieście, w jednym z zimnych stanów Środkowego Zachodu, szybko wyszła za mąż jako dziewiętnastolatka, związek przetrwał dekadę, ale nie przyszyły na świat dzieci, nic jej tam nie trzymało. Esther nagle przekroczyła trzydziestkę, co w głębi Ameryki znaczy o wiele więcej niż na wybrzeżach. *California Dreamin'* brzmiało już nie jak piosenka, ale zew syren kuszący w stronę bardziej słonecznej przyszłości. Razem z przyjaciółką przeniosły się do San Francisco. Lato Miłości minęło, ale rejon zatoki zachował reputację miejsca, gdzie można improwizować, zostawić za sobą przeszłość, spróbować jeszcze raz.

Próbowała szczęścia w różnych zawodach: w hurtowej kwiaciarni i w firmie zajmującej się naprawą silników elektrycznych. Pewien właściciel lombardu, dwadzieścia lat od niej starszy, uwiódł ją biżuterią i zaproponował

jej, żeby wspólnie zamieszkali w Danville. Dom leżał jakieś osiem kilometrów od uskoku Calaveras, głównej odnogi uskoku San Andreas. Sześć miesięcy później rozstali się w przyjaźni. Jej przyjaciel się wyprowadził i wystawił dom na sprzedaż, ale powiedział jej, że może w nim mieszkać, dopóki nie znajdzie się nabywca. Wdała się w intensywny romans z kolegą z pracy; właściciel lombardu jednak nie zniknął z pola widzenia. Odruchy serca ciągnęły ją naraz w dwie strony, nie mogła się zdecydować.

Taka była kobieta pogrążona w głębokim śnie koło drugiej nad ranem zimną, grudniową nocą: kobieta zaczynająca nowe życie w krainie, do której docierały pokryte brezentem wozy pionierów i gdzie rodziły się sławne opowieści o ludziach wymyślających siebie zupełnie od początku; kobieta szukająca drogi w swoim niezbyt skomplikowanym życiu uczuciowym, kobieta stojąca bez wątpienia na progu zmiany. Co najtrwalej ulega zniszczeniu, gdy nagle czujesz, że ciepłe miejsce, w którym właśnie śpisz, będzie twoim grobem? Czas zabiżnia rany, ale nigdy nie przestajesz ich czuć. Jakiś nienazwany uraz nieustannie krąży w twoim ciele, czasami uśpiony na długo, kiedy indziej wzniecający pulsowanie bólu i przerażenia.

Czyjaś dłoń chwyciła ją za szyję. Ktoś przytknął jej do gardła broń z tęym czubkiem. Przynajmniej kilkunastu śledczych z północnej Kalifornii mogłoby trafnie przewidzieć pierwsze słowa, jakie padły szeptem w ciemności.

– Nie ruszaj się.

– Nie krzycz.

EAR wrócił. Mówiąc bardziej precyzyjnie: wrócił w to samo miejsce. Niepewność co do kierunku jego poczynań i przypadkowość jego ataków sprawiały, że stawał się nieprzewidywalną, mroczną siłą, jednoosobową falą zbrodni.

Pierwsi policjanci wezwani przez dyspozytora przybyli o piątej



dziewiętnaście rano. Dobrze znane, czytelne znaki podnosiły napięcie. Zawiązane na supeł białe sznurowadła. Porwane pasy pomarańczowego ręcznika. Przecięty kabel telefoniczny. W domu było przenikliwie zimno. Napastnik wyłączył termostat. Radio także – najwyraźniej po to, żeby lepiej słyszeć. Rozległy się komunikaty przez krótkofalówkę. Rozdzwoniły telefony. Na miejsce zbrodni, w sinym świetle świtu, zaczęli przyjeżdżać kolejni ludzie szeryfa. Zjawił się śledczy Larry Crompton. Skupił się na poszukiwaniu ważnych, znaczących szczegółów, mimo wczesnej pory jego uwaga pracowała na najwyższych obrotach. Na trawniku od frontu dostrzegł tabliczkę agencji handlu nieruchomościami, obok pusty dom na sprzedaż, tory kolejowe z tyłu – idealne warunki dla gwałciciela, wyzwalające jego kompulsywne reakcje i ogniskujące jego wędrówki po okolicy na jednym celu.

Kilka tygodni później Crompton dostanie awans i jako sierżant wejdzie w skład pospiesznie powołanego zespołu specjalnego mającego prowadzić dalsze śledztwo. Gdy wchodząc do tego domu, zamknął za sobą drzwi, nie wiedział jeszcze, że ta sprawa pozostanie z nim do końca życia. Stanie się niczym gra w wisielca, w której nie chciał przyjąć swojej porażki do wiadomości, choć wszystkie jego domysły będą chybione i postać wisielca niemal gotowa; mimo to Crompton pozostawił sobie ostatni ruch, odpędzając od siebie wizję porażki, i czekał na chwilę, gdy on sam albo jeden z jego następców będą mogli odwrócić bieg wypadków i wypełnić puste pola. Dopiero wtedy gdy uda mu się odczytać ostatnią literę, ten długi, bolesny pościg w ciemnościach zakończy się najprostszą, ale najbardziej upragnioną nagrodą: imieniem i nazwiskiem tego człowieka.

Na miejscu pojawił się pierwszy z trzech policyjnych psów tropiących. Suka o imieniu Pita natychmiast zaczęła się wiercić podekscytowana, widać było, jak nozdrzami chwyta powietrze. Kto wie, co dzieje się w umyśle

takiego psa – czy wchłania w siebie wszystkie nadzieje ludzi kręcących się wokół niego z poważnymi minami? Pita miała proste zadanie, godne pozazdroszczenia. Złapać trop i pobiec za nim. Niewielka grupa opiekunów psa i policjantów, w tym Crompton, obserwowała, jak Pita wychodzi z domu i pewnym krokiem podbiega do północno-zachodniego rogu podwórka. Podniecona zaczęła wskakiwać na ogrodzenie, chciała się znaleźć po drugiej stronie. Śledczy wyszli z nią za płot i poprowadzili ją na pas ziemi przy porzuconych torach kolejowych. Suka ponownie uniosła nos do góry.

Jeszcze raz przeczesano okolicę w poszukiwaniu świeżych śladów siejącego spustoszenie niszczyciela bez twarzy. Piana jeszcze oblepiała wnętrze butelki piwa Schlitz Malt Liquor, którą zabrał z lodówki i zostawił na podwórku. Sfotografowano ślady przechodzenia przez ogrodzenie. Grupa śledczych stojących koło porzuconych torów kuliła się z zimna, czekając, aż Pita zdecyduje się na następny krok. Ich nadzieje zależały od tego, czy nozdrza psa pochwyć ślad mikroskopijnej cząsteczki.

A potem nagły ruch. Pita złapała trop; wyczuła tamtego. Ruszyła naprzód, gnając na południe wzdłuż lewego toru. Jak mawiają policjanci z jednostki K-9, miała woń. Biegła równym, ale coraz szybszym krokiem, zgodnie z odruchem zapisanym w jej genetycznym wyposażeniu. W każdym możliwym sensie była spuszczone ze smyczy. Crompton i opiekunowie Pity starali się za nią nadążyć. Takie nagłe zamieszanie na torach, w aurze niepokoju i zagrożenia, zupełnie nie pasowało do sobotniego poranka w Danville. To było nieprzyjemne zakłócenie normalnego biegu spraw, ale będzie się powtarzać w najbliższych miesiącach.

Pita nagle zatrzymała się niecały kilometr od miejsca, gdzie zaczęła swój bieg, na przecięciu torów kolejowych z osiedlową ulicą. Na miejsce zbrodni sprowadzono dwa kolejne psy tropiące, Betsey i Eli. Opiekunka Pity Judy Robb napisała później w swoim raporcie, że upływ czasu i nawet

najdrobniejsze zmiany prędkości wiatru mogą wpłynąć na ilość zapachu, jaki może złapać pies. Niemniej opiekunowie wszystkich trzech psów zgadzali się w kilku sprawach. Psy w wielu miejscach intensywnie obwąchiwały ogrodzenia i usiłowały wdrzeć się na liczne boczne podwórka. Ich zachowanie wskazywało, że podejrzany przez dłuższy czas krążył po okolicy. Wszedł na podwórko ofiary przez ogrodzenie od północy, wyszedł, przeskakując płot w południowo-zachodnim rogu, po czym ruszył na południe wzdłuż torów aż do miejsca, gdzie na poprzecznej ulicy zapewne wsiadł do jakiegoś pojazdu.

Jeden z sierżantów zawiózł Esther do szpitala, a po badaniu lekarskim wrócił z nią do domu. Jednak kiedy zaparkował swój terenowy samochód przed jej domem, kobieta nie chciała się ruszyć. Siedziała w udręce jak sparaliżowana. Nastął dzień, ale ofiara nie poczuła się od tego lepiej. Nie chciała wracać do domu. Sytuacja zrobiła się delikatna. Śledczy rozumieli ją i jej współczuli, ale musieli wejść z nią do środka. Delikatnie wyjaśniano Esther znaczenie, jakie ma jej powrót z nimi na miejsce zbrodni. Zgodziła się na krótką wizytę w domu, a potem wyszła. Przyjechali po nią przyjaciele, którzy później zabrali też jej rzeczy. Nigdy więcej nie przekroczyła progu tego domu.

Zawsze pojawia się pytanie, jak nazwać w policyjnych raportach nieznanego sprawcę zbrodni. Często funkcjonariusze piszą „podejrzany”, czasami „sprawca”, kiedy indziej po prostu „ten człowiek”. Ktokolwiek spisywał raporty z Danville, wybrał termin, który był zarazem prosty i jednoznaczny w swoim ładunku emocjonalnym, zawierając w sobie ton potępienia, jak gdyby z każdej strony wskazywał palcem w kierunku przestępcy. Polubiłam ten termin od pierwszej chwili, kiedy się z nim zetknęłam. Zaczęłam na własny użytek w taki sposób myśleć o EAR, proste słowo, do którego sama wracałam, gdy leżałam kompletnie rozbudzona

o trzeciej nad ranem, i przebiegałam myślą cały kompulsywnie nagromadzony zbiór częściowych tropów, połowicznych śladów i przybliżonych rysów twarzy. Podziwiałam prostotę jego niewzruszonego przesłania.

Odpowiedzialny.

Holes parkuje na jednej z ulic domów jednorodzinnych w Danville, przylegającej do Iron Horse Regional Trail, rekreacyjnej ścieżki dla rowerzystów, biegaczy, miłośników jazdy konnej, która snuje się meandrami przez sześćdziesiąt kilometrów, przecinając centralny region Contra Costa: pas ziemi należący niegdyś do kolei Southern Pacific Railroad ma równą nawierzchnię i jest przyjazny dla spacerowiczów.

– Wsiądziemy tutaj i przejdziemy się kawałek – zapowiada mój towarzysz.

Ruszamy wzdłuż torów na południe. Ale zrobiliśmy raptem parę kroków, gdy Holes zwraca moją uwagę na jakieś podwórko.

– Psy tropiące odnalazły drogę ucieczki gwałciciela do rogu posesji ofiary – mówi. Rusza w stronę ogrodzenia. Tył płotu przesłania rząd agaw, uniemożliwiając jakąkolwiek próbę podejścia bliżej. – Tu przeskoczył przez płot. – Holes wyciąga rękę. Przez dłuższą chwilę patrzy na grube liście agawy, przypominające masywne ostrza mieczy. – Mogę się założyć, że właściciel tego domu tak się wystraszył możliwością napaści, że zasadził te kaktusy – dodaje.

Idziemy dalej. Podążamy trasą, jaką trzydzieści pięć lat wcześniej pokonał specjalista od kryminalistyki John Patty, przeczesując okolicę w poszukiwaniu dowodów, kiedy policyjne psy odkryły, którędy gwałciciel uciekł z podwórka ofiary. Patty coś wtedy znalazł przy torach. Opisał swoje znalezisko i umieścił je w zapieczętowanej plastikowej torebce; torebkę

wsunięto do pudełka, które wylądowało w magazynie dowodów, gdzie wciśnięto je obok setek innych, identycznych pudełek stojących na stalowych regałach. Spokojnie przeleżało na półce następne trzydzieści trzy lata. Po czym 31 marca 2011 roku Holes zadzwonił do magazynu z pytaniem o czapkę narciarską z lat siedemdziesiątych, należącą przypuszczalnie do gwałciciela. Kierownik magazynu przyszykował pudełko, zanim Holes się zjawił. Czapka była w środku. Wtedy Holes zauważył zapieczętowaną plastikową torebkę z opisem: „Zebrane z terenu torów kolejowych”. To, co w niej znalazł, zmieniło bieg jego dochodzenia.

Zbieranie dowodów, tak jak wszystkie inne aspekty pracy policji, wymaga pozostawienia śladów na papierze. Wypełniony przez Johna Patty’ego formularz inwentarza dowodów z miejsca zbrodni jest zwięzły i spisany odręcznym pismem: „a) 2 kartki papieru z kołonotatnika z 3 otworami, zapisane ołówkiem; b) 1 kartka papieru z kołonotatnika z 3 otworami, zawierająca mapę narysowaną ołówkiem; c) 1 kawałek fioletowej nici długości 104 centymetrów; d) kawałek papieru pokrytego pismem maszynowym”.

Czy te rzeczy znaleziono w jednym miejscu? Czy były rozsiane po ziemi? Nie zachowała się żadna fotografia ani szkic sytuacyjny z miejsca, gdzie się znajdowały, które dawałyby Holesowi jakąś wskazówkę. Patty zostawił krótką notatkę wyjaśniającą, w którym miejscu przy torach natknął się na te dowody. To wszystko. Holes może obecnie poddać papier badaniom na obecność DNA, a także zeskanować go w wysokiej rozdzielczości, zlecić rozmaitym ekspertom wnikliwą analizę każdego aspektu mapy, ale nie może odwołać się do opinii autorytetu o kluczowym znaczeniu, człowieka, który mógłby umieścić je w odpowiednim kontekście: Johna Patty’ego. Kryminalistyk zmarł na raka w 1991 roku. To przekleństwo starych, nierozwiązanych spraw: wiedza, niegdyś uważana za nieistotną, później

może mieć decydujące znaczenie, ale umiera wraz z tym, kto ją posiadał.

Początkowo Holes nie wiedział, co ma zrobić z tymi dowodami nazwanymi „pracą domową”. Jedna strona wyglądała jak początek marnego szkolnego wypracowania na temat generała Custer. Bardziej intrygująca była zawartość drugiej kartki. Zaczyna się od: „Wściekły to słowo”. Autor tekstu wścieka się na swojego nauczyciela z szóstej klasy, który go upokorzył, zmuszając go za karę do wielokrotnego przepisania wybranych zdań. „Nigdy nikogo nie nienawidziłem tak bardzo jak jego wtedy” – pisze autor o niewymienionym z nazwiska nauczycielu.

Trzecia strona to odręczna mapa osiedla domów mieszkalnych, obejmująca sklepy, zaułki, alejki, jezioro. Holes zauważył też przypadkowe gryzmoły na drugiej stronie mapy.

Odkryte dowody zaskoczyły go i szybko pobudziły jego wyobraźnię. Nieoczekiwane przebłyski nadziei na rozwiązanie domagały się podążania tym tropem. Zaczął rozmawiać z ekspertami. Pewna rzucona mimochodem uwaga dewelopera zajmującego się budową domów jednorodzinnych zmieniła wyobrażenia Holesa o tym, kim mógł być EAR. Zaczął oglądać stare tropy w nowym świetle. Wiedział, że jego koncepcje odbiegają od przekonań pozostałych śledczych. Postanowił się tym nie przejmować. Wczuł się w rolę faceta, który ma różne, jak to ujmuję, niekonwencjonalne pomysły. Zaczął zadawać więcej pytań. Usłyszał kilka przekonujących wyjaśnień, co może znaczyć osobliwa mieszanina szkolnej pisaniny i ewidentnych umiejętności w projektowaniu, na jakie wskazywały znalezione dowody. Gromadził interpretacje. W tej sprawie zawsze czyha na śledczych niebezpieczeństwo, że w jej labiryncie skrecają w niewłaściwą uliczkę. Kusząco otwierały się niemal nieograniczone możliwości. Indywidualny kompas zawsze ma wbudowane skazy konstrukcyjne, mimo to trzeba mu wierzyć. Niemniej, choć nie wyłonił się żaden wyraźny cel

poszukiwań, nasuwały się inne, mniej oczywiste rozwiązania.

W trakcie śledztwa rzadko zdarzają się nieoczekiwane odkrycia. Są jednak ekscytujące. Rozszyfrowywanie kodu, który może doprowadzić do identyfikacji takiego przestępcy jak EAR, to dla detektywa jak zatrzymanie się rollercoastera szalonego ciągu wydarzeń. Synapsy nagle zaskakują. Wielotorowe śledztwo może teraz skupić się na jednym wątku. Człowiek ożywiony obsesją zawsze pamięta ten początkowy moment. Holes opuścił magazyn dowodów i zaniósł znalezione kartki do najbliższej fotokopiarki. Siedział w swoim laboratorium, analizując odbitkę odręcznie sporządzonej mapy, gdy odezwał się pracownik biura, który robił kopię.

– Paul?

– Hmm?

– Paul.

Holes opuścił mapę i pytająco unióśł brwi. Kolega pokazał mu, że powinien odwrócić mapę na drugą stronę. Holes posłuchał. Już wcześniej mógł zauważyć słowa naskrobane z tyłu, ale nie przyjrzał im się zbyt dokładnie. Teraz zrozumiał, o co chodziło współpracownikowi.

Z tyłu kartki widniało kilka nieczytelnych słów, które można było rozmaicie interpretować. Dwa słowa były zamazane, jedno bardzo energicznie. Poza tym z trudem dało się odcyfrować imię Melanie. Ale na kartce było coś jeszcze. To słowo tak bardzo nie przystawało do całej reszty nonsensownych bazgrołów, że nie do razu dostrzegano jego sens; podobnie jak to, że nieproporcjonalne litery były napisane w różny sposób, kursywą i drukiem, a ostatnia litera, T, powtarzała się niepotrzebnie, przybierając w końcu kształt ostrokąta. Litery tego słowa były ciemniejsze niż inne na stronie, jak gdyby ktoś, kto je zapisał, ze złością przyciskał ołówki. Reszta bazgrołów miała standardową, linearną postać, ale i pod tym względem to słowo było inne. Zapisano je ukośnie. Zajmowało większą

część dolnej połowy strony. Pierwsza litera, P, była większa niż pozostałe, a do tego, co bardzo dezorientujące, zapisana jak w lustrzanym odbiciu.

W sumie sprawiało to wrażenie dzieła nie zrównoważonego umysłu.

„PUNISHMENT”. Kara.

Holes dał się wciągnąć.

Nasz spacer wzdłuż Iron Horse Regional Trail kończy się nagle przed słupem sieci wysokiego napięcia. To drugi taki słup na północ od skrzyżowania, od którego dzieli nas kilkaset metrów, miejsca, gdzie policyjne psy straciły trop gwałciciela i – jak się uważa – wsiadł on do jakiegoś pojazdu.

– Dowody z kołonotatnika zostały znalezione w tej okolicy – mówi Holes.

Ma uzasadnione powody do przypuszczeń, że te kartki należały do gwałciciela. Psy tropiące nie są nieomyślne, ale to, że trzy psy niezależnie od siebie wskazały, że sprawca uciekał na południe wzdłuż torów, to silny dowód; co ważniejsze dla Holesa, ta trasa oraz miejsce, gdzie urwał się trop, zgadzają się z odległością, jaką EAR zwykle zachowywał od celu napaści, parkując swój samochód przed atakiem. John Patty był szanowanym specjalistą z dziedziny kryminalistyki i wielokrotnie pracował przy różnych sprawach w hrabstwie Contra Costa; jeśli Patty zebrał te dowody, musiał być przekonany, że mogą mieć znaczenie. Dwa inne przedmioty znajdujące się w pakiecie z kartkami z kołonotatnika to tropy prowadzące donikąd. Kawałek fioletowej nici pozostaje zagadką, a pismo maszynowe na ostatniej z kartek jest nieczytelne. Jednak kartki z kołonotatnika nie są czymś tak niespotykanym na miejscu zbrodni o charakterze seksualnym, jak można by sądzić. Seryjni gwałciciele i zabójcy często robią notatki, kiedy polują na swoje ofiary, czasami posługują się nawet przy tej okazji własnym kodem. Wielu świadków, którzy dzwoniли na policję z wiadomością o obecności



podejrzanych osobników w okresie napaści gwałciciela w Sacramento, mówiło o mężczyźnie trzymającym w dłoni spiralny kołnotatnik. W dodatku EAR, mimo swojego talentu do wymykania się przedstawicielom władz, od czasu do czasu coś gubił. Nie wiadomo, czy robił to celowo, czy nie. Śrubokręt, zakrwawiona chusteczka higieniczna, pióro.

Miotanie się między wściekłością a uzalaniem się nad sobą w tekście „Wściekły to słowo” – to kolejny trop. Sprawcy gwałtownych przestępstw, tacy jak EAR, to znaczy seryjni gwałciciele, którzy zaczynają mordować, nie tylko zdarzają się rzadko, ale przy tym tak bardzo różnią się od siebie, że nierozsądnie jest formułować uogólnienia o ich przeszłości i zachowaniu. Niemniej można wskazać pewne wspólne wątki. Osobnik, który w dorosłym życiu staje się koszmarem dla innych, zaczyna jako nastolatek snujący marzenia na jawie. Jego świat jest przecięty na pół: szaleńcze fantazje grają rolę tłumika odgradzającego go od surowej, rozczarowującej rzeczywistości. Z nieadekwatną intensywnością uwewnętrznia zagrożenia, które jego zdaniem godzą w jego poczucie własnej wartości. Zbiera urazy. Jątrzy w sobie stare rany.

Rozbuchane fantazje przekształcają się w świadome planowanie. Taki człowiek powtarza pewien scenariusz i doskonali metody. W jego opowieści to on jest prześladowanym bohaterem. Wokół siebie widzi udręczone oczy wpatrujące się w niego z przerażeniem. Jego zaburzony system przekonań kręci się wokół pewnego centralnego, wampirycznego przeświadczenia: jego poczucie, że nie radzi sobie z rzeczywistością, zostaje przewyciężone, gdy sprawuje absolutną władzę nad swoją ofiarą, gdy jego poczynania budzą w niej poczucie bezradności; rozpoznaje to spojrzenie – i go nienawidzi – w sobie samym.

Większość osobników fantazjujących o przemocy nigdy nie przechodzi do działania. Co zatem sprawia, że niektórzy z nich przekraczają tę granicę?

Stresujące czynniki wzmacniają się. Coś uruchamia emocjonalny detonator. Marzyciel na jawie wychodzi ze swojego transu i wkrada się do czyjś domu.

Autor tekstu „Wściekły to słowo” przejawia ten rodzaj nieproporcjonalnych reakcji emocjonalnych, wspólnych wszystkim sprawcom gwałtownych przestępstw. O nauczycielu z szóstej klasy, który go karał, pisze: „zrodził w moim sercu stan nienawiści”. Użala się nad sobą i aby opisać swoje doświadczenia, sięga po melodramatyczne słowa. „Cierpieć”. „To niesprawiedliwe”. „Straszne”. „Przerażające”.

Wracamy do samochodu. Zastanawiam się, co wiem o Danville, którego losy przebiegały podobnym torem jak historia wielu miast północnej Kalifornii. Niegdyś mieszkali w tej okolicy rdzenni Amerykanie obozujący na Mount Diablo, na północnym wschodzie, ale w 1854 roku dotarł tu pewien biały człowiek, który dorobił się w epoce gorączki złota i kupił dziesiątki tysięcy hektarów. Nazywał się Dan. Do lat siedemdziesiątych XX wieku uprawiano tu owoce i pszenicę, po czym nastąpił boom budowlany, zaczęły powstawać nowe osiedla domów jednorodzinnych, a ich mieszkańcy przekształcili to miasteczko w jedno z najprzyjemniejszych, najbogatszych suburbiów rejonu Wschodniej Zatoki. Holes mówi, że na zdjęciach lotniczych, które oglądał, nie widać szczególnie intensywnej aktywności budowlanej w okolicy w okresie, gdy EAR krążył tu nocą po podwórkach. Dom tej ofiary zbudowano w połowie lat sześćdziesiątych. Niezwykła historia tego miejsca przyciągała ludzi. Do 1980 roku podwoiła się liczba mieszkańców.

Współcześnie mówi się o Danville, że jest homogeniczne i ludzie zwracają tu uwagę na status majątkowy. Niedawno zajęło pierwsze miejsce w Ameryce pod względem ilości pieniędzy wydawanych na głowę mieszkańca na ubrania.

– Myślisz, że wychowywał się w takiej okolicy jak ta? – pytam Holesa.

– Klasa średnia? Tak. Myślę, że to możliwe, że nie pochodzi z ubogiej rodziny – odpowiada.

Wracam do tego, że choć mamy profil DNA gwałciciela, ciągle nie udało się go odnaleźć. Wiem, że to obszar dzikich spekulacji, ale zawsze widziałam w tym wskazówkę, że mamy do czynienia z kimś, kto sprawia wrażenie, że należy do lepszej klasy społecznej. Próbuję wyciągnąć od Holesa opinię na temat DNA.

– To mnie zaskakuje – stwierdza. – Od dziesięciu lat mamy jego profil DNA w bazie o zasięgu ogólnokrajowym, a mimo to nie trafiliśmy na tego faceta.

Lekko tylko maskuję swoją opinię pod postacią pytania:

– Czy nie zaskakuje cię, że nie natrafiliście także na nikogo, kto byłby z nim spokrewniony? Czy to nie oznacza, że pochodzi z rodziny trzymającej się zasad?

– Myślę, że może tak być, choć to może być także ktoś, kto ciągle popełnia przestępstwa – mówi ostrożnie.

Spędziliśmy z Holesem razem już kilka godzin. Jest świetnym kompanem. Kontakt z nim jest bardzo łatwy. Prawdę mówiąc, jest tak przystępny i spokojny, że dłużej niż zwykle rozpracowuję jego nawyki konwersacyjne. Jeśli nie jest przekonany o jakimś pomysle, mówi o tym całkiem otwarcie. Ale kiedy jakieś pytania są dla niego niewygodne, stara się uniknąć odpowiedzi bardziej niejednoznacznie: albo nie odpowiada wprost, albo zwraca moją uwagę na coś interesującego w krajobrazie.

Wyczuwam podobne uniki z jego strony, gdy poruszam temat społeczno-ekonomicznego pochodzenia gwałciciela. Holes jest specjalistą od kryminalistyki – przypominam sobie. Z zawodu ujmuje sprawy ilościowo, pracuje, posługując się miarką i wagą. Nie jest pedantyczny, ale kiedy

przedstawiam mu jakieś mgliste wnioski, oddziela twarde fakty od domysłów. Poprawia mnie, kiedy robię aluzję do tego, że EAR ma mocne łydki. Świadczenie, prawdę mówiąc, mówili „grube łydki”. Później tego dnia pokaże mi, dokonując imponującego zestawienia, jak nierozsądnie jest wyciągać jakiegokolwiek wnioski o fizycznej budowie sprawcy na podstawie zeznań świadków. Co do barwy oczu i włosów nie ma żadnej zgody. Słabe oświetlenie i traumatyczne przeżycia zaburzają percepcję. Holes zwraca uwagę, że wzrost pozostaje jedyną stałą. EAR miał mniej więcej metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. Gdyby miał metr osiemdziesiąt trzy, byłby uznany za wysokiego. Ale i tak nic tu nie jest pewne, dodaje.

– Lepiej myśleć się po stronie ostrożnych.

Zawsze naukowiec.

Ostrożność i naukowa precyzja czekają jeszcze na mnie w przyszłości, ale w tym momencie, gdy zbieramy się do wyjazdu z Danville, nadal mam ochotę teoretyzować. Ciągnę wątek innych tropów wskazujących, że EAR mógłby ukrywać się pod maską zupełnej normalności. Większość ofiar jego morderstw to byli profesjonaliści z klasy średniej, którzy mieli domy na osiedlach zamieszkałych przez ludzi z górnej warstwy klasy średniej. Musiał wyglądać jak ktoś, kto jest tam u siebie. Musiał mieć jakiś rodzaj stałego zatrudnienia. Musiał mieć środki utrzymania.

– Wiemy, że miał samochód – stwierdzam.

Holes kiwa głową, jego twarz kryje się w cieniu. Wydaje się, że coś obraca w myślach. Toczy jakąś wewnętrzną walkę. Zastanawia się, czy roztropnie jest podzielić się jakąś myślą.

– Wiemy, że miał jakiś pojazd – mówi. A potem dodaje bardzo powoli: – Myślę, że miał coś więcej.

W pierwszej chwili nie potrafię sobie wyobrazić, co może mieć na myśli.

Holes wyjaśnia:

– Myślę, że mógł mieć samolot.

Jestem tak zdumiona, że potrafię wyrzucić z siebie tylko jedno słowo, jakie przychodzi mi na myśl:

– Naprawdę?

Uśmiecha się enigmatycznie. Źle go odczytałam. Nie odnosił się krytycznie do moich pytań wyrastających ze spekulacji. Zastanawiał się, w jakim momencie dorzucić swoje trzy grosze.

– Opowiem trochę więcej przy lunchu – obiecuje.

Ale najpierw musimy jeszcze raz zatrzymać się w hrabstwie Contra Costa: w Walnut Creek.

## **WALNUT CREEK**

Dom Sidneya Bazetta według projektu Franka Lloyda Wrighta, przy Reservoir Road w Hillsborough, pod San Francisco, znajduje się na końcu krętego podjazdu w cieniu drzew i nie widać go z ulicy. O jego niezwykłości wiele się mówi, ale rzadko można ją podziwiać. Pewnego popołudnia w 1949 roku teściową właściciela, która była wtedy sama w domu, zaskoczyło pukanie do frontowych drzwi. Przybysz, biznesmen w średnim wieku, nosił okulary z grubymi szklami. Za nim stało kilku poważnie spoglądających mężczyzn w garniturach. Nieznajomy wyjaśnił, że nazywa się Joseph Eichler. Razem ze swoją rodziną wynajmował ten dom przez trzy lata, od 1942 do 1945 roku, gdy kupili go obecni właściciele. Dom Bazetta, z elementami z drewna sekwoi i szklanymi ścianami, przez które światło słoneczne wpada z wielu kierunków, zmieniając atmosferę w każdym pomieszczeniu w ciągu dnia, to prawdziwe dzieło sztuki działające na wyobraźnię Eichlera. Jak wyjaśnił, nigdy nie zapomniał tego domu. Prawdę mówiąc, to, że w nim zamieszkał, zmieniło jego życie. Obecnie działał w branży budowlanej jako

deweloper i sprowadził ze sobą kolegów, aby pokazać im źródło swojej inspiracji. Właścicielka zaprosiła gości do środka. Przechodząc przez próg, Eichler, który zaczynał swoją karierę na Wall Street i był znany jako twardy biznesmen, zaczął płakać.

W połowie lat pięćdziesiątych Joseph Eichler był jednym z najbardziej skutecznych deweloperów w rejonie zatoki San Francisco, wznoszącym jednorodzinne domy w nowoczesnym stylu kalifornijskim – płaskie albo lekko tylko pochylone dachy oparte na słupach nośnych i belkach, otwarte przestrzenie, szklane ściany, patia. Jego ambicje rosły wraz z zakresem jego działalności. Pragnął zapewnić szybko rozwijającej się w okresie powojennym klasie średniej możliwość zamieszkania w domach o czystych, geometrycznych liniach; chciał zaoferować masom to, co najlepsze w modernistycznej estetyce. Zaczął przemierzać centralne rejony hrabstwa Contra Costa w poszukiwaniu ziemi pod nowe osiedla. Potrzebował kilkuset hektarów. Ale jeszcze bardziej potrzebował odpowiedniej aury. Chodziło o teren, gdzie zabudowa dopiero się rozwija, niezniszczony przez chaotycznie rozrastającą się tkankę miejską, a jednocześnie wyposażony w odpowiednią infrastrukturę. W 1954 roku Eichler odwiedził Walnut Creek. Miasteczko zasadniczo leżało na terenach rolniczych. Obecna główna arteria komunikacyjna, Ygnacio Valley Road, składała się z dwu pasów ruchu, blokowanych często przez krowy. Niemniej w okolicy niedawno uruchomiono pierwsze centrum handlowe w tym rejonie. Powstał nowy szpital. Opracowywano plany nowej autostrady.

W orzechowym sadzie w północno-wschodniej części miasta, naprzeciwko Heather Farm Park, Eichler znalazł wreszcie to, czego szukał. W oddali połyskiwał szczyt Mount Diablo. Deweloper pomyślał, że to jest idealne miejsce na osiedle dla twórczych profesjonalistów, ludzi otwartych na nowoczesność, którzy potrafią docenić współczesną sztukę i projektowanie,

a zarazem są już zmęczeni mieszkaniem w domach jak ze sztancy, w których można się poruszać z zamkniętymi oczami. W 1958 roku ukończono budowę osiedla złożonego z 563 domów, z czego 375 było domami Eichlera, a reszta standardowymi, identycznymi bungalowami. Na ulotce reklamowej widać piękną kobietę w kwiecistej sukience, spoglądającą przez szklaną ścianę w stronę schludnego ogrodu za domem. Dach opiera się na kolumnach i belkach; krzesła według projektu Eamesów. Eichler nazwał swoje nowe osiedle Rancho San Miguel.

Nie wszystkim się podobało. Część krytyków twierdziła, że projekty Eichlera – z kamienną ścianą bez okien od strony ulicy – zorientowane w stronę ogrodu na tyłach – są aspołeczne. Nie można już było pomachać z okna od frontu do sąsiadów. Inni sądzili, że domy są brzydkie i przypominają garaże. Mimo to eichlery, jak ludzie zaczęli je nazywać, miały wielu oddanych zwolenników otaczających je swego rodzaju kultem i Rancho San Miguel, ze swoimi terenami zielonymi i dobrymi szkołami, pozostawało przez lata cenionym miejscem zamieszkania. Jednak niezwykle domy z tylnymi ścianami ze szkła, przesuwanymi drzwiami i wysokimi ogrodzeniami odcinającymi je od podwórek sąsiadów zaczęły także przyciągać innego rodzaju postaci, nie tyle o szerokich horyzontach, ile kierujących się mrocznymi potrzebami; nie wspomina się o tym w oficjalnych publikacjach, ale prywatnie zastanawiano się nad tym przez lata.

Razem z Holesem podjeżdżamy do miejsca, gdzie EAR po raz pierwszy zaatakował w Walnut Creek, w domu według projektu Eichlera, w Rancho San Miguel.

– Nazywam to trójkątem bermudzkim hrabstwa Contra Costa – mówi Holes. – Mieliśmy inne ataki seryjnych zabójców na tym osiedlu. Zaginięcie dziewczyny. Znany atak seryjnego zabójcy. W 1966 roku uduszono pewną

gospodynię domową i zerwano jej majtki. Dwa ataki gwałciciela. Można by spytać dlaczego.

Wiosną 1979 roku pewna siedemnastoletnia dziewczyna, która mieszkała w Rancho San Miguel w Walnut Creek, zaczęła odbierać anonimowe telefony. Szczególnie niepokojące było to, że te telefony nękały ją w kolejnych domach, gdzie pracowała jako babysitterka. Rodzice wychodzili, dzieci leżały w łózkach. Wtedy ciszę przerywał dzwonek telefonu – jak nóż. „Halo?” Dobrze znana cisza, a potem klik, jedyny znak, że po drugiej stronie jest jakaś istota ludzka, która czegoś chce.

Dziewczyna regularnie opiekowała się dziećmi dwu rodzin, które mieszkały w eichlerach naprzeciw siebie, przy El Divisadero. Na początku maja z jej własnego domu zniknęły koszula nocna i książka telefoniczna; ale nawet wtedy nie czuła zbliżającego się, gorącego oddechu zagrożenia. Domy Eichlera mają do siebie to, że kierują spojrzenie ku temu, co na zewnątrz. Przezryste ściany pozwalają oglądać mieszkańców niczym rzadkie eksponaty w muzeum. Nocą gra światła odbijających się od szklanej powierzchni oznacza, że widzisz co najwyżej własne odbicie. Ta nieprzejrzystość pobudza niespokojną wyobraźnię.

Pięć miesięcy później na ekrany kin wszedł film *Kiedy dzwoni nieznajomy*. Oparty na znanej miejskiej legendzie opowiada o nastoletniej babysitterce, która jest dręczona przez serię coraz bardziej złowrogich telefonów. „Sprawdziłaś, co się dzieje z dziećmi?” – pyta niezidentyfikowany osobnik. W salonie stoi telefon z okrągłą tarczą do wybierania numerów, złowieszczy niczym tykająca bomba z czasowym zapalnikiem. Pod koniec pierwszej sceny filmu zaczynasz czuć lęk, kiedy detektyw, który usiłuje pomóc dziewczynie, dzwoni do niej z pilną wiadomością.

– Prześledziliśmy to połączenie. Ono wychodzi z wnętrza domu.

Zwierzęcy lęk we współczesnej postaci.



Drugiego czerwca 1979 roku film *Kiedy dzwoni nieznajomy* jeszcze nie wszedł na ekrany. Tej sobotniej nocy babysitterka z Walnut Creek nie odebrała żadnych anonimowych telefonów; nie miała powodów przypuszczać, że milczenie telefonu oznacza, że ktoś rozważa i planuje inny sposób rozegrania sprawy.

Siedziała w kuchni przy stole, gdy usłyszała kroki, jakiś męski głos; nie potrafiła potem sobie przypomnieć, co usłyszała najpierw, jedynie to, że pojawił się nagle, jak gdyby jakaś siła wystrzeliła go, jak na sprężynie, z mroku korytarza, prosto w jej przerażone serce.

Mówił niewiele i powtarzał swoje słowa. Komunikował się za pośrednictwem gwałtownych, nieprzewidywalnych wybuchów przemocy. Popchnął jej głowę na dół. Mocno związał nadgarstki nylonową linką. Ugryzł ją w lewy sutek. Specjaliści od kryminalistyki muszą robić zdjęcia ofiar na miejscu zbrodni. Nikt nie wygląda na nich na szczęśliwego, ale wszyscy patrzą prosto w obiektyw. Nie babysitterka. Ona odwraca wzrok, patrzy w dół. Wydaje się mało prawdopodobne, aby mogła spojrzeć w stronę fotografa.

W tamtych czasach po drugiej stronie ulicy znajdowały się rozległe pole oraz szkoła. Sąsiedni dom był pusty i opatrzony tablicą z napisem: „Do wynajęcia”. Policyjne psy złapały trop i doprowadziły śledczych na róg ulicy, gdzie najwyraźniej EAR wsiadł do samochodu; zaparkował przed domem, za którym budowano basen.

Policjanci patrolujący okolicę po gwałcie zatrzymali pijanego kierowcę mającego przy sobie nóż w pochwie, i jakiegoś człowieka ze spuszczoneymi spodniami, który twierdził, że szuka swojego zaginionego kota. W jego samochodzie znaleziono fotografie niczego niespodziewających się kobiet, zrobione z użyciem teleobiektywu. Jedynie dwie postaci z grona wielu osobników kompulsywnie przeczesujących nocą suburbia niczym strumienie

ujęte w cementowe tunele, ale nadal bulgoczące pod Walnut Creek.

Dwadzieścia trzy dni później EAR powrócił do Rancho San Miguel.

Śledczy, którzy pracowali nad jakimś tropem w sprawie seryjnego przestępcy, mówią, że są chwile, gdy czują, że sprawca mówi do nich, jak gdyby odbierał za pomocą telegrafu ich prywatne myśli i wysyłał odpowiedź. To rodzaj dialogu bez słów, dobrze znany ludziom uwikłanym w obsesyjną rywalizację, wymiana drobnych gestów, których znaczenie rozumieją tylko dwie osoby szczipione ze sobą w zawziętym pojedynku. W pierwszym odcinku wyścigu gliniarza z przestępcą pozostającym na wolności śledczy co chwila z niepokojem zerka na zegarek, jego myśli pędzą, a sprawca ze złowieszczym uśmieszkiem pociąga za sznurki.

Drugi dom Eichlera leżał zaledwie trzydzieści metrów od pierwszego. Ofiara miała tym razem trzynaście lat. Jej ojciec i siostra byli w domu, nie zdając sobie sprawy z tego, co się dzieje. Psy tropiące zaciągnęły swoich opiekunów za róg domu i nagle zatrzymały się w dobrze znanym miejscu: tym samym co poprzednio, przed domem, za którym budowano basen.

Zza szczegółów tej zbrodni wychynął bezcielesny, szyderczy grymas.

– Czy on jeszcze wróci? – spytała trzynastolatka śledczych rozmawiających z nią po napaści.

– Nigdy – zapewnił pierwszy z policjantów.

– Nigdy, przenigdy – powtórzył drugi.

– To teraz najbezpieczniejszy dom w okolicy – dodał pierwszy.

Jak gdyby jakikolwiek dom mógł być jeszcze kiedykolwiek bezpieczny.

To osiedle nie całkiem pasowało do wątku placów budowy, za którym podążał Holes. Wszystkie eichlery zbudowano w latach pięćdziesiątych. W Rancho San Miguel w chwili napaści nie wznoszono żadnych domów, choć w okolicy był jakiś plac budowy. Znajdował się około trzech kilometrów od autostrady 680.

– To trochę z boku utartego szlaku – mówi Holes, rozglądając się wokół. – Coś go przyciągnęło do tego osiedla na uboczu.

Nasza podróż po hrabstwie Contra Costa ma dla mnie inny smak niż dla Holesa. Widzę te osiedla po raz pierwszy w życiu. Holes odwiedza dawne miejsca zbrodni. Z każdą tablicą „Witajcie w”... wiąże się w jego pamięci jakiś dowód z zakresu kryminalistyki, jakieś popołudnie spędzone w laboratorium, gdy ze zmęczonym wzrokiem ślęczał nad mikroskopem. Walnut Creek wyjątkowo intensywnie rezonuje we wspomnieniach Holesa, przypominając mu o zagadce zaginionej dziewczyny.

Elaine Davis miała zamiar przyszyć mosiężny guzik do swojej granatowej kurtki marynarskiej. Matka dziewczyny pojechała na Pioneer Avenue, w północnej części Walnut Creek, odebrać z pracy swojego męża. To był poniedziałek, 1 grudnia 1969 roku, dziesiąta trzydzieści wieczorem. Kiedy Davisowie wrócili do domu, okazało się, że Elaine, siedemnastoletnia dziewczyna, piątkowa uczennica z jasnobłond włosami i twarzą w kształcie serca, zniknęła. Jej trzyletnia siostrzyczka spała spokojnie w łóżeczku. W domu nie było śladów włamania. Elaine, która była krótkowidzem, zostawiła swoje bardzo potrzebne okulary. W następnych dniach zaczęły pojawiać się różne rzeczy należące do Elaine. Guzik, który zamierzała przyszyć do kurtki, znaleziono na polu za domem. Jej brązowy mokasyn ze złotą sprzączką leżał przy autostradzie międzystanowej 680 w Alamo. Pewna gospodyni domowa zauważyła na poboczu górskiej drogi w Santa Cruz, sto kilometrów dalej, granatową kurtkę należącą do niewysokiej dziewczyny.

Osiemnaście dni po zniknięciu Elaine w Lighthouse Point, w Santa Cruz, znaleziono ciało kobiety wyrzucone przez morze. Na podstawie radiologicznego badania kości specjaliści doszli do wniosku, że zmarła miała dwadzieścia pięć do trzydziestu lat. To nie była Elaine. Jane Doe pochowano w nieoznaczonym grobie. Sprawa zniknięcia Elaine Davis wylądowała na

półce.

Trzydzieści jeden lat później pewien zbliżający się do emerytury policyjny detektyw z Walnut Creek przyniósł Holesowi akta tej sprawy z propozycją, żeby przejrzał je jeszcze raz. Holes doszedł do wniosku, że radiolog się pomylił i nietrafnie ocenił wiek ofiary. Holes, wraz z innymi policjantami, wziął udział w ekshumacji ciała Jane Doe. Sześć metrów pod ziemią, na zboczu wzgórza, łopaty natrafiły na plastikową torbę pełną kości.

Ojciec Elaine już nie żył. Jej matka mieszkała w Sacramento. Dwa dni po ekshumacji skontaktowali się z nią detektywi z Walnut Creek. Młodsza siostra Elaine przyjechała do miasta na spotkanie. Detektywi przekazali matce i siostrze wiadomość: zidentyfikowaliśmy Elaine.

– Rodzina ją pochowała – mówi Holes. – Tydzień później jej matka zmarła.

Opuszczamy Walnut Creek, jedziemy na północ. Mount Diablo, potężna masa dziwnych skalnych występów, górująca nad dolinami precyzyjnie pociętymi na zaplanowane osiedla, znika z widoku. Podobno wśród wysokich skał Mount Diablo przemykają czarne górskie koty. Widywano tajemnicze światła. Według miejscowej legendy w 1873 roku, osiemdziesiąt metrów pod ziemią, znaleziono żywą żabę częściowo uwięzioną w wapiennej skale. Pod koniec sierpnia i na początku września, po pierwszych jesiennych deszczach, z otworów w ziemi wyłaniają się setki samców tarantuli. Przebiegają szybko przez górskie zbocza, pachnące miętą, w poszukiwaniu rozpadlin pokrytych delikatną, jedwabną pajęczyną, gdzie czekają na nie samice gotowe na gody. O zachodzie słońca, albo tuż po zapadnięciu zmroku, na zbocza tej góry tłumnie ściągają przybysze uzbrojeni w latarki; to najlepsza pora, aby zobaczyć tarantule. Nad szarymi sosnami i zielonymi dębami krążą nietoperze. Z powagą pohukują wielkie puchacze. W świetle latarki przeczesującej zbocza można dostrzec to tu, to tam jakiś ruch na ziemi; przy

bliższym wejrzeniu okazuje się, że to przebiegające tarantule wielkości spodka. Samce nigdy nie wracają do dziur, z których wypełzły. Starają się zapłodnić jak najwięcej samic, a potem umierają z wyczerpania albo z zimna.

Przejeżdżamy przez most do hrabstwa Solano, gdzie musimy skrócić na wschód, w stronę Davis.

– Kiedy powietrze jest czyste, widać stąd Sacramento. A także góry Sierra – mówi Holes.

Mieszka w połowie drogi między Sacramento a Wschodnią Zatoką. W weekendy często odwiedza miejsca dawnych zbrodni.

– Lubię jeździć – tłumaczy.

Ilekczo znajdzie się w południowej Kalifornii, także odwiedza miejsca zbrodni. Podczas rodzinnego wypadu do Disneylandu, gdy dzieciaki zrobią się senne i jego żona zostaje z nimi w hotelu na czas popołudniowej drzemki, Holes siada za kierownicą. Jedzie do osiedla Northwood, w Irvine, pod dom przy Encina 13, gdzie mieszkała Janelle Cruz, albo na Columbus 35, gdzie Drew Witthuhn ścierał krew swojej bratowej Manuei.

– Za każdym razem usiłuję zrozumieć dlaczego tutaj – mówi Holes. – Dlaczego ten dom.

## DAVIS

[Uwaga wydawcy: Poniższy rozdział składa się z fragmentów zapisu nagrań z wyprawy do Davis].

PAUL HOLES: W taki sposób EAR podróżował w stronę Wschodniej Zatoki. Autostradą międzystanową 80, o tutaj.

MICHELLE: Gdybyś miał zgadnąć, skąd on pochodził, w sensie gdzie chodził do szkoły... Nie chcę naciskać, jestem tylko ciekawa.

PAUL HOLES: Gdybym miał zgadywać? Uniwersytet Stanowy w Sacramento. Jeśli miał wyższe wykształcenie. Co do miejsca, cóż, jeśli popatrzeć na to, gdzie następowały ataki, wiesz, masz całą grupę w Rancho Cordova. Masz ataki wzdłuż La Riviera. Masz ataki, które nastąpiły tutaj, obok Uniwersytetu Stanowego. Uniwersytet wydaje mi się prawdopodobny. Jest też kilka college'ów miejskich w rejonie Sacramento, gdzie mógł chodzić. A szkoła średnia? Hmm... no tak. Jest tak wiele możliwości.

MICHELLE: Rozumiem, to znaczy nie bardzo to widzisz... może dorastał w Golecie?

PAUL HOLES: Tego bym nie powiedział, ale kiedy patrzę na sprawy z Sacramento, a także – to jedna z tych rzeczy, które chcę ci jeszcze pokazać – kiedy się spojrzy na kolejność jego ataków w Sacramento, widzisz od samego początku, że on dosłownie przecina Sacramento, tam i z powrotem. Dobrze zna tę okolicę, to widać.

MICHELLE: To nie jest tak, że on po prostu się pojawia i jedzie na uniwersytet.

PAUL HOLES: Nie, nie. Myślę, że ma jakąś historię w Sacramento. Tak, a czy ma jakąś historię w Golecie? To znaczy... wszystko jest możliwe. Nie wiemy. Ale tam, na południu, Goleta – według mnie Goleta to jest punkt wyjścia, tam na południu. Jest też coś w Irvine. Jest jakiś powód, że tam były dwa ataki.

MICHELLE: I że dość blisko siebie.

PAUL HOLES: Nie, nie. Ventura i Laguna Niguel leżą na boku, nie pasują.

[Uwaga wydawcy: Holes ma na myśli sprawy z Dana Point; niektórzy błędnie uważają Dana Point za część Laguna Niguel].

PAUL HOLES: Davis/Modesto, dla mnie to jest znaczące.

MICHELLE: Modesto. Tam był raz czy dwa?

PAUL HOLES: Dwa.

MICHELLE: Okay.

PAUL HOLES: Kiedy na początku zacząłem oceniać sytuację geograficznie, podzieliłem ataki gwałciciela na fazy. Pierwsza faza to Sacramento. Druga faza to Modesto/Davis. Trzecia faza to Wschodnia Zatoka, a potem czwarta faza w południowej Kalifornii. Co do tej drugiej fazy – wrzucam Stockton do Sacramento, ponieważ EAR wraca do Sacramento po Stockton, ale potem, odkąd zaatakował w Modesto, nie wraca do Sacramento, dopiero po tym jak jedzie nad Wschodnią Zatokę. Kursuje tam i z powrotem między Modesto i Davis. Między tymi miastami jest sto pięćdziesiąt kilometrów. A między drugim atakiem w Modesto i drugim atakiem w Davis jest różnica zaledwie dwudziestu dwu godzin. Czemu wciąż tak krąży? Myślę, że to jest związane z pracą. Nie robi tego, żeby zmylić przedstawicieli prawa. Wysyłają go do Modesto dlatego, że to ma związek z pracą, a potem musi jechać do Davis, i jeździ tak w kółko.

MICHELLE: Tylko dwadzieścia dwie godziny różnicy?

PAUL HOLES: Dwadzieścia dwie godziny różnicy.

MICHELLE: Rany. Nie wiedziałam, że to było tak blisko siebie w czasie.

PAUL HOLES: Tak się dzieje w tych dwóch przypadkach. I tylko w tych dwóch... W Modesto mamy taksówkarza, który zabiera jakiegoś dziwnego człowieka z lotniska i wyrzuca go po drodze i po raz ostatni widzimy tego człowieka, jak idzie w stronę nowego placu budowy znajdującego się dokładnie na południe od miejsca, gdzie zostały zaatakowane ofiary. W Davis ślady butów prowadzą z domu ofiary z powrotem w stronę lotniska UC-Davis. Odciski butów. Dlatego chcę ci to pokazać. Więc czy to możliwe, że EAR leci do Modesto tylko z powodu tego jednego ataku, a potem leci do UC-Davis z powodu

drugiego ataku?

MICHELLE: Z powodu pracy?

PAUL HOLES: Z powodu pracy. A co nam to mówi o tym, kim on jest?

MICHELLE: Tak?

PAUL HOLES: No cóż. Jakiś zwykły gość nie będzie latał samolotem.

MICHELLE: No nie.

PAUL HOLES: Jakiś zwykły gość nie będzie rysował diagramu, który można zatytułować: Jak powinienem rozparcelować ten teren?

MICHELLE: No tak.

PAUL HOLES: Do tego potrzeba kogoś, kto ma pieniądze. Ponieważ jak się czyta akta w sprawie gwałciciela, to się nie myśli o tym, że to jest ktoś bogaty, prawda?

MICHELLE: Rzeczywiście.

PAUL HOLES: Ja tego nie rozumiem. To wydaje mi się sprzeczne. Ale właśnie na tym polega EAR. Wszystko w nim miało mylić tropy, odwracać uwagę.

MICHELLE: A więc byłbyś raczej skłonny myśleć, że ma pieniądze?

PAUL HOLES: Myślę, że ma... myślę, że jeśli się okaże, że EAR zrobił to nie jako jakiś szkolny projekt, ale rzeczywiście zajmuje się deweloperką, pracuje dla dewelopera, to jest co najmniej zaczepiony w firmie na szczeblu, gdzie ma dużo do powiedzenia w tej firmie.

PAUL HOLES: Tak, więc to jest Village Homes w Davis. Village Homes to bardzo sławne osiedle. To, co ci pokazuję, to zbiegiem okoliczności lotnicze zdjęcie Village Homes, tak ono wyglądało między pierwszym a drugim atakiem w Davis. Tak się zdarzyło, że zrobili to zdjęcie dosłownie osiem dni przed atakiem numer trzydzieści sześć. Tak to właśnie wyglądało. I popatrz na te wszystkie nowe miejsca budowy,



dokładnie na północ od miejsca ataku. Zabiorę cię tam i pokażę ci tę całą rzecz z lotniskiem.

PAUL HOLES: Ofiara ze Stockton, z którą rozmawiałem, pracowała dla jednego z dużych deweloperów, w Dolinie Centralnej. Robiła dla niego dużo rzeczy. W końcu opuściła firmę, kiedy zaszła w ciążę. Pokazywałem ten diagram [szkic osiedla z zestawu „dowodów z kołonotatnika”] jednemu z przyjaciół, który pracuje w deweloperce. Powiedział mi: „To zostało zrobione przez profesjonalistę... On rysuje te symbole”. No tak, to jest opinia eksperta kryminalistycznego w sprawach związanych z budownictwem. Więc jest dla mnie bardzo wiarygodna.

MICHELLE: Myślę, że masz rację. Nie wierzę, że to jest jakaś fantazja.

PAUL HOLES: Też tak sędzę. Wiesz, masz jakiegoś architekta krajobrazu z UC-Davis i on mówi: „Mamy tu wyjątkowe cechy, które można zobaczyć tylko w Village Homes”.

MICHELLE: Naprawdę?

PAUL HOLES: Tak. Sama to zobaczysz, kiedy będziemy na miejscu. Village Homes to bardzo niezwykle osiedle. Więc mamy EAR, który tam jedzie i atakuje. Czy to możliwe, że jedzie do Village Homes i kiedy widzi jakieś cechy tego osiedla, włącza je w ten swój diagram, który robi w jakimś innym celu?

MICHELLE: Racja. Jako coś, co mógłby przedstawić pod hasłem: „Hej, powinniśmy zrobić coś takiego”, czy coś w tym guście.

PAUL HOLES: Tak.

Holes podjeżdża do kompleksu mieszkaniowego, gdzie nastąpił pierwszy atak gwałciciela w Davis.

Ta napaść, numer trzydzieści cztery, nastąpiła mniej więcej o trzeciej pięćdziesiąt rano 7 czerwca 1978 roku – dwa dni po pierwszym ataku gwałciciela w Modesto. Ofiarą była dwudziestojednoletnia studentka Uniwersytetu

Kalifornijskiego w Davis, która mieszkała w wielopiętrowym apartamentowcu. Larry Pool określił później ten przypadek jako strukturalną anomalię – to był jeden jedyne znany atak EAR w takim właśnie budynku.

Wszedł do mieszkania na pierwszym piętrze przez przesuwane szklane drzwi na taras. W przypadku tej ofiary zachował się wyjątkowo brutalnie. Uderzył ją kilka razy w twarz, gdy początkowo stawiała opór. Kiedy ją gwałcił, siłą wgniał jej twarz w podłogę i w rezultacie miała potem złamany nos i wstrząśnienie mózgu.

Pewne okoliczności wskazują, że prawdopodobnie ta napaść w większym stopniu niż większość pozostałych nastąpiła pod wpływem nagłego impulsu: zamiast kominiarki napastnik miał na głowie nylonową pończochę; jedyną znaną bronią, jaką się posłużył, były pilnik do paznokci i śrubokręt; poza tym włożył T-shirt na lewą stronę. Niemniej zbrodnia bez wątpienia była dziełem Gwałciciela ze Wschodniej Strony, o czym świadczą słowa wypowiedziane przez napastnika oraz charakterystyczny element jego zachowań: gwałciciel umieścił swojego penisa w skrępowanych dłoniach ofiary i zmusił ją, aby go pobudzała.

PAUL HOLES: No dobra, a więc pierwszą ofiarą z Davis była dziewczyna z college'u. Studiowała tekstylnia na Uniwersytecie Kalifornijskim.

MICHELLE: To ten przypadek, kiedy jak sądzono, ktoś go widział, gdy z piskiem odjeżdżał z parkingu?

PAUL HOLES: Tak. To był czarny camaro czy coś w tym rodzaju. Ale nie jestem pewien, czy to był on.

PAUL HOLES: Ale tu się zmieniło. Kiedyś tutaj mieszkałem.

MICHELLE: O rany. Czy to formalnie jest budynek kampusu?

PAUL HOLES: To są akademiki poza kampusem. Myślę, że wtedy, w latach siedemdziesiątych, wyglądały inaczej. Ten zmienił się nawet od czasów, gdy ja tutaj byłem.

Holes zatrzymuje się, silnik pracuje na wolnych obrotach.

PAUL HOLES: To są wszystko dzieciaki z college'u. Russell Boulevard. Wszyscy tu jeżdżą na rowerach. Więc jeśli z jakiegoś powodu przyjechał

do Davis, pewnie było tak, że kogoś zobaczył, a potem poszedł za tą osobą.

MICHELLE: Aha, rozumiem.

PAUL HOLES: Widzi dziewczynę, która z jakiegoś powodu przykuwa jego wzrok, a potem orientuje się, gdzie ona mieszka. Nie sądzę, żeby tu się kręcił czy włamywał. To nietypowe dla jego...

MICHELLE: Sposobu działania.

PAUL HOLES: Tak.

Jadą na miejsce drugiego ataku, gdzie doszło do gwałtu numer trzydzieści sześć. Ta druga z trzech napaści w Davis nastąpiła koło trzeciej nad ranem 24 czerwca 1978 roku – dzień po gwałcie numer trzydzieści pięć, popełnionym w Modesto.

Ofiarą była trzydziestojednoletnia gospodyni domowa; jej mąż leżał razem z nią w łóżku. Oboje zostali skrepowani. Podczas napaści w domu był także ich dziesięcioletni synek, którego napastnik zamknął w łazience. Najpierw przetrząsnął cały dom, a potem zaciągnął kobietę do salonu i zgwałcił. Przed wyjściem ukradł siedemnaście rulonów drobniaków.

PAUL HOLES: Wjeżdżamy teraz do Village Homes.

MICHELLE: Okay.

PAUL HOLES: Wszystkie ulice mają nazwy związane z *Władcą pierścieni*.

MICHELLE: Och, naprawdę?

PAUL HOLES: Tak. Deweloper Michael Corbett bardzo się przejmował *Władcą pierścieni*.

MICHELLE: Bardzo się przejmował, to znaczy?

PAUL HOLES: No, był wielkim fanem.

MICHELLE: Aha, okay. Stuknięty na punkcie.

PAUL HOLES: Razem z żoną Judy wymyślili to osiedle. Te wszystkie domy... jesteśmy na ulicy, to są tyły budynków. Fronty tych posesji wychodzą na wspólny zielony obszar. To miało pomagać w powstawaniu

silniejszych więzi sąsiedzkich. Więc wszyscy wychodzą przed domy. Mają ogrody... wspólne ogrody; zielone przestrzenie, które należą do nich wszystkich.

MICHELLE: Więc gdybyś był studentem, tobyś tu raczej nie mieszkał?

PAUL HOLES: Mało prawdopodobne. To znaczy można było, ale w tamtych czasach to były nowe domy. Studentów nie było na nie stać.

Holes jedzie przez osiedle, szukając domu, gdzie nastąpił drugi atak.

PAUL HOLES: Więc nasza ofiara... mieszkała w tym. Tutaj, po prawej stronie.

MICHELLE: Aha.

PAUL HOLES: I wszystko, co tu stoi po tej stronie, wtedy było w budowie. Widzisz tę długą, wąską, ślepią uliczkę? Miasto powiedziało: „Absolutnie niemożliwe”. Wtedy Corbettowie namówili straż pożarną, żeby ściągnęła tutaj wozy strażackie, bo chcieli pokazać, że owszem, można tutaj zawrócić. Pojadę naokoło, żebyś miała pewne wyobrażenie, jak to miejsce wygląda. Solarne. Te wszystkie domy wykorzystują energię słoneczną. W tamtych czasach to była wielka nowość.

PAUL HOLES: Tu masz przykład. To jest mostek dla pieszych ponad otwartym rowem odwadniającym. I właśnie w ten sposób EAR tu się dostał.

MICHELLE: Skąd wiesz?

PAUL HOLES: Odciski butów. Corbett mi mówił, że ten teren był jak piaskownica. Każdego dnia grabił go na gładko. I po ataku przychodzi tutaj i widzi odciski butów w tej świeżo zagrabionej piaskownicy. Poszedł za tymi odciskami prosto do domu ofiary, a potem wokół domu i przez tereny zielone pośrodku. Rozmawiam z nim, a on mówi: „No tak, byłem skautem i jedną z rzeczy, które naprawdę mnie bawiły, było

tropienie śladów. Tropiłem różne ślady przez cały czas”. I dodaje: „Znalazłem te odciski butów i poczułem, że muszę za nimi pójść”. On jest pod tym względem lepszy niż przeciętny człowiek. Nie powiedziałbym, że jest ekspertem służb ratunkowych, ale...

MICHELLE: ... ale wiedział, co robi.

PAUL HOLES: Tak. Więc powiedział mi wtedy, że te ślady prowadziły z tej strony, tutaj, a potem poszły tam.

MICHELLE: Aha.

PAUL HOLES: To jest wspólny zielony teren.

MICHELLE: Czeka, to znaczy, że one tak jakby robiły pętlę, naokoło?

PAUL HOLES: Tak, więc on poszedł i wrócił z tej strony, i zrobił pętlę od domu ofiary, i zostawił te ślady na podwórku ofiary.

MICHELLE: To interesujące osiedle. Chyba nigdy nie byłam wewnątrz czegoś takiego.

PAUL HOLES: Jest wyjątkowe. Village Homes są sławne na cały świat. To było wtedy takie nowoczesne, że François Mitterrand przyleciał helikopterem, żeby odwiedzić tę okolicę. Studenci z różnych stron, deweloperzy... wszyscy przyjeżdżali, żeby to zobaczyć. A więc to takie miejsce, gdzie możesz przyjść... wiesz... „Village Homes w Davis. Planujemy zbudować osiedle. Zobaczmy, co oni tutaj robią, co możemy włączyć do swojego projektu”. Pisano o tym w gazetach... było na okładce magazynu „Sunset”. Betty Ford objechała to miejsce na rowerze. Przywiozłem tu raz swoją żonę, a ona mówi, „Nigdy bym tu nie zamieszkała”.

MICHELLE: Tu jest trochę klaustrofobicznie.

PAUL HOLES: To jest klaustrofobiczne i to jest raj dla drapieżnika. Wszystko widać. To znaczy on może tu wejść, może zaatakować, może wyjść i nikt nigdy się nie dowie.

PAUL HOLES: Trzecia ofiara – zabiorę cię tam potem – mieszkała na osiedlu, które jest tam, po drugiej stronie. A więc te trzy ataki w Davis są bardzo blisko siebie.

MICHELLE: Rzeczywiście.

PAUL HOLES: Jedna z interesujących rzeczy polega na tym, że ta ofiara i trzecia ofiara z Davis woziły nawzajem swoje dzieciaki samochodem. Ich dzieci chodziły do tego samego przedszkola. To jest jedyny znany związek między ofiarami, o jakim wiem. Ale nigdy się tym nie zajmowano.

MICHELLE: Rozumiem.

PAUL HOLES: Nikt nie przyszedł do tych ofiar, żeby z nimi porozmawiać. Czy EAR mógł je widzieć razem, przy okazji tego podwożenia, i dlatego je wybrał, czy to był tylko zbieg okoliczności, ponieważ po prostu zaatakował w pobliżu?

MICHELLE: No tak, racja. A czy one nawzajem wiedziały, że ta druga też była ofiarą? Wiesz coś o tym?

PAUL HOLES: Nie wiem nawet tego. Nie.

PAUL HOLES: No więc EAR tu przyjechał... tak, i teraz chodzi po tej stronie. A oni wtedy jakoś to z początku wykluczyli; Corbett wezwał policjantów i mówi: „Hej, tu znalazłem odciski butów”, a oni na to: „Tak, ale to jest zwykła ścieżka do biegania, a poza tym to jest za daleko. Nie widać, żeby sprawca w ogóle zaparkował tutaj swój pojazd, a potem poszedł tam i zaatakował”. No tak, te ślady kończą się tam, prowadzą wzdłuż ścieżki przy zagajniku oliwnym.

PAUL HOLES: A tu mamy drugą stronę lasu.

MICHELLE: Okay. Więc on mógł zaparkować tam na poboczu?

PAUL HOLES: Nie. Ponieważ odciski butów prowadziły dalej.

MICHELLE: O rany. Czy to nie nazbyt ryzykowne? Ktoś mógł go zobaczyć.

PAUL HOLES: Tak późno w nocy? Jest kompletnie ciemno!

MICHELLE: Okay. A poza tym pewnie nosi czarne ubranie.

PAUL HOLES: Chodzi o to, co on robi przez ten cały czas. Jest w okolicy, gdzie jest pełno domów. Chodzi w kółko. To jest prawdopodobnie bardziej ryzykowne.

MICHELLE: No tak. Myślę, że to prawda.

Holes jedzie dalej w głąb terenów Uniwersytetu Kalifornijskiego w Davis, po prawej znajdują się różne budynki badawcze, po lewej pola uprawne.

PAUL HOLES: A więc on idzie za tymi śladami butów... całą drogę, aż dotąd. Nie mogę teraz pojechać dalej. To jest coś, co się nazywa Instytut Biologii Pszczoł. Robią tutaj mnóstwo badań nad pszczołami.

MICHELLE: Aha, aha.

PAUL HOLES: Kiedy za pierwszym razem czytałem te akta, nie mogłem sobie tego jakoś poukładać. Wydawało mi się, że to jest dalej na kampusie, te pszczoły, więc myślę sobie: to nie ma sensu. Ale kiedy się popatrzy na to miejsce, gdzie on, jak mówi, zgubił te ślady, to one kończyły się ostrym skrętem w lewo. A co tam jest po lewej? Zaraz... popatrz teraz. To jest lotnisko!

MICHELLE: Och!

PAUL HOLES: Więc dzwonię na to lotnisko i pytam: „Jaki rodzaj archiwów u siebie macie?”.

Śmieją się oboje.

PAUL HOLES: Moje naiwne wyobrażenie o lataniu wygląda tak, wiesz... za każdym razem kiedy lecisz samolotem, musisz wypełnić plan lotu; lecisz na jakieś lotnisko, oni wiedzą, że tam jesteś, i tak dalej. A oni mi mówią: „Nie, nie, to nie tak. Każdy może tu przylecieć i odlecieć. Nawet nie

wiemy, że tu jest. Jak przylatuje po godzinach, to po prostu przywiązuje swój samolot. Robi, co do niego należy, wraca, nawet nie wiemy, że tu był”.

MICHELLE: Jak to możliwe?! To dziwne.

PAUL HOLES: A więc mamy tę napaść, dwadzieścia dwie godziny po ataku w Modesto. W sprawie w Modesto mamy jakiegoś dziwnego człowieka zabranego z lotniska i wyrzuconego po drodze niedaleko nowej budowy, najwyraźniej idącego w stronę domu ofiary.

MICHELLE: Dlaczego ten człowiek był dziwny?

PAUL HOLES: Kierowca taksówki powiedział, że miał tylko jedną torbę. I powiedział coś takiego: „Zabierz mnie do Sylvan and Meadow”. A potem mówi: „Wyrzuć mnie tutaj”. Wysiada i po prostu idzie gdzieś, gdzie, jak opowiada potem kierowca taksówki, nic nie ma, tylko domy w budowie. A potem następna sprawa... mamy jakiś związek z lotniskiem.

MICHELLE: Zastanawiam się, jaki rodzaj człowieka miałby taki samolot, jakiś mały samolocik.

PAUL HOLES: No cóż, mały samolot otwiera różne możliwości. Wiesz, deweloperzy zwykle mają te swoje wieloosobowe, korporacyjne odrzutowce. Jeśli masz na myśli kogoś, kto ma mały samolot, kto nie jest milionerem, albo kogoś, kto ma spore zasoby, ma...

MICHELLE: Tak.

PAUL HOLES: Jeśli rozmawiasz z takim deweloperem i pytasz go na przykład: „Poleciałbyś? Gdybyś miał budowy w całym stanie, tobyś latał?”, odpowiada: „No tak. Oczywiście. Latanie samolotem jest bardzo drogie, ale w jakimś sensie robi dobrze na ego. Chciałbym, żeby mnie postrzegano jako kogoś, kto odnosi sukcesy, ponieważ mam własny samolot, którym mogę polecieć. No tak, od czasu do czasu poleciałbym



i sprawdził, co się dzieje w moich królestwach, które tam powstają”.

MICHELLE: Aha, hmm. Rozumiem. Czy w pozostałych sprawach były jakieś inne drobne wskazówki, które miały jakiś związek z samolotem? To znaczy jakiś rodzaj... czy on nie miał ze sobą czegoś takiego, co należałoby do pilota?

PAUL HOLES: Nie. Nic mi nie przychodzi do głowy.

Holes próbuje zlokalizować dom, gdzie mieszkała trzecia ofiara z Davis. Ta napaść, numer trzydzieści siedem, nastąpiła 6 lipca 1978 roku, o drugiej czterdzieści nad ranem. Ofiarą była trzydziestotrzyletnia kobieta od niedawna żyjąca w separacji. W łóżku była sama – jej synowie spali w innym pomieszczeniu. EAR wykorzystał ich obecność, grożąc, że ich pozabija, jeśli kobieta nie spełni jego poleceń. Po zgwałceniu ofiary – tym razem zmusił ją także do seksu analnego – łkał. Po tej napaści nastąpiła trzymiesięczna przerwa, po czym pojawił się w rejonie Wschodniej Zatoki.

PAUL HOLES: To był narożny dom. Chciałem powiedzieć ostatni. Nie sądzę, żeby te domy wtedy tutaj stały. Tam z tyłu nie ma żadnych domów. Wtedy tam, gdzie teraz jest szkoła, była budowa. Więc atak nastąpił tutaj. W tym rejonie mnóstwo się wtedy budowało... O, to tutaj. A zatem ta ofiara wozila dzieci do przedszkola na zmianę z poprzednią ofiarą z Davis.

MICHELLE: O kurczę. Mnóstwo tych miejsc zbrodni jest znacznie bliżej siebie, niż myślałam. To znaczy niektóre nie są, ale... niektóre tak; to ciekawe.

PAUL HOLES: Tak. Cóż, osiedla. Dobrze się czuł na osiedlach. W Danville to było blisko siebie. Concord. Walnut Creek.

MICHELLE: Oczywiście. A Rancho Cordova... czy one nie były czasem tuż obok siebie?

PAUL HOLES: Tak. Nie całkiem tuż obok, po sąsiedzku, ale za rogiem.

Wiesz, zawsze był jakiś dom między nimi.

MICHELLE: Tak. I, jeśli odchodzisz z takiego miejsca bez spodni, to znaczy, że albo tu mieszkasz, albo masz samochód na ulicy. Albo jesteś stuknięty. Albo wszystko naraz.

PAUL HOLES: No cóż. Jeden z gości, którymi dużo się zajmowałem, seryjny zabójca Phillip Hughes... w rozmowach z psychiatrą przyznaje, że kiedy był w szkole średniej, kompletnie nagi wychodził z domu w środku nocy – rodzice nie mieli o tym pojęcia – i włamywał się do innych domów w okolicy, żeby kraść kobietom ubrania.

MICHELLE: I to było, zanim kogoś brutalnie zaatakował?

PAUL HOLES: Tak, o ile nam wiadomo. Zabił kilka zwierząt. Wiesz... ta cała triada seryjnego zabójcy [teoria, która głosi, że torturowanie zwierząt, podkładanie ognia i moczenie się w łóżku poza okresem wczesnego dzieciństwa wskazują na skłonność do przemocy seksualnej po osiągnięciu dorosłości].

MICHELLE: No tak.

PAUL HOLES: Ale wtedy chodził do szkoły średniej. Myślę, że jest coś... podniecającego w tym, że się jest na zewnątrz bez ubrania.

MICHELLE: Racja.

PAUL HOLES: Poza tym może chodzić o względy praktyczne, wiesz? Powiedzmy, że podczas pierwszego ataku myśli sobie: No dobra, ale co mam teraz zrobić z gaciami? Nie będę ich tak po prostu nosił. Nie chcę, żeby mi przeszkadzały.

MICHELLE: Racja, no tak. To dlatego wydaje mi się interesujące, że kiedy zaczął mordować, zabijał ich czymkolwiek, co było pod ręką.

PAUL HOLES: Tak. Miał rewolwer, ale kiedy uderzał tępym narzędziem, wykorzystywał to, co znalazł na miejscu.

MICHELLE: Czy jest coś takiego, co różni ludzi, którzy zabijają tępym

narzędziem, od tych, którzy robią to inaczej?

PAUL HOLES: No cóż, uderzanie tępym narzędziem i dźganie czymś ostrym są zasadniczo tym samym. Wiesz, to jest bardzo osobiste. Wyładowujesz na tej osobie mnóstwo agresji, mnóstwo gniewu. No tak, czy to będzie duszenie... czy gołymi pięściami, to wszystko jest...

MICHELLE: Czyli wszystko, co robisz własnymi rękami, w jakimś sensie jest wyrazem tego samego?

PAUL HOLES: No tak, to wszystko jest takie samo. W przeciwieństwie do zabijania bronią palną – to jest mniej osobiste. I łatwe. Każdy może każdego zabić z rewolweru. Możesz zabić kogoś z dystansu. Ale kiedy fizycznie atakujesz drugą osobę, to jest osobiste. Wiesz, czyta się o tych facetach, którzy patrzą w oczy ofierze, kiedy ją duszą...

MICHELLE: Racja.

PAUL HOLES: Wiesz, czują się wtedy jak Bóg, ponieważ zasadniczo tylko od nich zależy, czy ofiara przeżyje, czy umrze.

---

[30] Pseudonim.

[31] Pseudonim.

## FRED RAY

Nie bardzo mi smakuje druga filiżanka okropnej kawy, jaką wypijam w niedużej kawiarni w miasteczku Kingsburg w Kalifornii, trzydzieści kilometrów na południowy wschód od Fresno, wysłuchując wyjaśnienia pewnej zagadki, która zastanawiała mnie od lat. Fred Ray, człowiek, który udziela mi tej odpowiedzi, jest wysoki, lakoniczny i mówi z lekko nosowym akcentem, jak przystało na potomka pokoleń farmerów z Doliny Centralnej. Kiedy nie stara się podkreślić dłońmi z długimi palcami jakiejś kwestii, trzyma ręce założone na piersiach, delikatnie, jak jakiś uczony. Na głowie ma prawdziwą gęstwinę brązowych włosów, rzecz godna pozazdroszczenia jak na emerytowanego detektywa, którego wypytuję o śledztwo, jakie niegdyś prowadził w sprawie podwójnego morderstwa sprzed trzydziestu pięciu lat. W pierwszej chwili wyrobiłam sobie o nim niezbyt dobre wyobrażenie, gdy pojawił się ze swoją sfatygowaną teczką i tym metalicznym głosem z Dust Bowl. Chciał spotkać się wcześniej, aby jak powiedział, uniknąć tłumu uczniów ze szkoły średniej, ale w malutkiej kawiarni nie dostrzegłam nikogo poniżej siedemdziesiątki; jest tu tylko kilka stolików pokrytych grubym przejrzystym plastikiem, a do tego półki szwedzkich naczyń (Kingsburg jest nazywany Małą Szwecją) i wąski szklany kontuar, na którym widzę trochę ciasteczek. Dwoje spośród niewielu klientów kawiarni to żona Raya oraz jego pastor, który pyta mnie, skąd jestem, choć nikt jeszcze nie zdążył mnie przedstawić jako gościa spoza miasta. Mówię mu, że jestem z Los Angeles.

– Witaj w stanie Kalifornia – odpowiada duchowny.

Ale moje wrażenie na temat Raya szybko się zmienia, gdy zaraz na początku naszej rozmowy opowiada o latach, jakie spędził jako detektyw w Biurze Szeryfa Hrabstwa Santa Barbara, a zwłaszcza o swoich doświadczeniach w trakcie przesłuchań pewnego rodzaju młodych ludzi, którzy sprawiali kłopoty. Z pozoru ci młodzi mężczyźni, głównie biali, nie przedstawiali sobą jakiegoś większego zagrożenia. Spokojne tempo życia nadmorskiego miasta, skupiającego zasiedziały bogaczy, docierało także do nich, nawet jeśli nie mieszkali w modnym rejonie Hope Ranch z jego ścieżkami do jazdy konnej i prywatnymi plażami, ale na parkingu przyczep przy Hollister. To byli chłopcy o imionach nieodmiennie brzmiących Keith albo Gary i skłębionych fryzurach z końca lat siedemdziesiątych, którzy zwykle zaczynali jakąś szkołę średnią, Dos Pueblos czy San Marcos High, ale nigdy jej nie kończyli. Zaciągali jakieś sfatygowane fotele do sadów awokado i starali się tam ukryć ze swoją hodowaną w domu trawką. Przez cały dzień surfowali na Haskell's Beach, a wieczorami skupiali się wokół ognisk pijani i z poczuciem, że nikt ich tam nie dosięgnie; wiedzieli, że gliniarze nigdy nie pofatygują się w dół skalistego zbocza porośniętego krzakami, żeby zepsuć im przyjęcie na plaży. Sprawiali drobne kłopoty. Popelniali mniejsze wykroczenia. W każdym razie tak można by sądzić, gdyby nie odkrycie Raya, że zaskakująco wielu wśród nich oddawało się pewnej dość przerażającej rozrywce, do której nie przyznawali się nawet przed sobą nawzajem: kręciło ich włamywanie się w środku nocy do domów nieznajomych.

Nocami krążyli po okolicy. Podglądali. Myśl, że przy tej okazji mogliby się włamać i coś ukraść, przychodziła potem. W trakcie rozmów z nimi Ray przekonał się, że dumą napawała ich sama umiejętność zakradania się do czyjegoś domu, gdzie bezszelestnie pełzali po podłodze, a potem niezauważeni stawali w ciemnościach i patrzyli na śpiących mieszkańców.

Ray ze zdumieniem wysłuchiwał szczegółów, jakie byli gotowi mu opowiedzieć, kiedy już udało mu się skłonić ich do mówienia.

– Zawsze znajdowałem sposób, żeby namówić faceta do rozmowy – opowiada Ray.

– Jak pan to robił?

Rozkłada ręce. Jego rysy niemal niedostrzegalnie łagodnieją.

– No cóż, wie pani, każdy to robi – mówi i ton jego głosu staje się zarazem konspiracyjny i bezpośredni. – Każdy chciał kiedyś zobaczyć, co się dzieje w środku cudzego domu.

To brzmi rozsądnie. Kiwam głową.

– Racja.

A wtedy Ray szybko wraca do swojej poprzedniej postaci, do swojego prawdziwego ja, a ja uświadamiam sobie, że nawet tego nie zauważyłam, jak przed chwilą trochę się przygarbił i złagodził wyraz twarzy, żeby sprawić wrażenie, że mówi bardziej swobodnie, mimochodem. To nie była brutalna metoda wydobywania informacji z podejrzanego, jaką można zobaczyć w serialu *Prawo i porządek*. Ta nagła przemiana był zdumiewająca. Kompletnie dałam się nabrać. Jednym z najskuteczniejszych chwytów Raya jest niespodziewany, szeroki uśmiech, jaki pojawia się na jego twarzy; jako zupełne przeciwieństwo wcześniejszego skupienia sprawia rozmówcy tym większą przyjemność, kiedy się pojawia. Nabrał mnie i wie o tym. Uśmiecha się od ucha do ucha.

– Oni wszyscy chcą opowiadać swoją historię, tyle że chcą ją opowiedzieć komuś, kto nie będzie zaraz na nich wrzeszczał. Kiedy tam siedzisz i nie pokazujesz żadnych emocji, w jakimś sensie jakby się z nimi zgadzając, prawie jak by ci się to podobało, co ci opowiadają, wtedy mówią.

Ta parada chłopaków z problemami, których Ray przesłuchiwał ponad trzydzieści lat temu, interesuje mnie z pewnego konkretnego powodu.

– Przesłuchiwał pan tych facetów, którzy chodzili podglądać cudze domy – mówię. – Myśli pan, że mógł pan wtedy rozmawiać także z nim?

– Nie – mówi szybko. A potem ostrożnie dodaje: – To mogło się zdarzyć. Ale zdecydowanie kręci głową.

Z nim. Trzecia osoba w każdej rozmowie, jaką prowadzę, zabójca bez twarzy, człowiek, którego odciski tenisówek Ray widział niegdyś w okolicy miejsca zbrodni, podążając szlakiem, jaki przemierzał ten osobnik, gdy przekradał się od okna do okna, szukając ofiary. Ray uczestniczył kiedyś w śledztwie w sprawie seryjnego zabójcy, który zabierał autostopowiczki, strzelał im w skroń, a potem uprawiał seks z ich martwymi ciałami; Rayowi w trakcie jego kariery zdarzało się stać nad pozbawionymi głów ciałami albo analizować rytualne nacięcia na skórze częściowo rozłożonych zwłok młodej kobiety. A jednak jedyny zabójca, który – jak wspomina – sprawił, że ciarki przeszły mu po plecach, to był ten sam, który sprowadził mnie tutaj. On.

Nie zaskakuje mnie to, że Ray nie wierzy, że rozmawiał z niezidentyfikowanym mężczyzną, którego nazwałam Zabójcą z Golden State. Każdy detektyw, który pracował nad tą sprawą i z którym rozmawiałam, twierdzi tak samo. Trzymali w rękach więzy, które pozostawiał po sobie, i wpatrywali się w jego plemniki pod mikroskopem. Odtwarzali w kółko nagrania zeznań świadków i osób, które przeżyły jego atak, poddanych hipnozie, wsłuchując się w ich słowa w poszukiwaniu jakichkolwiek pominiętych wcześniej tropów mogących doprowadzić do odkrycia jego tożsamości. Pewien detektyw, wiele dziesięcioleci po przejściu na emeryturę, czatował w zaroślach przed domem przypuszczalnego podejrzanego w Oregonie, czekając na pojawienie się śmieci tego człowieka, aby móc pobrać próbkę DNA. Zabójca z Golden State przesładuje śledczych w snach. Zniszczył ich małżeństwa. Tak głęboko wżarł się w ich myśli, że pragną, albo muszą, wierzyć w to, że gdyby ich spojrzenia kiedykolwiek się

spotkały, wiedzieliby, że to on.

– To jak u psa gończego – powiedział mi jeden z policjantów. – Jestem pewny, że gdybym znalazł się w centrum handlowym i on by przechodził obok, tobym go poznał.

Wyjaśniam Rayowi, że powód mojego zainteresowania jego wspomnieniami z rozmów z młodymi podglądaczami jest taki, że niedawno odwiedziłam miasto Goleta, położone nieco ponad dziesięć kilometrów na zachód od Santa Barbara, w Kalifornii, gdzie zabójca zaatakował trzykrotnie w latach 1979–1981. Wszystkie trzy napaści nastąpiły w skromniejszej okolicy północno-wschodniej części Golety, na obszarze o powierzchni mniejszej niż pięć kilometrów kwadratowych. Odciski butów i porzucone kawałki więzów, które przypuszczalnie przypadkowo wypadły mu z kieszeni, pokazują, że poruszał się wzdłuż strumienia San Jose, na dnie wąskiego wąwozu zaczynającego się w górach na północ od miasta i wijącego się przez okolice domów jednorodzinnych, po czym wpadającego do Pacyfiku. Wszystkie jego ofiary mieszkały blisko tego strumienia.

Opowiedziałam Rayowi, że chodziłam wzdłuż strumienia San Jose i zaskoczyło mnie, jak bardzo pociągająca mogła być taka ścieżka wśród zieleni, schowana w gęstwinie wysokich drzew o zwisających gałęziach, wśród porośniętych mchem skał, dla pewnego rodzaju nastoletnich chłopów z okolic podmiejskich, trochę dzikich, wychowujących się bez nadzoru rodziców, szukających jakiegoś schronienia. Z rosnących tam jaworów zwisały linowe huśtawki. Dorośli, którzy wychowywali się w tej okolicy, opowiadali mi, że w połowie lat siedemdziesiątych miejscowi chłopcy zbudowali tam trasę do jazdy na rowerach górskich. W okolicy wąwozu były sekretne tunele i cementowane rowy odprowadzające nadmiar wody, w których dzieciaki mogły jeździć na deskorolce. Teren nie był oświetlony, a krętą ścieżkę trudno było odnaleźć. Pomyślałam, że to jedno z miejsc, które



zna się dobrze, tylko jeśli spędziło się tam dużo czasu w dzieciństwie.

– Zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę pierwszy atak zabójcy przy Queen Ann Lane – mówię. Domu przy Queen Ann Lane nawet nie widać z ulicy, jest położony z tyłu, za drugim budynkiem. Można go zauważyć tylko ze ścieżki wiodącej wzdłuż strumienia.

Na wzmiankę o napaści z 1 października 1979 roku przy Queen Ann Lane na wyrażającej dotąd rzeczowość twarzy Raya pojawia się napięcie.

– Wie pani, że mogli go złapać tamtej nocy – mówi detektyw.

Właśnie tej nocy gwałcieł uświadomił sobie, że musi zabijać. Ofiary jego napaści przeżyły, a ich sąsiad, agent FBI, choć nie był na służbie, ruszył w pościg za podejrzanym, który uciekał na skradzionym dziesięciobiegowym rowerze. Przeszłam trasą tego pościgu i zatrzymałam się w miejscu, gdzie agent zgubił go z oczu. Agent był w radiowym kontakcie z ludźmi szeryfa, którzy jechali na miejsce. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, jak to się stało, że wtedy go nie schwytali.

– Wiedziałem, co się dalej wydarzy – mówi Ray. Kręci głową. – Wiedziałem dokładnie, co zrobią ludzie szeryfa.

I co zrobili? Pozwolili mu uciec.

## ON

Trwająca ponad trzydzieści lat historia uwikłania Jima Walthera<sup>[32]</sup> w sprawę Gwałciciela ze Wschodniej Strony zaczęła się w Danville, wczesnym rankiem 2 lutego 1979 roku, gdy Carl Fabbri, policjant z Biura Szeryfa Hrabstwa Contra Costa, obudził go światłem swojej latarki. Walther wyjaśnił, że zatrzymał swojego szarego pontiaca le mans rocznik 1968 w pobliżu autostrady 680, żeby się przespać po wyjściu z pracy dla Western Pacific Railroad. Ale Fabbri nie dał się nabrać na tę opowieść. Samochód Walthera był zaparkowany przy Camino Tassajara, dobre dwa kilometry od autostrady. Czemu odjechał tak daleko, żeby się zdrzemnąć? Policjant popatrzył Waltherowi w oczy, szukając oznak rozespania. Fabbri był najeżony. Patrolował tę okolicę, ponieważ poprzedniej nocy ścigał bez powodzenia podejrzanego osobnika kręcącego się wokół domów. Sześć miesięcy wcześniej najślawniejszy przestępca w Sacramento, nieuchwytny Gwałciciel ze Wschodniej Strony, podstępnie zakradł się, by zaatakować sto kilometrów na południowy zachód, w ich okolicy. Cztery napaści. Ofiarą ostatniej z nich, w grudniu, była trzydziestodwuletnia rozwódka mieszkająca w narożnym domu, niedaleko Iron Horse Regional Trail. „Lubisz podniecać facetów? – wyszeptał do niej. – To dlaczego mi stajesz za każdym razem, kiedy cię widzę?” Ten atak nastąpił zaledwie półtora kilometra od miejsca, gdzie Walther teraz parkował.

Fabbri polecił chłopakowi nie ruszać się z miejsca i sprawdził go szybko. Okazało się, że wydano nakaz aresztowania go z powodu ciężkiego

naruszenia zasad kodeksu drogowego. Poza tym z jego akt wynikało, że dwa lata wcześniej został zatrzymany z powodu posiadania niedużej ilości marihuany – w Sacramento. Miał dwadzieścia pięć lat. Metr siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Sto pięćdziesiąt funtów. Ogólny portret wyglądał obiecująco, nawet jeśli nie wszystkie szczegóły się zgadzały. Fabbri i jego partner aresztowali Walthera. Ten zaczął protestować, ale to były krzyki, jakie zwykle słyszy się w takich okolicznościach – aż do chwili, gdy partner Fabbriego wyjął polaroid, żeby zrobić aresztowanemu policyjną fotkę. Wtedy, jakby za naciśnięciem jakiegoś guzika, Walther zaczął szaleć. Fabbri musiał użyć siły fizycznej. To było dziwne. Dzieciak nie miał szczególnie obciążonej kartoteki. Czemu tak się przestraszył, że mu zrobią zdjęcie? Musieli siłą przytrzymać mu głowę do góry, żeby zrobić fotografię.

W drodze do aresztu Walther wciąż mamrotał do funkcjonariuszy, którzy go zatrzymali.

– Nikt nigdy nie łapie prawdziwych przestępców – oświadczył. – Zawsze się wywiną.

Obciążające koincydencje towarzyszyły tej sprawie od początku. Kiedy spytali go o adres, Walther podał Sutter Avenue w Carmichael. Wschodnie Sacramento. Policjant przypomniał sobie, że widział samochód podobny do auta Walthera, bardzo charakterystyczny, w pobliskim San Ramon, mniej więcej w czasie, gdy EAR przypuścił tam swoje ataki. Wkrótce po wyjściu z aresztu Walther pozbył się tego wozu i sprawił sobie nowy. Przestał odpowiadać na pytania, kiedy zaczęli go przesłuchiwać ludzie z zespołu specjalnego w sprawie Gwałciciela ze Wschodniej Strony, a potem załatwił sobie prawnika – dzięki matce, kobiecie aż nazbyt pobłażliwej, która o swoim dorosłym synu mówiła „mój Jimmy”, i kiedyś niemal pobiła się z jego kuratorem sądowym. Prawnik oświadczył śledczym, że jego klient nie napluje na gazę, jaką mu podano w celu pobrania próbki śliny, ponieważ „to

mogłoby być obciążające”. Członkowie zespołu specjalnego dalej naciskali na Walthera. Ten się opierał. Przyznał w końcu, że ma krew grupy A i że nosi buty numer dziewięć, w takim samym rozmiarze jak EAR. Wreszcie, w sierpniu, wywołali go z mieszkania dziewczyny i powiedzieli mu, że wiedzą o jej domowej uprawie marihuany. Postawili go przed twardym wyborem: albo napluje teraz na gazetę, albo ją aresztują. Napluł na gazetę.

Badanie śliny wyeliminowało Walthera. Znaleziono w niej antygeny grupy krwi. EAR należał do grupy osób, które nie wydzielają antygenów. Członkowie zespołu specjalnego zostawili Walthera w spokoju i zajęli się innymi podejrzanymi typami.

Ponad trzydzieści lat później Paul Holes zakwestionował tę decyzję. Jako weteran laboratorium kryminalistycznego wiedział, że metoda, którą sprawdzano wówczas, czy ktoś jest osobą wydzielającą antygeny, nie była idealna. W latach osiemdziesiątych eksperci od kontroli jakości znaleźli w niej poważne usterki. Uczni odkryli tymczasem, że u niewielkiej części populacji występują pewne nieregularności: są osoby, u których w pewnych wydzielinach ciała znajdują się antygeny grup krwi A B i 0, a w innych ich nie ma. Holes miał wrażenie, że wyeliminowania podejrzanego na podstawie tego, jak jego organizm zachowuje się w kwestii wydzielania antygenów, nie można uznać za wiarygodne.

Poza tym mógł wykorzystać wszystko, co wydarzyło się w tej sprawie w ciągu minionych trzech dziesięcioleci. Śledczy wiedzieli teraz znacznie więcej na temat gwałciciela. Holes mógł włączyć komputer i za pomocą aplikacji Google Earth przelecieć, w porządku chronologicznym, nad miejscami, gdzie EAR popełnił swoje zbrodnie, oraz tymi, gdzie odnotowano jakieś podejrzone okoliczności, w oszłamiającym locie od żółtej pinezki na mapie do miniaturowego niebieskiego samochodu i niewielkich ludzkich figurek reprezentujących odciski butów albo świadków. Mógł wybrać

prędkość ruchu, powiększenie. Mógł, siedząc przy swoim biurku, oglądać na własne oczy szlak, jakim podążał zabójca. Chaotyczny przebieg tego szlaku mógł wydawać się przypadkowy, ale dla kogoś, kto był Tym, kogo szukali, wcale taki nie był.

Holes żałuje, że nie przeniósł się do jednostki śledczej dwadzieścia lat wcześniej, gdy po raz pierwszy poczuł taką pokusę. Zwyciężyła wtedy potrzeba stabilizacji. Miał dwójkę małych dzieci. Wspinał się po szczeblach kariery w świecie kryminalistyki. Ale już przy pierwszym spotkaniu widać, że jest dobrym materiałem na detektywa. Blondyn, wysportowany, o przystojnej, życzliwej twarzy. Nigdy się nie krzywi, nie wywraca oczami. Jego rodzice pochodzą z Minnesoty i w jego wymowie słyhać ślady przedłużonego „o”. Wspominałam raz o Rupercie Murdochu, wzruszył ramionami, nie rozpoznając tego nazwiska. „Obracaliśmy się w różnych kręgach” – powiedział. Kiedy się na niego patrzy, człowiek nigdy by nie pomyślał, że rodzice kiedyś podarowali mu książkę *Sexual Homicide. Patterns and Motives*, jako prezent mówiący „myślimy o tobie”.

Testy DNA wymagały kiedyś wielu godzin męczącej, manualnej pracy. W przypadku przestępstw o charakterze seksualnym, na przykład, trzeba było wyjąć z plastikowego pojemnika pałeczkę do pobierania próbek, wyizolować spermę, zlokalizować markery DNA metodą dot-blot wymagającą wielu białych pasków, tacek i wyspecjalizowanych płukanek. Wraz z rozwojem technologii pracę przejęły automaty i różne urządzenia. W zamian Holes miał więcej czasu na zajmowanie się nierozwiązanymi sprawami. Był przekonany, że Walther mógł być właśnie Nim.

Kiedy któregoś popołudnia wiosną 2011 roku natknął się w magazynie dowodów w Biurze Szeryfa na dowody z pakietu zwanego dla skrótów „pracą domową”, szukał kominiarki narciarskiej – kominiarki narciarskiej Walthera. Wiedział, że w okresie gdy Walther był podejrzanym numer jeden,

członkowie zespołu specjalnego przesłuchali jego przyjaciela, faceta, którego aresztowano razem z nim za sprzedawanie marihuany w Sacramento w 1977 roku. Przyjaciel przekazał im wtedy kilka rzeczy należących do Walthera, w tym czarną kominiarkę. Profilu DNA Walthera nie było w systemie; Holes zastanawiał się, czy udałoby mu się opracować taki profil na podstawie włosów albo komórek naskórka wydobytych z czapki.

Na nieszczęście Walther stał się nieuchwytny. Ten człowiek dosłownie zniknął z powierzchni ziemi. Nie stawił się w sądzie w wyznaczonym terminie z powodu jakiegoś wykroczenia związanego z przemocą domową w 2003 roku. Wydano nakaz aresztowania go. W czerwcu 2004 roku zawieszono ważność jego prawa jazdy. Mimo to nie pojawił się żaden ślad. Nie miał kredytu. Nigdzie nie pracował. Nie był na zasiłku. Holes próbował możliwie jak najstaranniej zrekonstruować chaotyczne życie Walthera. Zwrócił się o wydanie dokumentów związanych z jego szkolną nauką i czytając je, zauważył z pewnym zainteresowaniem, że w szóstej klasie jego nauczycielem był mężczyzna, co było dość nietypowe w tamtych czasach. Holes zdobył numer telefonu tego nauczyciela. Starszy człowiek przyznał, że nie pamięta Walthera. Ale, jak powiedział, kara polegająca na wielokrotnym przepisywaniu jakiegoś zdania, wydawała mu się znajoma, sam ją stosował.

Wspominał, że jakieś dziesięć lat wcześniej zadzwonił do niego nieznajomy mężczyzna. Zaśpiewał *Freedom Isn't Free*, piosenkę, którą nauczyciel kazał śpiewać w klasie nieposłusznym chłopcom. „Pamiętasz to?” – powiedział i odłożył słuchawkę. Ta rozmowa tak zaniepokoiła nauczyciela, że zmienił swój numer i zastrzegł go. Powiedział Holesowi, że przykro mu, że nie może być bardziej pomocny.

Holes sprawdził słowa piosenki *Freedom Isn't Free* napisanej przez Paula Colwella.

Czwarta zwrotka zaczyna się od słów: „Był generał, na imię miał George,

stał na czele małego oddziału w Valley Forge”.

Ron Greer<sup>[33]</sup> także musiał być Nim. Palił trzy paczki dziennie i mieszkał w zaniedbanym mieszkaniu, ale kiedy do niego przyszli i niezobowiązująco zaproponowali mu jego ulubione papierosy, których markę poznali podczas wcześniejszego rozpracowania, nie wziął od nich ani jednego. Był ostrożny i napięty. Ken Clark i jego partner, detektywi z Biura Szeryfa Hrabstwa Sacramento, zrobili wszystko, co mogli, aby zrelaksować tego gościa. Nie zamierzali od niego wychodzić, nie zdobywszy bezpośredniej próbki DNA. Ale Greer nie chciał nawet napić się odrobiny wody z butelki. Wie, o co chodzi – domyślił się Ken. Tak. Nerwowy i wie, o co chodzi w kryminalistyce. To na pewno jest On.

Postać Greera pojawiła się za sprawą uzupełniającego raportu sprzed trzydziestu lat. Wielu śledczych żywi przekonanie, że nazwisko gwałciciela jest gdzieś zagrzebane w papierach, zanotowane na marginesie raportu o zatrzymaniu pojazdu albo jakichś podejrzanych okolicznościach. Albo jego legenda była nie do podważenia, albo został wyeliminowany na podstawie wprawdzie wątpliwego, ale uznawanego wówczas alibi. Ken i jego partner zaczęli metodycznie przeglądać te raporty. Nazwisko Greera pojawiło się dość wcześnie.

Zatrzymano go, gdy jechał samochodem na południe po Sunrise Boulevard w dwudrzwiowym żółtym datsunie o czwartej dwadzieścia siedem nad ranem 15 kwietnia 1977 roku, zaledwie kilka minut po gwałcie, którego EAR dokonał dosłownie kilka przecznic dalej. Powiedział policjantom, że jedzie do pracy – jest strażnikiem w zakładzie produkującym ryż. Zauważyli, że zachowywał się niezwykle spokojnie i chętnie współpracował. Otworzyli jego bagażnik; ich ciekawość wzrosła. Zgodził się na przeszukanie mieszkania. Jego matka zmarła niedawno, jak powiedział, i mieszka teraz z siostrą. Lub też, mówiąc dokładnie, w należącym do siostry domu,

zdezelowanej przyczepie zagrzebanej w krzakach na ustronnym zboczu wzgórza w Fair Oaks. Przyczepa miała niecałe dwa i pół metra długości i była tak niska, że nie dało się w niej stanąć prosto. Wydawało się, że Greer ma solidne alibi z pracy na czas wcześniejszego ataku gwałciciela. Mimo to śledczy, którzy mieli z nim kontakt, nigdy o nim nie zapomnieli. Jakoś mocno utkwіło w ich pamięci to, co znaleźli wtedy w jego samochodzie.

Właśnie dlatego Ken i jego partner postanowili go odszukać trzydzieści lat później. Greer, jak się okazało, miał wtedy poważne problemy zdrowotne. Ale nie, dziękuję, nie chciał napić się wody. Nie pali. Wreszcie, czując, że ich cierpliwość się wyczerpuje i nie mają więcej pomysłów, namówili go do polizania koperty. Kiedy na nich nie patrzył, pobrali także próbki ze wszystkich klamek jego samochodu, tak dla pewności.

Tamtej wiosennej nocy w 1977 roku Greer został zatrzymany przez patrol i kazano mu zjechać na pobocze w pobliżu miejsca, gdzie EAR niedawno dokonał gwałtu, ponieważ pasował do ogólnego opisu napastnika: był białym mężczyzną, miał dwadzieścia pięć lat, sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, ważył sto pięćdziesiąt funtów. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyli funkcjonariusze z patrolu w świetle swoich latarek, była plastikowa butelka z oliwką do rąk leżąca na przednim siedzeniu jego samochodu. Na półce pod deską rozdzielczą po stronie pasażera leżała biała maska podobna do tych, jakich używa się przy malowaniu albo operacjach chirurgicznych. Kiedy otworzyli bagażnik jego samochodu, znaleźli linkę w otwartym celofanowym opakowaniu. Obok leżała para tenisówek.

A także dwie duże torby na suwak. Wewnątrz toreb znaleźli rewolwer i nóż myśliwski.

Ken i jego partner wysłali DNA pobrane od Greera do laboratorium kryminalistycznego. Czekali, wreszcie przyszły wyniki.

Nie do wiary.



Greer nie był Nim.

Jak już pisałam, poczucie, że znalazło się podejrzanego, bardzo przypomina pierwsze porywy ślepej miłości. Cała uwaga skoncentrowana jest na jednej twarzy. Cały świat i jego codzienne odgłosy stają się jedynie ledwo słyszalną ścieżką dźwiękową niezwykle intensywnego biograficznego filmu, jaki przez cały czas układasz w swojej głowie. Żadna liczba informacji na temat obiektu twojej obsesji nie jest wystarczająca. Pragniesz więcej. Zawsze więcej. Odnotowujesz, jakie buty mu się podobają, i nawet przejeżdżasz koło jego domu, dzięki Google Maps. Z niezwykłą stronniczością starasz się potwierdzać swoje przekonania. Wszędzie doszukujesz się potwierdzenia własnych podejrzeń. Jakiś biały mężczyzna w średnim wieku, który z uśmiechem kroi zdobiony świeczkami tort na zdjęciu zamieszczonym na Facebooku, nie świętuje swoich urodzin – trzyma w ręku nóż.

Po raz pierwszy dostrzegłam ten mechanizm, gdy Larry Pool, człowiek o zmęczonej twarzy, w rozmowie ze mną przyznał, że na początku „czuł więcej” w związku z podejrzanymi, gdy jako detektyw zajmujący się nierozwiązanymi sprawami w hrabstwie Orange po raz pierwszy zajął się w 1977 roku przypadkiem Pierwotnego Nocnego Łowcy. Z nieco smętną miną powiedział, że miał wtedy „więcej świeżości”, niczym seryjny randkowiec w średnim wieku, nieco znużony zmiennymi obrotami fortuny w sprawach miłosnych.

Pool wspominał niezwykle podekscytowanie, gdy latem 2001 roku, we wczesnej fazie poszukiwań, wezwano go telefonicznie do biura zastępcy szeryfa. Takie telefony zawsze oznaczają dobrą wiadomość. Kiedy wszedł do biura, wszyscy obecni odwrócili się z uśmiechem w jego stronę – kapitan, porucznik, członkowie pionu administracyjnego, a także, co najbardziej znaczące, Mary Hong, specjalistka od kryminalistyki z hrabstwa Orange,

która opracowała profil DNA Pierwotnego Nocnego Łowcy. Mary Hong pracowała w innym budynku.

Pool w triumfalnym geście uniósł pięść w powietrzu, jeszcze zanim zamknął za sobą drzwi. „Tak!” – powiedział. W tamtym momencie nieprzerwanie pracował nad sprawą, być może nawet obsesyjnie, już od trzech lat.

Zastępca szeryfa powiedział Poolowi, że znaleziono zgadzające się odciski palców. Uważano, że odciski pozostawione na lampie w jednym z domów, gdzie Gwałciciel ze Wschodniej Strony wdarł się w Danville, należały do zabójcy. Ofiara słyszała wtedy, jak napastnik włączał światło; kobieta właśnie kupiła tę lampę i poza nią nikt jeszcze jej nie dotykał. Pewien emerytowany śledczy z Contra Costa wygrzebał teraz starą kopię tych odcisków i przesłał ją do hrabstwa Orange.

– Doskonale – powiedział Pool.

– Podejrzany zmarł z przyczyn naturalnych pięć lat temu – mówił dalej zastępca szeryfa i przesunął po stole akta tego człowieka w stronę Poola.

Pool, który wiedział o zabójstwie więcej niż wszyscy pozostali w tym pomieszczeniu, otworzył folder. Wszyscy wpatrywali się w niego w napięciu. Po twarzy śledczego przemknął pierwszy cień rozczarowania.

– O cholera. Nie podoba mi się jego wiek – oświadczył. Podejrzany urodził się w 1934 roku. Pool szybko przekartkował raport. Nie podobała mu się także kryminalna historia tego faceta. Użycie broni. Handel ludźmi. Napad na bank. Ten gość był w programie ochrony świadków. Pool poczuł, że to nie ten.

Wyczuwał, że nastrój w sali wyraźnie się zmienił.

– Nie wygląda mi na podejrzanego – oświadczył – Ale kto wie? Może właśnie dlatego nie znaleźliśmy tego faceta? Nie jest tym, kogo się spodziewamy.

- Sprawdźcie, gdzie pochowali tego człowieka – poleciał zastępca szeryfa.
- Jasne, szefie – powiedział Pool.

Odkrył, że zmarły podejrzany przyjaźnił się kiedyś z chłopakiem ofiary. Obaj mężczyźni pokłócili się na kilka tygodni przed napaścią. Ofiara i jej chłopak mniej więcej w tym samym czasie zorientowali się, że ktoś ukradł im stereo, i Pool doszedł do wniosku, że sprawcą tego rabunku był podejrzany, przypuszczalnie mszcząc się w ten sposób na swoim przyjacielu z powodu kłótni. Wyglądało na to, że dotknął lampy, kiedy był w domu, z którego ukradł stereo. Nie był zabójcą, lecz jedynie marnym przyjacielem, który miał obyczaje włamywacza.

Ale szefowie Poola chcieli mieć pewność.

– Będziemy musieli go wykopać i sprawdzić jego DNA – oświadczył zastępca szeryfa.

Pool wsiadł w samolot i poleciał do Baltimore, aby uczestniczyć w ekshumacji. Po raz pierwszy ludzie z Biura Szeryfa Hrabstwa Orange mieli wykopać z ziemi ciało podejrzanego – ofiary tak, ale nigdy wcześniej nie podejrzanego. W ekshumacji uczestniczyli także policjanci z wydziału zabójstw z Baltimore. Kiedy otworzyli grobowiec, rozległ się odgłos przypominający otwieranie olbrzymiej puszki pepsi. Ciało znajdowało się we względnie dobrym stanie, było jedynie lekko nadgniłe, ale ten zapach...

– Wyobraź sobie najgorszy smród rozkładu, tylko dziesięć razy silniejszy – powiedział Pool.

Nic dziwnego, że detektywi z wydziału zabójstw w Baltimore, wchodząc na zbocze, na którym pochowano tego człowieka, zapalili cygara.

Pool zapakował zęby podejrzanego oraz jego włosy do bagażu podręcznego. Kość udową oraz inne części zwłok umieścili na suchym lodzie, włożyli do pudełka i odprawili na lotnisku. Na miejscu w hrabstwie Orange Pool poszedł odebrać bagaż. Zauważył, że pudełko kręcące się na

lotniskowej karuzeli przecieka.

Badanie DNA potwierdziło jego przypuszczenia. Odciski palców zmarłego faceta nie należały do Niego.

Doug Fiedler<sup>[34]</sup> musiał być Nim.

Pewnego dnia, minutę po północy, w mojej skrzynce odbiorczej zmaterializował się e-mail podpisany „John Doe”.

John Doe nigdy nie wyjaśnił, dlaczego wolał zachować anonimowość. Zależało mu na czymś innym: dowiedział się o mnie z jakiegoś podcastu, gdy opowiadałam o sprawie, i chciał podzielić się ze mną czymś, co uważał za dobrą wskazówkę. „Worldcat.org to cenne narzędzie wyszukiwania, dzięki któremu można się dowiedzieć, w jakich bibliotekach znajduje się konkretna książka albo inne media. Kiedy wpisujesz w wyszukiwarce tytuł *Sudden Terror* detektywa Cromptona, otrzymujesz następujące miejsca: Salem, Oregon, Post Falls, Idaho, Hayden Lake, Idaho, Sidney, Nebraska, Los Gatos, California. Może EAR-ONS posłużył się swoją biblioteką, aby w ten sposób wejść w posiadanie książki i uniknąć kupowania jej on-line?”

To był interesujący pomysł. Książka *Sudden Terror* została wydana przez samego autora; wydawało się mało prawdopodobne, żeby oferowała ją jakaś biblioteka, jeśli konkretny użytkownik nie zażądał od niej dokonania zakupu. Byłam dość pewna tego, kto odpowiadał za Oregon i Kalifornię (emerytowani detektywi), więc skupiłam uwagę na Idaho i Nebrasce. Wiedziałam, że biblioteki nie podzielą się ze mną nazwiskami osób, które wypożyczyły książkę, ponieważ ochrona prywatności użytkowników jest dla nich ważna. Wpatrywałam się w swój komputer. Czekał na mnie pusty pasek wyszukiwania. Musiałam wymyślić sposób, aby go użyć. Postanowiłam wprowadzić odpowiednie kody pocztowe wraz z nazwiskami członków pewnej grupy osób, co do których miałam przekonanie, że EAR mógł

w ciągu lat, jakie upłynęły od tamtej pory, do nich dołączyć: posłużyłam się rejestrem osób skazanych za przestępstwa seksualne.

Przez jakąś godzinę przeczesywałam spojrzeniem policyjne zdjęcia osobników zdeprawowanych i oddających się perwersji. Miałam poczucie, że to czysta strata czasu. I wtedy go zobaczyłam. Poczułam jakiś błysk, po raz pierwszy odkąd zaczęłam zajmować się tą sprawą: Ty!

Przejrzałam statystykę. Ten człowiek, Doug Fiedler, urodził się w roku 1955, był odpowiedniego wzrostu, odpowiedniej wagi, pochodził z Kalifornii. Pod koniec lat osiemdziesiątych został skazany w tym stanie za kilka przestępstw o charakterze seksualnym, w tym gwałt z użyciem siły lub zastraszania, oraz akty lubieżne i występne w stosunku do dziecka w wieku poniżej lat czternastu.

Dzięki stronie poświęconej genealogii dowiedziałam się, że jego matka pochodziła z dużej rodziny mieszkającej w hrabstwie Sacramento. Wraz z każdą nową zdobywaną informacją mój puls przyspieszał. Na początku lat osiemdziesiątych, a przypuszczalnie wcześniej, matka mieszkała w północnej części Stockton, blisko miejsca, gdzie EAR dokonał swoich gwałtów. Była żona Douga miała adresy w całym hrabstwie Orange, w tym jeden w Dana Point, zaledwie dwa i pół kilometra od domu, w którym zamordowano Keitha i Patty Harringtonów.

Mój podejrzany miał na ramieniu tatuaż przedstawiający zwierzę – łatwo można je było rozpoznać jako byka (pewna młoda dziewczyna, która widziała gwałciciela w swoim domu, poddana hipnozie przypomniała sobie, że na przedramieniu miał tatuaż przypominający byka z butelki Schlitz Malt Liquor).

Wpisałam nazwisko Douga w wyszukiwarkę archiwum Google News. Aż podskoczyłam na krześle, gdy zobaczyłam rezultaty. W sierpniu 1969 roku w „Los Angeles Times” ukazał się tekst o dziewiętnastoletnim chłopcu

uderzonym patelnią, a potem zadżganym na śmierć przez swojego młodszego przyrodniego brata, który stanął w obronie matki podczas rodzinnej kłótni. Jak się nazywał ten młodszy brat? Doug Fiedler.

Uderzenie tępym narzędziem. Nóż. EAR robił mnóstwo dziwnych rzeczy podczas popełniania swoich zbrodni, ale dla mnie jedną z najdziwniejszych były pojawiające się od czasu do czasu łkanie i płacz. Te pojawiające się czasem błagalne wołania wśród łkań: „Mamo! Mamo!”.

Doug mieszkał teraz z matką, w podeszłym wieku, w niewielkim miasteczku w Idaho. Dzięki Google Street View zobaczyłam, że to skromny biały dom przysłonięty przez nadmiernie wybujałe chwasty.

Nie powiedziałam tego wprost, ale kiedy napisałam e-maila do Poola, informując go o Dougu Fiedlerze, czułam, że istnieje ogromna szansa, że wręczam mu na tacy mordercę.

„Niezły połów – odpisał Pool. – Dobry profil i budowa fizyczna. Właśnie potwierdziłem przez telefon oraz na podstawie innych danych, że został wyeliminowany na podstawie DNA (CODIS)”.

Przez wiele godzin czułam się, jak gdybym pędziła ulicą i nic nie stawało mi na drodze, zupełnie jakbym złapała zieloną falę. A teraz to się skończyło. Uświadomiłam sobie, że mądrość podróżnika w czasie może być zwodnicza. Wracamy w przeszłość uzbrojeni w więcej informacji i najnowsze zdobyte techniki. Ale istnieje pewne ryzyko związane z tym, że masz tak wiele możliwości do dyspozycji. Uczta gromadzenia danych oznacza, że trzeba ze sobą połączyć albo nagiąć więcej okoliczności. Pojawia się pokusa, żeby z tego nadmiaru fragmentów zbudować obraz poszukiwanego złoczyńcy. To zrozumiałe. Poszukujemy schematów, wszyscy. Zerkamy na zgrubny zarys tego, za czym gonimy, a potem się na nim fiksujemy, tkwiąc czasami w miejscu, choć moglibyśmy się uwolnić i pójść dalej.

„Podrzucaj mi takich podejrzanych jak on!” – napisał Pool.

Starał się delikatnie podchodzić do rozczarowania. Sam już to przerabiał. Po jego opowieści o tym, jak bardzo był podekscytowany na samym początku tej sprawy, gdy znalazł się na tropie pewnych podejrzanych, spytałam go, jak reaguje dziś, piętnaście lat później. Odegrał pantomimę: dostaje raport, przegląda go uważnie, w milczeniu i z powagą.

– Okay – powiedział krótko, a potem pokazał, jak rzuca go na stertę.

Ale widziałam też, jak przywoływał dla mnie z pamięci inną chwilę, tę, kiedy wchodził do gabinetu swojego szefa i dostrzegł grupę oczekujących na niego oficjeli, na progu tego momentu, który możesz wyobrazić sobie przez cały okres pracy w policji i nigdy go nie przeżyć. Widziałam, jak szybko czasami odpowiada na moje e-maile, kiedy pojawia się coś interesującego.

Widziałam, jak pokazuje ten gest triumfu i słyszałam okrzyk: „Tak!”. Wiedziałam, że po cichu nadal tęskni za tą chwilą i pragnie przeżyć ją jeszcze raz.

---

[32] Pseudonim.

[33] Pseudonim.

[34] Pseudonim.

## LOS ANGELES, 2014

– Kiedy ludzie myślą o *Rockym*, w ogóle nie pamiętają o tej pierwszej scenie, kiedy bohater idzie trenować. Nogi go bolą. Najlepsze lata ma już za sobą. Jest lodowate zimno. Z trudem łapie oddech. Ledwo potrafi wejść na te schody.

Patton próbował podnieść mnie na duchu, opowiadając mi o starym filmie. Cały czas słyszał ode mnie o tropach prowadzących donikąd. Ile zwykły człowiek może znieść takich rozczarowań, zanim da za wygraną?

– Ale Rocky po prostu każdego ranka wstawał i robił to jeszcze raz. A potem jeszcze raz. Zupełnie jak ci faceci od nierozwiązanych spraw. Wkładasz w to maksimum czasu i energii. Dzwonisz, gdzie możesz. Przedzieras się przez te pudła. Namawiasz ludzi, żeby zeznawali. Pobierasz próbki. A potem odpowiedź jest ciągle ta sama: nie. Nie możesz pozwolić, żeby to cię załatwiło. Musisz obudzić się następnego ranka, wypić kawę, zrobić porządek na biurku i zacząć wszystko od początku, jeszcze raz.

Uświadomiłam sobie, że opowieść Pattona była także o nim samym, o tym, jak ciągle wracał na scenę, gdy jako młody aktor nie dostawał ani grosza, a mimo to ciągle stawał przed wrogo nastawioną publicznością. Ma w sobie tę palącą determinację i lubi słuchać o ludziach, którzy są w pewien sposób do niego podobni. Czasem zauważam, że kiedy stoi przy zlewie i zmywa naczynia, jego wargi poruszają się, ale nie słyszę żadnego dźwięku.

– Co ty tam robisz? – spytałam go raz.

– Pracuję nad dowcipem – powiedział.



Zaczyna jeszcze raz. Stara się być lepszy. Jeszcze raz, od początku.

– Rocky nie pokonał Apolla Creeda, pamiętasz – ciągnął. – Ale go zaskoczył, jego i cały świat, ponieważ nie chciał się poddać.

Mieliśmy kolację z okazji ósmej rocznicy naszego ślubu. Patton uniósł kieliszek wina. Widziałam w jego oku błysk nadziei, że uda mu się jakoś mnie wytrącić z odrętwiającego poczucia klęski, w jakie popadłam w obliczu tych wszystkich niepowodzeń.

– Widzę w twojej przyszłości galerię schwytanych łotrów i złoczyńców – oświadczył.

– Przestań – zachnęłam się – Nie mów tego.

Wiedziałam, że ma dobre intencje, ale nie mogłam, albo nie chciałam, wyobrazić sobie przyszłości.

– Nie chcę galerii łotrów i złoczyńców – dodałam – On jest tylko jeden.

W chwili gdy wypowiadałam te słowa, uświadomiłam sobie, jak chorobliwie to zabrzmiało. Chodziło mi tylko o to, że nie potrafiłam sobie wyobrazić, żebym po sprawie Gwałciciela ze Wschodniej Strony miała jeszcze kiedykolwiek ochotę tak gorączkowo kogoś szukać, tak bez wytchnienia łapać znowu zieloną falę, nawet nie myśląc o tym, że na końcu znowu nadzieję się na mur, jeszcze raz.

Patton wyjął spod stołu duże pudełko, pięknie zapakowane w elegancki papier. Jest prawdziwym mistrzem dawania prezentów. Uwielbia wynajdywać młodych artystów i rzemieślników i tworzyć we współpracy z nimi niepowtarzalne podarunki. Pewnego roku zamówił coś, co żartobliwie nazywamy figurką nieakcji, która przedstawia mnie samą – siedzę na łóżku w piżamie, z vanilla latte ze Starbucksa w dłoni, a przede mną stoi otwarty laptop z moją stroną internetową poświęconą prawdziwej zbrodni. Innym razem poprosił młodego artystę pracującego w metalu o zrobienie drewnianej szkatuły. Na froncie znajduje się plakietka z brązu przedstawiająca dom,

w którym mieszkaliśmy przez siedem lat. Wewnątrz jest mnóstwo miniaturowych szuflad, z których każda zawiera jakieś wspomnienie z naszego wspólnego życia – bilety z przedstawień, notatki z kuchni.

W zeszłym roku poprosił artystę Scotta Campbella o namalowanie trzech małych akwarel, które przedstawiają mnie patrzącą na jakiegoś sławnego przestępcę. Na jednej, trzymając filiżankę kawy, patrzę z góry na Zodiac Killera. Na drugiej trzymam w ręku notatnik, jakbym zabierała się do przesłuchania D.B. Coopera, słynnego porywacza samolotu. Na trzeciej trzymam laptop, na mojej twarzy widać tajemniczy uśmiech, stoję twarzą w twarz z Nim, zamaskowanym i nieznanym, moją zmorą – EAR.

Otworzyłam tegoroczny prezent. Patton poprosił introligatora, aby profesjonalnie oprawił mój artykuł z „Los Angeles” i umieścił w zrobionym na zamówienie czarnym futerale. W futerale znajduje się przegródka, w której mogę przechowywać najważniejsze notatki na temat swojej historii. W dolnej szufladce umieścił DVD z wywiadem, jakiego udzieliłam miejscowym wiadomościom.

Później uświadomiłam sobie, że od dwu lat z rzędu prezenty, jakie dostaję z okazji rocznicy ślubu, są w taki czy inny sposób związane z Gwałcicielem ze Wschodniej Strony.

Ale wcale nie na tym polegał najbardziej znaczący sygnał świadczący o tym, do jakiego stopnia EAR zdominował moje życie. Rzecz w tym, że zapomniałam podarować Pattonowi choćby pocztówkę.

## SACRAMENTO, 2014

Holes niestrudzenie szukał czegoś w przeszłości Walthera. Dom rodziny tego podejrzanego przy Sutter Avenue w Carmichael znajdował się w obrębie centralnej strefy buforowej, wokół której polował EAR. W połowie lat siedemdziesiątych Walther pomagał matce w pracy polegającej na zarządzaniu kompleksami mieszkaniowymi dla ludzi o niskich dochodach w Rancho Cordova; jeden z tych kompleksów znajdował się tuż obok miejsca, gdzie zaatakował Gwałciciel ze Wschodniej Strony. Holes dowiedział się, że w maju 1975 roku Walther uczestniczył w poważnym wypadku samochodowym w Sacramento, po którym pozostały mu blizny na twarzy. Ofiara numer siedem próbowała pewnej psychologicznej sztuczki i oświadczyła gwałcicielowi, że jest dobry w łóżku. Odparł, że ludzie zawsze się śmieją na widok jego przyrodzenia, co przypuszczalnie pokrywało się z prawdą, ponieważ rzeczywiście był skromnie obdarzony przez naturę. EAR powiedział także: „Coś się wydarzyło z moją twarzą”.

Cztery ataki nastąpiły w odległości nieco ponad pół kilometra od szkoły średniej Del Campo High School, do której chodził Walther. Ojciec jednej z ofiar był nauczycielem w innej szkole, dokąd Walther się przeniósł, porzuciwszy naukę w Del Campo. W 1976 roku Walther pracował w restauracji Black Angus; dwie ofiary wymieniały ten lokal w rozmowie ze śledczymi jako miejsce, które często odwiedzały.

W 1978 roku Walther zaczął pracować dla Western Pacific Railroad; przy tej okazji jeździł do Stockton i Modesto oraz przejeżdżał przez Davis (jadąc

do Milpitas) dokładnie wtedy, gdy EAR zaczął pojawiać się w tych okolicach. W sierpniu 1978 roku Walther dostał dwa mandaty za przekraczanie prędkości w Walnut Creek. Ataki gwałciciela w rejonie Wschodniej Zatoki zaczęły się dwa miesiące później. W związku z jednym z tych mandatów Walther miał stawić się w sądzie; data podana w nakazie wypadała na dwa tygodnie przed tamtejszymi napaściami.

W 1997 roku Walther został zatrzymany przez patrol drogowy, ponieważ nie stanął przed znakiem stop. Znalaziono wtedy przy nim dwa noże z długim ostrzem, umieszczone przy pasku, w pochwie z szarej taśmy. Dokumenty sądowe związane z aresztowaniem Walthera z powodu przemocy domowej wskazują, że groził swojej ekszynie, mówiąc: „Posiekam cię na drobne kawałki”.

„Bądź cicho albo cię posiekam” – mówił EAR. Często groził ofiarom, że obetnie im uszy, palce rąk albo nóg.

Walther albo nie żył, albo czynił herkulesowe wysiłki, aby nikt go nie znalazł. Holes wielokrotnie dzwonił do okolicznych biur koronera z pytaniem, czy nie mają zwłok niezidentyfikowanych osobników (John Doe) o wyglądzie podobnym do rysopisu Walthera. W końcu udało mu się odnaleźć jedyne dziecko Walthera – porzuconą córkę. Detektyw z wydziału śledczego w Contra Costa powiedział jej, że szukają jej ojca, ponieważ należą mu się jakieś pieniądze z okresu, gdy w 2004 roku siedział w więzieniu. Córka oświadczyła, że po raz ostatni rozmawiała z ojcem w 2007 roku. Zadzwoił do niej wtedy z jakiejś budki telefonicznej. W tym czasie żył jako bezdomny w Sacramento.

Holes poprosił policjantów z Sacramento o sprawdzenie, czy nie mają jakichkolwiek papierów, w których pojawiłoby się nazwisko Walthera; bezdomni często wchodzą w drobne konflikty z policją. Jeśli Walther żył jako bezdomny w rejonie Sacramento, jego nazwisko przypuszczalnie zostało

odnotowane w jakimś raporcie. Może notatka nigdy nie trafiła do systemu, ale tkwi gdzieś w archiwach. Wreszcie ktoś oddzwonił.

– Nie mamy Walthera – powiedział funkcjonariusz – ale jego brat jest wymieniony jako świadek pewnego przestępstwa. Mieszka w przyczepie za Union 76, w Antelope.

Holes wyjął z materiałów poświęconych Waltherowi kopię aktu nabycia nieruchomości wystawionego na jego brata. Z domem nie wiązał się żaden kredyt hipoteczny, ponieważ brat dostał nieruchomość bezpośrednio od ojca. Holes był zdziwiony.

– Czemu brat Walthera miałby żyć bezdomnie? – spytał rozmówcę.

W telefonie zaległa cisza.

– Jesteście absolutnie pewni, że rozmawialiście bratem Walthera?

Nieco później ludzie z Biura Szeryfa Hrabstwa Sacramento zadzwonili jeszcze raz; to był telefon, na który czekał. Policjanci podeszli do brata Walthera z bardzo poważnymi minami i pokazali mu przenośne urządzenie do zdejmowania odcisków palców; wtedy tamten skulił się w sobie i uniósł ręce do góry. Przyznał się do swojej prawdziwej tożsamości. Odciski palców to potwierdziły – bezdomnym człowiekiem był Jim Walther. Pobrali od niego próbkę DNA i wysłali ją do laboratorium.

Podczas wycieczki po interesujących nas miejscach w rejonie Wschodniej Zatoki Holes w pewnym momencie zatrzymał samochód w Danville i pokazał mi dokładnie, w którym miejscu 2 lutego 1979 roku znaleziono śpiącego Walthera w jego pontiacu le mans. Mimo to pewne pytania nadal nie dają mu spokoju. Dlaczego ktoś miałby się ukrywać przez osiem lat tylko po to, aby uniknąć trzydziestodniowego wyroku?

Niemniej otrzymał odpowiedź na najważniejsze pytanie, która kosztowała go osiemnaście miesięcy śledztwa.

– To nie był on – stwierdził. Pokręcił głową. – Ale powiem ci: był jego

cieniem.

Wpatrywaliśmy się w miejsce, gdzie parkował Walther.

– Jesteś pewien, że zrobili wszystko tak jak trzeba? – spytałam z myślą o teście DNA.

Holes zawahał się na ułamek sekundy.

– Ci z Sacramento są bardzo dobrzy w tej robocie – powiedział.

Pojechaliśmy dalej.

## SACRAMENTO, 1978

Z detektywem Kenem Clarkiem staliśmy przed domem we wschodnim Sacramento, gdzie w lutym 1978 roku popełniono podwójne morderstwo. Mój towarzysz nagle ocknął się ze swoich myśli i spytał: „Popierasz Obamę?”. Uśmiechaliśmy się do siebie przez chwilę, a potem wybuchliśmy śmiechem. Wzruszył ramionami, lekceważąc różnice polityczne, i wrócił do przerwane wątku. Clark nie przestawał nadawać. Nie miałam szans, żeby coś wtrącić, ale to działało na moją korzyść. Staliśmy przed podwórkiem, na którym Gwałciciel ze Wschodniej Strony, jak sądzi Clark, zastrzelił dwoje młodych ludzi. Morderstwa małżeństwa Maggiore nigdy w sposób definitywny nie powiązano z postacią gwałciciela, ale Clark znalazł niedawno policyjne raporty dowodzące, że tamtej nocy w okolicy odnotowano włamanie i obecność tajemniczego osobnika działającego podobnie jak EAR, który poruszał się coraz bliżej i bliżej, aż w końcu Katie i Brian Maggiore w tajemniczych okolicznościach zginęli zastrzeleni podczas spaceru z psem. Wielu świadków widziało wtedy podejrzanego. Kiedy opublikowano portret pamięciowy sprawcy, EAR nagle przeniósł się na zachód, do hrabstwa Contra Costa. Wprawdzie Paul Holes, jak mi powiedział, nie wierzy w teorię, jakoby gwałciciel został wypłoszony z Sacramento, ale zdaniem Clarka wpadł w panikę. Pokazuje mi portret pamięciowy. „Myślę, że to najlepiej oddaje jego wygląd”.

Clark pokazuje mi też dawne raporty policyjne, przez które teraz się przekopuje w poszukiwaniu tropów. Można w nich znaleźć notatki

o zatrzymaniu podejrzanych pojazdów i obecności podglądaczy. Tak wielu rzeczy nie uważano wtedy za istotne. Clark nie potrafi wyjaśnić dlaczego. Ale się tym zadrecza. „Wypuścili na wolność dobrego podejrzanego, ponieważ jego bratowa powiedziała, że poszła się raz z nim kąpać nago i jej zdaniem ten facet miał penisa przyzwoitych rozmiarów”. (EAR nie miał). „Inny, nie żartuję, naprawdę, miał »za dużą dolną wargę«”.

W Sacramento jest ciągle mnóstwo wątków do zbadania. Co go tu ściągnęło? Czy to zbieg okoliczności, że wszystkie gałęzie sił zbrojnych przeniosły szkolenie swoich nawigatorów do bazy lotniczej Mather 1 lipca 1976 roku, akurat wtedy, gdy zaczęły się gwałty? A co z Uniwersytetem Stanowym w Sacramento? Kalendarz roku akademickiego pokrywa się idealnie z okresem popełniania zbrodni (EAR nigdy nie atakował podczas szkolnych wakacji). Za pomocą nowych technologii specjalista od profilowania geograficznego wyznacza ulice, w rejonie których, jak sądzi, mógł mieszkać gwałcieł. Odwiedzam te okolice. Rozmawiam ze starymi mieszkańcami. To, co udaje mi się znaleźć, przekazuję gronu zaangażowanych w polowanie detektywów amatorów z laptopami.

[Uwaga wydawcy: Michelle McNamara zmarła 21 kwietnia 2016 roku].



# **CZEŚĆ TRZECIA**

[Uwaga wydawcy: W chwili śmierci Michelle była w połowie pracy nad książką *Obsesja zbrodni*. Przygotowaniem tekstu do publikacji zajęli się wspólnie Paul Haynes, inaczej Dzieciak, główny współpracownik Michelle w dziedzinie wyszukiwania informacji, oraz znany dziennikarz śledczy Billy Jensen, przyjaciel Michelle, starając się powiązać ze sobą luźne wątki i uporządkować materiały pozostawione przez autorkę. Poniższy rozdział został napisany wspólnie przez Haynesa i Jensa].

Jakiś tydzień po śmierci Michelle uzyskaliśmy dostęp do jej twardych dysków i zaczęliśmy przeglądać zgromadzone przez nią pliki poświęcone Zabójcy z Golden State. Wszystkie trzy i pół tysiąca. Nie licząc dziesiątków notatników, bloczków liniowanego papieru, oderwanych kawałków papieru, tysięcy zdigitalizowanych stron policyjnych raportów. A także trzydziestu siedmiu pudeł akt, które Michelle otrzymała z Biura Prokuratora Rejonowego Hrabstwa Orange; z czułością nazywała te pudła swoją żyłą złota.

Tysiące kawałków układanki, ale tylko jedna osoba wiedziała, jak całość ma ostatecznie wyglądać. Tą osobą nie była Michelle. Tą osobą był sam zabójca.

Białym wielorybem z opowieści Michelle nie był zabójca Czarnej Dalii ani Zodiac Killer, ani nawet Kuba Rozpruwacz – znani bohaterowie nierozwiązanych spraw, którzy mieli na sumieniu stosunkowo niewiele ofiar, a tym samym „wytworzyli” niewiele akt zawierających materiały ze śledztwa.

Nie. Michelle polowała na potwora, który zgwałcił co najmniej pięćdziesiąt kobiet i zamordował co najmniej dziesięć osób. W tej sprawie w grę wchodziło ponad pięćdziesiąt pięć miejsc zbrodni oraz tysiące dowodów rzeczowych.

Otworzyliśmy główny twardy dysk w komputerze Michelle i zaczęliśmy czytać rozdziały, które udało jej się dokończyć. Jeszcze raz przypomniały nam, co nas tak fascynowało w jej sposobie pisanania.

To proza, która natychmiast trafia do czytelnika i już go nie wypuszcza, splatając ze sobą opowieści o wędrownkach Michelle śladami zabójcy po ulicach Rancho Cordova, Irvine czy Golety. Poznajemy ogromną masę detali. Jednak jej styl, zarazem pełen empatii i wnikliwy, bez problemu wtapia szczegóły w płynną narrację. W chwili gdy przeciętny czytelnik mógłby poczuć się zmęczony nadmiarem faktów, Michelle nagle bawi się językiem albo pokazuje jakiś znamieny detal, który błyskawicznie ożywia opowieść. W swoich szkicach do książki i w tekstach z *True Crime Diary* Michelle zawsze znajdowała idealną równowagę między typowymi skrajnościami gatunku. Nie wzdragała się przed przypominaniem najważniejszych elementów horroru, a jednocześnie unikała nadmiernego epatowania czytelnika krwawymi, ponurymi szczegółami, podobnie jak odkładała na bok świętoszkowate osądy czy próby hagiografii ofiar. Jej słowa wydobywały na plan pierwszy samą intrygę, pobudzały ciekawość, kompulsywne pragnienie, aby rozwiązać zagadkę i wypełnić treścią budzące grozę białe plamy.

Niemniej pewnych fragmentów tej opowieści Michelle nie zdążyła napisać. Ułożyliśmy książkę z tego, co udało jej się dokończyć. Michelle potrafiła wydobywać na pierwszy plan niuanse, jakich zwykle nie spotyka się w opowieściach o prawdziwych zbrodniach (może z wyjątkiem Trumana Capote'a – ale kiedy on szukał jakiegoś dobrego punktu zaczepienia, czasami po prostu go wymyślał). Michelle pisała książkę z gatunku non-fiction stylem, którego nie sposób naśladować. Zastanawialiśmy się nad tym i nawet zrobiliśmy małą próbkę. Jednak rezultaty były mizerne. Opowiedziała tę historię w tak wielu formach – w rozdziałach, które zdążyła skończyć, w tekście dla czasopisma „Los Angeles” i w swoich licznych postach na

blogu – że mieliśmy dość materiału, aby wypełnić mnożące się luki w tekście.

Co powiedziawszy, musimy przyznać, że bez wątpienia o pewnych sprawach napisałyby bardziej wyczerpująco, gdyby mogła dokończyć tę książkę. Wiele plików albo odręcznych notatek wskazywało na jakiś wątek, którym pragnęła podążać – albo ślepy zaułek, który przypuszczalnie z czasem by zarzuciła. O ile u przyjaciół na liście rzeczy do zrobienia przed śmiercią znajdziemy takie niewymyślne pomysły jak „Wycieczka do Paryża” czy „Spróbować skoków na spadochronie”, na liście Michelle było „Pojechać do Modesto”, „Skompletować katalog adresowy mieszkańców Golety” oraz „Dowiedzieć się, w jaki sposób można dostarczyć DNA do 23andMe albo Ancestry.com”.

W 2011 roku, wkrótce po opublikowaniu pierwszego tekstu w *True Crime Diary* poświęconego postaci Gwałciciela ze Wschodniej Strony – Pierwotnego Nocnego Łowcy (nie nadała mu jeszcze wtedy przydomka Zabójca z Golden State), Michelle zwróciła uwagę na Paula, gdy zamieścił link do jej tekstu na forum miłośników serialu *Cold Case Files* sieci A&E, które w tamtych czasach było jedynym miejscem, gdzie toczyła się rozmowa o tej sprawie.

Michelle napisała do niego natychmiast.

„Cześć! – zaczęła. – Jesteś jednym z moich ulubionych autorów postów”. Po czym opisała pewne niedawno odkryte przez siebie rzadkie nazwisko; chodziło jej o to, że nieliczne osoby nim obdarzone mieszkały w miejscach o intrygującej geografii. Może warto było się tym zająć?

„Zmagam się z bezsennością” – wyjaśniła – i kiedy nie mogę zasnąć, usiłuję wytropić jakichś dobrych podejrzanych w sprawie EAR. Nie wiem, na czym polega twój system, jeśli masz takowy, ale robiłam ostatnio dwie

rzeczy: przeglądałam nazwiska z cmentarza w Golecie oraz z list absolwentów licznych szkół w Irvine, zwłaszcza w okolicy Northwood. Nie całkiem liczenie owiec, ale na swój sposób usypiające”.

Rezultaty bezsenności Michelle można było znaleźć czarno na białym na jej twardym dysku:

- Stare mapy i fotografie lotnicze Golety, które porównywała z mapą pochodzącą z zestawu dowodów zwanych pracą domową.
- Zdjęcia odcisków butów i więzów do krępowania ofiar z miejsc zbrodni.
- Opis narzędzia do wycinania darni, przypuszczalnie użytego do zamordowania Cheri Domingo.
- Katalog, pękający w szwach, poświęcony Szperaczowi z Visalii oraz teoriom, jakie wysuwała, aby powiązać go ze sprawą EAR-ONS.

Znaleźliśmy także listę zawierającą niektóre konkretne przedmioty zabrane przez Gwałciciela ze Wschodniej Strony z domów ofiar:

- Srebrna dolarówka „MISSILE”
- Srebrna dolarówka „M.S.R.” 8.8.72
- Pierścionek z „Dla mojego anioła” 1.11.70
- Para spinek do mankietów z żółtego złota, inicjały „NR” kursywą
- Złoty męski pierścionek, diament 0,80 karata, kwadratowy, 3 złote samородki
- Pierścionek „[usunięte] Zawsze [usunięte]” 2.11.71
- Złota obrączka, inicjały WSJ
- Srebrna obrączka Prelude by International
- Pierścień absolwenta Lycoming College 1965.

A także notatkę wskazującą, że gwałciciel miał szczególne upodobanie do radiodbiorników z zegarem. Ukradł pięć z nich.

Wśród dokumentów znajdował się także arkusz kalkulacyjny zawierający nazwiska i adresy zespołu biegaczy z Dos Pueblos High School, rocznik 1976 – królicza nora, w którą zagłębiała się z nadzieją, że EAR mógł być kiedyś młodym biegaczem o muskularnych nogach.

Jeden z dokumentów nosił tytuł: „Potencjalni podejrzani”. To była lista, uzupełniana z upływem czasu, zawierająca notatki i fragmenty informacji dodawanych przez Michelle, w miarę jak sprawdzała nazwiska i daty urodzin potencjalnych podejrzanych. Niektóre materiały zachowały tag „wysłane z mojego iPhone’a” – co wskazywało, że ich zawartość powstawała jako szybka notatka sporządzona podczas nudnej premiery filmowej.

W innym notatniku zapisała: „Nie należy nie doceniać fantazji: nie gwałci w obecności mężczyzn – boi się mężczyzny; funkcjonalność; prywatność, wściekły, skrępowany mężczyzna nie jest elementem jego fantazji. Mamusia i płacz. Bez wyrzutów sumienia. Przypuszczalnie element fantazji”.

Robiła nawet notatki poświęcone własnej psychice:

- Był kompulsywnym podglądaczem i poszukiwaczem. My, którzy na niego polujemy, cierpimy na to samo. On zaglądał przez okno. Ja naciskam ciągle „enter”. Enter. Enter. Klikam myszką klik, klik.
- Szczury szukające swojego pożywienia.
- Przyływ adrenaliny daje samo polowanie, a nie schwywanie. On jest jak fałszywy rekin ze *Szczęk*. Prawie go nie widać, więc budzi lęk podwójny.

Michelle starała się docierać do świadków wymienianych w dawnych raportach policyjnych, jeśli miała poczucie, że jakiś szczegół pominięto, nie poświęcono mu dość uwagi, albo przyszło jej do głowy jakieś palące pytanie, którego śledczy nie zadali. Jednym z takich świadków był Andrew Marquette<sup>[35]</sup>.

Noc 10 czerwca 1979 roku była wyjątkowo gorąca. Marquette nie mógł

zasnąć, zostawił więc otwarte okno w sypialni, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Koło północy usłyszał odgłos czyichś kroków na kamiennej ścieżce pod swoim oknem. Wyrzwał i zauważył jakiegoś nieznajomego, który powoli przekradał się wzdłuż jego domu, intensywnie wpatrując się w okno sąsiadów. Marquette spojrział w tamtą stronę i zobaczył parę z sąsiedztwa kładącą dziecko spać.

Marquette nadal obserwował podejrzanego osobnika, który przemknął w stronę sosny i zniknął w ciemnościach. Przyniósł pistolet kaliber 22, który trzymał w pobliżu łóżka, i przeładował broń. Tajemniczy mężczyzna musiał rozpoznać ten dźwięk, ponieważ natychmiast rzucił się do ucieczki, przeskakując przez płot w stronę trawnika przed domem. Marquette poszedł do domu sąsiadów i zapukał do frontowych drzwi. Ale nikt nie odpowiedział.

Odniósł pistolet do domu i jeszcze raz ruszył w stronę drzwi sąsiadów. W połowie drogi zobaczył, że światła przejeżdżającego samochodu, omiatające domy po północnej stronie ulicy, wydobyły na krótko z mroku postać podglądacza, który siedział teraz na rowerze, opierając się o jakiś dom. Kiedy Marquette ruszył w jego stronę, podejrzany zaczął szybko pedałowac przez trawnik i po chwili zniknął w ciemnościach. Marquette zadzwonił na policję. Ludzie szeryfa zaczęli jeździć tam i z powrotem po okolicy, szukając podglądacza, ale bezskutecznie.

Kilka godzin później, niecały kwartał dalej, EAR zaatakował po raz czterdziesty siódmy. Śledczy ponownie skontaktowali się z Marquette'em podczas zbierania informacji w okolicy. Opowiedział policjantom tę samą historię.

Podejrzany osobnik był białym mężczyzną po dwudziestce, miał włosy do kołnierzyka, nosił lewisy i T-shirt ciemnej barwy – co zgadzało się z opisem podanym przez ostatnią ofiarę gwałciciela. Później tego samego ranka kilka przecznic dalej znaleziono porzucony rower, na którym uciekał

podejrzany osobnik; obok niego leżała puszka piwa Olympia, zabrana z lodówki ofiary. Śledczy szybko ustalili, że ten sam rower kilka godzin przed atakiem został skradziony z otwartego garażu półtora kilometra dalej. Niedaleko garażu detektywi znaleźli parę białych sznurowadeł zawiązanych na supeł.

Michelle czuła, że warto jeszcze raz porozmawiać z Marquette'em. Skontaktowała się z nim pod koniec 2015 roku.

Wysłała mu naszkicowaną przez siebie mapę oraz schematyczny zarys przebiegu wydarzeń tego wieczoru, tak jak je rozumiała, z prośbą o potwierdzenie i uzupełnienie opisu tam, gdzie to niezbędne. Przesłała mu także sporządzoną przez Paula dokumentację złożoną z siedemnastu portretów podejrzanych osobników i spytała Marquette'a, który z mężczyzn widocznych na zdjęciach najbardziej przypomina człowieka kręcącego się wokół jego domu tamtej nocy.

Przez telefon poprosiła go o podanie pierwszego słowa, jakie przychodzi mu na myśl, gdyby miałby opisać obserwowanego wówczas podglądacza. Marquette odpowiedział bez wahania: „uczeń”.

W pliku z 2011 roku zatytułowanym „EAR TROPY” Michelle próbowała uporządkować wiele znanych faktów dotyczących sprawcy w jeden profil:

- Fizycznie najczęściej jest opisywany jako mężczyzna o wzroście od stu siedemdziesięciu pięciu do stu osiemdziesięciu centymetrów, o budowie pływaka. Szczupły, ale z muskularną klatką piersiową i zauważalnie masywnymi łydkami. Bardzo mały penis. Cienki i krótki. Numer buta 9–9,5. Brudne włosy blond. Nos większy niż normalnie. Krew grupy A, nie wydziela antygenów grupy krwi.
- Używał telefonu do kontaktowania się z ofiarami, czasem przed atakiem, czasem po nim. Niekiedy to były po prostu głuche telefony. Czasami towarzyszyły im teatralne, głębokie oddechy rodem z kinowego horroru



oraz groźby.

- Nosił kominiarkę. Przynosił ze sobą broń palną. Miał coś, co wyglądało jak cienka latarka, i lubił wyrywać swoje ofiary ze snu, świecąc na nie tą latarką i oślepiając je. Do krępowania ofiar używał ręczników podartych na paski albo sznurówek.
- Miał pewien scenariusz i się go trzymał. Różne warianty słów: „Rób, co mówię, albo cię zabiję”. Twierdził, że chce tylko pieniędzy albo żywności. Czasami mówił, że to na jego mieszkanie. Kiedy indziej wspominał o swoim vanie. Zmuszał kobietę do skrupowania mężczyzny, a potem ich rozdzielał. Czasami stawiał na grzbiecie mężczyzny naczynia i mówił mu, że jeśli usłyszy, że spadły, zabije kobietę.
- Często przynosił na miejsce zbrodni oliwkę dla dzieci, której używał jako lubrykantu.
- Lubiał kraść rowery w sąsiedztwie i uciekać na nich.
- Pewne związane z nim osobiste przedmioty: torba z długim suwakiem, taka jak torba lekarska albo wojskowa, niebieskie tenisówki, motokrosowe rękawiczki, sztruksowe spodnie.
- Zabierał prawa jazdy i biżuterię, zwłaszcza obrączki.
- Pewne jego wypowiedzi, które mogą być prawdziwe albo nie, mimo to są interesujące: o tym, że kogoś zabił w Bakersfield; że wraca z powrotem do LA; „Nienawidzę cię, Bonnie”; o tym, że wyrzucono go z Sił Powietrznych.
- Coś mogło się dzieć z nim pod koniec października 1977. Podczas dwu różnych napaści w tym okresie łkał, jak zeznawały potem ofiary.
- Pojazdy przypuszczalnie związane z EAR-ONS: zielony van chevrolet; żółta półciężarówka ze stopniami po bokach z lat sześćdziesiątych; volkswagen garbus.

Pewien e-mail przesłany do Michelle przez Pattona wskazuje, że wciągała

do pomocy nawet swojego teścia, który służył w US Marines, aby zrobić dla niej pewne badania dotyczące baz wojskowych w okolicy w tamtych czasach, ponieważ istniała teoria, że gwałcień mógł służyć w lotnictwie.

Początek przekazanej wiadomości:

Od: Larry Oswalt

Data: 18 kwietnia 2011, 2:01:06 PM PDT

Do: Patton

Temat: Bazy sił powietrznych wokół Sacramento

Mama mówiła, że Michelle ma trochę pytań o bazy sił powietrznych wokół Sacramento. Oto lista.

Blisko Sacramento:

McLellan zamknięta 2001

Mather zamknięta 1993

Beale nadal czynna – 60 kilometrów na północ od Sacramento.

Travis znajduje się w Fairfield, Kalifornia, nieco na północ od San Francisco, i dość daleko od Sacramento.

Napisz, jeśli potrzebujesz jakichś dodatkowych informacji.

Tata

W ciągu minionych lat wiele osób próbowało sporządzić profil Gwałciciela ze Wschodniej Strony – Pierwotnego Nocnego Łowcy. Ale Michelle chciała pójść krok dalej i głębiej przeanalizować położenie miejsc, gdzie dokonano gwałtów, aby sprawdzić, czy w odkryciu jego tożsamości może pomóc profilowanie geograficzne. Wśród fragmentów, jakie pozostawiła, są jej rozważania o geografii aktywności gwałciciela.

- Mam poczucie, że dwa najważniejsze miejsca to Rancho Cordova i Irvine.
- Pierwszy i trzeci gwałt nastąpiły zaledwie kilka metrów od siebie w Rancho Cordova. Odszedł niespiesznym krokiem z miejsca trzeciej

napaści, bez spodni, co wskazuje, że mieszkał w pobliżu.

- Zamordował Manuelę Witthuhn 6 lutego 1981 roku w Irvine. Pięć lat później zamordował Janelle Cruz. Manuela i Janelle mieszkały na tym samym osiedlu, w odległości zaledwie trzech kilometrów.
- Ciekawe, podczas napaści na Manuelę skradziono taśmę z jej automatycznej sekretarki. Czy znajdował się na niej zapis głosu podejrzanego? Jeśli tak, czy niepokoił się, że może zostać rozpoznany jako ktoś mieszkający w okolicy?

Dokument o nazwie „Georozdział” stworzony przez Michelle w sierpniu 2014 roku sumuje jej wnioski w tej kwestii po ponad trzech latach solidnych, nieustannych poszukiwań. Kiedy się go otworzy, znajdujemy tylko jeden wers: „Carmichael wygląda jak pusta polana w środku, jak strefa buforowa”.

## **POSZUKIWANIE ZABÓJCY Z UŻYCIEM GEOPROFILOWANIA**

O ile większość podstawowych cech charakterystycznych Gwałciciela ze Wschodniej Strony – jego imię, nazwisko, jego twarz – pozostaje nieznana, o tyle można z pewną rozsądną pewnością powiedzieć, że należał do grona około siedmiuset tysięcy istot ludzkich, które mieszkały w hrabstwie Sacramento w drugiej połowie lat siedemdziesiątych.

Związki sprawcy z wieloma innymi miejscami, w których dokonał swoich napaści – takimi jak Stockton, Modesto, Davis, rejon Wschodniej Zatoki – są mniej oczywiste.

Gwałciciel ze Wschodniej Strony był niezwykle aktywny w Sacramento, przejawiając taką znajomość okolicy i podejmując ataki w tak wielu różnych miejscach, że bez wątplenia wskazywało to na kogoś, kto tam mieszka. Co do

takich miejsc jak Stockton, Modesto i Davis, gdzie zaatakował dwa albo trzy razy, można się zastanawiać, jakie związki miał z tymi miastami, jeśli miał je w ogóle. Być może mieszkał tam ktoś z jego rodziny, a może miało to związek z jego pracą. Mógł też po prostu tamtędy przejeżdżać. Albo jedynie rzucił strzałką w stronę mapy.

Jednak trudno byłoby znaleźć w gronie śledczych kogoś, kto nie wierzy w to, że EAR mieszkał, a przynajmniej pracował w Sacramento.

Jeśli przyjmiemy, że mieszkał w Sacramento w latach 1976 do 1978 albo 1979, co jest niemal pewne, a następnie w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych przeniósł się do południowej Kalifornii, co jest wysoce prawdopodobne, wtedy stóg siana, w którym szukamy igły, staje się znacznie mniejszy. Wystarczy sporządzić listę osób, które mieszkały w obu tych regionach w tych okresach, a grono podejrzanych skurczy się z prawie miliona do może dziesięciu tysięcy.

Byłoby idealnie, gdyby ten proces był tak prosty jak, powiedzmy, stosowanie filtrów przy wyszukiwaniu jakiegoś produktu w Amazonie. Za pomocą kilku kliknięć można by włączyć wyszukiwanie ze względu na płeć (męską), datę urodzenia (1940–1960), rasę (biała), wzrost (metr siedemdziesiąt pięć do metra osiemdziesięciu), miejsce zamieszkania (Carmichael ORAZ Irvine; albo Rancho Cordova ORAZ Dana Point), a może jeszcze na dokładkę zawód (agent na rynku nieruchomości, pracownik budowlany, malarz, ogrodnik, architekt krajobrazu, pielęgniarz, farmaceuta, pracownik fizyczny w szpitalu, gliniarz, strażnik ALBO wojskowy – wszystkie te zajęcia brali pod uwagę i rozmaici śledczy, i domorośli detektywi z laptopami). Wystarczy ustawić te wszystkie parametry wyszukiwania i *voilà!* Dostalibyśmy dającą się opanować, ale wyczerpującą listę potencjalnych podejrzanych.

Ale to nie jest takie łatwe. Trzeba skądś wziąć nazwiska, a nie ma żadnej

centralnej bazy danych, no cóż, ludzi. Trzeba ją najpierw zbudować albo posklejać. Stworzenie takiej listy jest, prawdę mówiąc, jednym z projektów, o których Michelle myślała z największym optymizmem.

Mógł na przykład pochodzić z Visalii. A może jego rodzinnym miastem była Goleta. Mógł mieszkać w Irvine, w okolicy o kodzie pocztowym 92620. Mógł chodzić do szkoły średniej w Rancho Cordova. Jego nazwisko mogło występować zarówno w książce telefonicznej z Sacramento z 1977 roku, jak i w książce telefonicznej hrabstwa Orange z 1983. Nie potrzebujemy dostępu do zastrzeżonych informacji ani oficjalnej listy podejrzanych, aby wykryć niektórych potencjalnych podejrzanych, którzy w innym wypadku mogliby ujść niezauważeni. Wszystkie niezbędne informacje i narzędzia, jakich można by użyć do ich przetwarzania, były już dostępne w postaci umieszczonych w sieci agregatorów publicznych archiwów, archiwów podstawowych danych, archiwów dotyczących nieruchomości, roczników i książek telefonicznych z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych drukowanych na żółtym papierze (wiele z nich na szczęście zdigitalizowano).

W roku poprzedzającym śmierć Michelle Paul zaczął tworzyć listę osób mieszkających w Sacramento oraz w hrabstwie Orange w odpowiednich okresach, łącząc nazwiska zaczerpnięte z takich źródeł jak Ancestry.com, dane dotyczące ślubów i rozwodów, rejestry aktów notarialnych z odpowiednich hrabstw (co obejmowało posługiwanie się robotem indeksującym), listy absolwentów oraz dawne książki telefoniczne i katalogi numerów telefonicznych[36].

Michelle skontaktowała się następnie z pewnym programistą komputerowym z Kanady, który zaoferował swoją pomoc jako wolontariusz, w takiej postaci, w jakiej to będzie potrzebne. Kierując się wskazówkami Paula, programista zbudował narzędzie pozwalające tworzyć złożone listy i znajdować pasujące do siebie fragmenty tekstu. Paul mógł następnie

wczytać do tej aplikacji dwie albo więcej list naraz, a następnie poddać analizie pokrywające się pozycje – obecnie w liczbie ponad czterdziestu tysięcy.

Kiedy udało się wygenerować listę pokrywających się danych, Paul przejrzał ją i wykorzystując agregatory publicznie dostępnych danych, usunął pozorne zgodności (o wiele bardziej prawdopodobne w przypadku często spotykanych imion i nazwisk takich jak John Smith). Następnie starał się zgromadzić możliwie jak najwięcej informacji dotyczących interesujących osób, dopóki nie uzyskał przekonania, że ani dany osobnik, ani nikt z jego męskich krewnych nie pasuje do profilu zabójcy. Nazwiska osób, których nie mógł w ten sposób wyeliminować, zostały dodane do głównej listy potencjalnych podejrzanych.

W przypadku sprawców seryjnych włamań, gwałtów albo morderstw lista podejrzanych często rosła do kilku tysięcy nazwisk albo więcej. Trudności z posługiwaniem się wykazami o tych rozmiarach zmuszają nas do opracowania systemu priorytetów pozwalających na uporządkowanie podejrzanych w zależności od takich czynników jak wcześniejsza przeszłość kryminalna, kontakty z policją, możliwość popełnienia wszystkich zbrodni w danej serii, charakterystyka fizyczna oraz – jeśli sporządzono profil geograficzny – miejsce pracy podejrzanego i adres domowy.

Profilowane geograficzne to wyspecjalizowane narzędzie badań kryminalistycznych – być może bardziej użyteczne i naukowo podbudowane niż profilowanie behawioralne, metoda, jak można dowodzić, bardziej zbliżona do sztuki niż nauki – za pomocą którego analizuje się podstawowe miejsca łączące się z serią powiązanych ze sobą przestępstw w celu ustalenia przypuszczalnych punktów zaczepienia (dom, praca itp.) seryjnego przestępcy. Geoprofilowanie umożliwia skupienie uwagi śledczych na wyizolowanych grupach w obrębie znacznie szerszego zbioru podejrzanych.

Chociaż w ogólnym sensie śledczy nieformalnie już od pewnego czasu sięgali po metody tego rodzaju – policjantów próbujących w ten sposób odnaleźć porywacza można oglądać w filmie Akiry Kurosawy *Niebo i piekło* (1963) – metodologia profilowania geograficznego pojawiła się pod tą nazwą dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych, jakieś dziesięć lat po wejściu do leksykonu szerszej opinii publicznej wyrażenia „seryjny zabójca”. Zakładając, że w okresie działalności Gwałciciela ze Wschodniej Strony metoda nie należała jeszcze do ugruntowanych procedur śledczych, świadomość istnienia geoprofilowania nie mogła stać się czynnikiem motywującym sprawcę – który uwielbiał zostawiać fałszywe tropy – do zacierania za sobą śladów także w sensie geograficznym, poprzez dokonywanie napaści w położonych daleko od domu osiedlach w południowej Kalifornii. W dodatku zbrodni popełnionych przez niego w południowej Kalifornii nie uważano za przestępstwa Gwałciciela ze Wschodniej Strony (i jak się wydaje, bardzo mu zależało na uniknięciu takiego skojarzenia, co przypuszczalnie jest jednym z powodów tego, że zaczął zabijać swoje ofiary – aby wyeliminować świadków), aż do czasu gdy udało się ustalić istnienie takiego związku na podstawie badań DNA. Logiczna konkluzja, odwołująca się do zasady brzytwy Ockhama, sprowadza się więc do przekonania, że EAR mieszkał w południowej Kalifornii w okresie, gdy popełniał w tym rejonie swoje przestępstwa.

Gdy weźmiemy to wszystko pod uwagę – choć nie opowiadamy się za całkowitym wyeliminowaniem kogoś tylko dlatego, że nie da się z całą pewnością ustalić, czy mieszkał w południowej Kalifornii – wydaje się, że potrzebowalibyśmy naprawdę bardzo oczywistych powodów, aby zainteresować się takim podejrzanym.

Niemniej południowa Kalifornia – ze względu na niską częstotliwość znanych przestępstw gwałciciela oraz duże odległości między nimi – nie jest

idealnym miejscem dla geograficznego profilowania. Sacramento o wiele lepiej nadaje się do zbudowania profilu geograficznego, ponieważ na tym obszarze interesujący nas sprawca przejawiał największą aktywność w ciągu dziesięciu lat, gdy popełniał swoje znane zbrodnie, a tym samym dysponujemy w tym rejonie największą liczbą lokalizacji związanych z jego przestępstwami.

W sytuacji gdy znamy dwadzieścia dziewięć odrębnych lokalizacji powiązanych z potwierdzonymi atakami gwałciciela oraz blisko sto przypadków przypuszczalnie związanych z nim włamań, doniesień o podejrzanych osobnikach oraz innych incydentów, dysponujemy bardziej niż wystarczającym zbiorem danych umożliwiającym zbudowanie takiego geograficznego profilu sprawcy, który skierowałby naszą uwagę na okolice, gdzie z największym prawdopodobieństwem mieszkał EAR. W języku geoprofilowania taki obszar nazywa się strefą buforową. Strefa buforowa przypomina oko cyklonu: jest wytyczana przez typową dla seryjnych przestępców niechęć do popełniania zbrodniczych czynów zbyt blisko własnego domu.

A zatem, przynajmniej w teorii, zidentyfikowanie gwałciciela powinno po prostu sprowadzać się do kwestii znalezienia osób, które na początku lat osiemdziesiątych mieszkały w południowej Kalifornii, a poprzednio, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, w hrabstwie Sacramento – oraz najprawdopodobniej w jednej z tych stref buforowych.

Przyglądając się obszarom działania sprawcy we wczesnych fazach serii napaści, w odróżnieniu od tych, do których robił wypadki później, można poddać analizie chronologię ataków w Sacramento i podzielić je na kilka faz. Wybraliśmy pięć:

- Ataki 1–4 (przed ciszą medialną)



- Ataki 5–8 (przed ciszą medialną)
- Ataki 9–15 (po zniesieniu ciszy medialnej w następstwie pierwszej serii artykułów prasowych o seryjnym gwałcieliu działającym po wschodniej stronie Sacramento)
- Ataki 16–22 (zaczynające się wraz z podstawową zmianą *modus operandi* gwałcieliu, przejścia od napaści na samotne kobiety do napaści na pary, i poprzedzające trzymiesięczną przerwę latem 1977)
- Ataki 24–44 (po zakończeniu przerwy z lata 1977, zbiegające się z pierwszym znanym atakiem 23 w Stockton, poza terenem hrabstwa Sacramento)

Zbudowanie Google Map, z odrębną warstwą dla każdej fazy, umożliwia wyizolowanie poszczególnych faz oraz przeskakiwanie pomiędzy nimi, porównywanie rozkładu lokalizacji w obrębie faz oraz ustalenie, czy proponowany punkt zaczepienia albo narzucająca się strefa buforowa utrzymują się wraz z rozszerzaniem przez sprawcę zasięgu swojej aktywności. Dodatkowo skupiska ataków położonych bliżej siebie wskazują na okolice, których sprawca być może nie znał zbyt dobrze.

Szczególnie interesujący pod tym względem jest fragment hrabstwa Sacramento położony na styku dzielnic Carmichael, Citrus Heights i Fair Oaks, część miasta, w której napaści EAR były najbardziej rozrzucone – i gdzie można także wyróżnić najwyraźniej zarysowaną strefę buforową.

Paul przyjął założenie, że EAR mieszkał gdzieś w okolicy miejsca zaznaczonego na mapie jako North Ridge Country Club, i zauważył, że za każdym razem gdy sprawca zaatakował w omawianym obszarze, działo się to po przeciwnej stronie domniemanej strefy buforowej w stosunku do miejsca, gdzie zaatakował poprzednio – możliwe następstwo gry sił między odruchem (zmiana miejsca) a kalkulacją (unikanie obszarów o nasilonej obecności policji).

Paul postanowił podjąć próbę sporządzenia geograficznego profilu sprawcy, posługując się całkiem intuicyjną i nienaukową metodą. Wczytał zrzuty ekranu swojej Google Map do Photoshopa i zaczął rysować linie między miejscami napaści gwałciciela w tym rejonie, łącząc w pary kolejne lokalizacje. Wyznaczył środek każdej z takich linii oraz miejsce, gdzie dana linia przecinała się z inną, po czym połączył ze sobą uzyskane w ten sposób punkty, uzyskując wieloboki, które później zacieniował. Obszar powstały w wyniku nakładania się tych wieloboków, najgęściej zacieniowany, teoretycznie reprezentował w przybliżeniu bazę gwałciciela.

W kolejnej próbie w środkowym punkcie linii łączących następujące po sobie ataki narysował linie prostopadłe (przerywane), starając się odnaleźć obszar największego skupienia takich przecięć. Uzyskał podobny rezultat.

Następnie spróbował jeszcze innego, choć równie naprędce wymyślonego podejścia, rysując trójkąt łączący ze sobą trzy najdalej położone od siebie miejsca napaści po wschodniej stronie Sacramento, po czym, aby znaleźć prawdziwe centrum tego trójkąta, rysował coraz mniejsze odwrócone trójkąty, łącząc ze sobą środki boków większych trójkątów. Powtarzał tę procedurę, dopóki uzyskany trójkąt nie okazał się tak niewielki, że gdyby go wyciąć z kawałka papieru, nie dałoby się go złożyć na pół.

Wszystkie podejmowane próby – zarówno opisane powyżej, jak i te, których opis pominięto z litości dla czytelnika – przynosiły podobny rezultat wskazujący, że punkt zaczepienia gwałciciela znajdował się gdzieś w pobliżu skrzyżowania ulic Dewey Drive i Madison Avenue, na granicy między dzielnicami Carmichael i Fair Oaks. Uzyskany wniosek do pewnego stopnia znajdował potwierdzenie w wynikach studium FBI z 1995 roku (Warren i inni) stwierdzającego, że w licznych przypadkach piąty atak w serii następuje najbliżej domu sprawcy (24 procent przypadków, w porównaniu z 18 procentami przypadków, w których najbliżej domu sprawcy znajdowało

się miejsce pierwszego ataku). Piąty atak nastąpił prawie najbliżej proponowanego miejsca zaczepienia – bliżej od niego nastąpił tylko atak numer siedemnaście (w przybliżeniu o sto metrów).

Kilka lat później Michelle miała okazję zapoznać się z geograficznym profilem wykonanym w odniesieniu do ataków gwałciciela w Sacramento przez samego Kima Rossmę, ojca nowoczesnego profilowania geograficznego. Prawdę mówiąc, Rossmo jest także twórcą tego terminu.

Punkt zaczepienia proponowany przez tego kryminalistykę znajdował się w pobliżu skrzyżowania ulic Coyle Avenue i Millburn Street – około 800 metrów na północny zachód od punktu zaczepienia proponowanego przez Paula, który nawet nie zdawał sobie sprawy z istnienia analizy Rossmę.

## **POSZUKIWANIE ZABÓJCY ZA POŚREDNICTWEM RODZINNEGO DNA**

Przeglądając resztę z trzech i pół tysiąca dokumentów znajdujących się na twardym dysku komputera Michelle, natykamy się na plik o nazwie „Niedawne rezultaty DNA”, dotyczący markerów Y-STR gwałciciela (*short tandem repeats* – krótkie powtórzenia tandemowe na chromosomie Y, służące do ustalenia pokrewieństwa w linii męskiej), w tym także niezwykle rzadkiego markera PGM.

To, że śledczy znają DNA Zabójcy z Golden State, było zawsze asem w rękawie policjantów prowadzących dochodzenie.

Ale DNA zabójcy ma jedynie taką wartość jak bazy danych, z którymi możemy je porównać. W bazie CODIS nie znaleziono odpowiednika. Nie znaleziono także takiego samego profilu w bazie danych Y-STR kalifornijskiego systemu karnego. Gdyby w ciągu minionych szesnastu lat ojciec zabójcy, jego brat albo któryś ze stryjów został skazany za poważne

przestępstwo, alert natychmiast zostałby wysłany do Paula Holesa czy do Eriki Hutchcraft (obecnie głównej postaci w grupie dochodzeniowej z hrabstwa Orange). Przyjrzeliby się wtedy krewnym tego człowieka, skupili uwagę na członku rodziny, który znajdował się w okolicy w czasie popełniania przestępstw, i rozpoczęli śledztwo.

Ale nie dostali takiego sygnału.

Istnieją jednak ogólnodostępne bazy danych, które można wykorzystać do poszukiwania zgodności ze znanym profilem DNA – bazy, w których nie znajdziemy informacji o skazanych przestępcach, ale o DNA miłośników badań genealogicznych. Można wprowadzić do tych publicznych baz danych marker STR na chromosomie Y zabójcy i próbować poszukać zgodności albo przynajmniej nazwiska, które może jakoś pomóc w poszukiwaniach.

Paul Holes w 2013 roku poszedł tym tropem i podobnie jak Michelle, która z uśmiechem ogłaszała: „Rozwiązałam to!”, sądził, że udało mu się wreszcie znaleźć poszukiwanego tą metodą.

Michelle opowiada tę historię w niedokończonym fragmencie książki zatytułowanym „Sacramento 2013”.

Paul Holes nadal słyszy odgłos zamykania z rozmachem szuflady w swojej biurowej szafce. Wyjął z niej wszystko, co miał w związku ze sprawą Gwałciciela ze Wschodniej Strony, załadował do pudła i wysłał FedExem do Larry’ego Poola z hrabstwa Orange.

Larry go dopadnie – pomyślał. – To tylko kwestia czasu.

Dekadę później siedział w swoim biurze znudzony do nieprzytomności. Był teraz szefem laboratorium kryminalistycznego. Ożenił się ponownie. Z drugą żoną miał dwójkę małych dzieci. Pracował w laboratorium wystarczająco długo, by widzieć na własne oczy, jak wiarygodność całych specjalizacji wędruje do kosza. Analiza włosów? Krzywi się na samą myśl o tym pomysle. Siadali czasem ze współpracownikami przy stole i śmiali się z rozmaitych narzędzi, jakimi niegdyś przychodziło im się posługiwać, niezręcznych i zawodnych niczym pierwsza generacja telefonów komórkowych.

Zaczął wreszcie spełniać obietnicę, tak jak to sobie zamierzył, że poświęci jeszcze dekadę na zdobycie odpowiednich awansów i zapewni utrzymanie rodziny. Śledczy Paul Holes, zawsze lubił brzmienie tych słów. Spotykał się z tym, z kim trzeba. Zdobywał odpowiednie poparcie. Przeniesienie do biura prokuratora rejonowego, gdzie miał pracować na pełen etat nad dawnymi, nierozwiązanymi sprawami, było w toku.

Ale był pewien problem, o którym wiedział, że będzie musiał zabrać go ze sobą do nowego miejsca pracy. EAR. Z każdym rokiem, gdy ciągle nie udawało się go przyszpilić, czy to za pośrednictwem DNA, czy na podstawie czyjegoś donosu, Holes stawał się coraz bardziej zaintrygowany. Jego żona mogłaby to nazwać obsesją. Sporządzał mapy i wykazy. Niezobowiązujące przejażdżki samochodem zamieniały się w wycieczki po miejscach zbrodni. Nie raz, ale co tydzień.

Czasami, kiedy myślał o skali zniszczeń spowodowanych przez tego człowieka bez twarzy, nie tylko w życiu ofiar, ale także ich rodzin, o upokorzeniu detektywów, zmarnowanym czasie i pieniądzach, i wysiłkach, czasie, który można by poświęcić na życie rodzinne, a także o zrujnowanych małżeństwach i życiu seksualnym odłożonym na potem... Holes rzadko przeklinał, to nie było w jego stylu, ale kiedy myślał o tym wszystkim, po prostu miał ochotę powiedzieć: Pieprz się. Pieprz się. Pieprz się.

Pierwsze pokolenie detektywów, którzy pracowali nad tą sprawą, zmagало się już z problemami ze zdrowiem. Drugie pokolenie detektywów, którzy nad nią pracowali, jeśli mogli znaleźć na to trochę czasu na boku, wkrótce miało przejść na emeryturę. Czas uciekał. EAR patrzył na nich, uśmiechając się złośliwie, zza na poły zamkniętych drzwi.

Holes podjechał na swoim krześle do komputera. W ostatnich latach badanie DNA przodków zyskało popularność wśród ludzi ciekawych swojej genealogii, a także, choć pisano o tym znacznie mniej, jako narzędzie poszukiwania niezidentyfikowanych przestępców. Wiele osób w wymiarze sprawiedliwości patrzyło nieufnie na nową metodę. W grę wchodziły kwestie jakości i pewności wyników. Kwestie prywatności. Holes znał się na DNA. Znał się na nim dobrze. Uważał, że badanie DNA przodków stanowi wprawdzie jakieś narzędzie, ale nie daje pewności. Wypreparował z DNA osobnika zwanego EAR profil Y-DNA, co oznacza, że wyizolował DNA jego przodków w linii męskiej. Taki profil Y-DNA można następnie wczytać do bazy danych pewnych witryn internetowych poświęconych genealogii, takich, za pomocą których ludzie szukają najbliższych

kuzynów w linii męskiej i tym podobnych. Wprowadzasz zbiór markerów ze swojego profilu Y-DNA, od 12 do 111, i otrzymujesz listę zgodności, czyli nazwiska rodzin, z którymi możesz mieć jakiegoś wspólnego przodka. Niemal zawsze taka zgodność powstaje w genetycznej odległości 1 od ciebie, co nie znaczy wiele, jeśli kogoś szukasz. Szukasz trudno uchwytnego 0 – bardzo bliskiej zgodności.

Holes ponawiał próbę co kilka tygodni. Nie spodziewał się zbyt wiele uzyskać. Chodziło raczej o karmienie własnej obsesji. Ale tak było tylko do jakiegoś popołudnia w połowie marca 2013 roku, gdy wczytał do bazy danych dobrze znaną sekwencję i nacisnął enter. Po chwili pojawiła się lista, a na niej wiele dobrze znanych nazwisk z poprzednich prób. Ale nie rozpoznawał nazwiska na samej górze listy.

EAR ma jeden wyjątkowo rzadki marker. Ma go tylko dwa procent ludzi na świecie. Kiedy Holes kliknął link do nazwiska znajdującego się na szczycie, okazało się, że profil DNA tej osoby zawiera ten rzadki marker. Pasowało także jedenaście innych markerów, jakie ma gwałciciel, wszystkie w tej samej odległości genetycznej – 0. Holes wcześniej nigdy nie otrzymał takiego wyniku.

W pierwszej chwili nie wiedział, co ma robić. Chwycił telefon, żeby zadzwonić do Kena Clarka z Biura Szeryfa Hrabstwa Sacramento, detektywa, z którym rozmawiał najczęściej, ale zaraz odłożył słuchawkę. Sacramento leżało godzinę jazdy samochodem od biura Holesa w Martinez. Sięgnął po kluczyki do swojego samochodu.

Musiał pojechać do miejsca, gdzie trzydzieści sześć lat wcześniej to wszystko się zaczęło.

Michelle nie zdążyła jednak zapisać puenty tej historii – jednego z tych zakończeń, które mogą doprowadzić do szaleństwa każdego, kto tak długo pracował nad tą sprawą. Okazało się, że pewien detektyw amator, emerytowany agent Secret Service nazywający się Russ Oase, anonimowo wczytał markery gwałciciela do tej samej bazy danych. A zatem rzekoma zgodność, jaką otrzymał Paul Holes, w rzeczywistości stanowiła następstwo podania DNA tego samego zabójcy przez dwie różne osoby i powstającej w efekcie lustrzanej zgodności danych.

Według Michelle DNA stanowiło nić, która oferowała najlepszy sposób na wydostanie się z labiryntu Zabójcy z Golden State. Kalifornia należała do grona zaledwie dziewięciu stanów w USA, które dopuszczają testowanie rodzinnego DNA za pomocą stanowych baz danych. Gdyby brat Zabójcy z Golden State został aresztowany z powodu poważnego przestępstwa, natychmiast otrzymalibyśmy informacje o istnieniu związku. Ale w tej bazie danych znajdują się jedynie profile DNA osób, które zostały skazane za jakieś przestępstwo.

Michelle sądziła, że może jej się udać odnaleźć zabójcę, jeśli wczyta jego profil DNA do bazy danych profilów Y-STR, dostępnej on-line na stronie Ancestry.com.

Na pierwszy rzut oka, kiedy patrzy się na szczyt strony z wynikami przykładowego testu (nazwisko Michelle reprezentuje w nim DNA zabójcy), to wygląda obiecująco. Pierwsze nazwisko u góry, poniżej nazwiska Michelle, ma wiele trafień. To nazwisko jest bardzo rzadko spotykane (nosi je zaledwie garść osób w Stanach Zjednoczonych i w Anglii). Obok nazwiska widnieje skrót oznaczający ostatniego wspólnego przodka, MRCA[37], oraz liczba wskazująca na liczbę pokoleń, które trzeba sprawdzić w swoim rodzinnym drzewie genealogicznym, aby uzyskać pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że ma się wspólnego przodka z tą osobą. MRCA łączący tego człowieka z Michelle żył, jak się ocenia, jedenaście pokoleń wstecz (z pięćdziesięcioprocentowym prawdopodobieństwem).

Podzieliwszy się swoim odkryciem z Paulem Holesem i innymi ekspertami, Michelle przekonała się, że wcale to nie miało aż tak istotnego znaczenia, jak jej się początkowo wydawało. Należałoby prześledzić historię rodziny tego faceta trzysta trzydzieści lat wstecz, ale nawet wtedy mielibyśmy jedynie pięćdziesiąt procent pewności, że się go odnajdzie.

Tego rodzaju rezultaty nie dawały żadnych realnych szans na znalezienie

konkretnej osoby.

Wśród ekspertów, z którymi rozmawiała Michelle, znajdowała się także Colleen Fitzpatrick, specjalistka w dziedzinie genealogii kryminalistycznej, pomagająca ludziom w znajdowaniu swoich biologicznych rodziców – przyczyniła się do rozwiązania zagadki kilku poważnych przestępstw, w tym sławnego Canal Killera z Phoenix. Colleen Fitzpatrick napisała książkę na temat genealogii kryminalistycznej – dosłownie[38] – i spędziła wiele godzin, często w środku nocy, rozmawiając przez telefon z Michelle i analizując z nią rozmaite sposoby, w jakie można wykorzystać badania genealogiczne do zidentyfikowania Zabójcy z Golden State.

Po śmierci Michelle Colleen wyjaśniła Billy’emu, że chociaż nie dysponujemy genealogicznym pokrewieństwem, które można by wykorzystać w sposób opisany powyżej, istnieje pewna wskazówka:

„Nawet jeśli mamy odległe trafienia z chromosomu Y, ci wszyscy ludzie noszą takie samo nazwisko, można więc powiedzieć, że przypuszczalnie tak brzmi nazwisko pana X oraz że należy on do tej samej poszerzonej rodziny co ludzie, w odniesieniu do których uzyskaliśmy tę zgodność (w linii bezpośredniego pokrewieństwa), choć może to sięgać wiele pokoleń wstecz. Jednak w tym wypadku mamy duże zróżnicowanie nazwisk, więc nie można skupić się na jakimś jednym. Czasami językowe »zabarwienie« tych nazwisk może nam dać pewne wyobrażenie o etnicznym pochodzeniu pana X. Jeśli na liście osób, co do których uzyskaliśmy zgodność, występują, powiedzmy, same irlandzkie nazwiska, wtedy można z pewnym prawdopodobieństwem przypuszczać, że X jest Irlandczykiem. Właśnie takim tropem poszłam w sprawie morderstw znad kanału. Nie tylko uzyskałam nazwisko Miller, w przypadku Mordercy z Kanału, ale także powiedziałam policjantom z Phoenix, że ten Miller jest irlandzkiego pochodzenia. Kilka tygodni później aresztowali Bryana Patricka Millera. Stąd przyszedł mi do głowy pomysł, że



EAR ma niemieckie nazwisko, ale pochodzi z UK. W testach, jakie zrobiłam dla Michelle, takie jest »zabarwienie« nazwisk, jakie często uzyskiwałam”.

A zatem szukamy faceta o niemieckim nazwisku, którego rodzina w jakimś momencie mieszkała w Zjednoczonym Królestwie. Oczywiście mógł zostać adoptowany; wtedy to wszystko się nie liczy.

A zatem wszystko sprowadza się do rozmiaru bazy danych, z którą próbujemy porównać naszą próbkę. W 2016 roku liczne firmy oferowały klientom zbadanie ich profilu DNA i włączenie go do szybko poszerzającego się zbioru danych. Wspomniane firmy wykorzystują testowanie autosomalnego DNA. Za jakieś sto dolarów plus odrobinę twojej śliny dostarczają ci twój profil DNA. Test, nie licząc osób, które pragną się dowiedzieć, czy w przyszłości mogą zachorować na chorobę Alzheimera albo poznać prawdopodobieństwo, że mają oczy określonej barwy, jest wykorzystywany przez osoby adoptowane albo takie, które zostały wychowane przez samotną matkę. Dzięki otrzymanym результатам mogą odnaleźć nieznanymi wcześniej kuzynów, a następnie odszukać na tej podstawie swojego biologicznego ojca oraz inne informacje na temat własnej tożsamości. Jeśli nie od razu otrzymasz trafienie, zawsze jest nadzieja. Firmy przysyłają ci e-maila z wiadomością, że jacyś nowi członkowie rodziny załadowali swoje DNA do bazy danych. „Masz nowych krewnych DNA – brzmiał e-mail, jaki Billy niedawno dostał od 23andMy, gdzie kilka lat temu przekazał własne DNA. – 51 nowych osób, które mają wspólne DNA z tobą, przyłączyło się do grona DNA Relatives w ciągu minionych 90 dni”. Testy wynajdują powiązania nie tylko w linii męskiej. Łączą wszystkich.

Co najważniejsze, te bazy danych są ogromne. 23andMy ma półtora miliona profili, Ancestry ma dwa i pół miliona.

Wystarczy tylko pomyśleć, jak wiele zagadek morderstw, gwałtów

i innych przestępstw z użyciem przemocy można by rozwiązać, gdyby przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości mogli wprowadzać do tych baz danych próbki DNA zebrane z miejsca zbrodni, a następnie orientować swoje śledztwo w odpowiednim kierunku, dzięki obecności bliskich krewnych sprawcy znalezionych w systemie. Niestety żadna ze wspomnianych firm nie będzie współpracowała z wymiarem sprawiedliwości, powołując się na kwestie prywatności oraz warunki świadczenia usług.

Myśl, że rozwiązanie zagadki tożsamości tego sprawcy kryje się być może w bazach danych 23andMe oraz Ancestry.com, nie dawała Michelle w nocy zasnąć.

Gdybyśmy mogli wprowadzić do jednej z tych baz danych aktualny materiał genetyczny zabójcy – w przeciwieństwie do jedynie wybranych markerów – z wielkim prawdopodobieństwem moglibyśmy znaleźć któregoś z jego dalszych krewnych i ta osoba mogłaby poprowadzić śledczych w kierunku jego tożsamości.

A zatem odpowiedź być może kryje się za tymi zamkniętymi drzwiami. Drzwiami, do których dostępu bronią kwestie prawne związane z prywatnością oraz nielegalnym pozyskiwaniem danych.

Michelle bardzo zależało na możliwości wprowadzenia DNA zabójcy do tych szybko rozwijających się komercyjnych baz danych. Aby to osiągnąć, była gotowa ominąć ich warunki świadczenia usług. Jednak, aby wprowadzić swoje DNA do swojej bazy danych, firma przesyła ci plastikową tubkę, do której musisz napluć i odesłać ją z powrotem. Michelle nie dysponowała śliną zabójcy ani nawet pałeczką z wymazem. Miała jedynie jego profil DNA na papierze. Według jednego z przyjaciół Billy'ego, naukowca, istnieje jednak sposób obejścia tych przeszkód. Tak czy inaczej, kiedy krytycy mówią o prywatności, warunkach świadczenia usług w biznesie oraz czwartej poprawce do konstytucji, na myśl przychodzi nam klasyczne zdanie

wypowiedziane w *Parku Jurajskim* przez Iana Malcolma, którego gra Jeff Goldblum: „Wasi naukowcy tak bardzo skupiali się na tym, czy uda im się to zrobić, że zapomnieli pomyśleć o tym, czy powinni”.

Kiedy Michelle zaczęła pracować nad dłuższym tekstem dla czasopisma „Los Angeles”, stanowiącym podstawę tej książki, spływały do niej oficjalne akta tej sprawy. Czytała te materiały uważnie i zaczęła budować indeks osób, miejsc oraz rzeczy wymienianych w policyjnych raportach. Cel tego zamierzenia był trojaki: chodziło o pomoc w odnajdywaniu różnych elementów dochodzenia w obrębie raportów, odróżnienie od siebie osób o jednobrzmiących nazwiskach i wyszukiwanie tych, które mogą wydawać się interesujące na podstawie późniejszej geograficznej lokalizacji miejsc zbrodni, oraz wychwycenie powtarzających się nazwisk albo ewentualnych związków łączących ofiary.

Michelle utrzymywała kontakty ze śledczymi – zarówno działającymi obecnie, jak i emerytowanymi – które ewoluowały w stronę otwartej wymiany informacji. Stała się swego rodzaju honorowym śledczym, a jej energia i wnikliwe spostrzeżenia stanowiły zastrzyk świeżej krwi w tej sprawie ciągnącej się tak długo. Przekazała także nasze odkrycia, wraz z główną listą, niektórym detektywom nadal zajmującym się śledztwem.

Zbiór posiadanych przez nią oficjalnych materiałów związanych z dochodzeniem stale rósł. Zwieńczeniem tego procesu było niezwykle wydarzenie ze stycznia 2016 roku, gdy Michelle uzyskała bezpośredni dostęp do akt zgromadzonych w tej sprawie; razem z Paulem została wtedy zaprowadzona do niewielkiego pomieszczenia w Biurze Szeryfa Hrabstwa Orange, gdzie znajdowało się sześćdziesiąt pięć pudeł pełnych akt sprawy Gwałciciela ze Wschodniej Strony – Pierwotnego Nocnego Łowcy. Co godne uwagi, nie tylko mogli przeglądać te akta – pod okiem policjantów – ale także pożyczyć wszystko, co chcieli.

To była ich żyła złota.

Odłożyli na bok trzydzieści pięć pudeł, wraz z dwoma dużymi plastikowymi pojemnikami, które zamierzali zabrać ze sobą do Los Angeles.

Michelle pomyślała o tym z wyprzedzeniem. Zamiast urządzić sobie jednodniową wycieczkę jednym samochodem, pojechali do Santa Ana dwoma SUV-ami. Zapakowali pudła na wózki i potoczyli je wzdłuż rampy na tyłach kwatery głównej OCSD, po czym załadowali do dwu samochodów; w tym czasie z budynku wyszedł zastępca szeryfa, który najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z tego, czym się zajmują, ale na szczęście niczego nie zauważył. Oboje starali się działać możliwe jak najszybciej, na wypadek gdyby ludzie z OCSD nagle zmienili zdanie.

Po powrocie do Los Angeles przenieśli pudła na piętro w domu Michelle. Miejsce, gdzie poprzednio znajdowała się bawialnia jej córeczki, zamieniło się w Pokój Pudeł.

Wkrótce zaczęli przekopywać się przez materiały. Znajdowały się w nich wszystkie święte graale, wszystkie pilnie strzeżone skarby, których Michelle dotąd nie miała okazji zobaczyć, takie jak choćby góry dodatkowych raportów. Zależało im najbardziej właśnie na tych dodatkowych raportach – dotyczących spraw pobocznych, pozornie niezwiązanych z głównym nurtem dochodzenia albo poruszanych jednorazowo – aktach, które lądowały na dnie szuflady zapomniane, skoro w teczce konkretnej sprawy brakowało jakiegoś prawdziwego mięsa. Michelle i Paul byli przekonani, że jeśli nazwisko sprawcy kryje się gdzieś w tych aktach, to najprawdopodobniej wśród tych tropów na marginesie: podejrzanych, o których zapomniano, przeoczonych zeznań świadków, tajemniczych pojazdów, którymi nigdy się nie zainteresowano, albo osobników kręcących się w okolicy w czasie zbrodni, którzy udzielali, jak się wtedy wydawało, rozsądnych odpowiedzi na pytanie, skąd się tam wzięli.

Michelle kupiła dwa cyfrowe skanery o wysokiej rozdzielczości i zaczęli skanować materiały. Większości tych akt nie widzieli wcześniej nadal aktywnie zajmujący się tą sprawą śledczy, tacy jak Paul Holes, Ken Clark czy Erika Hutchcraft. Dzięki skanowaniu akta stawały się bardziej dostępne, a ich tekst przeszukiwalny, i Michelle mogła w ten sposób odwzajemnić się śledczym, wykonując dla nich tę pracę o nieocenionej wartości.

To był najbardziej ekscytujący przełom od czasu rozpoczęcia dochodzenia. Nastąpił istotny zwrot, zmieniły się warunki gry. Michelle była teraz głęboko przekonana, że prawdopodobieństwo tego, że nazwisko sprawcy kryje się gdzieś w tych pudłach, wynosi około osiemdziesięciu procent.

Po opublikowaniu artykułu w czasopiśmie „Los Angeles” Michelle zamieściła na swoim blogu wpis poświęcony listom, jakie dostaje od domorosłych detektywów, którzy przeczytali jej tekst i ogarnęło ich obsesyjne pragnienie – czasem jedynie na kilka godzin – aby rozwiązać tę sprawę.

W minionym tygodniu dostałam dziesiątki odpowiedzi od czytelników w związku z moim artykułem *In the Footsteps of a Killer*. Wiele e-maili zawierało spostrzeżenia dotyczące dowodów oraz świeże pomysły na temat tego, w jaki sposób najlepiej wytropić Zabójcę z Golden State, nieuchwytnego sprawcę serii brutalnych przestępstw, który w latach 1976–1986 polował na swoje ofiary w całej Kalifornii.

Najwięcej pomysłów wiązało się z opublikowaną mapą, przy czym wielu czytelników rozwijało teorie oparte na własnym doświadczeniu zawodowym albo wykształceniu akademickim. Pewien czytelnik, biznesman działający w branży budowlanej, mający doświadczenia z budową „osiedli planowanych z myślą o grze w golfa”, odniósł wrażenie, że ta mapa przypomina mu wiele osiedli, przy których budowie pracował. Odręcznie narysowane ścieżki, jak pisał, przypominają mu ścieżki dla wózków golfowych.

Inny czytelnik poczynił niepokojące spostrzeżenie na temat linii oddzielających

działki od siebie. Autor tego listu uważa, że wskazują one na ogrodzenia, ponieważ autor mapy przedstawia w ten sposób bariery, które będzie musiał pokonać, poruszając się w ciemnościach.

Pewna czytelniczka odniosła wrażenie, że wskazówka kryje się w tekście z dziennika zaczynającym się od słów: „Wściekły to słowo, które przypomina mi o 6-tej klasie”. „6” w wyrażeniu „6-ta klasa” wygląda bardziej jak „G”, jak zauważa czytelniczka, dodając, że autor tego tekstu ewidentnie dopisał później rozwinięcie „6”, jakby zamierzał zmienić to, co pierwotnie pragnął napisać, a co zdaniem autorki tego listu było nazwą miasta, gdzie się wychował. Miasta, domyślała się autorka listu, którego nazwa zaczyna się od „G”.

Dowód zaczynający się od słów „Wściekły to słowo” opowiada o wściekłości autora na swojego nauczyciela z szóstej klasy. Wiele osób zwróciło uwagę na to, że w szóstej klasie nauczyciele płci męskiej stosunkowo rzadko zdarzali się w latach sześćdziesiątych, gdy autor tych słów przypuszczalnie chodził do szkoły podstawowej.

Inny czytelnik zauważył, że w Visalii, gdzie Zabójca z Golden State przypuszczalnie jako młodociany osobnik zaczynał swoją karierę, mieszkało wielu pilotów z pobliskiej bazy sił powietrznych marynarki w Lemoore. Niewykluczone więc – teoretyzował autor tego listu – że zabójca był synem jednego z pilotów, ponieważ kilka zbrodni z tej serii popełniono w pobliżu baz wojskowych.

Niektóre z tych wskazówek mogły okazać się pomocne w naszkicowaniu sylwetki zabójcy. Inne mogły nie mieć z nim absolutnie nic wspólnego, jak puzzle kupione na garażowej wyprzedaży, które zostały wymieszane z fragmentami dwudziestu innych puzzli.

Michelle do samego końca z całą determinacją pragnęła zbadać każdą z takich wskazówek i sprawdzić, czy pasuje do układanki.

Jeden z ostatnich dokumentów, jakie zmodyfikowała na swoim twardym dysku – opatrzony datą 18 kwietnia 2016, na trzy dni przed jej śmiercią – nosił tytuł „Nadal do zrobienia”.

- Wypytać Debby D. o latarkę; czy przynieśli latarkę z poprzedniego domu? Czy wie coś o tym, aby Greg odwiedzał Toltec?

- [Jeden z detektywów] potrzebował pomocy psychiatrycznej po pracy nad O/M [Offerman/Manning], a Ray powiedział, że to była najgorsza scena zbrodni, jaką kiedykolwiek widział (to było w e-mailu do Irwina).  
Dlaczego gorsza niż Domingo/Sanchez?
- Do Eriki: Ponieważ nie mam doświadczenia w odczytywaniu miejsca zbrodni: Co, jak sądzisz, wydarzyło się u Cruz?
- Do Kena Clarka: Czy były jakieś przecieki prasowe na temat Maggiore w okresie zabójstwa? Czy to prawda, że FBI przeprowadziło testy rodzinnego [DNA] i spodziewało się 200 do 400 nazwisk, i nie dostało ani jednego?
- Dowiedzieć się od Kena, co miał dokładnie na myśli, mówiąc o mężu czy też facecie w stroju klauna idącym ulicą.

Te pytania ciągną się na wielu stronach. Na blogu *Michelle True Crime Diary* spróbujemy znaleźć odpowiedzi na te z nich, które pozostały otwarte. Dyskusje dotyczące tej sprawy nadal się toczą i zachęcamy czytelników, aby się do nich włączali oraz śledzili liczne pojawiające się każdego dnia fora, gdzie można znaleźć nowe tropy i rozmaite teorie dotyczące zabójcy. Michelle zawsze mówiła, że nieważne, kto rozwiąże tę sprawę, byleby tylko została rozwiązana.

Nie ulega wątpliwości, że Michelle wywarła wpływ na tę sprawę. Tak mówi o tym Ken Clark: „Zwróciła uwagę na jednego z najmniej znanych, a mimo to najbardziej aktywnych seryjnych przestępców, jaki kiedykolwiek działał w Stanach Zjednoczonych. Gdybym sam w ciągu wielu lat pracy nad tą sprawą nie czytał dotyczących jej raportów, ta historia wydawałaby mi się wręcz nieprawdopodobna. Ze względu na swoje profesjonalne badania, uwagę, jaką poświęcała detalom, oraz szczerą pragnienie, aby odkryć tożsamość podejrzanego, potrafiła utrzymać równowagę między dążeniem do zachowania prywatności osób, które zostały przez niego poszkodowane,

a pragnieniem opisanego podejrzanego w taki sposób, że ktoś mógłby go rozpoznać”.

„Nie jest łatwo zdobyć zaufanie tak wielu detektywów z tak wielu jurysdykcji – powiedziała nam Erika Hutchcraft. – Ale Michelle zdołała tego dokonać. Jak wiecie, stało się tak za sprawą jej reputacji, jej wytrwałości oraz tego, że naprawdę zależało jej na tej sprawie”.

Paul Holes zgadzał się z tą opinią, posuwając się nawet do stwierdzenia, że uważał Michelle za swoją partnerkę-detektywa przy tej sprawie. „Nieustannie porozumiewaliśmy się ze sobą. Jakaś informacja wydawała mi się ekscytująca, przesyłałem jej wiadomość, i ona także zaczynała się tym ekscytować. Kiedy udało jej się wykopać jakieś nazwisko, od razu mi je podrzucała, żebym mógł się przyjrzeć. W tej sprawie emocjonalnie ciągle jesteś na huśtawce – są zachwycające momenty ekstazy, kiedy jesteś przekonany, że znalazłeś tego gościa, a potem następuje twarde lądowanie, kiedy musisz wyeliminować jakiegoś obiecującego podejrzanego z powodu niezgodności DNA. Wspólnie przeżywaliśmy z Michelle te wzloty i upadki. Ja miałem swoich obiecujących podejrzanych, a ona miała swoich; ciągle wysyłaliśmy sobie e-maile coraz bardziej podekscytowani, po czym zderzaliśmy się z nieodwołalnym wyrokiem, że trzeba kolejnego podejrzanego wyeliminować”.

„Michelle umiała zdobyć zaufanie nie tylko moje, ale także całego zespołu specjalnego, i udowodniła, że jest prawdziwym śledczym, wnosząc dodatkową wartość do naszej pracy swoimi spostrzeżeniami i wytrwałością. To było zdumiewające, jak szybko umiała opanować szczegóły tej sprawy, zauważać rzeczy, których wielu nie dostrzegało, i nie dawać za wygraną, a do tego potrafiła się tym cieszyć i miała niezwykłą osobowość. Wiem, że była jedyną osobą, która byłaby w stanie czegoś takiego dokonać – zaczęła zajmować się tą sprawą jako kompletna amatorka, ktoś z boku, a z czasem



stała się jedną z nas. Myślę, że to prywatno-publiczne partnerstwo było naprawdę czymś wyjątkowym w przypadku kryminalnego dochodzenia. Michelle była wprost do tego stworzona”.

„Po raz ostatni spotkałem się z Michelle w Las Vegas, gdzie spędziliśmy mnóstwo czasu, rozmawiając o sprawie. Nawet do głowy mi wtedy nie przyszło, że widzę ją po raz ostatni. Ostatniego e-maila dostałem od niej w środę 20 kwietnia. Jak zawsze zawiadamiła mnie, że przesyła mi pewne dane, które znalazła ze swoim współpracownikiem, i sądzi, że powinienem o tym wiedzieć. Swojego e-maila zakończyła słowami »Wkrótce się do ciebie odezwę, Michelle«”.

„Wczytałem dane, które mi przesyłała, kiedy się dowiedziałem o tym, że nie żyje, w piątek wieczorem. Nadal mi pomagała”.

W e-mailu, jakiego wysłała do swojego wydawcy w grudniu 2013 roku, Michelle zajęła się kwestią, z którą musi się uporać każdy prawdziwy dziennikarz zajmujący się zbrodnią, kiedy pisze o jakiejś nierozwiązanej zagadce: Jak się kończy ta historia?

Nadal jestem pełna optymizmu co do finału tej sprawy, ale nie straciłam z pola widzenia wyzwania, jakim jest pisanie o kryminalnej zagadce, która w tym momencie wciąż pozostaje nierozwiązana. Mam pewien pomysł w tej materii. Po opublikowaniu swojego artykułu w czasopiśmie dostałam mnóstwo e-maili od czytelników i niemal wszystkie zaczynały się od słów: „Pewnie przyszło to Pani do głowy, ale jeśli nie, to co by Pani powiedziała (i tu należy wstawić jakiś pomysł śledczy)”. Poczułam wtedy, że rzeczywiście w każdym z nas kryje się Sherlock Holmes głęboko przekonany, że gdyby tylko miał odpowiednią liczbę wskazówek, potrafiłby rozwiązać zagadkę. Jeśli wyzwanie, z jakim musimy się zmierzyć, lub też przypuszczalna słabość polega na tym, że jeżeli ta sprawa wciąż pozostanie nierozwiązana, pozostawi to czytelnikom niedosyt, czemu nie postawić tego na głowie i nie wykorzystać tego jako atutu? Mam dosłownie setki stron analiz, zarówno z wcześniejszego okresu, jak i całkiem świeżych – geoprofilowanie, analizy odcisków butów, dni tygodnia, w których atakował, itp. Przyszło mi do głowy, że można by część tego włączyć do książki i stworzyć czytelnikom szansę

do zabawy w detektywów.

Nie zrezygnujemy, dopóki nie poznamy jego tożsamości. My także będziemy się bawić w detektywów.

Paul Haynes i Billy Jensen

Maj 2017

---

[35] Pseudonim.

[36] Zawartość książek telefonicznych i katalogów numerów została zgromadzona za pomocą oprogramowania znanego jako OCR, umożliwiającego przetwarzanie obrazu skanowanego materiału na tekst. Ponieważ w tym wypadku cyfrowe oko odczytuje materiał analogowy o zróżnicowanych czcionkach i zmiennej jakości skanu, w transkrypcji powstają rozmaite błędy, od zniekształceń składni po niezdolność do odróżniania na przykład litery D od litery O albo chaotyczne ciągi znaków przestankowych, symbolów i innych przypadkowych znaków niealfanumerycznych. Oczyszczenie takiego tekstu i przekształcenie skanów książek sprzed wielu dziesięcioleci w dające się czytać, jednolicie sformatowane listy nazwisk wymagało setek godzin pracy.

[37] MRCA – *most recent common ancestor*, najbardziej niedawny wspólny przodek.

[38] Książka *Forensic Genealogy*, autorstwa Colleen Fitzpatrick, ukazała się w 2005 roku.

## POSŁOWIE

Michelle nudziło wszystko, co miało jakiś związek z magią czy ze statkami kosmicznymi. „Odpadam” – mówiła ze śmiechem. Laserowe działka, magiczne różdżki, świetliste miecze, nadludzkie zdolności, duchy, podróż w czasie, mówiące zwierzęta, supernauka, relikwie obdarzone cudowną mocą czy starożytne zaklęcia komentowała słowami: „Mam wrażenie, że to wszystko jest oszustwem”.

„Czy on buduje drugą zbroję?” – spytała, oglądając pierwszy film z serii *Iron Man*. Gdzieś w dwudziestej minucie filmu Tony Stark zaczyna manipulować przy swojej grafitowoszarej zbroi Mark I, zamieniając ją w cukierkowozielono-czerwono-królewskozłoty superkostium. Michelle zachichotała i wyszła na zakupy.

Spaghetti westerny były dla niej za długie i za wiele było w nich przemocy. Zombie wydawali się naukowo nieprawdopodobni. A diaboliczne postacie seryjnych zabójców knujących skomplikowane plany to były, z jej punktu widzenia, jakieś bajkowe jednorożce.

Byliśmy z Michelle małżeństwem przez dziesięć lat, razem żyliśmy przez trzynaście. Nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego, jeśli chodzi o zainteresowania popkulturą. Ale zaraz, nie, nie – *Prawo ulicy*. Oboje lubiliśmy *Prawo ulicy*. Aha, no to macie.

Kiedy się spotkaliśmy, byłem bąblującym, syczącym tygłem rozmaitych, dziwnych fascynacji i niepowiązanych ze sobą faktów. Filmy, powieści, komiksy, muzyka.

No i seryjni zabójcy.

Wiedziałem, ile każdy z nich miał ofiar na sumieniu, na czym polegał jego *modus operandi*, znałem cytaty z wywiadów. Gromadzenie legend związanych z postaciami seryjnych zabójców to rytuał przejścia dla facetów po dwudziestce, którzy pragną wydawać się mroczni i na czasie. Byłem dokładnie takim rodzajem idioty, który po dwudziestce zrobiłby wszystko, aby wydawać się osobnikiem mrocznym i na czasie. I tak właśnie wyglądałem, gdy uganiałem się za dziewczynami przez całe lata dziewięćdziesiąte, wyrzucając z siebie jakieś detale z życia Henry'ego Lee Lucasa, Carla Panzrama albo Edmunda Kempera.

Michelle także znała te wszystkie fakty i ciekawostki. Ale dla niej to był szum tła, równie nieważny i ostatecznie nieciekawym jak wylewanie cementu.

To, co ją interesowało, co pobudzało jej umysł i rozpałało każdy neuron i receptor, to byli ludzie. A zwłaszcza detektywi i śledczy. Kobiety i mężczyźni uzbrojeni w garść przypadkowych wskazówek (a najczęściej zbyt wiele tropów, przez które należało się przedrzeć i odrzucić te wiodące donikąd) i potrafiący zastawiać pułapki, by chwycić w nie potwory.

(No tak – to był opis tego, co robiła Michelle, rodem z gazetowego streszczenia filmu. Przepraszam. Trudno mi nie ulatywać w stronę hiperboli, kiedy o niej mówię).

Przez dekadę byłem mężem wojowniczką walczącą ze zbrodnią – walczącą z nią zdecydowanie i na serio, metodycznie, w typie detektywa od „małych szarych komórek”. Widziałem szlachetny gniew, jaki ogarniał ją podczas lektury zeznań osób, które padły ofiarą przestępcy, ale przeżyły, albo wywiadów z członkami rodzin zmagającymi się z utratą najbliższych. Zdarzało się, że rankiem, gdy przynosiłem jej kawę, zastawałem ją przed laptopem zapłakaną, sfrustrowaną, wykończoną przez kolejny trop, za którym poszła i który ponownie okazywał się tropem donikąd, kolejnym

zderzeniem z kamienną ścianą. Jednak już po chwili, po kilku łykach kofeiny, ocierała oczy i ponownie zaciekle waliła w swoją klawiaturę. Otwierała się nowa szansa, pojawiał kolejny trop i Michelle podejmowała następną próbę schwytania tej morderczej kreatury.

Książka, którą właśnie przeczytaliście, opowiada o tym, ile udało jej się odkryć. Zawsze mawiała: „Nieważne, czy to ja go złapię. Chcę tylko, żeby mu założyli kajdanki i żeby zamknęły się za nim drzwi celi”. Mówiła serio. Urodziła się z sercem i umysłem prawdziwego gliniarza – pragnęła sprawiedliwości, nie chwały.

Michelle była niezwykłą pisarką: była uczciwa – czasami aż do przesady – w stosunku do swoich czytelników, do siebie samej, a także na temat siebie samej. Widzieliście to we wspomnieniowych fragmentach *Obsesji zbrodni*. Widzieliście także, z jaką uczciwością podchodziła do własnych obsesji, do własnej manii, do swojego czasem ryzykownego zaangażowania w ten pościg – często kosztem snu i zdrowia.

Umysł stworzony do dochodzenia prawdy i logicznych rozumowań. Serce zrodzone do przeżywania empatii i wnikliwego zrozumienia. Potrafiła połączyć te cechy w sposób, jakiego nie spotkałem nigdy wcześniej. Bez wysiłku, nawet się nie starając, skłoniła mnie do przemyślenia na nowo mojej drogi w życiu, mojego sposobu odnoszenia się do innych oraz tego, co jest dla mnie ważne. Dzięki niej wszystko we mnie i we wszystkich innych wokół stawało się lepsze. Osiągała to, będąc mimochodem i bez wysiłku osobą oryginalną.

Chciałbym pokazać to na przykładach, najpierw konkretnym, anegdotycznym, a potem szerszym, bardziej uniwersalnym.

Przykład anegdotyczny: W 2011 roku pracowałem z Philem Rosenthałem nad sitcomem opartym na historii mojego życia. W tym czasie od jakiegoś

roku emitowano serial *Louie* i byłem zauroczony jego przełomowym charakterem zarówno ze względu na metodę budowania opowieści, jak i sposób prezentowania tego, co osobiste, w komediowy sposób. Zasadniczo chciałem napisać własną wersję tego serialu. Usiedliśmy więc z Philem i zaczęliśmy przyglądać się szczegółom mojego codziennego życia.

„Czym się zajmuje twoja żona?” – spytał Phil podczas jednej z popołudniowych sesji pracy nad scenariuszem.

Opowiedziałem mu. Opowiedziałem mu o jej nowym blogu pod tytułem *True Crime Diary*. Mówiłem, że zaczęła go prowadzić jako sposób na pisanie o licznych nierozwiązanych sprawach i toczących się śledztwach, które obserwowała w internecie. Wyjaśniłem mu, że włączała do tekstu wpisy na MySpace pozostawiane przez niektórych przypuszczalnych podejrzanych. Uświadomiła sobie, że media społecznościowe to prawdziwa kopalnia złota dla śledczych. Stara metoda wyduszania zeznań z podejrzanych jest niczym w porównaniu z prawdziwym śmietnikiem myśli, jakie te socjopatyczne, narcystyczne postaci oferują każdego dnia na swoich kontach na Tumblr, Facebooku czy Twitterze. Michelle wykorzystywała Google Maps i kilkanaście innych nowych platform do szukania rozwiązań w sprawach z pozoru nie do rozwiązania. Miała wyjątkowy talent do łączenia ze sobą danych dotyczących jakiejś zapomnianej sprawy sprzed dziesięcioleci z pozornie niezwiązanymi z nią przestępstwami popełnionymi niedawno: „Ty widzisz, jak on udoskonała swój *modus operandi*? Zamienił nieudane próby przechwycenia kogoś na ulicy bez dobrego dostępu do autostrady w zgrabne porwanie tuż obok wielkiego skrzyżowania autostrad, żeby móc szybko wtopić się w tłum i zawrócić. Nabrał odwagi i wyszlifował umiejętności. Za każdym razem to jest ten sam samochód, ale nikt nie zwraca na niego uwagi, ponieważ to się dzieje za każdym razem w innym stanie i bardzo często różne siły policyjne nie chcą się dzielić informacjami”. (Akurat ten konkretny

monolog, jak pamiętam, wygłosiła pewnego wieczoru, siedząc w łóżku z laptopem otwartym na kolanach; tak sobie wyobrażała wieczorne pogaduszki przed snem).

Dzięki wpisom na swoim blogu zwróciła na siebie uwagę programów informacyjnych z sieci kablowych, a potem *Dateline NBC*, która zaangażowała ją, żeby ponownie porozmawiała z podejrzanymi w sprawie o morderstwo mormońskiej czarnej wdowy. Ci podejrzeni zdecydowanie odrzucili propozycję rozmowy ze strony dużej sieci telewizyjnej, ale bardzo ochoczo byli gotowi sobie pogadać z jakąś blogerką. Po prostu nie zdawali sobie sprawy z tego, że ta blogerka wynalazła pewną zmutowaną, bardziej ekspansywną postać śledztwa w sprawach dotyczących zabójstwa. Powiedzieli jej wszystko.

Phil przez jakąś minutę zastanawiał się nad tym wszystkim, kiedy już skończyłem mówić. A potem powiedział: „No cóż, to jest o wiele ciekawszy program niż ten, nad którym pracujemy. Może twoja żona w serialu byłaby osobą zajmującą się planowaniem przyjęć? Brzmi niezłe?”.

A teraz bardziej uniwersalny przykład wyjątkowości Michelle. Żyjemy w kulturze klikania, przewijania („przesuń w prawo”), przeskakiwania, clickbaitowych tytułów i dyskusji ograniczonych do stu czterdziestu znaków oraz trzydziestosekundowych wideo rozprzestrzeniających się w sieci jak wirus (viralowe filmiki). Łatwo złapać czyjąś uwagę, ale niemal nie sposób jej utrzymać.

Michelle zajmowała się tematem, który – jeśli chcemy osiągnąć jakikolwiek rodzaj zadowolenia czy poczucia domknięcia – wymaga stałej, często niczym nienagradzanej uwagi czytelnika. A jednocześnie, aby uzyskać w nim choćby minimalny przełom, potrzeba uwagi nie tylko pojedynczego czytelnika, ale także dziesiątków gliniarzy, ludzi poszukujących danych oraz dziennikarzy.

Michelle zdobyła i utrzymała tę uwagę dzięki swojemu nienagannemu, przyciągającemu stylowi pisania i umiejętności opowiadania. W jej tekstach rozumiemy doskonale punkt widzenia każdej z postaci, a jednocześnie żadna z opisywanych w nich osób nie została przez nią wymyślona. To ludzie, których poznała, na których jej zależało, którym poświęciła czas, żeby naprawdę ich zobaczyć: policjanci, ofiary, rodziny zmarłych, a także – jakkolwiek trudno mi to pojąć – nawet ten skrzywdzony, destrukcyjny robak w rodzaju Zabójcy z Golden State.

Nadal mam nadzieję, że ten człowiek usłyszy, jak zamykają się za nim drzwi celi. I mam nadzieję, że ona również w jakiś sposób to usłyszy.

W minione święta Bożego Narodzenia Alice, nasza córka, otworzyła prezent, który dostała od Świętego Mikołaja. Była szczęśliwa, odwijając wielką cyfrową kamerę i manipulując przy ustawieniach. Prezent do zabawy. Wesołych świąt, kochanie.

Później tego ranka nagle spytała: „Tato, dlaczego ty i Święty Mikołaj macie ten sam charakter pisma?”.

Michelle Eileen McNamara odeszła. Ale zostawiła po sobie innego małego detektywa.

I zagadkę.

Patton Oswalt  
Herndon, VA  
2 lipca 2017



## EPILOG. LIST DO STAREGO CZŁOWIEKA

Byłeś tym, w jaki sposób się zjawiałeś: głuchym uderzeniem o płot. Nagłym powiewem chłodnego powietrza od strony wyłamanych drzwi na patio. Zapachem wody po goleniu przenikającym sypialnię o trzeciej nad ranem. Dotykem noża na szyi. „Nie ruszaj się albo cię zabiję”. Odruchowy system wyczuwania niebezpieczeństw migał nieśmiało przygnieciony ciężarem snu. Żadna z ofiar nie miała czasu, żeby poderwać się i usiąść. Przebudzenie oznaczało świadomość, że zaczęło się obłąkanie. Linie telefoniczne zostały odcięte. Kule wyjęte z magazynka. Więzy do krępowania czekały przygotowane. Zmuszałeś je do działania, sam pozostając na obrzeżach: niewyraźny zarys maski i dziwne oddechy, jakbyś z trudem łykał powietrze. Przerażenie budziła twoja orientacja w ich domu. Twoje dłonie nieomylnie zmierzały w stronę trudnych do znalezienia wyłączników światła. Znałeś imiona. Liczbę dzieci. Ulubione knajpy. Twoje rozpoznanie terenu dawało ci decydującą przewagę, ponieważ kiedy ofiary budziły się oślepione światłem latarki i groźbami rzucanymi przez zęby, zawsze byłeś dla nich kimś obcym, nieznanym, ale one nigdy nie były kimś takim dla ciebie.

Serce im waliło. W ustach robiło się sucho. Twoja fizyczność pozostawała zagadką. Byłeś przelotnie odczuta twardą podeszwą buta. Penisem posmarowanym oliwką dla dzieci, wetkniętym w skrępowane dłonie. „Zrób to dobrze”. Żadna nie widziała twojej twarzy. Żadna nie poczuła ciężaru twojego ciała. Skrępowane ofiary były skazane na zapach i słuch. Talk o kwiatowym zapachu. Nuta cynamonu. Brzęczenie kółek na

karniszu. Suwak otwieranej torby. Monety sypiące się na podłogę. Jakiś jęk, łkanie. „Och, mamó”. Przelotne mignięcie granatowych tenisówek obszytych skórą.

Szczekanie psów cichnące gdzieś na zachodzie.

Byłeś tym, co zostawiałeś po sobie: dziesięciocentymetrowym pionowym nacięciem w okiennej siatce parterowego bungalowu w Montclair, w San Ramon. Siekierą o zielonej rękojeści ciśniętą w zarośla. Kawalkiem sznurka wiszącego na brzozie. Pianą w pustej butelce Schlitz Malt Liquor porzuconej na podwórku za domem. Maźnięciami niezidentyfikowanej niebieskiej farby. Klatką numer cztery z rolki numer trzy fotografii zrobionych przez ludzi z Biura Szeryfa Hrabstwa Contra Costa w miejscu, gdzie – jak sądzą – przeszedłeś przez ogrodzenie. Zsiniałą prawą dłońią, w której dziewczyna przez wiele godzin nie mogła odzyskać czucia. Zarysem łomu w pyłe.

Ośmioma zmiażdżonymi czaszkami.

Byłeś podglądaczem. Cierpliwie odnotowującym nawyki i rutynę. Pierwszej nocy, gdy pewien mąż zaczął pracować na nocną zmianę, przypuściłeś atak. Pod oknem łazienki w miejscu zbrodni przy Thornwood 3800, w Sacramento, znaleziono odciski butów ze wzorem w jodełkę, które powstały od czterech do siedmiu dni wcześniej. Policjanci zauważyli, że stojąc tam, mogłeś zaglądać do sypialni ofiary. „Pieprz mnie jak twój stary” – syknąłeś, jak gdybyś wiedział, jak oni to robią. Włożyłeś jednej z dziewcząt buty na szpilkach – to coś, co sama robiła w łóżku ze swoim chłopakiem. Kradłeś na pamiątkę zdjęcia w bikini zrobione polaroidem. Krążyłeś wokół nich z wąskim snopem światła swojej latarki i rzucałeś do nich krótkie, powtarzane frazy, zarazem reżyser i gwiazda filmu rozgrywającego się w twojej głowie.

Niemal każda z twoich ofiar opisuje taką samą scenę: moment, gdy wyczuwają, że wróciłeś po okresie chaotycznego przeszukiwania innych

części domu. Bez słów. Bez ruchu. Ale wiedziały, że tam stoisz, potrafiły sobie wyobrazić to pozbawione życia spojrzenie dwóch otworów w twojej kominiarce. Jedna z ofiar czuła, jak wpatrujesz się w szramę na jej plecach. Po dłuższej chwili, gdy nie słyszała żadnych odgłosów, pomyślała: Poszedł. Wzięła głębszy oddech i dokładnie w tym samym momencie czubek noża zaczął przesuwać się po krawędzi jej blizny.

Twoje fantazje pobudzały strumień adrenaliny. Wyobrażenia rekompensowała nieudaną rzeczywistość. Czuć było twoje niedomagania. Jedna z ofiar spróbowała psychologicznej sztuczki i wyszeptała: „Jesteś dobry”. Szybko odskoczyłeś od niej zdumiony. W twojej brawurze, odgrywaniu twardziela, czuć było blef. W twoich szeptach przez zaciśnięte zęby słychać było niepewność, czasem zająknięcie. Inna ofiara opisywała policjantom moment, gdy chwyciłeś ją za lewą pierś. „Zupełnie jakby to była klamka do drzwi”.

„Och, czy to nie jest dobre?” – spytałeś pewną dziewczynę, kiedy ją gwałciłeś, trzymając jej nóż na gardle tak długo, aż powiedziała tak.

Twoje fantazje sięgały głęboko, a jednak nigdy się z ich powodu nie potknąłeś. Każde poszukiwanie sprawcy gwałtownych przestępstw, który pozostaje na wolności, to wyścig; ty zawsze zostawiałeś śledczych za sobą. Byłeś sprytny. Wiedziałeś, jak zaparkować samochód poza standardową strefą, gdzie spodziewa się tego policja, między kilkoma domami albo na jakiejś pustej działce, aby uniknąć podejrzeń. Wycinałeś niewielkie otwory w szybach okiennych, jakimś narzędziem podważałeś zasuwki i otwierałeś okna, gdy twoje ofiary wciąż były pogrążone we śnie. Wyłączałeś klimatyzację, żeby lepiej słyszeć, czy ktoś nie nadchodzi. Zostawiałeś otwarte boczne furtki i przesuwałeś na bok meble na patio, żeby nic nie stanęło ci na drodze podczas ucieczki. Jadąc na dziesięciobiegowym rowerze, uciekłeś agentowi FBI ścigającemu cię samochodem. Przemykałeś się po

dachach. W Danville, 6 lipca 1979 roku, policyjny pies tropiący zareagował tak silnie na krzaki dzikiego wina przy Sycamore Hill Court, że opiekun psa był niemal pewny, że ten trop zapachowy powstał zaledwie przed chwilą.

Jeden z sąsiadów zauważył, jak uciekasz z miejsca zbrodni. Wszedłeś z domu w taki sam sposób, jak wszedłeś – bez spodni.

Helikoptery. Blokady na drogach. Obywatelskie patrole spisujące rejestracje samochodów. Hipnoza. Jasnowidze. Setki białych mężczyzn plujących na kawałek gazy. Nic.

Zostałeś zapachem i odciskami butów. Psy policyjne i detektywi podążali jednym i drugim tropem. Ślady prowadziły od domu. Prowadziły donikąd.

Prowadziły w mrok.

Przez dłuższy czas masz przewagę. Nadajesz tempo, masz dynamiczny krok. W ślad za nim podążają policyjne śledztwa. Najgorsza rzecz, jaka wydarzyła się komuś w życiu, zostaje zapisana niewyraźnym, odręcznym pismem przez często zniecierpliwionego albo sennego funkcjonariusza. Mnożą się błędy w ortografii. Ktoś opisuje na marginesie strukturę włosów łonowych za pomocą jakiegoś bazgrołu. Śledczy podążający tropem wskazówek posługują się powoli działającymi telefonami z okrągłą tarczą do wybierania numerów. Kiedy nikogo nie ma w domu, taki telefon po prostu dzwoni w pustkę. Jeśli chcą zajrzeć do starych raportów, muszą własnymi rękami przedzierać się przez sterty papieru. Klekoczący telefaks wystukuje chaotyczną odpowiedź na papierowej taśmie. Podejrzani, którym należałoby się przyjrzeć, wypadają ze śledztwa na podstawie alibi dostarczonego przez matkę. W końcu raport ze sprawy ląduje w teczce, teczka w pudełku, a potem w jakimś magazynie. Ktoś zamyka drzwi. Papier żółknie, pamięć słabnie.

Zwycięstwo w tym wyścigu należy do ciebie. Jesteś już prawie u celu; czujesz to. Ofiary znikają z pola widzenia. Gubią rytm, tracą pewność siebie. Prześladują je fobie, dręczone wspomnieniami poruszają się niepewnie.

Przychodzą rozwody, narkotyki. Upływa okres przedawnienia. Z powodu braku miejsca zestawy dowodów rzeczowych lądują na śmietniku. To, co się przytrafiło ofiarom, zostaje pogrzebane, choć błyszczy bez ruchu, jak moneta na dnie stawu. Starają się, jak mogą, żyć dalej.

Podobnie jak ty.

Ale ta gra przestaje cię ekscytować. Scenariusz się powtarza i wymaga podnoszenia stawki. Zaczynasz pod oknami, a potem wchodzisz do środka. Podnieca cię wzbudzany lęk. Lecz po trzech latach grymasy i błagania już nie wystarczą. Poddajesz się swoim mroczniejszym impulsom. Wszystkie ofiary twoich morderstw są piękne. Niektóre mają skomplikowane życie miłosne. Dla ciebie, jestem pewna, to tylko „dziwki”.

To był zupełnie inny zestaw reguł. Wiedziałaś, że masz najwyżej piętnaście minut na ucieczkę z jakiegoś osiedla, kiedy zostawiałaś swoje ofiary skrępowane, ale żywe. Jednak z domu Lymana i Charlene Smithów w Venturze 13 marca 1980 roku wychodzisz spokojnie, bez pośpiechu. Ich ciała zostaną znalezione dopiero po trzech dniach.

Polano z kominka. Łom. Klucz francuski. Zabijasz swoje ofiary przedmiotami, które znalazłeś w ich domach – zapewne to niezwykle, jednak zawsze miałeś zwyczaj poruszać się szybko nieobciążony niczym więcej prócz własnej wściekłości.

A potem, po 4 maja 1986 roku, znikasz. Niektórzy myślą, że nie żyjesz. Albo siedzisz w więzieniu. Ja nie.

Myślę, że się wycofałeś, ponieważ otaczający cię świat zaczął się zmieniać. Oczywiście upływ czasu także na tobie odcisnął swoje piętno, spowolnił cię. Testosteron, niegdyś kipiący, zaczął się teraz sączyć leniwym strumyczkiem. Jednak prawda jest taka, że wspomnienia blakną. Papier się rozpada. Ale technika idzie do przodu.

Dałeś sobie spokój, gdy spojrzawszy przez ramię, zobaczyłeś, że twoi

przeciwnicy są coraz bliżej.

Zwycięstwo w tym wyścigu należało do ciebie. To ty byłeś obserwatorem panującym nad sytuacją, nigdy obserwowanym. Pierwsze zagrożenie pojawiło się 10 września 1984 roku w laboratorium Uniwersytetu w Leicesterze, gdy genetyk Alec Jeffreys wynalazł metodę sporządzania profilu DNA. Kolejne przyszło w 1989 roku, gdy Tim Berners-Lee złożył propozycję stworzenia World Wide Web. Ludzie, którzy nawet nie zdawali sobie sprawy z twojego istnienia ani z twoich zbrodni, zaczęli opracowywać algorytmy – mogą się one okazać pomocne w polowaniu na ciebie. W 1998 roku Larry Page i Sergey Brin weszli na rynek ze swoją firmą Google. Pudła policyjnych raportów poświęcone twojej sprawie wyciągnięto z magazynów, dokumenty zeskanowano, zdigitalizowano i udostępniono innym. Świat zaczął pulsować coraz większą liczbą coraz szybszych połączeń. Smartfony. Technologia OCR. Interaktywne mapy dostosowane do potrzeb użytkowników. Możliwość śledzenia powiązań rodzinnych za pomocą DNA.

Widziałam fotografię odcisków butów z podeszwą w kratkę, które pozostawiłeś przed domem nastoletniej dziewczyny 17 lipca 1976 roku w Carmichael, toporny relikw z czasów, gdy podglądacze nie mieli innego wyboru i musieli osobiście stanąć pod oknem. Byłeś mistrzem zakradania się. Ale twoja zręczność z czasów świetności straciła wszelką wartość. Twoje umiejętności dziś nie mają żadnego znaczenia. Wszystko się zmieniło. Wokół ciebie wszędzie otwierają się wirtualne okna. Teraz to ty, niegdyś mistrz obserwowania innych, jesteś podstarzałym, idącym niepewnym krokiem celem ich precyzyjnego namierzania.

Kominiarka już ci nie pomoże.

W domu jednej z ofiar, dwadzieścia cztery lata po tym jak ją zgwałciłeś, zadzwonił telefon. „Chcesz się zabawić?” – wyszeptał jakiś człowiek. To

byłeś ty. Nie miała co do tego wątpliwości. Szukałeś nostalgicznego pocieszenia niczym nękana artretyzmem była gwiazda futbolu, która ogląda nagranie meczu na magnetowidzie. „Pamiętasz, jak się zabawialiśmy?”

Wyobrażam sobie, jak w małym, mrocznym pokoju wykręcasz jej numer, siedząc samotnie na skraju dwuosobowego łóżka, jedyna broń, jaka ci jeszcze została, to ożywianie wspomnienia, zdolność do budzenia przerażenia swoim głosem.

Pewnego dnia, już niedługo, usłyszysz, jak przed twoim domem zatrzymuje się samochód, ktoś wyłącza silnik. Usłyszysz odgłosy kroków zbliżające się do drzwi. Zupełnie tak samo, jak pojawiły się przed drzwiami Edwarda Wayne’a Edwardsa, dwadzieścia dziewięć lat po tym jak zamordował Timothy’ego Hacka i Kelly Drew w Sullivan, w stanie Wisconsin. Jak pojawiły się przed drzwiami Kennetha Lee Hicksa trzydzieści lat po tym, jak zabił Lori Billingsley w Aloha, w stanie Oregon.

Rozlega się dzwonek do drzwi.

Tym razem nie ma żadnej otwartej bocznej furtki. Już od dawna nie potrafisz przeskoczyć przez płot. Możesz zaczerpnąć jednego ze swoich pospiesznych oddechów, jakbyś łykał powietrze. Zacisnąć zęby. Lękliwie ruszyć w stronę uporczywego dzwonka.

Tak to się dla ciebie skończy.

„Jeden ruch i zamilkiesz na wieki, a ja zniknę w mroku” – powiedziałeś kiedyś do jednej z ofiar.

Otwórz drzwi. Pokaż nam swoją twarz.

Wyjdź w światło.

Michelle McNamara

# Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Lista postaci

Ofiary

Śledczy

Wprowadzenie

Prolog

Część pierwsza

IRVINE, 1981

Dana Point, 1980

Hollywood, 2009

Oak Park

Sacramento, 1976–1977

VISALIA

Hrabstwo Orange, 1996

Irvine, 1986

Ventura, 1980

Goleta, 1979

Goleta, 1981

Hrabstwo Orange, 2000

CONTRA COSTA, 1997

Część druga

Sacramento, 2012

Wschodnie Sacramento, 2012

Spinki do mankietów. Koda

Los Angeles, 2012



[Contra Costa, 2013](#)

[Concord](#)

[San Ramon](#)

[Danville](#)

[Walnut Creek](#)

[Davis](#)

[Fred Ray](#)

[On](#)

[Los Angeles, 2014](#)

[Sacramento, 2014](#)

[Sacramento, 1978](#)

[Część trzecia](#)

[Poszukiwanie zabójcy z użyciem geoprofilowania](#)

[Poszukiwanie zabójcy za pośrednictwem rodzinnego DNA](#)

[Posłowie](#)

[Epilog. List do starego człowieka](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału

*I'll Be Gone in the Dark. One Woman's Obsessive Search for the Golden State Killer*

Copyright © 2018 by Tell Me Productions.

All rights reserved.

Crime Club reproduced from The Collected Poems of Weldon Kees, edited by Donald Justice, by permission of the University of Nebraska Press.

Copyright 1975, 1962 by the University of Nebraska Press. Copyright 1960 by John A. Kees. Copyright 1954, 1947, 1943 by Weldon Kees.

Material covered in I'll Be Gone in the Dark was featured in the article In the Footsteps of a Killer, published by „Los Angeles” magazine.

Projekt okładki

Paweł Panczakiewicz

PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN

[www.panczakiewicz.pl](http://www.panczakiewicz.pl)

Fotografia na pierwszej stronie okładki

Reilika Landen / Arcangel

Opieka redakcyjna

Damian Warszawski

Adiustacja

Urszula Horecka

Korekta

Anastazja Oleśkiewicz  
Magdalena Tobik

Copyright © for the Polish translation by Jarosław Mikos  
© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2019

ISBN 978-83-240-5824-2

**znak**

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Więcej o naszych autorach i książkach: [www.wydawnictwoznak.pl](http://www.wydawnictwoznak.pl)

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek